

Robert Anton Wilson ur. w 1932 roku, Amerykanin, jest autorem wielu książek, wśród których największy rozgłos zyskała napisana wraz z Robertem Shea trylogia *Illuminatus! Złote jabłko* jest jej drugim tomem. Wilson pracował w wielu pismach m. in. w „Playboyu”, jest doktorem psychologii. W chwili obecnej prowadzi własny instytut zajmujący się badaniami... egzopsychologicznymi.

Trylogia *Illuminatus!* to doskonała zabawa ze świata w stylu filozofii „zen w wydaniu braci Mara”, a celem jej — jak piszą autorzy — jest uzyskanie dyskordiańskiego oświecenia, czyli uświadomienie sobie, że tak naprawdę nic nie istnieje i że nic nie jest warte szacunku... albo — co na jedno wychodzi — wszystko istnieje, wszystko jest warte szacunku.

ILLUMINATUS!

W skład trylogii wchodzi

Tom I OKO W PIRAMIDZIE

Tom II ZŁOTE JABŁKO

Tom III LEWIATAN

Robert Shea Robert Anton Wilson

ZŁOTE JABŁKO

TOM II TRYLOGII *ILLUMINATUS!*

Tłumaczyła Katarzyna Karłowska

ZYSK I S-KA

WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału THE GOLDEN APPLE

Copyright © 1975 by Robert Shea and Robert Anton Wilson

Published by arrangement with Dell Publishing, a division of Bantam Doubleday Dell Publishing Group, Inc.

Copyright © 1995 for the Polish translation by Dom Wydawniczy REBIS

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Redaktor serii Tadeusz Zysk

Redaktor Mirosław Drozd

Wydanie I ISBN 83-86530-62-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel./fax 526-326, tel. 532-767, 532-751

Skład, łamanie i fotonaświetlanie perfekt s.c. ul. Grodziska 11, Poznań

Dla Arlen i Yvonne

Nie ma boga prócz człowieka.

Człowiek ma prawo żyć zgodnie ze swym własnym prawem — żyć tak, jak chce; pracować tak, jak chce; bawić się tak, jak chce; odpoczywać tak, jak chce; umrzeć, kiedy chce i jak chce.

Człowiek ma prawo jeść to, co chce; pić to, co chce; mieszkać tam, gdzie chce; wędrować po całej ziemi, dokąd tylko zechce.

Człowiek ma prawo myśleć to, co chce; mówić to, co chce; rysować, malować, rzeźbić, wytrawiać, odlewać, budować to, co chce; ubierać się tak, jak chce.

Człowiek ma prawo kochać tak, jak chce.

Człowiek ma prawo zabijać tych, którzy udaremniają mu korzystanie z tych praw.

„The Equinox: A Journal of Scientific Illuminism”, 1922 (edited by Aleister Crowley)

KSIĘGA TRZECIA

UNORDNUNG

Nie wiercie w ani jedno słowo, które zostało zapisane w *Uczciwej księdze prawdy* Lorda Omara, ani też w żadne ze znajdujących się w *Principia Discordia* Malaklipy Młodsze, albowiem

wszystko, co zawarte tam jest, to prawdy ze wszech miar szkodliwe i kłamliwe.

*Listy apostołskie do Episkoposów,
Mordechaj Malignatus, K.N.S.,
Nieuczciwa księga kłamstw*

ODLOT SZÓSTY ALBO TIPARETH

(CZŁOWIEK, KTÓRY ZAMORDOWAŁ BOGA)

Dać pierwszeństwo porządkowi nad chaosem albo chaosowi nad porządkiem to zgodzić się na odlot skomponowany zarówno z twórczości, jak i destrukcji. Jednakże dać pierwszeństwo twórczości nad destrukcją to uniwersalno-twórczy odlot złożony zarówno z porządku, jak i chaosu.

*Przekleństwo Szarej Twarzy i wprowadzenie negatywizmu,
Malaklipsa Młodszy, K.S.C.,
Principia Discordia*

Dzień 25 kwietnia John Dillinger rozpoczął od szybkiego przejrzenia „New York Timesa”; zauważył więcej fnordów niż zazwyczaj. Gównu zaraz trafi do wentylatora, pomyślał ponuro i nastawił radio na dziennik o ósmej, ale natknął się tylko na doniesienia z wydarzeń w posiadłości Drake'a, kolejny zły znak. W Las Vegas, w pomieszczeniach, w których światło nigdy nie gasło, żaden z hazardzistów nie zauważył, że jest już ranek, zaś Carmel, powracający z pustyni, gdzie pogrzebał Sherri Brandi, zбочzył z drogi, chcąc zajrzeć do domu doktora Charlesa Mocenigo w nadziei, że wypatrzy albo usłyszy coś przydatnego; usłyszał jedynie pojedynczy strzał z rewolweru, więc natychmiast uciekł. Gdy obejrzał się za siebie, zobaczył płomień buchające wprost w niebo. A przelatujący właśnie nad samym środkiem Atlantyku R. Buckminster Fuller zerknął na swoje trzy zegarki i stwierdził, że w samolocie jest druga w nocy, północ tam, gdzie miał wylądować (Nairobi), zaś szósta rano w jego domu w Car-bondale, Illinois. (W samym Nairobi, Nkrumah Fubar, producent lalek voodoo, wywołujących bóle głowy u prezydenta Stanów Zjednoczonych, kładł się właśnie do łóżka,

9

drżąc z niecierpliwości na myśl o wykładzie, który pan Fuller miał następnego dnia wygłosić na uniwersytecie. Pan Fubar, na swój wyrafinowany prymitywny sposób, podobnie jak Simon Moon na swój prymitywnie wyrafinowany sposób, nie dostrzegał żadnej sprzeczności między magią a matematyką).

W Washington, D.C. zegary wybijały szóstą, kiedy kradziony volkswagen Bena Volpe'a zatrzymał się przed domem senatora Edwarda Coke Bacona, najwybitniejszego liberała w całym kraju oraz głównej nadziei wszystkich tych młodych ludzi, którzy jeszcze nie wstąpili do grup Morituri.

— Przyjechali kowboje, każdy zrobił swoje — powiedział dosadnie Ben Volpe do towarzyszy.

Senator Bacon przewrócił się na swym łóżku (Albert „Nauczyciel” Stern otwiera ogień prosto do Holendra) i wymamrotał: „Newark”. Leżąca obok niego żona ocknęła się częściowo ze snu i usłyszała dobiegający z ogrodu hałas (*Mamo, mamo, mamo* — mający Holender): „Mamo”, słyszy głos swojego syna, zanim ponownie obsunie się w sen. Grad kul budzi ją gwałtownie i ciska w morze krwi, w okamgnieniu widzi konającego obok niej męża, swojego syna dwadzieścia lat wcześniej, gdy oplakiwał martwego zółwia, twarze Mendy Weissa, Bena Volpe'a oraz dwóch innych, wycofujących się z sypialni.

A jednak w 1936 roku, gdy Robert Putney Drake wrócił z Europy do Bostonu, by objąć tam stanowisko wiceprezesa w banku swego ojca, policja wiedziała już, że to wcale nie Albert Nauczyciel zastrzelił Holendra. Było nawet paru takich, na przykład Elliot Ness, którzy wiedzieli, że rozkazy pochodziły od panów Lucky'ego Luciana i Alphonsa „Scarface” Capone'a (zamieszkałego w Zakładzie Penitencjarnym w Atlancie) i przekazane zostały za pośrednictwem Federica Maldonada. Nikt jednak, oprócz ludzi syndykatu, nie mógł wskazać na prawdziwych zabójców — Jimmiego Norkę, Charleya Pluskwę i Mendy Weissa — nikt z wyjątkiem Roberta Putneya Drake'a.

10

1 kwietnia 1936 roku rozdzwonił się telefon Federica Maldonada. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał głos wykształconego bostończyka, który tonem typowym dla zwykłej towarzyskiej rozmowy powiedział:

— Powinniście postawić na Matkę i nie pozwalać, by Szatan tak was wykorzystywał. — Natychmiast potem rozległ się trzask, jako że dzwoniący odwiesił słuchawkę.

Maldonado zastanawiał się przez cały dzień, a w końcu wieczorem wspomniął o tym bardzo bliskiemu przyjacielowi.

— Dzwonił do mnie dzisiaj jakiś schizol i zapodał jeden z tych tekstów, które Holender powiedział glinom tuż przed swoją śmiercią. Numer jest taki, że zapodał ten tekst, przez który wszyscy byśmy wsiąkli, gdyby ktoś z policji albo federalnych go rozumiał.

— Tak to bywa z niektórymi schizolami — orzekł drugi mafioso, elegancki, starszy dżentelmen, przypominający sokoła Fryderyka II. — Dostrajają się jak jakieś cyganki. Telepatia, kapujesz? Tyle że im się to wszystko miesza, jak to schizolom.

— Ano, tak to chyba jest — zgodził się Maldonado. Miał stukniętego wujka, któremu zdarzało się wypaplać jakiś sekret Bractwa, o którym raczej nie powinien był wiedzieć, w trakcie bredzenia o księżach robiących to z ministrantami, Mussolinim ukrywającym się na schodach pożarowych i tego typu bzdurach. — Dostrajają się... jak Oko, co?

I roześmiał się.

Jednakże następnego dnia telefon znowu zadzwonił i ten sam głos ze starannie wypracowaną intonacją z Nowej Anglii powiedział: — Te wredne szczury się dostroiły. Francusko-kanadyjska zupa fasolowa.

Zimny pot oblał Maldonada i w tym właśnie momencie zdecydował, że jego syn, ksiądz, będzie co niedzielę odprawiał mszę w intencji Holendra.

Cały dzień o tym myślał. Boston — akcent był z Bostonu. Tam mieli kiedyś czarownice. Francusko-kanadyj-

11

ska zupa fasolowa. O Chryste, Harvard leży tuż za Bostonem, a Hoover werbuje federalnych z Wydziału Prawa w Harvardzie. Czy jacyś prawnicy stamtąd są też czarownicami? Wykolegować tego sukinsyna, powiedziałem im, i znaleźli go w męskim kiblu. Ten przeklęty Holender. Z kulą w bebechach żyje tak długo, żeby wypaplać wszystko na temat *Segreto*. Przekłęci *tedeschi*...

Tamtego wieczora Robert Putney Drake spożywał na kolację homara a la Newburg, w towarzystwie pewnej młodej damy pochodzącej z mniej znanej gałęzi dynastii Morganów. Potem zabrał ją na *Drogę tytoniową*, a gdy jechali taksówką do jego hotelu, odbyli poważną rozmowę na temat cierpień ubogich oraz niezwykłej siły aktorstwa Hen-ry'ego Hulla w roli Jeetera. Potem zabrał ją do swojego pokoju i posuwał aż do śniadania. O dziesiątej rano, kiedy już sobie poszła, wyszedł spod prysznic, nagi jak go Pan Bóg stworzył, trzydziestotrzyletni, bogaty, przystojny, zdrowy i szczęśliwy drapieznik. Spojrzał na swojego penisa, przypomniał sobie węże z meskalinowej wizji w Zurychu i wdział na siebie szlafrok, który kosztował tyle, że dałoby się za niego żywić przez jakieś sześć miesięcy którąś z głodujących rodzin z pobliskich slumsów. Zapalił grube kubańskie cygaro i usiadł przy telefonie, zwierzęcy, drapieźny, szczęśliwy. Zaczął wykręcać numer i zasłuchany w sygnał, piik, piik, pik-pik, wspominał woń perfum, którymi pachniała jego matka, gdy pochylała się nad kołyską przed trzydziestu dwu laty, zapach jej piersi, a także tamten jeden raz, gdy w Boston Common dla eksperymentu postanowił sprawdzić, na czym polega homoseksualizm z pewnym bladym pedałem, który ukląkł przed nim w kabinie klozetowej, smród uryny i lizolu, napis na drzwiach ELE-ANOR ROOSEVELT CI OBCIĄGNIE i natychmiastową wizję, w której to nie jakiś pedał kłęczy w kościele przed jego rozpalonym, twardym kutasem, ale żona prezydenta...

— Tak? — usłyszał zdenerwowany, wściekły głos Maldonada Bananowego Nosa.

12

— A gdy już byłem w sraczu, wszedł za mną ten chłopiec — wycedził przeciągle Drake, a jego lekko wzwie-dziony członek zrobił się ciepły i elastyczny jak kauczuk. — Co się stało z pozostałymi szesnastoma? — Szybko odwiesił słuchawkę. (— To błyskotliwa analiza — wyraził się profesor Tochus z Uniwersytetu Harvarda o jego pracy dotyczącej ostatnich słów Holendra Schultza. — Szczególnie podoba mi się sposób, w jaki połączyłeś Freuda i Adlera, odkrywając, że popęd płciowy i popęd władzy wyrażają się w taki sam sposób w niektórych okolicznościach. To całkiem oryginalne.

Drake roześmiał się i odparł:

— Obawiam się, że markiz de Sade antycypował to już półtora wieku temu. Władza i posiadanie są dla niektórych osobników rodzaju męskiego jednoznacznie seksualne).

Błyskotliwość Drake'a została dostrzeżona również przez koło Junga w Zurychu. Pewnego razu — gdy Drake'a akurat nie było, ponieważ wraz z Paulem Klee i kilkoma przyjaciółmi brał meskalinę podczas, jak to nazywali, Wyprawy na Wschód — Drake stał się tematem długiej i niepokojącej rozmowy w gabinecie Junga.

— Nie widzieliśmy tu podobnych do niego od czasów, gdy odwiedził nas Joyce — stwierdziła jedna z kobiet--psychiatrów.

— Jest błyskotliwy, to prawda — rzekł Jung ze smutkiem — ale jednocześnie zły. Tak zły, że tracę nadzieję na zrozumienie go. Zastanawiam się nawet, co by pomyślał stary Freud. Ten człowiek nie chce zabić swojego ojca i posiadać swojej matki, on chce zabić Boga i posiadać kosmos.

Trzeciego ranka Maldonado odebrał dwa telefony. Najpierw dzwonił Louis Lepke, brutalny i porywczy:

— Co jest grane, Bananowy Nos?

Użycie zastrzeżonego przezwiska w prywatnej rozmowie stanowiło zniewagę rozmyślną, nieomal niewybaczalną. Maldonado jednak wybaczył.

13

— Zauważyłeś, że moi chłopcy cię śledzą, co? — spytał domyślnie.

— Wypatrzyłem twoich żołnierzy — Lepke wyrzekł to słowo z naciskiem — a to oznacza, że chciałeś, żebym ich zauważył. Co jest grane? Wiesz, że jak ja oberwę, to ty też.

— Nie oberwiesz, *caro, mio* — odparł Don Federico nadal serdecznym tonem. — Wpadł mi do głowy taki wariacki pomysł, że pewna sprawa jest nakręcana od wewnątrz i tak mi się zdawało, że tylko ty wiesz tyle, żeby to robić. Myliłem się. Słyszę to w twoim głosie. Zresztą, gdybym miał rację, to byś do mnie nie dzwonił. Stokrotnie przepraszam. Nikt już nie będzie za tobą chodził. Może tylko śledczy Toma Deweya, co? — zaśmiał się.

— Okay — powiedział wolno Lepke. — Odwołaj ich, a ja ci to zapomnę. Ale nie próbuj mnie więcej straszyć. Robię się narwany, jak mnie ktoś straszy.

— Już nigdy — obiecał Maldonado.

Lepke rozłączył się, a on siedział i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w aparat.

Teraz jestem jego dłużnikiem — pomyślał. — Będę musiał załatwić sprzątnięcie kogoś, kto go wkurzy, w ramach należytych i grzecznych przeprosin.

Ale, Matko Niebieska, jeśli to nie jest Rzeźnik, to kto? Prawdziwa czarownica?

Telefon znowu zadzwonił. Maldonado przeżegnał się i bezgłośnie wzywając Dziewicę, podniósł słuchawkę.

— Niech on się do ciebie zaprzęgnie, a potem dręczy — zacytował figlarnym tonem Robert Putney Drake — zabawa to zabawa.

Nie odwiesił słuchawki.

— Przepraszam — zapytał Don Federico. — Z kim rozmawiam?

— Holender umierał trzy razy — odparł Drake grobowym głosem. — Kiedy zastrzelił go Mendy Weiss, kiedy zastrzelił go duch Vince'a Colla i kiedy zastrzelił go

14

ten dumny ćpun, Nauczyciel. Ale Dillinger nie umarł ani razu.

— Wysiadam, proszę pana — mruknął Maldonado. — Jestem załatwiony. Spotkam się z panem obojętnie gdzie. W biały dzień. W Central Parku. Wszędzie, gdzie pan będzie się czuł bezpieczny.

— Nie, nie spotkasz się ze mną teraz — odparł chłodno Drake. — Najpierw omdwisz to z panami Lepke i Ca-pona. Omdwisz to również z... — tu odczytał z kartki piętnaście nazwisk. — Potem, jak już dasz wszystkim czas na zastanowienie, odezwę się do ciebie.

Drake puścił bąka, jak zawsze w chwilach zdenerwowania towarzyszących załatwianiu jakiejś ważnej transakcji, i szybko odwiesił słuchawkę.

A teraz — powiedział do siebie — zabezpieczenie.

Przed nim, na hotelowym biurku, leżała fotokopia jego drugiej analizy ostatnich śldw Holendra Schultza, tej prywatnej, nieopublikowanej wersji, którą przedstawił Wydziałowi Psychologii Uniwersytetu Harvarda. Poskładał ją przemyślnie, a na wierzchu przypiął adnotację o treści: „Pięć kopii znajduje się w sejfach pięciu różnych banków”. Następnie wsunął ją do koperty, zaadresował do Luciana i wyszedł z pokoju, żeby wrzucić na dole do hotelowej skrzynki.

Po powrocie do pokoju zadzwonił do Louisa Lepkego, urodzonego jako Louis Buchalter, przedstawiciela organizacji, która później miała zostać nazwana przez brukową prasę Murder Inc. Gdy Lepke odebrał telefon, Drake wyrecytował uroczyście, nadal cytując Holendra:

— Został mi jeden miesiąc. To oni to zrobili. No dalej, Iluminaci.

— Kto mówi, do jasnej cholery? — rozległ się krzyk Lepkego, a Drake delikatnie odłożył słuchawkę. Chwilę później wymeldował się z hotelu i nocnym lotem udał się do domu, gdzie spędził pięć wyczerpujących dób na reorganizacji i usprawnianiu funkcjonowania banku swego oj-

15

ca. Piątej nocy zrelaksował się i zabrał pewną młodą damę z rodziny Lodge'ów na tańce przy orkiestrze Teda Weemsa oraz koncert młodego wokalisty Perry'ego Como. Potem posuwał ją na trzynaście z tuzina sposobów aż do samej niedzieli. Następnego ranka wyciągnął niewielki notes, w którym systematycznie spisywał wszystkie najbogatsze rodziny w Ameryce, umieścił jej imię i postawił ptaszka przy nazwisku Lodge; podobnie w poprzednim tygodniu postąpił z nazwiskiem Morgan. Następne miało być Rockefeller.

Nocą odleciał do Nowego Jorku i spędził cały dzień na negocjacjach z przedstawicielami trustu Morgana. Tamtego wieczora zobaczył kolejkę po chleb na Czterdziestej Ulicy i był tym głęboko

poruszony. Po powrocie do hotelu dokonał jednego ze swych rzadkich, nieomal potajemnych zapisów w dzienniku:

Rewolucja mogła wybuchnąć w dowolnym momencie. Gdyby nie zastrzelono Hueya Longa w ubiegłym roku, już byśmy ją mieli. Gdyby Capone pozwolił Holendrowi ukatrupić Deweya, Departament Sprawiedliwości byłby już dość silny, na zasadzie reakcji, żeby zapewnić bezpieczeństwo państwa. Jeśli Rooseveltowi nie uda się wpakować nas w wojnę, kiedy ona już wybuchnie, wszystko pójdzie na marne. A do wojny dojdzie być może dopiero za trzy albo cztery lata. Gdybyśmy potrafili sprowadzić z powrotem Dillingera, odpowiedzią byłoby wzmocnienie władzy Hoovera i Departamentu Sprawiedliwości, ale John jest najwyraźniej po drugiej stronie. Mój plan to może ostatnia szansa, a Ilu-minaci jeszcze się ze mną nie kontaktowali, ale na pewno już coś przeczuli. Och, Adamie Weishaupt, jakież je-łopowaty pomiot usiłuje kontynuować twe dzieło.

Nerwowo wydarł tę kartkę z dziennika, puścił bąka, zmięty papier wrzucił do popielniczki i ostrożnie spalił.

16

Potem, nadal poruszony, zadzwonił do pana Charlesa Luciana i powiedział cicho:

— Mogę was łatwo zdradzić, Winifred. Departament Sprawiedliwości. Nawet to wiem od Departamentu.

— Proszę się nie rozłączać — rzekł cicho Luciano. — Czekaliśmy na telefon od pana. Jest pan tam jeszcze?

— Tak — odparł ostrożnie Drake, mocno zaciskając wargi, a jeszcze mocniej zwieracz odbytu.

— Okay — powiedział Lucky. — Wie pan o Ilumi-natach. Wie pan, co Holender próbował powiedzieć policji. Zdaje się, że pan wie nawet o Liberteri i Johnie Dillinge-rze. Ile pan chce?

— Wszystko — odparł Drake. — I wy jak jeden mąż będziecie chcieli mi to dać. Ale jeszcze nie teraz. Nie dzisiaj.

I rozłączył się.

(Już Majowie wiedzieli, że koło czasu obraca się na trzy sposoby: zgodnie z obrotowym ruchem Ziemi wokół własnej osi, zgodnie z orbitalnym jej ruchem wokół Słońca i jednocześnie wraz z obrotem Słońca wokół jądra galaktyki. Koło czasu, które jest kołem różnych Jeśli", wykonuje pełen obrót w chwili, gdy słuchawka telefonu Drake'a znowu opada z trzaskiem na widełki, dla Gruada Szara Twarz obliczającego tor komety i mówiącego swoim wyznawcom:

— Widzicie? Nawet ciała niebieskie są podporządkowane prawu, a także Iloigor, czy zatem mężczyźni i kobiety również nie powinni być podporządkowani prawu?

A w krótszym cyklu Semper Cuni Linctus, centurion odbywający służbę na zapomnianym przez Boga i ludzi posterunku Cesarstwa, słucha znudzony swego młodszego oficera, który podniecony opowiada:

— Ten facet, którego ukrzyżowaliśmy w ubiegły piątek... ludzie w całym mieście przysięgają, że widzieli jak się tu kręcił. Jeden twierdzi nawet, że wsadził mu rękę w bok!

Semper Cuni Linctus uśmiecha się cynicznie.

17

— Powiedz to gladiatorom — mówi.

A Albert Stern odkręca gaz, przyjmuje ostatnią działkę i syty morfiny oraz pełen euforii wolno umiera, przekonany, że zawsze będą go pamiętać jako tego człowieka, który zastrzelił Holendra Schultza, nie wiedząc, że Abe Reles wyjawia prawdę pięć lat później).

Camp-town racetrack five miles long...

Podczas drugiej wyprawy Joego na „Leifie Ericssonie" dopłynęli aż do Afryki i tam Hagbard odbył jakąś ważną konferencję z pięcioma goryłami. Że była ważna, wyjawił to później, ale Joe nie potrafił sam tego stwierdzić, ponieważ toczyła się w suahili.

— Znają trochę angielski — wyjaśnił Hagbard po powrocie do łodzi — ja jednak wolę suahili, ponieważ w tym języku są bardziej elokwentne i potrafią wyrazić więcej niuansów.

— Czy oprócz wszystkich innych swoich osiągnięć — spytał Joe — jesteś również pierwszym człowiekiem, który nauczył małpy mówić?

— Ależ skąd — odparł skromnie Hagbard. — To stary dyskordiański sekret. Pierwszą osobą, która porozumiała się z gorylem, był pewien eryzyjski misjonariusz, zwany Malaklipsą Starszym, który urodził się w Atenach i został skazany na wygnanie za swój sprzeciw względem męskiej supremacji, gdy Ateńczycy stworzyli patriariat i pozamykali swoje kobiety. Od tego czasu wędrował po całym starożytnym świecie, poznawał wszelkiego rodzaju tajemnice i pozostawił po sobie bezcenną kolekcję absolutnie czadowych legend. To on jest tym Feniksem Szaleńcem, o którym wzmianka znajduje się w pismach konfucjańskich, i to on podawał się za Krisznę, by głosić tę cudną

biblię etyki rewolucyjnej, Bhagavad Gite, Arjunie w Indiach, nie wspominając już innych wyczynów. Sądzę, że spotkałeś go w Chicago, jak udawał chrześcijańskiego diabła.

— Ale jak wam, Dyskordianom, udało się ukryć, że goryle mówią?

18

— Można powiedzieć, że trzymamy raczej język za zębami, a jak już coś mówimy, to po to tylko, by kogoś nabrać albo rozpieprzyć mu umysł...

— Zdążyłem zauważyć — stwierdził Joe.

— A same goryle są tak sprytne, że nie będą rozmawiały z nikim, kto nie jest anarchistą. Widzisz, one same też są anarchistami i cechuje je zdrowa ostrożność względem ludzi w ogóle, a szczególnie ludzi z rządu. Jak jeden z nich powiedział mi kiedyś: „Gdyby się wydało, że potrafimy mówić, konserwatyści wytepilliby większość, a pozostałych zmusili do płacenia czynszu za zamieszkiwanie na własnej ziemi, natomiast liberałowie chcieliby nas wytresować na operatorów obrabiarek. Kto do kurwy nędzy chciałby sterować elektroniczną obrabiarką?” Oni wolą swój idylliczno-eryzyjski sposób bycia i ja osobiście nigdy nie chciałbym im w tym przeszkadzać. Ale rzeczywiście porozumiewamy się z nimi, tak samo jak z delfinami. Przedstawiciele obu tych gatunków są dostatecznie inteligentni i zdają sobie sprawę, że ponieważ sami należą do ziemskiej biosfery, w ich interesie jest pomagać tej garstce anarchistów wśród ludzi, którzy próbują położyć kres rozlewowi krwi i rzezi, jakich dopuszczają się nasi anery-styczni władcy i anerystyczny motłoch lub przynajmniej go spowolnić.

— Ciągłe jeszcze zdarza mi się nie rozumieć używanych przez ciebie terminów teologicznych... może to terminy psychologiczne? Siły anerystyczne, szczególnie Ilu-minaci, mają fioła na punkcie struktur: chcą wszystkim narzucać swoją koncepcję porządku. Ja jednak nadal nie mogę się połapać w różnicach pomiędzy tym, co eryzyjskie, erystyczne i dyskordiańskie. Nie mówią już o PSM.

— To, co erystyczne, jest przeciwieństwem tego, co anerystyczne — wyjaśniał cierpliwie Hagbard — a zatem jest z nim identyczne. Misz-masz, zapamiętaj. Pisarze tacy jak de Sade, Max Stirner i Nietzsche są erystyczni, tak samo goryle. Są symbolem całkowitej supremacji jed-

19

nostki, totalnej negacji grupy. Nie jest to koniecznie wojna wszystkich przeciwko wszystkim, jak to sobie wyobrażają filozofowie anerystyczni, jednakże w przypadku jakiejś presji może się zdegenerować do czegoś takiego. Najczęściej jest całkiem pacyfistyczne, tak jak u naszych włośchatych przyjaciół na drzewach. Z kolei podejście eryzyjskie jest bardziej umiarkowane: uznaje, że siły anerystyczne stanowią również część światowego dramatu, i że nie dadzą się nigdy całkowicie wyrugować. Promujemy element erystyczny tylko dla zachowania równowagi, ponieważ i tak od samego początku epoki Ryb ludzka społeczność ulegała groteskowemu odchyleniu anerystycznemu. My, Dyskordianie jesteśmy aktywistami w ruchu eryzyjskim, my działamy. Prawdziwi eryzyjczycy stosują w działaniu metody jeszcze bardziej tajemnicze, zgodne z taoistyczną zasadą *wu-wei*: nie robić nic skutecznie. Zaś PSM to lewacy, którzy mogli się stać anerystyczni, gdyby nie szczególne okoliczności, które popchnęły ich w kierunku libertariańskim. Spieprzyli wszystko typowo lewicowymi odlotami nienawiści. Nie nauczyli się *Gity*: sztuki walki przy zachowaniu miłującego serca.

— Dziwne — stwierdził Joe. — Doktor Iggy z loży PSM w San Francisco tłumaczył mi to inaczej.

— A czego byś się spodziewał? — odparł Hagbard.

— Nie ma takich dwóch, którzy naprawdę wiedzą, których wiedza byłaby taka sama. *A propos*, dlaczego mi nie powiedziałeś, że twoim zdaniem te goryle to tylko ludzie, których ja przebrałem za goryle?

— Robię się coraz bardziej łatwowierny — wyznał Joe.

— To niedobrze — stwierdził ze smutkiem Hagbard.

— To naprawdę byli ludzie przebrani za goryle. Sprawdzałem, czy łatwo cię wpuścić w maliny i nie było to trudne.

— Zaraz, zaczekaj. Śmierdziały jak goryle. To nie było żadne udawanie. Teraz mnie nabierasz.

20

— Prawda — zgodził się Hagbard. — Chciałem sprawdzić, czy wolisz ufać własnym zmysłom czy raczej takiemu Urodzonemu Przywódcy i Guru, jak ja. Uwierzyłeś własnym zmysłom i zdałeś test. Moje sztuczki to nie jakieś żarty, przyjacielu. Ktoś, kto tak jak ja, posiada geny dominujące i pirackie pochodzenie, musi się bardzo natrudzić, żeby nie zostać jakimś przeklętym autorytetem. Dla mnie przydatny jest każdy *feedback* i informacje, jakie tylko uda się zdobyć od mężczyzn, kobiet, dzieci,

goryli, delfinów, komputerów, wszelkich istot obdarzonych świadomością, a sam przecież wiesz, że nikt się nie sprzecza z autorytetem. *Porozumienie jest możliwe jedynie między równymi*: to pierwszy teoremat cybernetyki społecznej i cała podstawa anarchizmu, a ja muszę stale zwalczać uzależnienie ludzi ode mnie, bo inaczej stanę się jakimś pierdolonym Wielkim Tata i już nigdy nie uda mi się nawiązać właściwego porozumienia. Gdyby ci świńskogłowi Iluminaci i ich anerystyczni naśladowcy we wszystkich rządach, korporacjach, uniwersytetach i armiach świata rozumieli tę prostą zasadę, to od czasu do czasu zrozumieliby, co się dzieje i przestali wówczas pieprzyć każde rozpoczęte przez siebie przedsięwzięcie. Jestem Hagbardem Celinę, Wolnym Człowiekiem, a nie czymś cholernym przywódcą. Gdy wreszcie zrozumiesz, że jestem tobie równy, że moje gówno śmierdzi tak samo, jak twoje, że co kilka dni potrzebuję zamoczyć, bo inaczej wpadam w zły humor i podejmuję głupie decyzje, i że istnieje Ktoś znacznie bardziej godny zaufania niż wszyscy buddowie i mędrcy, tyle że sam musisz go sobie znaleźć, wówczas zaczniesz rozumieć, o co chodzi z Legionem Dynamicznej Niezgody.

— Ktoś bardziej godny zaufania niż wszyscy buddowie i mędrcy...? — powtórzył Joe, zdając sobie sprawę, że jest już zupełnie zdezorientowany, mimo iż zaledwie przed sekundą już prawie wszystko rozumiał.

— Żeby wchłonąć światło, musisz być chłonny — odparł lakonicznie Hagbard. — Sam nad tym popracuj.

21

A tymczasem weź to ze sobą do Nowego Jorku i postaraj się przegryźć.

I ofiarował Joemu książkę zatytułowaną *Nigdy nie gwiżdź, kiedy sikasz: Podręcznik samowyzwolenia*, napisaną przez Hagbarda Celine'a, H.M, S.H.

W ciągu kilku następnych tygodni Joe przeczytał uważnie tę książkę — a tymczasem Pat Walsh z działu badań „Konfrontacji” sprawdzała wszystkie twierdzenia na temat Iluminatów, które Joe pozyskał od Hagbarda, Simona, Dillingera i doktora Ignotiusa — jednakże, mimo iż została ona napisana błyskotliwie, mało co w niej było jasne i nie znalazł żadnej wskazówki odnośnie do tego Kogoś, kto jest bardziej godny zaufania niż wszyscy buddowie. Potem, któreś nocy, gdy się nawalił czarnym haszem z Alamout, zaczął pracować z bardziej otwartą i pogłębioną świadomością. Malaklipsa Starszy? Nie, on był mądry i nawet jakby altruistyczny w pewnym zwariowanym stylu, ale z pewnością niegodny zaufania. Simon? Mimo swego młodego wieku i szaleństwa, miał przebłyski niewiarygodnej spostrzegawczości, ale z pewnością był znacznie mniej oświecony niż Hagbard. Dillinger? Doktor Ignotius? Tajemniczy Malaklipsa Młodszy, który zniknął, pozostawiając po sobie jedynie enigmatyczne *Principia Discordia*?

Chryste — pomyślał Joe — ale ze mnie męski szowinista! Czemu nie wziąłem pod uwagę Stelli? Przypomniał mu się pewien stary kawał... „Czy widziałeś Boga?” „Tak, była czarna.” Oczywiście. Przecież to Stella kierowała jego inicjacją w kaplicy doktora Iggy. Czy Hagbard nie powiedział, że to ona będzie kierowała inicjacją Geor-ge'a Dorna, gdy George będzie już gotów? No przecież.

Joe na zawsze zapamiętał ten moment ekstazy i pewności: nauczył go wiele na temat używania i nadużywania narkotyków, a zrozumiał też błąd Iluminatów. Bowiem podświadomość, która zawsze stara się przerobić każdą fajną babkę na kształt matki, skazała intuicję, jaką nie-

22

małże obdarzyła go nadświadomością. Było to wiele miesięcy później, tuż przed kryzysem Fernando Po, gdy wreszcie odkrył poza wszelkimi wątpliwościami tego Kogoś, kto jest bardziej godny zaufania niż wszyscy buddowie i mędrcy.

Do-da, do-da, do-da-do-da-DAY...

(A Semper Cuni Linctus, tamtej właśnie nocy, podczas której kazał wywiercić otwory w ciele swego młodszego oficera za to, że traktuje poważnie miejscowe przesady, przeszedł przez gaj oliwny i zobaczył Siedemnastu... i był z nimi Osiemnasty, ten, którego ukrzyżowali w ubiegły piątek.

Magna Mater — zaklął, podpełzając bliżej — czy ja tracę zmysły?

Osiemnasty, jak-mu-tam, ten kaznodzieja, ustawił tam koło, a teraz rozdawał karty. Potem zakręcił kołem i głośno wymówił liczbę, przy której się zatrzymało. Centurion obserwował to wszystko z rosnącym zdumieniem, a tymczasem proces się powtarzał: koło się zatrzymywało i wtedy oni zaznaczali na kartach jakieś znaki. Na koniec ten rosły, Szymon, zawołał: „Bingo!” Potomek szacownej rodziny Linctusów odwrócił się i uciekł... Świetlista postać, którą zostawił za sobą, powiedziała:

— Czyńcie to na moją pamiętkę.

— A mnie się wydawało, że na twoją pamiętkę mamy wykonywać ten numer z chlebem i

winem — sprzeciwił się Szymon.

— Wykonujcie obydwa — odparł podobny do ducha. — Dla niektórych ludzi chleb i wino uchodzą za zbyt symboliczne i tajemnicze. Ten numer przyciągnie więcej tłumów. Widzicie, koledzy, jeśli chcecie wciągnąć ludzi do Ruchu, musicie zacząć od tego, na czym ludziom zależy. Ty, Łukaszu, nie zapisuj tego. To część sekretnych nauk).

Siorb, siorb... *Camp-town ladies sing the song...* (— Ale jak określić takiego człowieka jak Drake? — spytał jeden z gości Carla Junga na tamtym niedzielnym

23

Kaffeeklatsch, w trakcie którego ten dziwny młody Amerykanin stał się przyczyną tylu spekulacji. Jung ssał w zamyśleniu swoją fajkę, zastanawiając się, jak zmusić współpracowników, by wreszcie przestali traktować go jak guru, a w końcu odparł:

— Wybitny umysł dociera do idei tak jak strzała, która trafia w dziesiątkę. Amerykanie jeszcze nie wydali takiego umysłu, ponieważ są zbyt asertywni, zanadto chętni do współzawodnictwa. Ładują na jakiejś idei, nawet jeśli jest ważna, jak obrońca w rugby, który przytrzymuje przeciwnika. Dlatego zawsze coś duszą albo kaleczą. Takim umysłem obdarzony jest Drake. Nauczył się wszystkiego o władzy, więcej nawet niż Adler, mimo jego obsesji na punkcie tego tematu, ale nie poznał pewnej ważnej rzeczy. Czyli, oczywiście, jak unikać władzy. To, co mu potrzebne, a czego prawdopodobnie nigdy nie osiągnie, to religijna pokora. Niemożliwa w jego kraju, gdzie nawet introwertycy są zazwyczaj ekstrawertyczni).

To pewien znany pisarz, który miał później dostać Nagrodę Nobla, naprowadził Drake'a na pierwszy ślad tego, co mafia zawsze nazywała *il Segreto*. W trakcie rozmowy o Joysie i jego nieszczęsnej córce, pisarz napomknął o próbach Joyce'a przekonania samego siebie, że córka wcale nie jest schizofreniczką. — Powiedział Jungowi:

— Ostatecznie ja wyprawiam takie same rzeczy z językiem. I wie pan co, Jung, ten stary chiński mędrzec w przebraniu psychiatry odparł na to? „Ty nurkujesz, a ona się topi.” Była to naturalnie cięta riposta, niemniej jednak my wszyscy, którzy piszemy cokolwiek, co sięga głębiej pod powierzchnię naturalizmu, potrafimy zrozumieć sceptycyzm Joyce'a. Nigdy do końca nie wiemy, czy nurkujemy, czy zwyczajnie toniemy.

To przypomniało Drake'owi jego pracę dyplomową, poszedł więc do swojego biura i odnalazł zapis ostatnich słów pana Arthura Flegenheimera alias Holendra Schultza. Wręczył te dokumenty pisarzowi i spytał:

24

— Czy pańskim zdaniem autor tych śldw nurkował czy tonął?

Pisarz czytał powoli tekst, coraz bardziej nim pochłonięty, aż wreszcie podniósł głowę, by popatrzeć na Drake'a nadzwyczaj zaniepokojonym wzrokiem.

— Czy to przekład z francuskiego? — spytał.

— Nie — odparł Drake. — Autor był Amerykaninem.

— Więc to nie ten biedny Artaud. Myślałem, że to może on. Pokonał zakręt, jak mawiają Anglicy, gdy pojechał do Meksyku. Domniemuję, że aktualnie pracuje nad jakimiś doniosłymi wykresami astrologicznymi, dotyczącymi kanclerza Hitlera. — Pisarz pogrążył się w milczeniu, a po chwili zapytał: — Którą z tych wypowiedzi uważa pan za najbardziej interesującą?

— „A chłopiec, bardzo hardy, nie wytarł ndg, ale trochę kłamał” — zacytował Drake, ponieważ to zdanie najbardziej go intrygowało.

— Och, te wizerunki chłopca to coś absolutnie osobistego, po prostu stłumiony homoseksualizm — rzekł niecierpliwie pisarz. — „Byłem w sraczu i wszedł za mną ten chłopiec”. Myślę, że autor zrobił temu chłopcu jakąś krzywdę. Wszystkie aluzje są zabarwione czymś więcej niż normalnym poczuciem winy homoseksualisty.

Mdj Boże — pomyślał Drake — Vince Coli. Był dostatecznie młody, by Schultz mógł go uznać za chłopca. Holendrowi wydawało się, że to duch Colla strzelał do niego w kiblu w Newark.

— Domyślałem się, że autor już się zabił albo przebywa w szpitalu psychiatrycznym — kontynuował z namysłem pisarz.

— On nie żyje — wyjaśnił niechętnie Drake. — Ale nie podam panu więcej wskazówek. To fascynujące, jak dobrze daje pan sobie radę bez niczyjej pomocy.

— To zdanie jest interesujące — zauważył pisarz. — Czy raczej trzy zdania. „Ja to usłyszę, usłyszysz to Sąd Okręgowy i może usłyszysz to Sąd Najwyższy. Jeśli to nie

25

łapówka. Błagam, załatwcie przyjaciół Chińczyka i dowódcę Hitlera”. Przysięga pan, że autor był Amerykaninem?

— No cóż, miał niemieckie pochodzenie — odparł Drake, przypominając sobie teorię pamięci genetycznej Junga. — Ale kanclerz Hitler na pewno za nic by się do tego nie przyznał. Jego ludzie nie byli Aryjczykami.

— Był Żydem? — wykrzyknął pisarz.

— Co w tym takiego dziwnego?

— Zaledwie dwóch albo trzech ludzi na całym świecie, poza wewnętrznym kręgiem partii nazistowskiej zrozumiałoby, kim jest Chińczyk i dowódca Hitlera. Ten autor musiał być dobrze zorientowany w literaturze okultystycznej, na przykład w dziełach Eliphasa Leviego albo Ludviga Prinna, albo w niektórych ściśle strzeżonych sekretach Różokrzyżowców, a potem robił poszukiwania w zadziwiająco właściwym kierunku.

— O czym, do licha, pan mówi?

Pisarz patrzył długo na Drake'a, i wreszcie powiedział:

— Nawet rozmawiam o tym z wielką niechęcią. Niektóre sprawy są zbyt ohydne. Istnieją takie książki, których, jak to ujął ten wasz poeta, Poe, nie wolno czytać. Nawet ja zakamuflowałem pewne sprawy w moim najsłynniejszym dziele, które jest podziwiane ze wszelkich względów z wyjątkiem tych właściwych. W moich poszukiwaniach tego, co mistyczne, dowiedziałem się o sprawach, o których wolałbym zapomnieć, a prawdziwym celem Herr Hitlera jest właśnie jedna z nich. Ale musi pan mi powiedzieć: kim był ten niezwykle autor?

(— Po prostu do mnie zadzwonił — poinformował Maldonada Luciano — i dowiedziałem się przynajmniej tyle: to nie jest jakiś szopenfeldziarz. Mierzy wysoko i sam jest wysoko. Wyciągnę mojego adwokata z łóżka, żeby dokonał przeglądu wszystkich najlepszych rodzin bostońskich i znalazł taką, w której jest syn o duszy starego złodzieja. Założę się, że to rodzina bankierów. Słyszę w tym głosie pieniądze, on ma pieniądze).

26

Drake był uparty, toteż w końcu pisarz powiedział:

— Jak pan wie, nie chcę żyć w Niemczech z powodu tego, co się tam dzieje. Niemniej jest to moja ojczyzna i naprawdę się nią interesuję. Spróbuję to wytłumaczyć, ale pan musi przestać myśleć w kategoriach zwykłej polityki. Twierdząc, że Hitler naprawdę ma jakiegoś Mistrza, nie mówię o postaci publicznej, w potocznym rozumieniu polityki. — Pisarz umilkł. — Jak mam to przedstawić, żeby pan to pojął? Nie jest pan Niemcem... Jak może pan zrozumieć naród, o którym mówi się, całkiem słusznie, że jedną stopą stoi na własnej ziemi, a drugą w Thule? Czy słyszał pan kiedykolwiek o Thule? To niemiecka nazwa mitycznego królestwa, które Grecy nazywali Atlantydą. Nieważne, czy to królestwo istniało naprawdę, wiara w nie trwa od zarania historii, a wiara motywuje działanie. Dlatego nie da się zrozumieć działań człowieka, jeśli się nie rozumie jego wiary.

Pisarz ponownie umilkł, a potem zaczął opowiadać o Zakonie Złotego Świtu działającym w Anglii w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

— Jego członkowie oznajmiali dziwne rzeczy. Algernon Blackwood, na przykład, pisał o inteligentnych istotach, które żyły na Ziemi przed ludzkością. Czy potrafi pan potraktować taką tezę poważnie? Czy potrafi pan zastanowić się nad ostrzeżeniami Blackwooda, nad jego hermetycznymi stwierdzeniami? Weźmy przykład: „Można sobie wyobrazić, iż takie wielkie moce albo stwory znalazły swoje ocalenie, po nich to poezja i legenda pochwyliły ulotne tylko wspomnienie i nazwały ich bogami, monstrami, mitycznymi istotami wszelkich odmian i ras.” Albo Arthur Machen, który wspominał o „cudach z Mons” podczas Wielkiej Wojny, opisując tak zwane anioły i opublikował to dwa dni wcześniej, zanim żołnierze biorący udział w incydencie przesłali swoje raporty. Machen był członkiem Złotego Świtu, lecz wystąpił z niego i ponownie przyłączył się do Kościoła katolickiego, ostrzegając: „Istnieją sakra-

27

menty nie tylko Dobra, lecz rdwnież Zła”. William Butler Yeats też był członkiem Zakonu, z pewnością zna pan te słynne strofy:

I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca, Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?*

A Złoty Świt stanowił zaledwie zewnętrzny portal do Tajemnic. To wszystko, co poznał Crowley po wystąpieniu ze Złotego Świtu i przyłączeniu się do Ordo Templi Orientis... Widzi pan, Hitler tępił działalność Złotego Świtu i Ordo Templi Orientis. Sam należał do Zakonu Vrila, który jest w posiadaniu tajemnic autentycznie pozaziemskich...

— Wyraźnie trudno panu przejść do sedna sprawy — stwierdził Drake.

— Do niektórych spraw należy dochodzić za pomocą aluzji, a nawet alegorii. Brał pan meskalinę w towarzystwie Klee i jego przyjaciół, i spędził pan całą noc na oglądaniu Wielkich Wizji. Czy muszę panu przypominać, że rzeczywistość nie jest jednowymiarowa?

— Proszę bardzo — odparł Drake. — Za Złotym Świtem, OTO i Zakonem Vrill kryje się tajemna grupa prawdziwych Wtajemniczonych. Złoty Świt miał swoją niemiecką filię i Hitler był jej członkiem. Pan chce, bym zrozumiał, że uważanie sakramentów Zła i istot z Atlantydy za zwykłą fikcję jest zbytnim upraszczaniem, zgadza się?

— Złoty Świt został założony przez Niemkę, podtrzymującą tradycję, która w Bawarii liczyła już sobie sto lat. Jeśli zaś chodzi o te moce czy istoty z Thule, to one nie istnieją w takim sensie, w jakim istnieją cegły albo befsztyki. Fizyk manipulujący tymi bajkowymi elektronami, które, pragnę panu przypomnieć, należy sobie wyobrazić

* W.B. Yeats, *Poezje wybrane. Drugie przyjście*. Tłum S. Barańczak. Warszawa 1987

28

jako coś, co się przemieszcza z jednego miejsca na drugie bez pokonywania dzielącej je przestrzeni, niby jakaś wróżka albo duch, wywołuje prawdziwe zjawiska, postrzegane przez zmysły. Można więc powiedzieć, że niektórzy ludzie, poprzez manipulowanie tymi istotami czy mocami z Thu-le, są w stanie generować efekty, w podobny sposób per-cypowane i doświadczane.

— Czym był Złoty Świt? — spytał Drake, całkowicie zaabsorbowany. — Jak to się wszystko zaczęło?

— Początki jego historii są bardzo stare, starsze niż średniowiecze. Współczesna organizacja została założona w 1776 roku przez człowieka, który wystąpił z zakonu jezuitów, ponieważ wydawało mu się, że jest ateistą, dopóki jego studia nad historią Wschodu nie zaowocowały zadziwiającymi wnioskami...

(— *To on!* — wrzasnął Hitler. — *On przyszedł po mnie!* A potem, jak zapisał Hermann Rauschnig, zaczął bredzić. *Sam szef* — jęknął Holender Schultz — *Och mamo, nie umiem się z tym pogodzić. Błagam. No dalej, niech ktoś płaci. Kominiarze. Ściąć ich. Zamknij się. Masz wielką głębę*).

Mamy dwie możliwości do wyboru — doniósł adwokat Lepkego. — *Ale jeden z nich to Irlandczyk od niedawna z Bostonu, a ty mówileś, że to stary, oryginalny akcent bostoński. Zatem prawdopodobnie waszym człowiekiem jest ten drugi. Nazywa się Robert Putney Drake*.

Spod domu przy Benefit Street Drake widział po drugiej stronie miasta szczyt Sentinel Hill i stary, opuszczony kościół, w którym w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku schroniła się Sekta Gwiazdźdźistego Rozumu. Odwrócił się w stronę drzwi, uniósł starą, georgiańską kołatkę (pamiętając: *dziennikarz Lillibridge i malarz Blake zginęli podczas badania tej sekty*) i trzykrotnie zastukał.

Drzwi otworzył Howard Phillips Lovecraft, błądy, wynędzniały, podobny do trupa.

29

— Pan Drake? — spytał wesołym głosem.

— To miło, że zechciał pan spotkać się ze mną — oświadczył Drake.

— Nonsens — odparł Lovecraft, wprowadzając go do hallu utrzymanego w stylu kolonialnym. — Wszyscy wielbiciele moich nędznych opowieści są tu zawsze mile widziani. Jest ich tak niewielu, że mógłbym wszystkich przyjąć jednego dnia, nie nadwierzając budżetu, jaki moja ciotka wyznacza na obiady.

Być może jest to jeden z najważniejszych ludzi żyjących obecnie na świecie — pomyślał Drake — *a nawet tego nie podejrzewa*.

(— Dziś rano wyjechał pociągiem z Bostonu — doniósł żołnierz Maldonadowi i Lepkemu. — Wybierał się do Providence w Rhode Island).

— Naturalnie, porozmawiam o tym bez żadnego wahania — oświadczył Lovecraft, kiedy już razem z Drakem rozsiedli się w jego zapelnionym starymi książkami gabinecie, a pani Gamhill podała im herbatę. — W odróżnieniu od poglądów pańskiego przyjaciela z Zurychu, ja zawsze byłem ortodoksyjnym materialistą.

— Ale miał pan kontakt z tymi ludźmi?

— Och, oczywiście, to stuknięta banda, wszyscy co do jednego. Cała sprawa rozpoczęła się po tym, jak opublikowałem opowiadanie zatytułowane *Dagon* w... zaraz sprawdzę... w 1919 roku. Czytałem właśnie Biblię i opis filistyńskiego boga morskiego Dagona przypomnieli mi legendy o wężu morskim oraz dinozaury zrekonstruowane przez paleontologów. I wtedy przyszedł mi do głowy następujący pomysł: przypuśćmy, że Dagon nie był bogiem, a po prostu długowieczną istotą, daleko spokrewnioną z wielkimi jaszczurkami. Zwykle opowiadanie gwoli zabawienia tych, którzy lubują się w niesamowitościach i literackim gotyku. Nie wyobraża pan sobie mego zdziwienia, gdy zaczęły się ze mną kontaktować najrozmaitsze ugrupowania okultystyczne, wypyujące, do której grupy ja na-

30

leżę i po czyjej jestem stronie. Wszyscy strasznie się oburzali, gdy absolutnie jasno

tłumaczyłem, że nie wierzę w takie brednie.

— To w takim razie — spytał z zakłopotaniem Drake — dlaczego brał się pan za kolejne tajemne nauki okultystyczne i włączał je do swych późniejszych opowiadań?

— Jestem artystą — odparł Lovecraft — artystą miernym, jak się obawiam, ale nie przeczę samemu sobie. Uczciwość cenię ponad wszystkie inne cnoty. Bardzo bym chciał wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone, w świat sprawiedliwości społecznej i we własny geniusz. Jednakże rozum każe mi akceptować fakty: świat jest zbudowany ze ślepej materii, nikczemni i brutalni zawsze trawili i trawiać będą słabych i niewinnych, a ja posiadam mikroskopijną zdolność do stwarzania niewielkiej gamy efektów estetycznych, makabrycznych i ograniczonych w swoim oddziaływaniu do bardzo szczególnego audytorium. Niemniej chciałbym, by wszystko wyglądało inaczej. Dlatego właśnie, mimo iż jestem konserwatystą, popieram taką społeczną legislaturę, która może ulepszyć warunki życia ubogich, i choć jestem złym pisarzem, staram się podnosić poziom mojej ułomnej prozy. Wampiry, duchy i wilkołaki to przeżytek, wywołują chichot zamiast strachu. Dlatego właśnie, gdy po publikacji *Dagona* zacząłem się zagłębiać w tej starej wiedzy, wykorzystywałem ją w swych opowiadaniach. Nie wyobrazi pan sobie, ile godzin spędziłem nad tymi starymi tomami w Miskatonic, brnąc przez całe tony śmieci (musi pan wiedzieć, że Alhazred, Levi i Von Juntzt stanowili kliniczne przypadki choroby psychicznej), chcąc z nich wyłowić koncepcje na tyle mało znane, by mogły wywołać autentyczny szok i realny dreszcz u moich czytelników.

— I nigdy nie otrzymał pan żadnych pogroźek ze strony którejs z tych grup okultystycznych za to, że w swych utworach wymienia pan otwarcie Yog Sothotha albo Cthulhu?

31

— Tylko za wzmiankę o Hali — odparł Lovecraft, uśmiechając się krzywo. — Jakaś troskliwa dusza przypomniała mi, co się stało z Biercem po tym, gdy nazbyt zagłębił się w ten temat. Było to jednak przyjacielskie ostrzeżenie, a nie pogrożka. Panie Drake, jest pan bankierem i człowiekiem interesu. Z pewnością nie traktuje pan tego wszystkiego poważnie?

— Pozwolę sobie odpowiedzieć na to pytaniem — stwierdził ostrożnie Drake. — Dlaczego mimo całej swej wiedzy ezoterycznej, którą postanowił pan zmienić w swoich opowieściach na egzoteryczną, nigdy nie wspomina pan o Prawie Piątek?

— Prawdę mówiąc — przyznał Lovecraft — napomykam o nim całkiem otwarcie w *Górach szaleństwa*. Nie czytał pan tego? Jest to, jak dotąd, moje najdłuższe i chyba najlepsze dzieło.

Nagle jednak wydał się jakby bledszy...

— W *Przypadku Charlesa Dextera Warda* — nie ustępował Drake — cytuje pan formułę zaczerpniętą z *Historii magii* Elphasa Leviego. Nie przytacza jej pan jednak w całości. Dlaczego?

Lovecraft upił łyk herbaty, najwyraźniej starannie konstruując odpowiedź. W końcu powiedział:

— Nie trzeba wierzyć w świętego Mikołaja, by wiedzieć, że ludzie wymieniają się prezentami w okresie Bożego Narodzenia. Nie trzeba wierzyć w Yog Sothotha, Pożeracza Dusz, by zdawać sobie sprawę, jak zachowują się ludzie, którzy naprawdę w niego wierzą. W swoim pisarstwie nie kieruję się intencją dostarczania informacji, na podstawie których choć jeden niezrównoważony czytelnik mógłby przeprowadzić eksperymenty wiodące do utraty ludzkiego życia.

Drake wstał.

— Przybyłem tu, żeby się uczyć — powiedział — ale najwyraźniej mogę tylko nauczać. Pozwoli pan, że mu przypominę słowa Lao-tse: „Ci, którzy mówią, nie wiedzą;

32

ci, którzy wiedzą, nie mówią." Większość ugrupowań okultystycznych należy do tej pierwszej klasy i ich spekulacje są dokładnie tak absurdalne jak pan myśli. Jednakże nie należy pomijać tak beztrąsko tych, którzy należą do klasy drugiej. Zostawili pana w spokoju, ponieważ pańskie opowiadania są publikowane w czasopismach skierowanych tylko do nielicznej mniejszości. Niemniej te czasopisma zaczęły ostatnio zamieszczać artykuły o raketach, atomowych reakcjach łańcuchowych i innych sprawach, które wiążą się z postępem technicznym. Gdy te fantastyczne pomysły zaczną się urzeczywistniać, do czego zapewne dojdzie w najbliższej dekadzie, zainteresowanie takimi czasopismami znacznie wzrośnie i dwu renesans obejmie również pańskie opowiadania. Wówczas ściągnie pan na siebie bardzo niepożądaną uwagę. Lovecraft nie wstał z miejsca.

— Myślę, że wiem, o kim pan mówi. Ja także umiem czytać prasę i wyciągać wnioski. Nawet gdyby byli tak szaleni, żeby się na to poważnie, nie mają środków. Musieliby przejąć niejednego rząd, a wiele. Zdaje mi się jednak, że taki projekt pochłonąłby ich do tego stopnia, że nie przejmowałiby się czyimiś wypowiedziami, rozproszonymi w różnych opowiadaniach publikowanych jako utwory fikcyjne. Potrafię sobie wyobrazić następną wojnę prowadzącą do przełomu w rozwoju przemysłu raketowego i energii atomowej, wątpię jednak, by nawet wówczas ludzie brali moje utwory poważnie,

względnie doszukiwali się związków między pewnymi rytuałami, których nigdy nie opisywałem jasno, a działaniami, które będą interpretowane jako zwyczajne nadużycia despotyzmu.

— Życzę panu dobrego dnia, sir — rzekł sztywno Drake. — Muszę już jechać do Nowego Jorku, a zresztą pańskie dobro nie jest głównym przedmiotem moich życiowych zmartwień.

— Dobrego dnia — odparł Lovecraft, unosząc się z miejsca z kolonialną kurtuazją. — Jako że był pan tak

33

dobry i zechciał mnie ostrzec, pragnę odwzajemnić przysługę. Nie sądzę, by pańskie zainteresowanie tymi ludźmi było oparte na chęci sprzeciwienia się im, lecz na pragnieniu służby. Błagam, niech pan pamięta, w jaki sposób oni traktują swoje sługi.

Znalazszy się na ulicy, Drake na moment popadł w depresję. *Pisze o nich od blisko dwudziestu lat, a jeszcze nie nawiązali z nim kontaktu. Ja robiłem zamieszanie na dwóch kontynentach, ci zaś jeszcze się nie odezwali. Co trzeba zrobić, żeby odkryli karty? A jeśli nie uda mi się z nimi porozumieć, wówczas cały mój projekt związany z Maldonadem i Caponem będzie pisany patykiem po wodzie. Nie mogę sobie pozwolić na wchodzenie w układy z mafią, jeśli najpierw nie wejść w układ z nimi. Co mam robić — zamieścić ogłoszenie w „New York Timesie”: „Czy Wszystkowidzące Oko mogłoby laskawie zerknąć w moim kierunku? R.P. Drake, Boston”?*

W tym momencie pontiac (ukradziony godzinę wcześniej w Kingsport) oderwał się od krawężnika, kilka domów dalej i zaczął sunąć w ślad za Drakem, który minawszy Benefit Street, wracał pieszo do centrum miasta. Nie oglądał się za siebie, więc nie widział, co się dzieje, zauważył natomiast, jak idący w jego stronę starszy człowiek zatrzymuje się jak wryty i gwałtownie blednie.

— Dobry Jezu na patyku — jęknął słabym głosem staruszek.

Drake obejrzał się przez ramię, ale nic nie zobaczył na pustej ulicy.

— O co chodzi? — spytał.

— Nieważne — odparł stary. — Nigdy by mi pan nie uwierzył, proszę pana.

I zboczył w stronę najbliższego baru. (— Co to znaczy, że straciłeś czterech żołnierzy? — wrzasnął Maldonado do słuchawki.

— Właśnie to, co powiedziałem — odparł Eddie Vi-telli, z rodziny Yitellich, słynących w całym Providence

34

z hazardu, handlu heroiną i prostytutce. — Znaleźliśmy Drake'a w hotelu. Kazaliśmy go śledzić czterem naszym najlepszym żołnierzom. Zadzwonili raz, by donieść, że poszedł do domu przy Benefit Street. Powiedziałem, że mają go przechwycić, jak tylko stamtąd wyjdzie. I to wszystko, kropka, koniec. Wszyscy zniknęli, jakby coś ich zmiotło z powierzchni ziemi. Wysłałem wszystkich na poszukiwanie auta, ale ono też zniknęło).

Drake odwołał swoją podrzęd do Nowego Jorku i wrócił do Bostonu. Zatopił się tu w sprawach bankowych i obmyślał następny ruch. Dwa dni później przed jego biurkiem stanął portier z czapką w rękę i spytał:

— Czy mogę z panem porozmawiać, panie Drake?

— Tak, Getty, a o co chodzi? — odparł rozdrażniony Drake. Mówił stanowczym tonem, mężczyzna prawdopodobnie przyszedł prosić o podwyżkę i należało go od razu zepchnąć do defensywy.

— O to, sir — oświadczył portier, kładąc na biurku Drake'a jakąś kartę.

Drake spojrział na nią ze zniecierpliwieniem i zobaczył kolorową tęczę — karta została wydrukowana na jakimś nieznanym gatunku plastyku i wytwarzała podobne efekty świetlne jak pryzmat, przypominając mu meskalinowe odloty w Zurychu. Pod tęczą, migotliwą i promienną, widniały kontury trzynastostopniowej piramidy, z czerwonym okiem na szczycie. Popatrzył wytrzeszczonymi oczyma na portiera i stwierdził, że ma przed sobą twarz wyczętą z jakiegokolwiek służalczości czy niepewności.

— Wielki Mistrz Wschodnich Stanów Zjednoczonych jest gotów na rozmowę z panem — powiedział cicho portier.

— Święta Kleopatro! — zakrzyknął Drake i wszyscy kasjerzy utkwili w nim zdumione spojrzenia.

— Kleopatra? — spytał Simon Moon, dwadzieścia trzy lata później. — Opowiedzcie mu o Kleopatrze.

Było słoneczne, październikowe popołudnie i zasłony

35

naroznego okna w salonie mieszkania na siedemnastym piętrze, przy Lakę Shore Drive 2323,

zostały odsunięte, otwierając widok na drapacze chmur Chicago's Loop i błękitną taflę jeziora Michigan, upstrzoną białymi grzywaczami fal. Joe uwalił się na fotel ustawiony frontem w stronę jeziora. Simon i Padre Pederastia siedzieli na sofie pod ogromnym malowidłem zatytułowanym *Kleopatra*. Królowa, bardzo przypominająca Stellę Maris, przyciskała do brzucha żmiję. Tworząca tło ściana grobowca była pokryta hieroglifami, wśród których kilkakrotnie powtarzał się symbol oka w piramidzie. W fotelu ustawionym naprzeciwko obrazu siedział szczupły mężczyzna o ostrych, posępnych rysach, kasztanowych włosach sięgających ramion, rozwidlonej, brązowej brodzie i zielonych oczach.

— Kleopatra — powiedział mężczyzna — była przedmiotem bezustannych dociekań. Stałaby się Polimacierzą tego wielkiego globu, gdyby żyła dłużej. Mało brakowało, a rozwaliłaby Imperium Rzymskie, a zresztą i tak skróciła jego historię o kilka stuleci. Zmusiła Oktawiana, by użył tyle władzy anerystycznej, że Cesarstwo przedwcześnie zamieniło się w państwo biurokratyczne.

— Jak mam cię nazywać? — spytał Joe. — Lucyferem? Szatanem?

— Nazywaj mnie Malaklipsą Starszym — powiedział widlastobrody mężczyzna z uśmiechem, który wydawał się przeświecać przez ruchliwe maski serdecznego szacunku, jaki żywił wobec samego siebie.

— Nie chwytam tegb — powiedział Joe. — Za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłem, wszyscy potraciliśmy zmysły ze strachu. Ale jak się w końcu pokazałeś w postaci Billy'ego Grahama, nie wiedziałem, czy mam się śmiać czy dziczeć. Ale wiem, że się bałem.

Padre Pederastia zaczął się śmiać.

— Tak się bałeś, mój synu, że musiałeś się od razu dostać do tego wielkiego rudego gniazda naszej małej ru-

36

downołej. Tak się bałeś, że ten twój potężny kogut — oblizał wargi — opryskał sokiem cały dywan. Jejku, jak ty się strasznie bałeś.

— No, w tym momencie, który teraz wspominasz, tak bardzo się nie bałem — powiedział z uśmiechem Joe. — Dopiero trochę później, kiedy nasz przyjaciel miał się zaraz pojawić. Sam się bałeś, Padre Pederastia. Darłeś się: „Nie przychodź w tym kształcie! Nie przychodź w tym kształcie!” A teraz siedzimy wszyscy w tym pokoju, zachowujemy się jak starzy kumple, a ta... ta istota wspomina dawne, dobre czasy z Kleopatą.

— To były straszne czasy — zauważył Malaklipsa. — Okrutne czasy, bardzo smutne. Nieustające wojny, tortury, masowe mordy, ukrzyżowania. Czasy Zła.

— Wierzę ci. A co gorsza, rozumiem, co to znaczy, że ci wierzę i że potrafię żyć ze świadomością, że ty istniejesz. Nawet z tą, że siedzę w tym salonie i palę z tobą papierosy.

W palcach Malaklipsy pojawiły się dwa zapalone papierosy. Podał jeden Joemu. Joe zaciągnął się: tytoń miał słodkawy posmak, zawierał nieznaczny ślad marihuany.

— A to ci przewrotna sztuczka — zauważył Joe.

— Dzięki temu nie stracisz za wcześnie swoich dawnych skojarzeń związanych ze mną — wyjaśnił Malaklipsa. — Zbyt wcześnie, by zrozumieć, wystarczająco szybko, by zrozumieć opacznie.

— Tamtej nocy, podczas której odbyła się Czarna Msza — powiedział Padre Pederastia — doprowadziłem się po prostu do takiego stanu, w którym wierzyłem absolutnie we wszystko. Ostatecznie na tym właśnie polega magia. Ludzie, którzy tu byli tamtej nocy, są związani z leworęczną magią, z mitem Szatana, z legendą Fausta. W ten sposób można ich szybko wciągnąć. W twoim przypadku to się udało, a wciągamy cię tak szybko, bo chcemy, żebyś nam bardziej pomógł. I teraz nie potrzebujesz już tej całej pompy.

37

— Nie trzeba być satanistą, żeby pokochać Malaklipsę — powiedział Malaklipsa.

— Prawdę mówiąc, lepiej wcale nim nie być — zauważył Simon. — Sataniści to czubki. Obdzierają psy żywcem ze skóry i tego typu koszmary.

— Bo większość satanistów to chrześcijanie — stwierdził Joe. — A to bardzo masochistyczna religia.

— Zaraz, zaraz... — wtrącił Padre Pederastia odrobinę cierpkim głosem.

— On ma rację, Pederastia — powiedział Malaklipsa. — Nikt nie wie tego lepiej niż ty... albo ja, jeśli już o tym mowa.

— Czy kiedykolwiek spotkałeś Jezusa? — spytał Joe, zdjęty grozą mimo swego sceptycyzmu.

Malaklipsa uśmiechnął się.

— To ja byłem Jezusem.

Padre Pederastia gwałtownie zamachał rękoma i podskoczył na krześle.

— Gadasz za dużo!

— Moim zdaniem, zaufanie jest albo całkowite, albo w ogóle go nie ma — orzekł Malaklipsa. — Czuję, że mogę zaufać Joemu. Nie byłem oryginalnym Jezusem, Joe, tym, którego ukrzyżowano. To się zdarzyło kilka stuleci po tym, jak w Melos doświadczyłem oświecenia transcendentnego: wędrowałem przez Judeę w osobie greckiego kupca, kiedy ukrzyżowali Jezusa. W dniu jego śmierci poznałem kilku jego uczniów i rozmawiałem z nimi. Jeśli ci się wydaje, że chrześcijaństwo to krwawa religia, to jest to nic, w porównaniu z tym, czym mogło się stać, gdyby Chrystus pozornie nie wrócił. Gdyby tym siedemnastu pierwszym apostołom (pięciu z nich wymazano z dokumentów) pozwolono działać na własną rękę, prze-szliby od horroru i terroru po śmierci Jezusa do mściwej furii. Byłoby tak, jakby islam zaistniał siedem stuleci wcześniej. Zamiast powoli przejmować Cesarstwo Rzymskie i zachować większą część grecko-rzymskiego świata

38

nietkniętym, chrześcijaństwo zagarnęłoby i zmobilizowało Wschód, zniszczyło prawie całą cywilizację zachodnią i zastąpiło ją teokracją bardziej opresywną niż Egipt faraonów. Zapobiegłem temu za pomocą kilku magicznych sztuczek. Występując jako zmartwychwstały Jezus, nauczałem, że po mojej śmierci nie wolno nienawidzić i dokonywać aktów zemsty. Nauczyłem ich nawet gry w bingo, chcąc, by dzięki temu pojęli, że życie jest grą. Do dzisiaj nikt tego nie zrozumiał, krytycy zaś nazywają to elementem komercjalizacji Kościoła. Święte koło Tarotu, ruchoma Mandala! Tak więc, pomimo mojego wpływu, chrześcijaństwo skupiło się obsesyjnie na ukrzyżowaniu Jezusa, które w ogóle nie ma związku z tym, czego nauczał za życia, i uczyniło z siebie swoisty kult śmierci. Kiedy Paweł udał się do Aten i zawarł przymierze z Iluminatami, którzy działali pod parawanem Akademii Platonskiej, ideologia Platona została połączona z mitologią Chrystusa. Tak zadano śmiertelny cios pogańskiemu humanizmowi i położono podwaliny nowożytnego świata supermocarstw. Po tym wszystkim znowu zmieniłem wygląd, przyjąłem postać Szymona Maga i osiągnąłem pewne sukcesy w szerzeniu idei sprzecznych z chrześcijaństwem.

— A zatem możesz dowolnie zmieniać swój wygląd — powiedział Joe.

— Och, to oczywiście. Potrafię dokonywać projekcji myśli równie szybko jak każdy.

W zamyśleniu wsadził swój mały palec do lewej dziurki w nosie i obrócił go. Joe zeszytniał, nie przepadał za widokiem ludzi dłubiących w nosie w towarzystwie. Ostentacyjnie podniósł wzrok ponad lewe ramię Malak-lipsy.

— Skoro wiesz już o nas tak dużo, Joe, to czas najwyższy, byś zaczął dla nas pracować. Jak wiesz, Chicago jest ośrodkiem nerwowym Iluminatów w tej hemisferze, więc wykorzystamy to miasto do przetestowania AUM, nowego narkotyku posiadającego zdumiewające właściwo-

39

ści, jeśli technicy EFW się nie mylą. Pod jego wpływem neofob przekształca się w neofila.

Simon uderzył się w czoło, krzyknął „Hura, człowieku!” i zaczął się śmiać. Pederastia jęknął z zachwytem i gwizdnął.

— Zdaje się, że nie rozumiesz, Joe — zauważył Ma-laklipsa. — Czy nikt ci nie wytłumaczył, że rasa ludzka dzieli się na dwa odrębne genotypy: neofobdw, którzy odrzucają nowe idee i akceptują tylko takie, które znają od urodzenia, oraz neofitów, którzy uwielbiają nowości, zmiany, wynalazki, innowacje? Przez pierwsze cztery miliony lat historii człowieka wszyscy ludzie byli neofobami i z tego właśnie powodu nie rozwijały się cywilizacje. Wszystkie zwierzęta są neofobami. Zmieniać je może tylko mutacja. Naturalne zachowanie neofoba jest oparte wyłącznie na instynkcie. Mutacja neofilowa pojawiła się około stu tysięcy lat temu, a przed jakimiś trzydziestu tysiącami nabrała rozpędu. Niemniej na całej planecie zawsze żyła zaledwie garstka neofitów. Sami Iluminaci stanowią efekt jednego z najstarszych konfliktów między neofobami i neofitami, po jakich pozostały zapisy w archiwach.

— Wnoszę z tego, że Iluminaci próbują powstrzymać postęp — orzekł Joe. — Czy taki jest ich nadrzędny cel?

— Wciąż myślisz jak liberał — wtrącił Simon. — Nikomu nie zależy na postępie.

— Racja — powiedział Malaklipsa. — W tym przypadku to oni okazali się innowatorami. Wszyscy Iluminaci byli i są neofilami. Nawet dzisiaj uważają, że ich dzieło zorientowane jest na postęp. Chcą być podobni bogom. Ludzie potrafią, o ile znają właściwe metody, przekształcać się w świadome struktury złożone z czystej energii, mniej lub bardziej stałej. Proces ten jest nazywany iluminacją transcendentną, dla odróżnienia go od wglądu w prawdziwą naturę człowieka i Wszechświata, czyli iluminacji zwykłej. Sam przeszedłem przez iluminację transcendentną i jestem istotą składającą się w całości z energii,

40

czego się zapewne domyśliłeś. Niemniej, ludzie zanim staną się polami energii, często padają ofiarami *hubris*. Swymi działaniami zadają ból innym, a sami stają się niewrażliwi, nietwórcy i irracjonalni. Najbardziej niezawodną metodą na osiągnięcie transcendentalnej iluminacji jest zbiorowe ludzkie poświęcenie. Ludzkie poświęcenie można naturalnie zamaskować pod postacią czegoś innego, na przykład wojny, klęski głodu i dżumy. Wizja Czterech Jeźdźców, łaskawie przypisywana świętemu Janowi, jest w rzeczy samej obrazem masowej iluminacji transcendentalnej.

— A w jaki sposób ty ją osiągnąłeś? — spytał Joe.

— Byłem obecny przy masakrze wszystkich mężczyzn z miasta Melos, dokonanej przez Ateńczyków w roku 416 p.n.e. Czy czytałeś Tukidydesa?

— Bardzo dawno temu.

— Cóż, Tukidydes się mylił. Przedstawił całą sprawę jako krańcowe okrucieństwo, jednakże były tam pewne okoliczności łagodzące. Mieszkańcy Melos wbijali Ateńczykom noże w plecy, podtruwali ich, ostrzeliwali strzałami z ukrycia. Jedni pracowali dla Spartan, inni byli po stronie Aten, ale Ateńczycy nie wiedzieli, komu mogą ufać. Nie chcieli dokonywać niepotrzebnych mordów, chcieli natomiast powrócić żywi i cali do Aten. Tak więc któregoś dnia okrążyli wszystkich mężczyzn z Melos i posiekali ich na kawałki na miejskim placu. Kobiety i dzieci zostały sprzedane w niewolę.

— A co ty robiłeś? — spytał Joe. — Czy byłeś tam razem z Ateńczykami?

— Tak, ale nikogo nie zabiłem. Byłem kapłanem. Wyznania eryzyjskiego, naturalnie. Gotowym jednak służyć Hermesowi, Dionizosowi, Heraklesowi, Afrodycie, Atenie, Herze i paru innym mieszkańcom Olimpu. Omal nie oszalałem ze śmiertelnego przestachu, nie pojąłem bowiem, że Pangenitor jest Panphagiem. Modliłem się do Eris, żeby mnie wyratowała, albo ocaliła ludzi z Melos, czy w ogóle coś zrobiła, i ona mi odpowiedziała.

41

— *Heil*, ona, która uczyniła to wszystko — stwierdził Simon.

— Prawie ci wierzę — oświadczył Joe. — Ale co jakiś czas rodzi się we mnie podejrzenie, iż tylko udajesz człowieka liczącego sobie dwa tysiące lat i że robisz ze mnie balona.

Malaklipsa wstał z łagodnym uśmiechem.

— Podejdz tu, Joe.

— Po co?

— Po prostu tu podejdz.

Malaklipsa rozłożył ramiona proszącym gestem, ukazując Joemu wnętrza dłoni. Joe stanął obok niego.

— Przyłóż rękę do mojego boku — powiedział Malaklipsa.

— Och, daj spokój — zaprotestował Joe.

Na twarzy Pederastii pojawił się szydery grymas. Malaklipsa patrzył tylko na niego z ciepłym, zachęcającym uśmiechem. Wyciągnął więc rękę, by dotknąć jego koszuli. Natrafił na pustkę. Zamknął oczy, żeby się upewnić. Tak też nic nie poczuł. Rozrzedzone powietrze. Wciąż nie otwierając oczu, posunął rękę dalej. Wreszcie spojrzął przed siebie i omal się nie porzygał, stwierdziwszy, że jego ręka zatonała w ciele Malaklipsy nieomal po łokieć.

Cofnął się.

— To nie może być film. Chętnie bym powiedział, że to jakiś ruchomy hologram, ale iluzja jest zbyt doskonała. Patrzysz dokładnie na mnie. Moje oczy mi mówią, że jesteś tu bez żadnych wątpliwości.

— Spróbuj zadać kilka ciosów karate — zachęcił go Malaklipsa.

Joe usłuchał i zaczął siec dłonią niczym sierpem pas, pierś i głowę Malaklipsy. W finale przepołowił mu głowę.

— Wstrzymuję się z wydaniem opinii — oświadczył w końcu. — Może jesteś tym, za kogo się podajesz. Trudno się jednak z tym pogodzić. Czy ty czujesz cokolwiek?

42

— Kiedy tylko zechcę, potrafię wytwarzać tymczasowe organy zmysłowe. Umieć cieszyć się wszystkim, czym się cieszy lub czego doświadcza ludzka istota, jakkolwiek postrzegam przede wszystkim za pomocą bardzo zaawansowanej formy czegoś, co ty nazwałbyś intuicją. Intuicja to rodzaj umysłowej wrażliwości na wydarzenia i procesy; to, czym ja jestem obdarzony, to wysoce rozwinięty receptor intuicjonalny, podlegający całkowitej kontroli.

Joe cofnął się i usiadł, kręcąc głową.

— Z pewnością można ci pozazdrościć takich możliwości.

— Jak już powiedziałem, jest to prawdziwy powód ludzkiego poświęcenia — oświadczył Malaklipsa.

On również usiadł i Joe widział teraz, że miękkie obicie krzesła nie ugięło się pod jego ciężarem. Wydawał się unosić na powierzchni poduszki.

— Każda nagła lub gwałtowna śmierć wywołuje wybuch energii świadomości, którą można kontrolować i ka-nalizować, jak każdą energię towarzyszącą eksplozji. Wszyscy Iluminaci chcieliby się stać podobni bogom. Nawet nie chce mi się mówić, od jak dawna stanowi to ich ambicję.

— Co oznacza, że musieli popełnić masowy mord — stwierdził Joe, myśląc o broni nuklearnej, komorach gazowych i wojnie chemiczno-biologicznej.

Malaklipsa skinął głową.

— Cóż, ja nie potępiam tego na gruncie moralności, jako że moralność jest czymś absolutnie iluzorycznym. Osobiście czuję niesmak do takich rzeczy, ale z kolei, gdy ktoś żyje tak długo jak ja, to traci tyłu przyjaciół i kochanków, że trudno mu nie uznać śmierci za coś naturalnego. Tak to już jest. A ponieważ sam stałem się nieśmiertelny i niematerialny dzięki masowemu mordowi, potępienie Iluminatów byłoby z mojej strony hipokryzją. Dodam przy tym, że nie potępiam hipokryzji, mimo że do niej również czuję niesmak. Twierdzą jednak, że metoda

43

Iluminatów jest głupia i szkodliwa, ponieważ wszyscy są już wszystkim. Po co więc wpierdalać się w coś jeszcze? To absurd próbować stać się czymś innym, skoro nic innego nie istnieje.

— Oświadczenia tego typu zwyczajnie mnie przerastają — przyznał Joe. — Nie wiem, może to przez moje wykształcenie techniczne. Wprawdzie doktor Iggy oświecił mnie częściowo w San Francisco, ale ja w tego rodzaju wywodach nie widzę więcej sensu niż w nauce chrześcijańskiej.

— Wkrótce zrozumiesz więcej — obiecał Malaklipsa. — Poznasz historię człowieka, a także cząstkę wiedzy ezoterycznej, która towarzyszy nam od dziesiątków tysięcy lat. Ostatecznie dowiesz się wszystkiego, co jest warte poznania.

(Tobias Knight, agent FBI siedzący przy aparaturze sterującej podsłuchem założonym w domu doktora Moce-nigo, usłyszał strzał z pistoletu w tym samym momencie, w którym usłyszał go Carmel.

— Co to, do cholery? — powiedział na głos, prostując się na siedzeniu. Najpierw usłyszał stukot otwieranych drzwi, czyjeś kroki i czekał na rozmowę... a potem, bez ostrzeżenia, padł strzał. Następnie jakiś głos powiedział:

— Przepraszam, doktorze Mocenigo. Był pan wielkim patriotą, a kończy pan jak pies. Ale ja podziękuję pański los.

Potem znowu słychać było kroki i coś jeszcze... Knight rozpoznał ten szmer: rozlewano jakiś płyn. Kroki i pluski nie cichły, a Knight otrząsnął się raptownie z oszołomienia i nacisnął przycisk interkomu.

— Knight? — spytał głos, w którym rozpoznał Espe-randa Desponda, agenta do zadań specjalnych na tereny Las Vegas.

— Dom Mocenigo — odparł zwięźle Knight. — Sprowadź tu całą ekipę, tylko na jednej nodze. Coś się dzieje, przynajmniej jedno morderstwo.

44

Zwolnił przycisk i jak sparaliżowany wsłuchiwał się w kroki i odgłosy rozlewania płynu, którym teraz towarzyszyło jeszcze ciche podśpiewywanie. Ktoś wykonywał jakieś nieprzyjemne zadanie, starał się jednak zachować spokój. Knight wreszcie rozpoznał melodię: *Camp--town races*. Śpiewy, kroki i ciurkanie płynu nie ustawały. „Do-da, do-da...” Po chwili znowu przemówił tamten głos:

— Tu generał Lawrence Stewart Talbot, mówię do CIA, FBI i wszystkich innych, którzy założyli podsłuch w tym domu. Dzisiaj, o drugiej w nocy odkryłem, że kilku ludzi z naszego projektu Wąglik-Trąd-Pi zostało przypadkiem poddanych działaniu żywych kultur. Wszyscy mieszkają na miejscu i można ich z łatwością odizolować na czas działania antidotum. Wydałem już stosowne rozkazy. Sam doktor Mocenigo nieświadomie przyjął największą dawkę i kiedy tu przybyłem, jego choroba osiągnęła zaawansowane stadium, zaledwie kilka minut dzieliło go od śmierci. Naturalnie trzeba spalić jego dom, a także moje ciało, ponieważ z racji bliskości, w jakiej się znalazłem podczas badania chorego, nie można mnie już uratować. Dlatego właśnie mam zamiar się zastrzelić po uprzednim podpaleniu tego domu. Pozostaje jeszcze jeden problem. Znalazłem dowody, że wcześniej w łóżku doktora Mocenigo była jakaś kobieta (oto do czego dochodzi, gdy pozwoli się ważnym osobom na mieszkanie poza terenem bazy). Należy ją odszukać, podać antidotum i sprawdzić wszystkie jej kontakty. Nie muszę dodawać, że należy to zrobić dyskretnie, inaczej w całym kraju wybuchnie panika. Powiedźcie prezydentowi, żeby dopilnował, by moja żona dostała za to medal. Przekażcie jej ponadto, że wydając ostatnie tchnienie, nadał się upieram, iż myliła się odnośnie do tamtej dziewczyny w Red Lion w stanie Pensylwania. Na zakończenie wyrażam swoje niezbite

przekonanie, że jest to największy kraj w całej historii świata i że wciąż jeszcze można go uratować, tylko Kongres musi

45

raz na zawsze pozamykać wszystkich tych smarkaczy ze szkoł wyższych. Niech Bóg błogosławi Amerykę!

Rozległ się jakiś trzask...

Mdj Boże — pomyślał Knight — zapalka!

...a potem odgłos wybuchu ognia. Generał Talbot próbował jeszcze coś dodać, ale nie można było zrozumieć jego słów, ponieważ przeraźliwie krzyczał. Na koniec padł drugi strzał i krzyk ustał. Knight unieśli głowę, zaciskał szczęki i powstrzymywał łzy w swych stalowych oczach.

— To był wielki Amerykanin — powiedział na głos. Przy cygarach i brandy, po tym jak George został już

posłany do łóżka, w którym Tarantella miała rozproszyć jego czujność, Richard Jung spytał z naciskiem:

— Jaką macie pewność, że ta dyskordiańska banda to odpowiednicy Iluminatów? Trochę za późno, żeby zmieniać strony w tej grze.

Drake zaczął mówić, potem zwrócił się do Maldonada:

— Opowiedz mu o Włoszech w dziewiętnastym wieku

— poprosił.

— Do Iluminatów należeli zwykli mężczyźni i kobiety

— odparł usłużnie Maldonado. — Ściśle mówiąc, więcej kobiet niż mężczyzn. To Ewa Weishaupt była pomysłodawczynią całej zabawy, Adam służył jej jedynie za parawan, ponieważ ludzie nawykli do przyjmowania rozkazów od mężczyzn. Cała ta historia z Atlantyda to w głównej mierze kupa gówna. Każdy, kto w ogóle coś wie o Atlantydzie, wywodzi od niej swój ród, klan albo klub. Niektórzy ze starych donów w mafii starają się nawet wywieść stamtąd *la Cosa Nostra*. Kupa gówna. Tak jak ci wszyscy tak zwani biali-anglosascy-protestanci, którzy usiłują umieścić swych przodków na *Mayflower*. Na każdego, kto potrafi to udowodnić, tak jak pan Drake, przypada stu takich, którzy zwyczajnie bajerują.

— Widzisz — kontynuował Maldonado z coraz większym przejęciem, zapamiętałe żując swoje cygaro —

46

pierwotnie Iluminaci byli tylko parawanem... jakby to nazwać... dziewiętnastowiecznej odmiany Frontu Wyzwolenia Kobiet. Za Adamem Weishauptem kryła się Ewa, za Go-dwinem, który swoją książką *Sprawiedliwość polityczna* zapoczątkował socjalizm i anarchizm, kryła się jego kochanka, Mary Wollstonecraft, która z kolei rozpoczęła rewolucję kobiecą swoją książką zatytułowaną, mhm...

— *W obronie praw kobiet* — odpowiedział Drake.

— Kazali też Tomowi Paine'owi napisać o wyzwoleniu kobiet, a także bronić tej ich Rewolucji Francuskiej i spróbować ją zaszcześcić tutaj. Wszystko jednak spaliło na panewce i nie udało im się zdobyć prawdziwych wpływów we władzach Stanów Zjednoczonych, dopóki nie okpili Woo-dy Wilsona do tego stopnia, że stworzył System Rezerw Federalnych w 1914 roku. I tak to na ogół wszystko się odbywa. We Włoszech kryli się za organizacją zwaną Hau-te Vente, która była tak cholernie tajemnicza, że Mazzini, będący jej członkiem przez całe życie, nigdy się nie dowiedział, że rozkazy przychodzą z Bawarii. Mój dziadek opowiadał mi dokładnie o tamtych czasach. Żarły się ze sobą trzy strony. Monarchiści z jednej, anarchistyczne Haute Vente i Liberteri z drugiej, a w samym środku mafia, usiłująca z nikim nie zadzierać i wykombinować, po której stronie posmarowany jest chleb, rozumiesz? Potem Liberteri zmądrzało, odłączyło się od Haute Vente i odtąd była to kołomyja czterokierunkowa. Sprawdź w podręcznikach do historii, tam mówią, jak to było, tyle, że nie ma ani wzmianki o tym, kto kierował Haute Vente. A potem pojawiło się poczciwe, stare Prawo Piątek i z nim faszyci, a więc walka potoczyła się na czterech frontach. Kto zwyciężył? Nie Iluminaci. Dopiero w 1937 roku, gdy podbech-tali angielski rząd, by odwiódł Mussoliniego od jego planów pokojowych i wykorzystali Hitlera, by wciągnął Benita do osi Berlin-Tokio, zdobyli trochę władzy we Włoszech, pośredniej zresztą. Kiedy zawarliśmy nasz układ z CIA, w tamtych latach zwanym jeszcze OSS, Luciano

47

wyszedł z pierdła, a my przeryliśmy całe Włochy i dostarczyliśmy martwego Mussoliniego.

— A o co w tym wszystkim chodzi? — spytał chłodno Jung.

— Chodzi o to — powiedział Maldonado — że mafia częściej występuje przeciwko Iluminatom, niż stoi po ich stronie, a przecież ciągle robimy interesy, teraz zaś jesteśmy silniejsi niż

kiedykolwiek. Wierz mi, oni raczej szczekają niż gryzą. Znają się na jakiejś magii, więc wszystkich straszą. Od czasów, kiedy Parysowi zaczęło się palić w portkach na widok Heleny, mamy na Sycylii magików i bel-ladony, to znaczy czarownice, a wierz mi, że kule imają się ich tak samo jak wszystkich innych ludzi.

— Iluminaci naprawdę potrafią gryźć — wtrącił Drake — ja jednak sędzę, że oni przeminą razem z Erą Ryb. Dyskordianie, jak sędzę, reprezentują odchył Wodnika.

— Nie dam się nabrać na te mistyczne bzdury — oświadczył Jung. — Za chwilę zaczniecie mi cytować / *Ching*, zupełnie jak mój stary.

— Jesteś typem analnym, jak większość księgowych — odparł chłodno Drake. — A także Koziorożcem. Przyziemnym i konserwatywnym. Nie będę próbował cię przekonywać do tego aspektu sprawy. Po prostu uwierz mi na słowo, że nie osiągnąłem swojej dzisiejszej pozycji dzięki ignorowaniu znaczących faktów tylko dlatego, że one nie pasują do rachunku zysków i strat. A z kolei na poziomie zysków i strat mam powody, by wierzyć, że Dyskordianie mogą obecnie przelicytować Iluminatów. Powody te ujawniły się na wiele miesięcy wcześniej przed pojawieniem się tych cudownych posągów.

Później, już w łóżku, Drake zastanawiał się nad całą tą sprawą i rozpatrywał ją z kilku stron. Przypomniały mu się słowa Lovecrafta: „Błagam, niech pan pamięta, w jaki sposób oni traktują swoje sługi”. O to, z grubsza, chodziło. Był starym człowiekiem i zmęczył się już byciem ich sługą, satrapą albo satelitą. Gdy miał trzydzieści trzy

48

lata, był gotów przejąć nad nimi władzę, tak jak już to kiedyś zrobił Cecil Rhodes. W jakiś sposób został jednak tak wymanewrowany, że objął tylko jedną część ich imperium. Nawet gdyby mógł zgodnie z prawdą uważać, że jest właścicielem Stanów Zjednoczonych w większym stopniu niż jakikolwiek prezydent przez ostatnie cztery dziesięciolecia, to pozostawał jeszcze fakt, że nie był właścicielem samego siebie. W każdym razie dopóty, dopóki dzisiejszej nocy nie podpisał swojej osobistej deklaracji niepodległości dzięki wstąpieniu do Dyskordian. Tamten drugi Jung, ten *alter Zauber* z Zurychu, próbował mu kiedyś powiedzieć coś o władzy, on jednak zlekceważył to jako sentymentalną lurę. Teraz usiłował sobie przypomnieć... i nagle wróciły dawne czasy, Klee i jego numino-tyczne obrazy, podróż na Wschód, stary Crowley mówiący: „Oczywiście, mieszanie leworęcznej ścieżki z praworęczną jest niebezpieczne. Jeżeli obawiasz się takiego ryzyka, to wracaj do Hessego, Junga i starszych pań. Ich sposób jest bezpieczny, a mój nie. O mnie można powiedzieć tylko tyle, że ja mam prawdziwą władzę, a oni sny.” Jednakże Iluminaci zniszczyli Crowleya, tak samo jak Williego Sea-brooka, gdy obydwaj zdradzili zbyt wiele. *Błagam, niech pan pamięta, w jaki sposób oni traktują swoje sługi.* Do jasnej cholery, co ten Jung mówił o władzy?

I odwrócił kartę, a na jej odwrocie znajdował się adres przy Beacon Hill oraz słowa „8.30, dziś wieczorem”. Spojrzał na portiera, który cofnął się z szacunkiem, mówiąc: „Dziękuję panu, sir Drake” bez śladu ironii na twarzy albo w głosie. I dla odmiany zupełnie się nie zdziwił, że Wielki Mistrz, którego poznał tamtej nocy, jeden z pięciu Illumi-nati Primi na Stany Zjednoczone, jest urzędnikiem Departamentu Sprawiedliwości. (No więc, co powiedział Jung na temat władzy?) „Kilku z nich będzie musiało odpaść. Zalecałbym Lepkego. Może również Luciana.” Żadnej mistycznej pompy, zwykłe spotkanie w interesach. „Nasze interesy są takie same jak pańskie: zwiększenie

49

władzy Departamentu Sprawiedliwości. Pozostałe resorty rządowe uzyskają podobną władzę, gdy puścimy w ruch maszynę wojenną.” Drake przypomniał sobie swoje podniecenie: wszystko odbywało się tak, jak przewidział. Koniec republiki, świt imperium.

— Po Niemczech Rosja? — spytał kiedyś Drake.

— Bardzo dobrze, doprawdy potrafi pan wybiegać w przyszłość — pochwalił Wielki Mistrz. — Pan Hitler, naturalnie, jest jedynie czynnikiem pośredniczącym. Zasadniczo nie posiada własnego *ego*. Nie ma pan pojęcia, jakie nudne i prozaiczne są takie typy, o ile nie ulegną wpływowi właściwej Inspiracji. Naturalnie to *ego*, które mu dostarczono, rozpadnie się i wtedy zostanie psychotykiem, a wówczas my nie będziemy mieli nad nim żadnej kontroli. Jesteśmy gotowi pomóc mu w upadku. Obecnie nasze realne interesy koncentrują się tutaj. Pan pozwoli, że coś mu pokażę. Nie działamy według ogólnikowych wytycznych, nasze plany są zawsze dokładne do ostatniego szczegółu. — Wręczył Drake'owi plik papierów. — Wojna zakończy się prawdopodobnie w czterdziestym czwartym albo piątym. Każemy Rosji odbudować się w taki sposób, by za dwa lata stanowiła nowe zagrożenie. Proszę to uważnie przeczytać.

Drake odczytał to, co miało się stać Ustawą o Bezpieczeństwie Narodowym z 1947 roku.

— To oznacza zniesienie Konstytucji! — wykrzyknął, nieomal pogrążony w ekstazie.

— Prawie. I niech mi pan wierzy, panie Drake, do czterdziestego szóstego albo siódmego sprawimy, że Kongres i opinia publiczna będą gotowe na to przystać. Imperium amerykańskie jest bliższe niż się panu zdaje.

— Ale co z izolacjonistami i pacyfistami, senatorem Taftem i resztą...

— Odpadną. Kiedy komunizm zastąpi faszyzm w roli wroga numer jeden, nasz małomiasteczkowy konserwatysta będzie gotów do ogólnoświatowych awantur na taką

51

skale, że liberałom biednego pana Roosevelta zakręci się od tego w głowach. Proszę mi zaufać. Opracowaliśmy precyzyjnie każdy szczegół. Pan pozwoli, że mu pokażę, jak będzie wyglądała siedziba nowego rządu.

Drakę zapatrzył się na plan i potrząsnął głową.

— Niektórzy ludzie domyśla się, co oznacza ten pentagon — powiedział niepewnie.

— Zostaną zlekceważeni jako przesądni wariaci. Proszę mi wierzyć, ta budowla zostanie wzniesiona w ciągu kilku lat. Będzie policjantem całego świata. Nikt się nie odważy kwestionować podejmowanych w niej działań albo orzeczeń, by nie zostać nazwanym zdrajcą. Przez trzydzieści lat panie Drake, przez trzydzieści lat, każdy, kto spróbuje przywrócić władzę Kongresowi, zostanie wyklęty i zniesławiony, nie przez liberałów, lecz przez konserwatystów.

— Święty Boże — jęknął Drake.

Wielki Mistrz wstał i podszedł do staroświeckiego globusa, wielkości niemal głowy King Konga.

— Proszę wybrać jakieś miejsce, panie Drake. Jakiegokolwiek. Gwarantuję, że w ciągu trzydziestu lat umieścimy w nim wojska amerykańskie. To imperium, o którym pan marzył podczas lektury Tacyta.

Robert Putney Drake chwilowo czuł się upokorzony, mimo że rozpoznał sztuczkę: odosobniony przypadek zastosowania telepatii w celu wyluskania Tacyta z jego głowy i uwięczenia w ten sposób demonstracji niedosiężnego marzenia. Wreszcie zrozumiał, na własnym przykładzie, dlaczego Iluminaci budzili taką grozę zarówno u swych sług, jak i wrogów.

— Powstanie opozycja — ciągnął Wielki Mistrz. — Szczególnie w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Do tego właśnie punktu naszego planu pasuje pańska koncepcja zjednoczonego syndykatu zbrodni. W celu zniszczenia opozycji nasz Departament Sprawiedliwości będzie musiał pod wieloma względami stać

51

się odpowiednikiem hitlerowskiego gestapo. Jeśli pański plan się powiedzie, jeśli mafia da się wciągnąć do syndykatu znajdującego się całkowicie poza kontrolą Sycylii i jeśli pod ten sam parasol dadzą się wpakować również inne ugrupowania, powstanie wówczas ogólnokrajowy kartel złożony z ludzi wyjętych spod prawa. Wówczas sama opinia publiczna zacznie się domagać powołania takiego Departamentu Sprawiedliwości, na jakim nam zależy. Do połowy lat sześćdziesiątych zakładanie podsłuchów powinno być tak powszechne, że wszelkie pojęcie prywatności stanie się archaizmem.

I rzucający się w bezsenności na łóżku Drake zastanawiał się, co mu kazało się buntować, skoro wszystko poszło tak gładko? Dlaczego nie czerpał z tego żadnej przyjemności? I co Jung powiedział o władzy?

Richard Jung, ubrany w stary sweter Carla Junga, paląc jego fajkę, powiedział:

— A potem Układ Słoneczny.

W pokoju tłoczyły się białe króliki, króliczki „Playboya”, Królik Bugs, Wilkołak, członkowie Ku-Klux-Klanu, mafiosi, Lepke z jego oskarżycielskim spojrzeniem, jakaś koszatka, Szalony Kapelusznik, Król Kier, Rycerz Buław — toteż Jung musiał przekrzykiwać powstały har-mider.

— Potrzeba miliardów, żeby dotrzeć do Księżyca. Bilionów, żeby dotrzeć do Marsa. Wszystko będzie służyło do naszych korporacji. To lepsze niż zabawy gladiatorów.

Linda Lovelace odepchnęła go na bok.

— Nazywaj mnie iszmailitką — powiedziała dwuznacznie, lecz Jung wręczył Drake'owi szkielet białego dziecka.

— To na ucztę Petruchia — wyjaśnił, wyciągając kawałek taśmy telegraficznej. — Aktualnie jesteśmy w posiadaniu — zaczął czytać — siedemdziesięciu dwóch procent zasobów naturalnych Ziemi, a pięćdziesiąt jeden procent wszystkich oddziałów zbrojnych na całym świecie

52

podlega naszym decyzjom. Tutaj — powiedział, mijając ciało dziecka, które zginęło w Appalalach — dopilnuj, żeby włożono mu jabłko do ust.

Jeden z króliczków podał Drake'owi karabin maszynowy Thompsona z 1923 — model, który

nazwano karabinem automatycznym, ponieważ tamtego roku armia nie miała funduszy na zakup pistoletów maszynowych.

— Po co to? — spytał zdezorientowany Drake.

— Musimy się bronić — odparł króliczek. — Mot-łoch już stoi u bram. Głodny motłoch. Prowadzi ich astro-nauta imieniem Spartakus.

Drake wręczył karabin Maldonadzie i wszedł po schodach na górę, do swego prywatnego heliportu. Minał ubikację w drodze do laboratorium (w którym dr Frankenstein przymocowywał elektrody do szczęk Lindy Lovelace) i znowu wszedł na pole golfowe, gdzie czekały na niego otwarte drzwi samolotu.

Uciekał swoim odrzutowcem typu 747 i w dole widział Czarne Pantery, smarkaczy z uniwersytetu, głodujących górników z kopalń węgla, Indian, Viet Cong, Brazylijczyków, ogromną armię łupiącą jego majątek.

— Pewnie zobaczyli fnordy — powiedział do pilota. Ale pilotem była jego matka — na jej widok popadł

w furie.

— Zostawiałaś mnie samego! — krzyknął. — Zawsze zostawiałaś mnie samego, gdy chodziłaś z ojcem na

akieś cholerne przyjęcia. Nigdy nie miałem matki, tylko kolejne czarne służące, które po kolei udawały matkę. Czy e pierdolone przyjęcia były aż takie ważne?

— Och — powiedziała, rumieniąc się — jak śmiesz żywać takich słów w obecności własnej matki?

— Do diabła z tym. Pamiętam tylko zapach twoich erfum unoszący się w powietrzu i jakąś obcą czarną warz, która się pojawiała, gdy cię wołałem.

— Jaki ty jesteś dziecinny — stwierdziła ze smutkiem. — Przez całe życie byłeś wielkim dzieckiem.

53

To była prawda: używał pieluszek. Wiceprezes Towarzystwa Ubezpieczeniowego Morgana spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Pytam, Drake, czy pańskim zdaniem to stosowny ubiór na ważne spotkanie w interesach?

Siedząca obok niego Linda Lovelace pochyliła się w ekstazie, żeby ucałować sekretny żar Iszmaela.

— Czy pan zdrowy, czy pan chory, proszę się bawić jak wieloryb — powiedział wiceprezes, nagle chichocząc bezmyślnie.

— Och, pierdołę was wszystkich — krzyknął Drake. — Mam więcej pieniędzy niż wy razem.

— Pieniądze zniknęły — oświadczył Carl Jung z przylepioną freudowską bródką. — Jakiego totemu użyjesz teraz, żeby się ustrzec przed niebezpieczeństwem i tym, co cię może ukatrupić w samym środku nocy? — uśmiechnął się szyderczo. — Co za dziecinne szyfry! M.A.F.I.A.: *Morte Alla Francia Italia Anela*. Francusko-kanadyjska zupa fasolowa: *Fünf Konsekrierte Zur Freiheit*. *Annuït Coeptis Nouus Ordo Seclorum*: Anty-Chryst Naszym Obecny Sędzią. A chłopiec bardzo hardy nie wytarł ndg, ale trochę kłamał. Asmodeus Cthulhu Belial Hastur Nyarlath-hotep Wotan Niggurath Azathoth Tindalos Kadith. Dziecięca zabawa! *Glasspielen!*

— No dobra, ale skoro jesteś taki cholernie sprytny, to kto teraz tworzy wewnętrzną Piątkę? — spytał gniewnie Drake.

— Groucho, Chico, Harpo, Zeppo i Gummo — odparł Jung i odjechał na tricyklu.

— Iluminaci to twoja pierś, ssaku — dodał Albert Hoffman, pedałuujący za Jungiem na bicyklu.

Oko zamknęło się i Drake się obudził. Wszystko w jednej chwili stało się jasne, bez tej żmudnej pracy, jaką wykonał, bledząc się nad słowami Holendra.

Obok łózka stał Maldonado, z twarzy przypominający Karloffa. Powiedział:

54

— Zaslugujemy na śmierć.

Otóż to: tak się właśnie czujesz, gdy odkryjesz, że jesteś robotem, a nie człowiekiem, tak jak Karloff w ostatniej scenie *Narzeczonej Frankensteina*.

Drake obudził się ponownie, tym razem naprawdę. Przebudzenie było jasne, kryształowo jasne i niczego nie żałował. Z daleka, od strony Long Island Sound, dobiegł go pierwszy, daleki odgłos gromu i wiedział, że tej burzy nie zrozumie nigdy żaden naukowiec, który jest mniejszym heretykiem od Junga albo Wilhelma Reicha. „Naszym zadaniem — napisał Huxley przed śmiercią — jest budzić się.”

Drake prędko nałożył szlafrok i wyszedł do ciemnego, elżbietańskiego korytarza. Pięćset

tysięcy dolarów kosztował go ten dom i ta ziemia, łącznie z osobnymi zabudowaniami, a była to zaledwie jedna z jego ośmiu posiadłości. Pieniądze. Jakie miały znaczenie, skoro pojawił się Nyarlathotp i „dzikie bestie szły za nim, i lizały jego dłonie” — jak napisał ten głupi mądrała Lovecraft? Jakie miały znaczenie, skoro „ten ślepy, zidiociały Bóg Chaosu zdmuchnął pył ziemi”?

Drakę popchnął pokryte ciemną boazerią drzwi do pokoju George'a. Znakomicie — Tarantella już poszła. Znowu zahuczał grom i własny cień majaczący nad łóżkiem raz jeszcze przypomniał Drake'owi film z Karloffem.

Pochylił się i delikatnie potrząsnął George'a za ramię.

— Mavis — powiedział młodzieniec.

Drake'a zaciekawiło, kim do diabła jest Mavis, zapewne jakaś seksbomba, skoro George śnił o niej po całej sesji z wytrenowaną przez Iluminatów Tarantella. A może Ma-vis to jeszcze jeden ex-Illuminat? Drake domyślał się, że ostatnimi czasy jest ich sporo w szeregach Dyskordian. Jeszcze raz potrząsnął George'a za ramię, bardziej energicznie.

— Ach, już więcej nie dam rady — powiedział George.

55

Drakę potrząsnął nim po raz kolejny i dwoje czujnych, przestraszonych oczu spojrzało na niego.

— Co?

— Wstawaj — burknął Drake, chwytając George'a pod pachami i podciągając, by usiadł. — Wstawaj — dodał, dysząc i przewalając chłopca na skraj łóżka.

Drakę patrzył na George'a przez fale zakłócające mu widzenie. Niech to cholera, to coś już dotarło do mojego umysłu.

— Musisz wstać — powtórzył. — Tu ci grozi niebezpieczeństwo.

23 października, 1935 r.: Charley Workman, Mendy Weiss i Jimmy Norka przebijają się przez drzwi Pałace Chop House i, zgodnie z rozkazami, rozpierdalają lokal... Ołów leje się jak krople deszczu, a deszcz uderza o okno George'a niczym ołowiane kule.

— Chryste, co jest? — spytał.

Drakę postawił go na nogi zupełnie nagiego i podał mu majtki, powtarzając:

— Pospiesz się!

Charley Pluskwa popatrzył na trzy ciała: Abadaba Berman, Lulu Rosenkratz i ktoś, kogo nie rozpoznał. Żaden z nich nie był Holendrem. — Mój Boże, przejebaliśmy — powiedział — Holendra tu nie ma.

Natomiast w alejach snu rozpoczął się ruch: Albert Stern przyjmuje ostatnią działkę tej nocy i nagle przypomina sobie, że marzył o zabiciu kogoś równie ważnego jak John Dillinger.

— *W tym sraczu — mówi zdenerwowany Mendy Weiss; kutas mu stał, jak zawsze przy takiej robocie.*

— Człowiek to gigant — stwierdza Drake — zmuszony do życia w pigmejskiej chacie.

— Co to znaczy? — pyta George.

— To znaczy, że wszyscy jesteśmy durniami — odpowiada zdenerwowany Drake, czując zapach tej starej kurwy, Śmierci — szczególnie ci z nas, którzy próbują

56

się zachowywać jak giganci i terroryzują pozostałych mieszkańców tej chaty, zamiast po prostu rozwalić jej ściany. Powiedział mi to Carl Jung, tylko bardziej eleganckim językiem.

Jego wzrok stale wędrował w stronę dyndającego penisa George'a; szarpały go popęd homoseksualny (w życiu Drake'a sprawa sporadyczna), heteroseksualny (jego normalny stan) i obce dotąd pożądanie do starej kurwy, Śmierci. *Holender puścił penisa, polewając buty strugą uryny i sięgnął po pistolet w chwili, gdy usłyszał strzały w barze. Odwrócił się szybko, niezdolny przestać sikać i Albert Stern, który właśnie tam wszedł, strzelił, zanim Holender zdążył wycelować. Padając na twarz, widział, że to naprawdę jest Yince Coli, duch.*

— Och mamó, mamó, mamó — wystękał, leżąc w kałuży własnej uryny.

— Którędy pójdziemy? — spytał George, zapinając koszulę.

— Pójdiesz sam — odparł Drake. — Zejdiesz na dół po schodach i wyjdiesz tyłem, do garażu. Oto kluczyki do mojego rolls royce'a. Już mi się na nic nie przyda.

— Czemu pan nie idzie? — zaprotestował George.

— Zaslugujemy na śmierć — oświadczył Drake. — Wszyscy w tym domu.

— Ależ to zupełny idiotyzm. Nie obchodzi mnie, co pan zrobił, odlot na poczuciu winy jest zawsze czymś idiotycznym.

— Całe moje życie było odlotem, jak ty to nazywasz, o wiele bardziej idiotycznym — odparł spokojnie Drake. — To był odlot na władzy. No, spadaj!

— *George, nie rób żadnych głupich ruchów* — powiedział Holender.

— On mówi — wyszeptał sierżant Luke Conlon, stojący u stóp szpitalnego łóżka, a policyjny protokolant, F.J. Lang zaczął notować.

— Co z nim zrobiliście? — ciągnął Holender. — Ach,

57

mamo, mamó, mamó. Och, przestań. Och, och, och, dobrze. Dobrze, mamó.

Drakę usiadł na parapecie i, zbyt zdenerwowany, by zapalić cygaro, sięgnął po jednego ze swych nieczęstych papierosów. Sto pięćdziesiąt siedem, pomyślał, przypominając sobie ostatni zapis w swoim małym notesie. Sto pięćdziesiąt siedem bogatych kobiet, jedna żona i siedemnastu chłopców. I ani razu nie nawiązałem prawdziwego kontaktu, ani razu nie rozwaliłem murów... Dochodzące z zewnątrz odgłosy deszczu i wiatru były już teraz ogłuszające... Czternaście miliardów dolarów, trzynaście miliardów nielegalnych i wolnych od opodatkowania, więcej niż mieli Getty i Hunt, mimo że nigdy nie mógłbym podać tego do wiadomości. I tamten młody Arab w Tangerze, który mnie najpierw wydmuchał, a potem okradł, perfumy mojej matki, długie godziny spędzone w Zurychu nad słowami Holendra.

W 1913 roku, w Bronxie, przed budynkiem przedsiębiorstwa wynajmu koni Flegenheimera, Phil Silverberg droczy się z młodym Arthurem Flegenheimerem, pokazując z daleka narzędzia służące włamywaczowi do pracy i pyta drwiąco:

— Naprawdę myślisz, że już jesteś taki duży, by samodzielnie obrobić czyjś dom?

W szpitalu w Newark Holender krzyczy ze złością:

— Słuchaj no, Phil, zabawa to zabawa! Siedemnastu przedstawicieli Iluminatów zniknęło w mroku, nagle powrócił ten z głową kozła.

— Co się stało z pozostałymi szesnastoma? — pytał Holender szpitalne ściany. Krew płynąca z jego ramienia zostawiła podpis na pergaminie. — Och, to on to zrobił. Błagam — prosił niezrozumiale.

Sierżant Conlon patrzy jak ogłupiały na protokolanta Langa. *Światło wydawało się ciemne, ciemność wydawała się jasna. Zupełnie opanowuje mój umysł* — pomyślał Drake, siadając przy oknie.

58

Nie stracę zmysłów, przysiągł bezgłośnie Drake. Jaki był tytuł tej rockowej piosenki o Chrystusie?

Pięć cali do szczęścia, tak to szło? Nie, to z *Głębokiego gardła*. Bielszy odcień wieloryba.

W oczach znowu mu zafalowało: to najwyraźniej nie ta piosenka. Muszę do niego dotrzeć, żeby zjednoczyć siły. Nie, cholera jasna, to nie moja myśl. To jego myśl. On się wyłania, wybija ponad powierzchnię tych fal. Muszę się podnieść. Muszę się podnieść. Żeby zjednoczyć siły.

— Masz rację, Holender — powiedział Dillinger. — Pierdolić Iluminatdw. Pierdolić mafie. Prawowici Starożytni Mummu z chęcią przyjęliby cię do swych szeregów.

Holender spojrział w oczy sierżantowi Conlonowi i spytał:

— John, proszę, och, ty naprawdę kupiłeś tę bajkę? Prawda, obiecałeś milion. Wycofać się, gdybym tylko wiedział. Proszę, zrób to szybko. Szybko i zdecydowanie. Błagam. Szybko i zdecydowanie. Błagam, pomdź mi się wycofać.

Trzeba było się wycofać w czterdziestym drugim, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o obozach — pomyślał Drake. — Nic do mnie nie dotarło, dopóki naprawdę nie postanowili tego zrobić. A potem Hiroszima. Dlaczego zostałem po Hiroszimie? To było takie oczywiste, dokładnie tak, jak napisał Lovecraft, ten zidiociały Bóg Chaosu rozdmuchał pył ziemi i już w trzydziestym piątym znałem tajemnicę: skoro nawet taki tani drań jak Holender Schultz skrywał w sobie poetę, to co się właściwie wyzwała, gdy człowiek patrzy Śmierci, tej starej kurwie, w oczy? Powiedzmy, że zdradziłem własny kraj i planetę, ale ponadto, co gorsza, zdradziłem Roberta Putneya Drake[^], zamordowałem tego giganta psychologii, gdy zdecydowałem się wykorzystać sekret, by rządzić, a nie uzdrawiać.

Widzę hydraulików, ludzi czyszczących szamba, bezbarwność wszystkich barw ateizmu. Jestem oficerem Losu: moimi czynami rządzi gorliwość. Białe, Biała próżnia.

59

Oko Ahaba. Pięć cali do szczęścia, Prawo Piątek, zawsze. Ahab wsiorbany, wysiorbany.

— Z tą Bawarią to kompletna bzdura — powiedział Dillinger. — To są głównie Anglicy, odkąd dowodzenie przejął Rhodes w 1888 roku. Już infiltrują Departamenty Sprawiedliwości, Stanu i Pracy, a także Skarbu. Oto z kim się zabawiasz. I pozwo'1, że ci opowiem o tym, co zamierzają zrobić z twoim narodem, z Żydami, podczas tej wojny, którą właśnie montują.

— Posłuchaj — przerwał mu Holender. — Capone kazałby mi wpakować kulę w łeb, gdyby się dowiedział, że w ogóle z tobą rozmawiałem, John.

— Boisz się Capone'a? To on nagrał tych Federalnych, którzy wpakowali mi kulę w łeb pod Biograph, a mimo to żyję, a nawet kwitnę jak szczypiorek na wiosnę.

— Nie boję się Capone'a, Lepkego, Maldonada, ani też... — wzrok Holendra przywołał znowu szpitalne wnętrze. — Mogę was łatwo zdradzić — wyznał z niepokojem sierżantowi Conlonowi. — Winifred, Departament Sprawiedliwości. Nawet to wiem od Departamentu. — Przeszył go ból, ostry jak spazm rozkoszy. — Sir, błagam, niech pan przestanie! — Musiał powiedzieć prawdę o DeMolayu i Weishaupcie. — Niech pan posłucha — nalegał — ostatni Rycerz. Nie chcę wrzeszczeć. — Łomot bólu, to przez niego wszystko było takie trudne. — Nie wiem, sir. Przysięgam, nie wiem. Poszedłem do toalety. Byłem w kabinie i ten chłopiec wszedł za mną. Gdybyśmy chcieli przerwać Pierścień. Nie, proszę. Został mi jeden miesiąc. No dalej, Iluminaci, zamknijcie mi usta. — Tak trudno to było wytłumaczyć. — Nie miałem nic do niego i był kowbojem podczas jednego z siedmiu dni. *Ewi-ge!* Walczyć... Żadnych interesów, ulubionych miejsc, przyjaciół. Nic. Tylko to, co znajdujesz i co ci potrzebne. — Ból wywoływała nie tylko ta kula; oni pracowali nad jego umysłem, starając się przeszkodzić, żeby nie powiedział za dużo. Zobaczył głowę kozła. — Niech on się do ciebie

60

zaprzęgnie, a potem dręczy — krzyknął. — To są Anglicy, a oni są dziwakami, nie wiem, kto jest lepszy, oni czy my. — Tyle do powiedzenia, a tak mało czasu. Pomyślał o Francji, swojej żonie. — Och sir, *get the doli a rofting** — Formuła Iluminatdw służąca do wzywania Iloigor: tyle przynajmniej mdgł wyjawić. A chłopiec, bardzo hardy, nie wytarł nóg, ale nie kłamał. Słyszał pan?

— Musieli zrozumieć, jak daleko to sięga, na cały świat.

— Ja to usłyszę, usłyszy to Sąd Okręgowy i może usłyszy to Sąd Najwyższy. Jeśli to nie łapówka. Błagam, załatwcie przyjaciół Chińczyka i dowódcę Hitlera. — Eris, Wielka Matka, była jedyną alternatywą dla władzy Iluminatów; musiał im powiedzieć chociaż tyle. — Powinniście postawić na Matkę i nie pozwalać, by Szatan tak was wykorzystywał.

— On za dużo paple — powiedział ten, który nosił głowę kozła, Winifred z Waszyngtonu. — Zwiększyć ból.

— Te wredne szczury się dostroiły — krzyknął Holender.

— Proszę się opanować — uspokajał go sierżant Con-lon.

— Kiedy ja umieram — wyjaśnił Holender. Czy oni wreszcie coś rozumieją?

Drakę poznał Winifreda na pewnym koktajlu w Waszyngtonie, w czterdziestym siódmym, tuż po tym, jak Senat zatwierdził Ustawę o Bezpieczeństwie Narodowym.

— No i jak? — spytał Winifred — ma pan jeszcze jakieś wątpliwości?

— Absolutnie żadnych — odparł Drakę. — Zainwe-

* Formuła, jak wskazuje kontekst, wywodząca się zapewne z Love-crafta. Nie występuje jednak w dostępnych po polsku tłumaczeniach. Trudność powiększa fakt, iż słowo *rofting*, jak się zdaje, nie istnieje w ogóle w języku angielskim, natomiast może być parafrazą takiej mnogości słów, iż zaproponowanie konsekwentnego tłumaczenia nie jest możliwe. Oryginalne pisma Lovecrafta, do ktorych udało mi się dotrzeć, również nie zawierają tegoż sformułowania.

61

stowałem już wszystkie swoje jawne pieniądze w przemysł obronny.

— Proszę je tam trzymać — uśmiechnął się Winifred

— a będzie pan bogatszy, niż to się panu kiedykolwiek śniło. Obecnie sądzimy, że uda nam się uzyskać zgodę Kongresu, by do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego wydano na przygotowania wojenne jeden bilion dolarów.

Drakę szybko to przemyślał i cicho spytał:

— Macie zamiar zyskać jeszcze jednego łobuza oprócz Rosji?

— Proszę obserwować Chiny — odparł spokojnie Winifred.

Zachłanność natychmiast ustąpiła miejsca ciekawości i Drakę spytał:

— Naprawdę go trzymacie w Pentagonie?

— Chciałby pan spotkać się z nim twarzą w twarz?

— odrzekł Winifred z cieniem szyderstwa w głosie.

— Nie, dziękuję — powiedział chłodno Drakę. — Czytałem Hermanna Rauschninga. Pamiętam, co Hitler powiedział o nadcześniku: „On żyje wśród nas. Spotkałem go. Jest nieustraszony i potworny. Bałem się go.” To zaspokaja moją ciekawość.

— Hitler — odparł Winifred, nie ukrywając już drwiny. — Widział go w bardziej ludzkim kształcie. On... zrobił postępy... od tego czasu.

Dzisiaj wieczorem — rozmyślał Drakę, przy akompaniamencie rozszalałego crescendo piorunów — zobaczę go albo jednego z nich. Oczywiście, mogłem chyba wybrać przyjemniejszą formę samobójstwa? Bezsensowne pytanie. Jung ze swym Prawem Przeciwności cały czas miał rację. Nawet Freud to wiedział: każdy sadysta staje się w końcu masochistą.

Wiedziony odruchem Drake wstał i wziął z nocnego stolika w stylu elżbietańskim notes i pióro. Przy świetle coraz intensywniejszych błyskawic zaczął notować:

62

Czego ja się boję? Czy nie robiłem wszystkiego, by sprostać temu *rendez-uous* od czasu, gdy jako półtoraroczne dziecko rzuciłem butelką we własną matkę?

I łączą nas więzy pokrewieństwa. Przecież obaj żywimy się krwią, nawet jeśli ja wszystko upiększałem, biorąc tylko zakrwawione pieniądze zamiast samej krwi?

Zawsze, jak to się na mnie uweźmie, wymiary robią się ruchome. Prinn miał rację w swoim *De Vermis My-steriis*: oni wcale nie stanowią części tej samej czasoprzestrzeni co my. To właśnie miał na myśli Alhazred, gdy pisał: „Ich dłoń ściska cię za gardło, lecz ty ich nie widzisz. Chodzą sobie spokojnie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, nie po tych przestrzeniach, które są nam znajome, lecz pomiędzy nimi.”

— Wyciągnij mnie — jęknął Holender. — Jestem częściowo obłąkany. Nie pozwól mi wstać. Pofarbowali moje buty. Daj mi coś. Jestem taki chory.

Widzę Kadatha i dwa bieguny magnetyczne. Muszę zjednoczyć siły, konsumując jedność.

Które, ja" jest moim prawdziwym „ja"? Tak łatwo wpłynąć do mojej duszy, bo tak niewiele tej duszy zostało? Czy to właśnie Jung usiłował mi powiedzieć o władzy?

Widzę szpital w Newark i Holendra. Widzę białe światło i potem tę czerń, która ani nie pulsuje, ani się nie rusza. Widzę George'a, który usiłuje prowadzić roll-sa po tym cholernym deszczu. Widzę, że biel bieli jest czarna.

— Bardzo proszę — błagał Holender — niech ktoś zdejmie mi buty. Nie, są szczipione kajdankami. Baron mówi takie rzeczy.

Widzę Weishaupta i Żelazny But. Nic dziwnego, że tylko pięciu w ogóle wytrzymuje tę próbę, aby dojść do

63

szczytu piramidy. Baron Rothschild nie dopuści, by Rhodesowi się upiekło. Tak czy owak, czym jest czas albo przestrzeń? Czym jest dusza, że rościmy sobie prawo do jej osądzania? Co jest prawdziwe — mały Arthur Flegenheimer poszukujący swej matki, gangster Holender Schultz, zajmujący się z chłodem Medy-ceuszy albo Morganów mordami i korupcją, czy ten szalony poeta, który się rodzi na szpitalnym łóżku, podczas gdy inni umierają?

A Elżbieta była suką. Śpiewali *Złotą próżność* o Ra-leighu, nikt jednak nie potrafił powiedzieć ani słowa przeciwko mnie. Niemniej to on miał pierwszeństwo. Teatr „The Globe”, nowa sztuka napisana przez Willa Szekspira, na ulicy dla zabawy torturują niedźwiedzia Sackersona.

Chryste, oni otworzyli uskok San Andreas, żeby ukryć najważniejsze dokumenty dotyczące Nortona. Chodniki rozwarte jak usta, John Barrymore wypada z łóżka, Will Szekspir w jego myślach, moich myślach, myślach sir Francisa. Roderick Usher. Nazwali to Gwiazdzistym Rozumem.

— Kłopoty z chodnikiem — usiłował wyjaśnić Holender — i kłopoty z niedźwiedziami, więc skończyłem z tym. Błagam, połóżcie mnie w tamtym pokoju. Błagam, pilnujcie go.

Słyszę ją! Te same dźwięki, zapisane przez Poego i Lovecrafta: Tekeli-li, tekeli-li! Musi być gdzieś blisko.

Nie chciałem rzucać butelką, matko. Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę. Chciałem tylko, żebyś zwróciła na mnie uwagę.

— Okay — westchnął Holender. — Okay, jestem zupełnie wykończony. Nie mogę już nic zrobić. Poszukaj, mam, poszukaj jej. Jego nie zwyciężycie. Policjo. Mam. Heleno. Matko. Proszę, zabierzcie mnie.

64

Widzę ją i ona też mnie widzi. W ciemności. Są rzeczy gorsze od śmierci, wiwisekcie ducha. Powiniennem pobiec. Czemu tu siedzę? Bicykl i tricykl. 23 skid-doo. Chłdd przestrzeni międzygwiazdnej we wnętrzu pięciokąta. Przybyli z gwiazd i przywieźli ze sobą swoje wizje. Matko. Przykro mi.

— No, dalej, niech ktoś płaci — błagał bezradnie Holender. — Kominiarze. Ściąć ich.

To przypomina komin, ktory nie ma końca. Ciągnie się i ciągnie w gdrę, w coraz to głębszą ciemność. I czerwone, wszystkowidzące oko.

— Błagam, pomóżcie mi wstać. Francusko-kanadyj-ska zupa fasolowa. Chcę zapłacić. Niech oni mnie zostawią w spokoju.

Chcę się do niej przyłączyć. Chcę się nią stać. Nie jestem już panem swojej woli. Biorę sobie ciebie, Śmierć, ty stara kurwo, za moją prawowicie poślubioną małżonkę. Jestem szalony. Jestem częściowo szalony. Matko. Butelka. Linda, wsiorbany, wessany.

Jedność.

Przy nabrzeżu, w odległości trzech mil od posiadłości Drake'a, mieszkała dziewięcioletnia dziewczynka Patty Cohen. Tamtego wczesnego ranka, 25 kwietnia, oszalała. Gdy zaczęła biegać po domu, na przemian zaśmiewać się i robić do nich miny, wykrzykiwać, że „on leży we własnych siuśkach”, że „on nadal żyje w jej wnętrzu” i „Rode-rick Usher”, jej rodzice myśleli z początku, że wpadła jej w ręce odrobina LSD, które — jak było wiadomo — wciskało się do miejscowej szkoły podstawowej, i nieco przygnębieni nakarmili ją niacyną oraz końskimi dawkami witaminy C. Do południa zdążyli się jednak zorientować,

65

że to coś więcej niż kwas i tak się zaczęły całe miesiące strapienia, gdy ją wozili do jakiejś kliniki i do prywatnych psychiatrów, potem do następnych klinik i kolejnych prywatnych psychiatrów. Wreszcie, w grudniu, tuż przed Chanuką, zabrali ją do sławnego lekarza dla czubków, praktykującego przy Park Avenue, u którego w poczekalni dostała autentycznego ataku szału. Wpatrywała się w posążek stojący na stole i wrzeszczała: „Nie pozwólcie, żeby mnie pożarł! Nie pozwólcie, żeby mnie pożarł!” Od tamtego dnia zaczęła zdrowieć, a sprawiła to miniatura olbrzymiego posągu Tlaloca z Mexico City.

Natomiast po upływie zaledwie trzech godzin od śmierci Drake'a, George Dorn leżał na swoim łóżku w hotelu „Tudor”, przyciskał słuchawkę telefonu do ucha i słuchał rozlegających się w niej sygnałów.

— Halo — odezwała się zniecka jakaś młoda kobieta z drugiej strony.

— Chciałbym rozmawiać z inspektorem Goodmanem

— powiedział George.

Zapadła chwila ciszy, po czym głos zapytał:

— Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

— Nazywam się George Dorn, ale inspektorowi moje nazwisko prawdopodobnie nic nie powie.

Bardzo jednak proszę, żeby go przywołać do telefonu i powiedzieć, że mam dla niego wiadomość w sprawie Josepha Malika.

W milczeniu wyczuwało się teraz skurcz, jakby kobieta na drugim końcu linii miała ochotę krzyknąć, ale właśnie zabrakło jej oddechu. W końcu powiedziała:

— Mój mąż jest właśnie w pracy, ale z przyjemnością przekażę mu każdą wiadomość.

— To zabawne — odparł George. — Powiedziano mi, że inspektor Goodman pracuje od południa do dziewiątej wieczorem.

— Myślę, że to nie pańska sprawa, gdzie on teraz jest

— wybuchnęła raptem kobieta.

George'a to trochę zszokowało. Rebecca Goodman była

66

przestraszona i nie wiedziała, gdzie jest jej mąż: jakaś nuta w tonie, jakim wygłosiła trzy ostatnie słowa, zdradziła mu stan jej umysłu. Pewnie robię się bardziej wrażliwy na innych ludzi — pomyślał.

— Czy w ogóle ma pani o nim jakieś wieści? — spytał uprzejmie.

Współczuł pani inspektorowej Saulowej Goodmanowej, która, jakby o tym nie mówić, była żoną świni. Jeszcze zaledwie kilka lat temu, gdyby przeczytał w jakiejś gazecie, że mąż tej kobiety został przypadkiem zastrzelony przez nieznaną napastników należących do klasy rewolucjonistów, prawdopodobnie wyszeptałby: „I słusznie”. Wszak jeden z przyjaciół George'a mógł zabić inspektora Goodmana. Był nawet taki moment, w którym sam George mógł czegoś takiego dokonać. Kiedyś jeden z chłopaków z grupy George'a zadzwonił do młodej wdowy po policjancie zabitym w grudniu przez jakichś młodych Murzynów, nazwał ją suką i żoną świni, powiedział, że jej mąż popełnił zbrodnie przeciwko narodowi i że ci, którzy go zabili, powinni przejść do historii jako bohaterowie. George pochwalił taką akcję słowną jako metodę uodporniania się na burżuazyjny sentymentalizm. Gazety były bowiem pełne artykułów o trojgu dzieciach tego policjanta, które tamtego roku miały być pozbawione Gwiazdki; od takiej kiły George'owi natychmiast chciało się rzygać.

Teraz przez kabel płynęła udreka tej kobiety i George ją czuł, ponieważ jej męża nie uznano za zmarłego, a tylko za zaginionego. I prawdopodobnie wcale nie zginął, bo przecież Hagbard kazał George'owi nawiązać z nim kontakt.

— Ja... nie wiem, o czym pan mówi — odparła.

To początek załamania — pomyślał George. — Za chwilę wybuchnie, zdradzając mi, czego się boi. Ależ, na litość Boską, ja przecież nie mam pojęcia, gdzie jest Goodman!

— Niech pani posłucha — powiedział ostrym tonem, przeciwstawiając się ogarniającej go fali

współczucia —

67

jeżeli inspektor Goodman skontaktuje się z panią, to proszę mu przekazać, że jeśli chce się dowiedzieć czegoś więcej na temat Iluminatów bawarskich, to ma zadzwonić do George'a Dorna w hotelu „Tudor”. D-O-R-N, hotel „Tudor”. Zapisala pani?

— Iluminaci! Proszę posłuchać, panie, mhm, Dorn, może pan o wszystkim powie mi, obojętnie co to jest. Ja mu to przekażę.

— Tego zrobić nie mogę, pani Goodman. Na razie dziękuję pani. Do widzenia.

— Proszę poczekać! Niech się pan nie rozłącza.

— Nie mogę pani pomóc, pani Goodman. Ja też nie wiem, gdzie on jest.

George z westchnieniem położył słuchawkę na widelkach. Miał zimne i wilgotne dłonie. Trudno, będzie musiał powiedzieć Hagbardowi, że nie udało mu się złapać inspektora Goodmana. Dowiedział się natomiast czegoś innego — że Saul Goodman, który miał prowadzić śledztwo w sprawie zniknięcia Joe Malika, sam zniknął i że słowa „bawarscy Iluminaci” coś znaczą dla jego żony. George przeszedł na drugą stronę swego małego pokoju i włączył telewizor. Zaraz miał się zacząć popołudniowy dziennik. Wrócił do łóżka, położył się i zapalił papierosa. Nadal był wyczerpany po seksualnych ekscesach z Tarantellą Ser-pentine ostatniej nocy.

Spiker zaczął mówić: „Prokurator generalny zapowiedział, że dziś o szóstej wieczorem wygłosi oświadczenie w sprawie serii zabójstw, dokonywanych z zastosowaniem metod gangsterskich we wczesnych godzinach rannych w różnych miejscach na terenie całego kraju. Liczba ofiar tych zabójstw wynosi dwadzieścia siedem, przy czym przedstawiciele lokalnych władz odmawiają stwierdzenia, czy te morderstwa, wszystkie lub ich część, są ze sobą powiązane. Do zastrzelonych należą: senator Edward Co-ke Bacon, dwóch wysokich rangą funkcjonariuszy policji Los Angeles, burmistrz miasta Mad Dog w stanie Teksas,

68

trener bokserski z Nowego Jorku, farmaceuta z Detroit, komunista z Chicago, trzech przywódców hippisowskich z New Mexico, restaurator z Nowego Orleanu, fryzjer z Yorba Linda w stanie Kalifornia i właściciel zakładu wędliniarskiego w Sheboygan w stanie Wisconsin. W piętnastu miejscach wybuchły podłożone bomby, zabijając co najmniej trzynaście osób. Sześć osób w całym kraju zniknęło, cztery z nich zostały przemocą wsadzone do samochodów i gdzieś wywiezione o różnych porach ubiegłej nocy i dziś rano. Prokurator generalny nazwał to «eskalacją terroru, za którym stoi zorganizowany świat przestępczy», wskazując, że jakkolwiek motywy, jakimi kierują się sprawcy tych rozproszonych po całym kraju bestialskich mordów, są niejasne, to noszą one wszelkie znamiona zabójstw dokonanych przez gangsterów. Natomiast nowy dyrektor FBI, George Wallace, który nakazał podjęcie czynności służbowych agentom FBI w całym kraju, wydał pisemne oświadczenie, w którym stwierdza, cytując: «Po raz kolejny prokurator generalny urządził nagonkę na niewłaściwą zwierzynę, udowadniając, że egzekwowanie prawa należy pozostawić doświadczonym profesjonalistom. Mamy wszelkie powody, by domniemywać, iż owe morderstwa są dziełem czarnoskórych komunistów, którzy otrzymują rozkazy z Pekinu». Koniec cytatu. Tymczasem urząd wiceprezydenta wystosował oficjalny dokument, w którym przeprosza Włosko-Amerykańską Ligę Anty-Po-mówieniową za użyte przez siebie określenie «potyczki mafiosów» i Liga wycofała pikietę spod Białego Domu. Przypominam, o szóstej wieczorem prokurator generalny wygłosi przemówienie skierowane do całego narodu.”

Nagle wyraz twarzy spikera uległ zmianie, a sam przeobraził się z neutralnego dziennikarza w oburzonego patriotę:

„Pewne elementy dysydenckie stale wyrażają ubolewanie, że naród nie ma szansy uczestniczenia w decyzjach podejmowanych przez jego rząd. A jednak, w takich chwi-

69

lach jak ta, gdy cały naród ma szansę wysłuchania oświadczenia prokuratora generalnego, wskaźnik oglądalności nie zawsze jest tak wysoki jak powinien. A zatem, zrobmy wszystko, by dziś wieczorem go podnieść i niech cały świat się przekona, że nadal rządzi u nas demokracja.”

— Wypierdalaj! — krzyknął George do ekranu. Nie przypominał sobie równie wstrętnego spikera telewizyjnego. To pewnie jakieś ostatnie zmiany, coś się musiało stać po jego wyjeździe do Mad Dog. Może to efekty kryzysu Fernando Po? To właśnie w tym hotelu, przypomniał sobie George, tuż po demonstracjach w sprawie tego cholernego Fernando Po przed siedzibą ONZ Joe Malik po raz pierwszy poruszył temat Mad Dog. Joe zniknął w podobnych okolicznościach, jak ci ludzie, wyeliminowani — jak George'owi było wiadome — przez Syndykat, który w ten sposób zapewnił o szczerości swoich intencji po przyjęciu dzieł sztuki, sprezentowanych mu przez Hagbarda. W

podobnym stylu jak inspektor Saul Goodman, który być może wpadł do tej samej króliczej nory co Joe.

Rozległo się pukanie do drzwi. George podszedł otworzyć, po drodze wyłączając telewizor. Była to Stella Maris.

— Witam, jakże miło cię widzieć, kotku. Zdejmij tę suknię i chodź do łóżka, to zatwierdzimy mój obrządek inicjacyjny.

Stella położyła ręce na jego ramionach.

— To teraz nieistotne, George. Mamy zmartwienia. Robert Putney Drake i Maldonado Bananowy Nos nie żyją. Chodź. Musimy natychmiast wracać do Hagbarda.

Po podróży, najpierw helikopterem, potem wynajętym odrzutowcem, a na końcu motorówką, która dowiozła ich do podmorskiej bazy Hagbarda w Zatoce Chesapeake, George był wyczerpany i ogłupiały. Jego złe samopoczucie pogłębiło doświadczenie wcześniej panicznego strachu. Oprzytomniał, gdy znowu zobaczył Hagbarda.

— Ty jebany skurwielu! Wysłałeś mnie, żeby mnie ukatrupili!

70

— I dzięki temu zdobyłeś się na odwagę, żeby mnie opieprzyć — odparł Hagbard z pobłażliwym uśmiechem. — Strach to zabawna rzecz, co, George? Gdyby nie strach przed śmiertelnymi chorobami, nigdy byśmy nie wymyślili mikrobiologii. A z kolei ta nauka może stworzyć broń wirusową. A każde supermocarstwo boi się, że inne użyją przeciwko niemu broni wirusowej i dlatego wymyśla własne zarazy, zdolne wyniszczyć całą ludzką rasę.

— Twój umysł błądzi, ty głupi, stary pierdzielu — powiedziała Stella. — George nie żartuje, mówiąc, że omal go nie zabito.

— Strach przed śmiercią to początek zniewolenia — odparł jak najzwyczajszym tonem Hagbard.

Mimo że było jeszcze wcześniej, George miał wrażenie, że zaraz padnie, że zaśnie na dwadzieścia cztery godziny albo i dłużej. Silniki łodzi wibrowały pod jego stopami, gdy włókł się do swojej kabiny, ale zupełnie go nie ciekawiło, dokąd płyną. Położył się na koi i, w ramach rytuału przygotowywania się do snu, wyciągnął z półki nad głową jakąś książkę. *Seksualizm, magia i perwersje* głosił napis na okładce. Cóż, atrakcyjny i obiecujący tytuł. Autorem był niejaki Francis King. Citadel Press, 1972. Zaledwie parę lat temu.

No i dobrze. George otworzył na chybił trafił:

Po kilku latach frater Paragranus stanął na czele szwajcarskiej sekcji OTO, wszedł w zażyłe związki z uczniami Aleistera Crowleya — głównie z Karlem Germerem — a także założył czasopismo. Następnie przejął władzę nad Starożytnym Zakonem Różokrzy-żowców Krumma-Hellera oraz patriarchatem Gnosty-cznego Kościoła Katolickiego — tę drugą godność odziedziczył po Chevillonie, zamordowanym przez gestapo w 1944 roku, który był następcą Johm/ego Bricauda. Frater Paragranus jest również głową jednego z kilku ugrupowań, które twierdzą, że są pra-

71

wdziwymi spadkobiercami i następcami Iluminatów Weishaupta, odrodzonych przez Leopolda Engela (około 1895).

George zamrugał. Kilka ugrupowań Iluminatów? Trzeba będzie wypytać o to Hagbarda. Teraz jednak zaczynał już postrzegać hipnogogiczne ożywienie, nadchodził sen.

W niecałe pół godziny Joe rozdał dziewięćdziesiąt dwa papierowe kubki z sokiem pomidorowym zawierającym AUM — narkotyk, ktory rzekomo przekształcał neofo-bów w neofitów. Stanął na Pioneer Court, na północ od mostu Michigan Avenue, za stołem, nad którym wisiał napis: DARMOWY SOK POMIDOROWY. Każdy, kto wziął kubek soku, był proszony o wypełnienie krótkiego formularza i wrzucenie go do skrzynki przy stole Joego. Wypełnianie formularza, jak wyjaśniał Joe, nie było obowiązkowe, każdy, kto chciał się tylko napić soku, miał do tego prawo.

AUM miał działać równie dobrze w każdym przypadku, natomiast dzięki formularzowi EFW możliwe było sprawdzenie jego wpływu na niektórych badanych.

Nagle przed stołem stanął wysoki, czarnoskóry policjant.

— Czy ma pan pozwolenie na tę akcję?

— No pewnie — odparł Joe natychmiast z uśmiechem. — Pracuję dla Zrzeszenia Usług Publicznych i właśnie przeprowadzamy test nowego gatunku soku pomidorowego. Ma pan ochotę spróbować, oficerze?

— Nie, dziękuję — odparł gliniarz bez uśmiechu. — Dwa lata temu jakaś banda hippisów zagroziła, że nasypie LSD do miejskich wodociągów. Chcę tylko zobaczyć pańskie zezwolenie.

Ten gliniarz ma w oczach coś zimnego, twardego i morderczego — pomyślał Joe. — Coś

wykraczającego ponad normę. Facet jest wyjątkowy i to świństwo zadziała na niego w wyjątkowy sposób. Joe spojrzął na plakietkę

72

z nazwiskiem WATERHOUSE przypiętą do munduru. Kolejka za posterunkowym Waterhousem robiła się coraz dłuższa.

Wreszcie odszukał dokument, w który wyposażył go Malaklipsa. Wręczył papier policjantowi, który zerknął na niego i powiedział:

— To nie wystarczy. Pan najwyraźniej nie uprzedził kogo należy, że ma zamiar ustawić się na Pioneer Court. Tu blokuje pan ruch pieszy. To ruchliwy teren. Musi się pan przenieść.

Joe popatrzył na ulicę, po której tam i z powrotem przechodziły tłumy ludzi, na most nad zieloną, pełną smarów rzeką Chicago i budynki otaczające Pioneer Court. Na brukowanym ceglami placu miejsca wyraźnie starczało dla wszystkich. Joe uśmiechnął się do Waterhouse'a. Znajdował się w Chicago i wiedział, jak postępować. Wyjął z kieszeni banknot dziesięciodolarowy, złożył go wzdłuż i owinął wokół kubka, który zręcznie napełnił sokiem z plastikowego dzbanka. Waterhouse wypił sok bez komentarza, a kiedy ciskał kubek do kosza na śmieci, banknotu na nim już nie było.

Przed stołem stała kolejka złożona z łysawych, rozgda-kanych małomiasteczkowych biznesmenów. Każdy z nich miał przypiętą do piersi plakietkę z czerwonym krzyżem Krzyżowców, literami RCZW i słowami: „Dominus Vobi-

scum! Nazywam się-----." Uśmiechnięty Joe rozdawał

im wszystkim kubki z sokiem. Zauważył, że klapy niektórych zdobi dodatkowo kwadratowy, biały krzyżyk z literami CL. Joe wiedział, że każdy z nich z ochotą wpakowałby go do więzienia na resztę życia, ponieważ był wydawcą radykalnego czasopisma, które niejednokrotnie nawiązywało bardzo dosadnie do spraw seksu i kilkakrotnie publikowało erotyki, zdaniem Joego, wyjątkowo piękne. Krążyły pogłoski, że to właśnie Rycerze Chrześcijaństwa Zjednoczonego w Wierze podłożyli bomby w dwóch teatrach na Środkowym Zachodzie i zlinczowali pewnego

reportera w Alabamie. No i oczywiście byli bardzo blisko związani z Bożym Gromem, partią Atlanty Hope.

AUM zadziała bardzo silnie na tę bandę, pomyślał Joe. Był ciekaw, czy pozbawi ich cenzorskich odpałdów, czy raczej staną się jeszcze groźniejsi. W każdym przypadku, na pewno na jakiś czas wyrwą się spod władzy Illumina-tów. Gdyby jeszcze istniał jakiś sposób, żeby jemu i Simonowi udało się wślizgnąć na ich zjazd i zaaplikować AUM większym rzeszom...

Za oddziałem RCZW stał niski człowieczek przypominający koguta z szarym grzebieniem. Gdy Joe przeczytał później formularz, dowiedział się, że podał AUM sędziemu Kaliguli Bushmanowi, gwiazdzie chicagowskiego sądownictwa.

Potem przewinął się rząd twarzy, których Joe nie uznał za godne zapamiętania. Wszystkie cechował ten sam skomplikowany, głupawy, przebiegły, wściekły, przybity, cyniczny, naiwny wyraz, charakterystyczny dla mieszkańców Chicago, Nowego Jorku i innych wielkich miast. W pewnym momencie stwierdził, że wpatruje się w wysoką, ryżą piękność, której twarz wydawała się łączyć najlepsze elementy urody Elizabeth Taylor i Marilyn Monroe.

— Jest w tym jakaś wódka? — spytała.

— Nie, proszę pani, tylko zwykły sok pomidorowy — odparł Joe.

— To niedobrze — odparła, odrzucając puste naczynie. — Chętnie bym się napiła.

Kaligula Bushman, znany jako najsurowszy sędzia chicagowskiego trybunału, wymierzał sprawiedliwość sześciu ludziom, których oskarżono o zaatakowanie komisji poborowej, zniszczenie wszystkich mebli, podarcie akt i wywalenie na podłogę całej taczki krowiego łajna. Mniej więcej w połowie prezentacji aktu oskarżenia Bushman zniemacka przerwał rozprawę, obwieszczać, że ma zamiar zarządzić przesłuchanie w sprawie ustalenia poczytalności oskarżonych. Ku ogólnemu zaskoczeniu, zadał następnie

74

prokuratorowi stanowemu, Milo A. Flanaganowi, serię dość zagadkowych pytań:

— Co pan myśli o człowieku, który nie tylko trzymał swój arsenał w domu, lecz również kosztem ogromnych nakładów finansowych gromadził drugi arsenał, za pomocą którego pragnął ochronić ten pierwszy? Co by pan powiedział, gdyby«ten człowiek tak zastraszył swych sąsiadów, że oni z kolei musieliby gromadzić broń, aby się przed nim zabezpieczyć? A jeśli ten człowiek wydał dziesięć razy więcej pieniędzy na swoją kosztowną broń niż na wykształcenie własnych dzieci? A gdy jedno z tych dzieci krytykowało jego hobby, nazwał je zdrajcą, nicponiem i wydziedziczył? I wziął inne dziecko, które było mu posłuszne, uzbroił je i wypuścił w świat, żeby atakowało sąsiadów? Co by pan powiedział o człowieku, który zatruwa wodę, którą pije, i powietrze, którym oddycha? A ponadto

nie tylko toczy wojnę z mieszkańcami swej dzielnicy, lecz również angażuje się w cudze waśnie w odległych częściach miasta, a nawet na przedmieściach? Taki człowiek to bezspornie paranoidalny schizofrenik, panie Flanagan, cechujący się morderczymi skłonnościami. Tego człowieka powinno się oczywiście sądzić, tyle że zgodnie z naszym nowoczesnym, oświeconym systemem prawnym będziemy się raczej starali go wyleczyć i zrehabilitować, zamiast tylko karać.

— Jako sędzia — kontynuował — oddalam skargę z kilku przyczyn. To państwo jako jednostka prawna pogrążyło się w stanie klinicznego obłądzenia i jest absolutnie nie przystosowane do aresztowania, sądenia i penalizacji tych, którzy nie zgadzają się z jego polityką. Wątpię jednak, czy taka opinia, mimo iż oczywista dla każdego człowieka obdarzonego zdrowym rozsądkiem, do końca pasuje do reguł naszej amerykańskiej zabawy w prawo. Orzekam ponadto, w związku z powyższym, że prawo do niszczenia własności rządowej jest gwarantowane przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji USA, a zatem zgodnie z konstytu-

75

cją przestępstwo, o które oskarżono tych ludzi, nie jest przestępstwem. Własność rządowa należy do całego narodu i prawo każdego z tych ludzi do wyrażenia niezadowolonia z działalności rządu poprzez niszczenie własności rządowej jest prawem najwyższym i nienaruszalnym.

Ta interpretacja wpadła sędziemu Bushmanowi do głowy zupełnie nagle, gdy wygłaszał przemowę, nie założywszy wcześniej togi. Zdziwił się i jednocześnie spostrzegł, że tego popołudnia jego umysł pracuje lepiej i szybciej.

Mówił więc dalej:

— Państwo nie istnieje tak, jak istnieje jakaś osoba albo rzecz, lecz jest prawną fikcją. Fikcja to forma komunikacji. Wszystko, co jest poczytywane za formę komunikacji, musi być zatem samo w sobie formą komunikacji. Rząd jest mapą, a rządowa gazeta jest mapą mapy. Zawartość jest w tym przypadku bez wątpienia informacją, z czym zgodzi się każdy semantyk. Go więcej, każdy akt fizyczny skierowany przeciwko komunikacji jest sam w sobie komunikacją, mapą mapy mapy. Dlatego właśnie Pierwsza Poprawka gwarantuje prawo do destrukcji własności państwowej. Wydam bardziej obszernie, pisemne oświadczenie w tej kwestii, natomiast w danej chwili uważam, iż pozwanych nie powinno się narażać na dalsze cierpienia. Skarga zostaje oddalona.

Wielu widzów spochmurniało i wyszło gromadnie z sali rozpraw, natomiast ci związani z pozwanymi otoczyli ich ze łzami, śmiechem i uściskami. Sędzia Bushman, który zszedł z podium, ale pozostał na sali, łaskawie dopuścił do siebie grupkę dziennikarzy. (Właśnie dochodził do wniosku, że jego orzeczenie będzie mapą mapy mapy względnie mapą czwartego rzędu. Ileż w tym się kryło dalszych potencjalnych nakazów symbolizmu! Ledwie słyszał zasypujące go pochwały. Naturalnie, zdawał sobie sprawę, że jego orzeczenie będzie obalone, ale i tak już go znudziło sędziowskie rzemiosło. Interesująco byłoby zająć się matematyką, tak naprawdę, na poważnie).

76

Harold Canvera nie raczył wypełnić formularza i dlatego nikt go ani nie obserwował, ani nie chronił. Wrócił do domu, do swego zawodu księgowego i ulubionego sposobu spędzania wolnego czasu, czyli nagrywania telefonicznych odezwo, skierowanych przeciwko Iluminatom, komunistom, socjalistom, liberałom, rzecznikom umiarkowanych poglądów oraz wszystkim niedostatecznie konserwatywnym republikanom. (Pan Canvera wysyłał także ulotki o podobnej treści do wszystkich, którzy, zaintrygowani jego telefonicznymi przesłaniami, zechcieli mu przysłać dwadzieścia pięć centów w zamian za dodatkowe informacje. Wykonywał te cenne usługi edukacyjne w imieniu ugrupowania, które przyjęło nazwę Konserwatywni Rycerze Opozycją Czerwonego Ekstremizmu, będąc jednocześnie odłamek Podatników Wojujących z Tyranią, którzy z kolei byli odłamek Bożego Gromu). Jednak w ciągu następnych tygodni w telefonicznych odezwoch Canvery zaczęły się pojawiać zadziwiająco nowe idee.

„Redukcja podatków nie wystarczy — powiedział na przykład. — Strzeżcie się, gdy uslyszyicie, że jakiś tak zwany konserwatysta z frakcji Birchera względnie któryś z wyznawców Williama Buckleya Juniora wzywa do redukcji podatków. Wzywa was człowiek, który uległ presji Iluminizmu. Wszystkie podatki to złodziejstwo. Zamiast atakować Joan Baez, prawdziwy Amerykanin powinien poprzeć jej odmowę wpłacania dalszych pieniędzy do skarbcza Iluminatów w Waszyngtonie.”

Następny tydzień okazał się jeszcze bardziej interesujący: „Konserwatywni Rycerze Opozycją Czerwonego Ekstremizmu często wam mówili, że nie istnieje rzeczywista różnica między demokratami i republikanami. I jedni, i drudzy są pionkami w spisku Iluminatów, mającym na celu zniszczenie własności prywatnej i zamienienie wszystkich w niewolników państwa, tak, by właściciele międzynarodowych banków, tworzący grupę mniejszościową, mogli mieć nad wszystkim władzę. Najwyższy czas, by

wszyscy myślący patrioci przyjrzeni się bardziej niż kiedykolwiek sceptycznie tak zwanemu antyiluminackiemu Towarzystwu im. Johna Birchera. Dlaczego oni zawsze noszą te plakietki o treści: «Wspierajcie waszą lokalną policję»? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawialiście? Co jest najważniejsze dla państwa policyjnego? Czy nie policja? A gdybyśmy się pozbyli policji, to skąd mielibyśmy państwo policyjne? Pomyślcie o tym, drodzy rodacy i przypomnijcie sobie Alamo!"

Kilka tych nowych, dziwnych koncepcji pochodziło z rozmaitych prawicowych periodyków anarchistycznych (potajemnie subsydiowanych przez Hagbarda Celine'a), które Canvera w jakiś tajemniczy sposób otrzymał trzy miesiące wcześniej i nawet na nie nie zerknął, dopóki nie napił się AUM-u. Periodyki przysłał mu w charakterze żartu Simon Moon, były zapakowane w kopertę z adresem zwrotnym: Illuminati International, 34 East 68th Street, New York City, gdzie mieściła się siedziba Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, od dawna uważanej przez bircherowców za gniazdo Iluminatów. Hasło „Pamiętajcie o Alamo” Canvera znalazł w *Bowie Knife*, publikacji Stowarzyszenia im. Dayj^ego Crocketta — paramilitarnego, prawicowego ugrupowania faszystowskiego, które odłączyło się od Bożego Gromu, gdy jego przywódca, teksaski milioner naftowy, cierpiący na gigantyczną paranoję, nabrał przekonania, że wielu rzekomych Meksykan to w rzeczywistości agenci czerwonych Chin w przebraniu. Później ten dogmat nabrał mocy retroaktywnej i przywódca ów twierdził odtąd, że Chińczycy zawsze byli komunistami, że wszyscy Meksykanie zawsze byli Chińczykami i że szturm na Alamo był pierwszą komunistyczną napaścią na amerykański kapitalizm.

Szczególnie godny uwagi był trzeci tydzień. AUM, podobnie jak LSD, najwyraźniej zmieniał niektóre cechy osobowościowe, pozostawiając inne w zasadzie nietknięte; dość powiedzieć, że Canvera, w swej chaotycznej ewolucji

od prawicowego autorytaryzmu do prawicowego libertariaizmu, w jakiś sposób dotarł do tezy, której nikt dotychczas nie sformułował z wyjątkiem Donatiena Alphonse Francois de Sade'a. I tak ów niepospolity człowiek zaczął wygłaszać trzyminutową odezwę broniącą praw każdej osoby, obojętnie jakiej płci, do wykorzystywania drugiej osoby, obojętnie jakiej płci, za jej zgodą lub bez niej, w celu zaspokojenia seksualnego wszelkiego rodzaju, także tego najmniej pożądanego. Jedynym wyborem, jaki Canvera pozostawiał podmiotom tychże intymnych inwazji, było zwrotne prawo do wykorzystania inicjatora dla spełnienia własnych potrzeb lub pożądań. Większość ludzi regularnie korzystających z telefonicznych usług Canvery nie czuła się zgorzozona tym wszystkim; byli to hippisi z Lincoln Avenue, którzy dzwonili do niego tylko wtedy, gdy się nawalili, chcąc osiągnąć „naprawdę mocny, zajebisty odlot” i czuli się nawet znudzeni, bo nie był już taki zabawny jak za dawnych czasów, gdy polował na Murzynów, nienawidził Żydów i chciał karać Iluminatów. Znalazło się jednak paru takich członków Konserwatywnych Rycerzy Opozycją Czerwonego Ekstremizmu, którzy od czasu do czasu dzwonili do Canvery, sprawdzając, jak postępuje szerzenie idei prawdziwego amerykańizmu, finansowane z ich własnych kieszeni, i ci ludzie poważnie się teraz zakłopotali oraz zaniepokoiili. Niektórzy z nich pisali nawet do kwatery KROCZE'a mieszczącej się w Mad Dog, w stanie Teksas, skargi, że w idei amerykańizmu pobrzmiwają ostatnimi czasy jakieś dziwaczne nuty. Jednakże prezes KROCZE'a, dr Horace Naismith, który kierował również Stowarzyszeniem John Dillinger Umarł za Ciebie, Weteranami Rewolucji Seksualnej oraz Fundacją Kolosa z Yorba Linda, niestety działał w tej organizacji jedynie dla pieniędzy i nie miał czasu na takie drobiazgi. Był zanadto zajęty realizacją swego najnowszego pomysłu na zebranie funduszy, pod szyldem Męskiej Akcji Ceniących Honor (MACHO), licząc, że w ten sposób wydoi *mu-*

cho denaros od Russa Meyersa, zwolenników nielegalnych aborcji, alfonsów, przemysłowców płacących robotnikom trzydzieści procent wynagrodzenia, jakie dostawali za identyczną pracę mężczyźni, oraz od wszystkich innych osób zagrożonych przez Women's Liberation Movement.

Czwarty tydzień był, mówiąc szczerze, skończenie dziwaczny. Canvera wygłaszał dłuższe przemówienia na temat zaginionej cywilizacji, która niegdyś istniała na pustyni Gobi, i demaskował ludzi pokroju Briona Gysina, którzy wierzyli, iż owa cywilizacja zniszczyła samą siebie w wojnie atomowej. Canvera zapewniał w swoich przemowach, iż została ona raczej skasowana po tym, jak z planety Vulcan przybyły na Ziemię latające spodki Ilumina-tdw. Hasło „Pamiętajcie o Alamo” zostało teraz zastąpione przez „Pamiętajcie o Carcosie”, bowiem Canvera uznał, że zarówno Ambrose Bierce, jak i H.P. Lovecraft opisali w swej fikcji owo tragiczne gobijskie społeczeństwo. Hippisi znowu popadli w zachwyt — to była ta fantastyczna odmiana odlotu, dzięki któremu Canvera pierwotnie uchodził wśród nich za karykaturę bohatera ludowego — szczególnie spodobał im się apel do rządu Stanów Zjednoczonych, by zaniechał następnej wyprawy na Księżyc, a w zamian wysłał ekspedycję

karną na planetę Vulcan, w celu dokonania destrukcji iluminizmu u samego źródła, a także pomszczenia nieszczęsnej Carcosy. Natomiast wśród kadr KROCZE'a znowu zapanował niepokój; całe to zainteresowanie Carcosą zostało przyjęte jako przejaw pełzającego jednoświatyzmu.

W piątym tygodniu Canvera uległ kolejnej przemianie, oskarżył masy o głupotę i obwieścił, że są to same matole, które chyba zasługują na to, by rządili nimi Iluminaci, ponieważ w swej durnocie nie potrafią odnaleźć własnego tyłka w ciemnym pokoju, nawet przy użyciu obydwu rąk. Przedtem przewertował tom pism H.L. Menckena (który rok wcześniej przysłał mu El Haj Stackerlee Mohammed, urodzony jako Pearson, po jednej z tyrad Canvery na te-

80

mat przywrócenia modlitw w szkołach publicznych), zastanawiał się także nad zaproszeniem do wstąpienia w szeregi Iluminatów. W tym zaproszeniu, przysłanym mu w kopercie bez adresu zwrotnego, informowano go, że jako człowiek kuty na cztery nogi nie powinien przez całe życie przestawać z przegrywającymi i że musi przyłączyć się do strony wygrywającej, zanim będzie za późno. Dokument powiadał go ponadto, że opłata członkowska wynosi 3125 dolarów, które należy włożyć do pudełka po cygarach i zakopać na podwórku z tyłu domu, a także obiecywał, że Jeden z naszych podziemnych agentów skontaktuje się z panem". Canvera z początku uznał, że to jakiś kawał — otrzymywał pocztą wiele takich przesyłek z obrazkami pornograficznymi, ulotkami Różokrzyżowców, zdobionymi symbolem oka w piramidzie, i listami od fałszywych fanów, podpisujących się jako Eldridge Cleaver, Fidel Castro, Anton Szandor Levay albo sędzieja Crater, a wszystko to naturalnie prokurowało jego audytorium z Lincoln Avenue. Potem jednak dotarło do niego, że 3125 to pięć do potęgi piątej, więc nabrał przekonania, że pragnie nawiązać z nim kontakt jakiś Prawdziwy Iluminat. Pobrał więc 3125 dolarów ze swego konta, zakopał je zgodnie z instrukcją, nagrał proiluminacką odezwę, zapewniając o swej dobrej wierze, i czekał. Następnego dnia został kilkakrotnie postrzelony, w głowę i ręce — w wyniku czego zmarł.

(Na powrót w teraźniejszości Rebecca Goodman wchodzi do westybulu hotelu „Tudor”, odpowiadając na drugi tajemniczy telefon, który odebrała tego dnia, Hagbard stwierdza, że George Dorn potrzebuje głębszego oświecenia przed Ingolstadt, natomiast Esperando Despond chrząka i mówi: — Ludzie, chcę wam wytłumaczyć, jaka jest matematyka zarazy...)

Śmierć biednego, starego Canvery nie miała w rzeczywistości żadnego związku z Iluminatami ani jego rodakami należącymi do KROCZE'a. Człowiek ów uprawiał filo-

81

zofię libertariańską w swoich post-AUM-owskich telefonicznych wstępniakach, a ponadto dobierał się do Cassandry Acconci, ukochanej córki Ronalda Acconciego, przywódcy Bożego Gromu w regionie Chicago i długoletniego sponsora RCZW. To Acconci postarał się, za pośrednictwem Milo A. Flanagan, by lokalna mafia stuknęła Canverę. Jednakże cała sprawa nie zakończyła się w tym momencie, podobnie jak nie miała wyraźnych początków, okazało się bowiem później, że nasienie Canvery nadal żyje, zaślubione z jajem Cassandry, i że grozi mu niebezpieczeństwo przekształcenia się w ludzką istotę w jej wcześniej niepokalanym łonie.

Saul Goodman nie miał pojęcia, że pokój, który zajął, uprzednio wynajmowano George'owi Dornowi; czuł tylko wzbierające w nim zniecierpliwienie, bo nie wiedział, że Rebecca znajduje się właśnie w windzie zbliżającej się do jego piętra... A oddalony o jedną milę na północ Peter Jackson, który nadal usiłuje, praktycznie samodzielnie, złożyć do druku lipcowy numer „Konfrontacji”, zagłębia się w stercie gówna (takiej eleganckiej nazwy używano w przemyśle prasowym na określenie nie zamówionych rękopisów) i znajduje kolejne osady pozostałe po projekcie AUM, autorstwa Moona-Malika z 1970 roku. Ortodoksyjna nauka: Nowa religia — czyta. Cóż, przyjrzyjmy się temu, no bo co w końcu? Otworzył na chybił trafił, dowiaduje się, że:

Ponadto einsteinowska koncepcja sferycznej przestrzeni zawiera ten sam błąd co koncepcja idealnie, czy też doskonale sferycznej Ziemi: jest oparta na zastosowaniu tej samej irracjonalnej liczby. Liczba ta nie posiada definicji technicznej, nie ma takiego miejsca na skali żadnego przyrządu pomiarowego, które można by wskazać i powiedzieć: „To właśnie jest n ”, jakkolwiek na owych skalach zamieszka się bałamutnie taki punkt. Faktem jest, że liczby tej nie można znaleźć

82

w świecie rzeczywistym, a ponadto istnieją historyczne i archeologiczne powody, by mniemać, iż została ona wymyślona przez pewnego greckiego matematyka, znajdującego się pod wpływem wypaczającego umysł, halucynogennego grzyba *amanita muscaria*. To czysty surrealizm. Nie da się zapisać n jako liczby rzeczywistej, można jedynie ją określić w przybliżeniu jako 3,1417... itd. W chemii takie jednostki nie są znane: trzy atomy jednego pierwiastka mogą się łączyć z czterema

atomami innego, nigdy jednak nie da się znaleźć n atomów łączących się z czymkolwiek. Fizyka kwantowa dowodzi, że elektron może przeskakiwać trzy, względnie cztery stany, nie przeskoczy natomiast 7t stanów; nie jest też wcale niezbędne w geometrii, jak to się czasami twierdzi; R. Buckminster Fuller stworzył cały system geometryczny co najmniej równie wiarygodny jak system stworzony przez narkomanów ze starożytnej Grecji, i n bynajmniej w nim nie występuje. A zatem, przestrzeń może być ukośna albo zniekształcona na rozmaite sposoby, nie może jednak być idealnie sferyczna...

— A cóż to za poronione wypociny? — powiedział na głos Peter Jackson. Szybko przeleciał wzrokiem na sam koniec tekstu:

Na zakończenie pragnę podziękować temu zdumiewającemu i niezwykle człowiekowi, Jamesowi Mal-lisonowi, za to, że dostarczył bodźca, dzięki któremu zacząłem myśleć o tych sprawach. W rzeczy samej dzięki memu spotkaniu z panem Mallisonem sprzedałem swój sklep z towarami żelaznymi, powróciłem na uczelnię i podjąłem studia z zakresu kartografii i topologii. Mimo iż był to fanatyk religijny (podobnie jak ja wtedy, gdy się poznaliśmy), a zatem nie pochwaliłby z pewnością wielu moich odkryć, to właśnie dzięki owym

83

przekornym, osobliwym, a przy tym błyskotliwym, zachętom ze strony tego człowieka, podjąłem badania, które doprowadziły do powstania powyższej, nowej teorii pentahedralnego Wszczęświata.

W. Clement Cotex, doktor filozofii

— Zdrowy odpał — mruknął Peter. Joe Malik używał czasem ksywki James Mallison, a tu się pojawił jakiś inny James Mallison, który namówił tego faceta, by zdobył tytuł doktora filozofii i wymyślił nową teorię kosmologiczną. Jakiego to słowa używał Joe w takich przypadkach? Synchron- tam...

(— 1472 — kończy Esperando Despond swe ponure obliczenia. — Tyle być może w południe wyniosła liczba ofiar zarazy, jeżeli ta dziewczyna kontaktowała się tylko z dwiema osobami po wyjściu od doktora Mocenigo. A jeśli tych osób było trzy...

Karki zgromadzonych przed nim agentów FBI stopniowo przybierają białozielonkawą barwę. Dwie przecznice dalej, Carmel, jedyny kontakt, pracowicie upycha pieniądze do aktówki).

— *To on!* — krzyknęła z przejęciem pani Edwardowa Coke Bacon, zwracając się do Basila Bangharta, innego agenta, w jednym z waszyngtońskich biur FBI. Wskazuje fotografię Alberta „Nauczyciela” Sterna.

— Proszę pani — mówi uprzejmie Banghart — to nie może być on. Nie wiem nawet, dlaczego jego zdjęcie jeszcze znajduje się w aktach. To jest nie notowany ćpun, który kiedyś trafił na naszą listę najbardziej poszukiwanych, ponieważ przyznał się do popełnienia morderstwa, mimo że wcale go nie popełnił.

W Cincinnati pewien artysta z FBI kończy rysować portret pamięciowy na podstawie wskazówek wdowy po zamordowanym monterze, pracującym w telewizji: wyłaniająca się stopniowo twarz zabójcy łączy w sobie najroz-

84

maitsze cechy Vincenta „Wściekłego Psa” Colla, George’a Dorna oraz gldwnego wokalisty Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego, zespołu, który wsiada właśnie do samolotu na Międzynarodowym Lotnisku im. Kennedyego, udając się na koncert w Ingolstadt. Rebecce Goodman, jadącej windą w hotelu „Tudor”, przypomina się przelotnie koszmar wyśniony ubiegłej nocy: Saul, do którego strzela ten właśnie wokalista, ubrany w czerwono-biały mnisi habit, i króliczek z „Playboya” tańczący przed gigantyczną piramidą. W Princeton, w stanie New Jersey, fizyk nuklearny Nils Nosferatu — jeden z nielicznych ocalałych po porannych strzelaninach — bełkocze w obecności detektywa i policyjnego protokolanta, siedzących obok niego na łóżku: „Tlalock to syf. Nie można im ufać. To tego kurdupła trzeba się strzec. Na pewno damy się ruszyć z miejsca, gdy potraktują nas gazem łzawiącym. Zabawa to zabawa. Omega. To brat George’a pierwszy poznał delfiny i to na ten psychiczny haczyk dał się złapać George. Ona stoi pod drzwiami. Jest pogrzebana na pustyni. Wszelkie dewiacje spowodują zakończenie. Zjednoczcie siły. To wy pilnujecie tego przewodu. Ja sprowadzę Marka.” — Muszę zacząć mówić ci prawdę — powiedział z wahaniem Hagbard, w chwili, gdy Kurdupel, Carmel i doktor Horace Naismith wpadli na siebie przed hotelem „Piaski” („Patrz kurwa, jak łazisz” — warknął Carmel), a ona stanęła pod drzwiami, z łomoczącym sercem, z przecuciem rodzącym się w umyśle, zapukała (a Peter Jackson zaczął dzwonić do Epicene Wildeblooda) była tego pewna i bała się tej pewności, bo mogła się mylić, a Kurdupel powiedział do doktora Naismitha: „Wyjątkowo chamski skurwiel, prawda?” i drzwi otworzyły się, i otworzyły się

drzwi Milo A. Flanagan przed Cassandrą Acconci, serce jej zamarło, a doktor Nosferatu krzyknął przeraźliwie: „Te drzwi. Ona stoi w drzwiach. Drzwi na pustyni. Ona je Karmelka” i to był on, a ona wpadła w jego ramiona, płacząc, śmiejąc się i pytając:

85

— Gdzie byłeś, najukochańszy?

Saul zamknął za nią drzwi i wciągnął ją do pokoju.

— Nie jestem już gliną — oświadczył. — Przeszedłem na drugą stronę.

— Co takiego? — Rebecca zauważyła jakiś nowy wyraz jego oczu, coś, czego nie potrafiła określić żadnym słowem.

— Możesz się przestać martwić, że znowu zaczniesz ćpać — ciągnął wesołym tonem. — A jeśli kiedykolwiek bałaś się fantazji seksualnych, to przestań się bać. Wszyscy je mamy. Bernardyny!

Ale nawet to nie było takie dziwne, jak ten nowy wyraz jego oczu.

— Kochanie — powiedziała. — Kochanie. O co w tym wszystkim chodzi?

— Kiedy miałem dwa lata, chciałem uprawiać seks z własnym ojcem. A kiedy ty wpadłaś na ten pomysł z bernardynem?

— Kiedy miałam jedenaście albo dwanaście lat, tak mi się wydaje. Tuż przed pierwszą miesiączką. Mój Boże, ty musiałeś zajść znacznie dalej, niż sobie wyobrażałam. — Zaczynała już identyfikować ten nowy wyraz. To nie była inteligencja — ją zawsze miał. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jest to coś, co starożytni nazywają mądrością.

— Zawsze sobie wyobrażałem, że robię to z czarnymi kobietami, tak jak ty z czarnymi mężczyznami — ciągnął. — Myślę, że wszyscy w tym kraju mają taki nawyk. Czarni też czują taki pociąg do nas. Wszedłem do jednej głowy, znakomitego czarnego faceta, muzyka, naukowiec, poety, milion talentów: białe kobiety były dla niego świętym Graalem. A ta twoja fantazja z udziałem Spiro Ag-new, ja tak samo marzyłem o Ilse Koch, tej hitlerowskiej suce, jeszcze przed twoimi narodzinami. W obu przypadkach to było to samo — zemsta. Nie prawdziwy seks, tylko seksualna nienawiść. Och, wszystkim nam odbija tak samo.

86

Rebecca cofnęła się i usiadła na łóżku.

— To za dużo, za szybko, boję się. Widzę, że mną nie gardzisz, ale, Boże, czy ja mogę żyć ze świadomością, że ktoś zna wszystkie moje tłumione pożądania?

— Możesz — odparł spokojnie Saul. — I mylisz się w kwestii czasu. Nie mogę poznać wszystkich tajemnic, maleńka. Poznałem ich tylko garstkę. Jest kilkunastu takich ludzi, którzy w taki sam sposób przeszli przez moją głowę i każdemu z nich mogę spojrzeć w oczy. Dzięki temu, co sam o nich wiem! — Zaśmiał się.

— Nadal za szybko — powiedziała Rebecca. — Znikasz, a potem wracasz, wiesz o mnie rzeczy, które ja sama znam tylko częściowo i nie jesteś już gliną... Co to znaczy, że przeszedłeś na „drugą stronę”? Do mafii? Do Mo-rituri?

— Nie — odparł radośnie Saul. — Znacznie dalej. Kochanie, zostałem doprowadzony do obłądzenia przez najlepszych specjalistów od prania mózgu na tym świecie i poskładany z powrotem przez komputer, który zajmuje się jednocześnie psychoterapią, przewidywaniem przyszłości i sterowaniem łodzią podwodną. Po drodze dowiedziałem się takich rzeczy na temat ludzkości i Wszechświata, że potrzebowałbym roku, żeby ci o nich opowiedzieć. A obecnie nie mam za wiele czasu, ponieważ muszę polecieć do Las Vegas. Za dwa albo trzy dni, o ile wszystko się uda, będę ci mógł pokazać, nie tylko powiedzieć...

— Czy ty w tej chwili czytasz w moich myślach? — spytała Rebecca, nadal przerażona i zdenerwowana.

Saul znowu się roześmiał.

— To nie takie proste. To wymaga lat praktyki, a nawet wtedy przypomina funkcjonowanie starego radiodbiornika, stale ulegającego zakłóceniom. Jeżeli teraz się „dostroję”, to złapię „błysk” tego, co się dzieje w twojej głowie, ale będzie to tak przemieszane z rzeczami, które w taki czy inny sposób wywołują mój rezonans, że nie będę wiedział, co pochodzi od ciebie.

87

— Zrób to — oświadczyła Rebecca. — Będę się czuła przy tobie znacznie swobodniej, jeśli pokazesz mi próbkę tego czegoś, czym się stałeś.

Saul usiadł obok niej na łóżku i ujął ją za rękę.

— Okay — powiedział z namysłem. — Zrobię to na głos, a ty się niczego nie bój. Jestem tym samym człowiekiem, kochanie, tylko teraz jest mnie po prostu więcej. — Zrobił głęboki wdech. — Zaczynam... Pięć milionów dolców. Nigdy się nie dowiecie, gdzie ją pogrzebałem. Tysiąc czterysta

siedemdziesiąt dwie. George, nie rób żadnych głupich ruchów. Zjednoczcie siły. Jedna pomocna dłoń zasługuje na pomoc drugiej. Żydowski lekarze z Nowego Jorku. Pamiętajcie o Carcosie! Przyjechali kowboje, każdy zrobił swoje. Oni wszyscy wracają. Położyć się na podłodze i zachować spokój. To Liga Narodów, Liga Narodów młodych ludzi. Jeden służył do walki, drugi do zabawy... Dobry Boże — urwał i zamknął oczy. — Złapałem całą ulicę i widzę ich wszystkich. Oni nadal śpiewają. „Powstałiśmy zbrojni, stawili się wszyscy, jesteście weteranami seksualnej rewoluuuuucji!” Co to, cholera, jest? — Spojrzał na nią i wyjaśnił: — To przypomina film na wieloczęściowym ekranie, tyle że tych części są tysiące i towarzyszą mu tysiące ścieżek dźwiękowych. Potrafię wyłowić tylko kilka przypadkowych fragmentów. To ważne, gdy wyskakuje coś takiego, jak ten ostatni fragment: założę się, że ta ulica znajduje się w Las Vegas i że ja sam będę nią szedł za kilka godzin. W każdym razie — dodał — nic z tego raczej nie pochodziło od ciebie. Prawda?

— Nie — odparła — ale jestem zadowolona. Do tego potrzeba pewnej zmiany orientacji. Gdy powiedziałaś, że za kilka dni będziesz mógł mi to pokazać, to znaczyło, że mi pokażesz, jak się to robi?

— Ależ ty to robisz. Każdy to robi. Cały czas.

— Ale?

— Ale na ogół są to zwykłe zakłócenia akustyczne. Mogę cię nauczyć, jak to lepiej wyczuwać.

Nauka skupia-

88

nia się, wybierania jednej osoby i jednego czasu, trwa całe lata, całe dziesiątki lat.

Rebecca wreszcie się uśmiechnęła.

— Najwyraźniej ty sam zaszedłeś przez półtora dnia wyjątkowo daleko.

— Choćby to było półtora roku — odparł szczerym tonem Saul — albo półtora wieku, to i tak zawsze starałbym się znaleźć drogę do ciebie.

Pocałowała go.

— Tak, to wciąż jesteś ty — wyszeptwała — tylko jest ciebie więcej. Powiedz mi: gdybyśmy obydwójce uczyli się tego przez wiele, wiele lat, to czy w rezultacie dotarlibyśmy do punktu, w którym obydwójce zawsze czytali byśmy nawzajem w swoich myślach, całkowicie do siebie dostrojeni?

— Tak — odparł Saul. — Zdarzają się takie stadła.

— Mhm. To bardziej intymne niż seks.

— Nie. To właśnie jest seks.

Pojęcie intymności dotarło do niej niczym szept z końca ciemnego korytarza i zrozumiała, że w głębi duszy już wie i zawsze wiedziała, co Saul jej zaraz wytłumaczy.

— Ci twoi nowi przyjaciele, którzy nauczyli cię tego wszystkiego — powiedziała cicho — daleko wyprzedzili Freuda, prawda?

— Bardzo daleko. O czym, na przykład, teraz myślę?

— Teraz jesteś napalony — uśmiechnęła się szeroko Rebecca. — Ale nie domyśliłam się tego na podstawie moich zakłóceń albo telepatii. Poznałam to po twoim oddechu, po tym szczególnym blasku w oczach i wszystkich innych drobnych wskazówkach, które kobieta uczy się wyłapywać. Po sposobie, w jaki się przysunąłeś, kiedy cię pocałowałam. Takie rzeczy.

Saul znowu wziął ją za rękę.

— Jak bardzo jestem napalony? — spytał.

— Strasznie. Prawdę mówiąc, stwierdziłeś już, że starczy ci czasu i że to jest ważniejsze od gadania...

89

Saul delikatnie dotknął jej policzka.

— A czy to rozpoznałaś na podstawie wskazówek kinetycznych, zakłóceń akustycznych czy może telepatii?

— Myślę, że to chyba te zakłócenia pomogły mi odczytać wskazówki...

Saul zerknął na zegarek.

— Dokładnie za pięćdziesiąt minut muszę się spotkać z Barneyem Muldoonem w hallu. Masz ochotę na wykład naukowy, kiedy będę cię posuwał? To perwersja, jakiej dotychczas nigdy nie próbowaliśmy.

Zsunął dłoń z jej policzka na szyję, potem zaczął rozpinać bluzkę.

(— W pańskim domu znajduje się fabryka bomb Mo-rituri — powiedziała beznamietnym głosem Cassandra Acconci. — Na siedemnastym piętrze. Nazwisko na przycisku domofonu brzmi tak samo jak pańskie.

— Mój brat! — zawył Milo O. Flanagan. — Tuż pod moim nosem! Ten nawiedzony peda!)

— Och, Saul. Och, Saul, Saul — Rebecca zamknęła oczy, gdy jego usta zacisnęły się na jej sutku... *Doktor Horace Naismith przeszedł przez hall „Piasków”, po drodze przypinając znaczek WSR do klapy swej marynarki i ponownie mijając Kurdupla...*

— Cóż — powiedział prokurator generalny do prezydenta — jednym z rozwiązań jest rozpieprzenie Las Vegas za pomocą bomby atomowej. Ale to nie rozwiąże problemu potencjalnych nosicieli, którzy mogli się już załapać na jakiś samolot i obecnie znajdują się w zupełnie innym, dowolnym miejscu tego kraju albo świata.

Prezydent popija trzy pastylki librium, tofranilu i ela-vilu, natomiast wiceprezydent pyta z namysłem:

— A gdybyśmy tak rozdali antidotum tylko członkom partii i skończyli z całą sprawą?

Bardziej niż zwykle czuje się mizantropem, po przerażającym wieczorze w Nowym Jorku, przeżytym za sprawą swej impulsywnej odpowiedzi na anons zamieszczony

90

w rubryce ogłoszeń towarzyskich, który tak bardzo poruszył jego serce...

(— Dziękuję ci, Cassandro — zapewnił ją żarliwie Milo A. Flanagan. — Jestem ci wdzięczny na wieki.

— Pomocna dłoń zasługuje na pomoc drugiej — odparła Cassandra, która nie zapomniała, że to Milo i Uśmiechnięty Jim Trepomena pomogli jej załatwić skrobankę, gdy ten dziad Canvera ją posiadał. Ojciec chciał ją wysłać do Nowego Jorku na legalne D&C, jednak Milo zwrócił mu uwagę, że dla niektórych ludzi będzie to niezły ubaw, gdy cdrka wysokiego przedstawiciela RCZW dokona oficjalnie aborcji. „Poza tym”, dodał Uśmiechnięty Jim, „nie chcesz chyba się zadawać z tymi żydowskimi lekarzami z Nowego Jorku. Mogą ci narobić paskudnych rzeczy. Zaufaj mi, synu, tu w Cincinnati mamy najlepszych w całym kraju, wykwalifikowanych specjalistów od nielegalnych aborcji”. Cassandra, prawdę mówiąc, zdradziła miejsce składu bomb Padre Pederastii, bo chciała rozzłościć Simona Moona, którego usiłowała wciągnąć do łóżka od czasu, gdy poznała go przed sześcioma miesiącami w kawiarni „Przyjazny Obcy”. Simona jednak ona nie interesowała, ponieważ miał obsesję na punkcie czarnych kobiet, które były jego świętym Graalem).

— Tu Wildeblood — w słuchawce rozległ się głos, charakterystyczny dla osoby wykształconej.

— Czy skończyłeś swój przegląd? — spytał Peter Jackson, miażdżąc kolejnego peta w popielniczkę i myśląc z niepokojem o raku płuc.

— Tak, będziesz zachwycony. Naprawdę rozdieram tych dwóch mędrków na kawałki. — W głosie Wildeblooda brzmiał entuzjazm. — Posłuchaj tego: „Dwóch braci Nietzsche w wieku przedszkolnym, którym się marzy psychodeliczny nadczłowiek”. I tego: „Chała zamiast akcji, papierowi bohaterowie i pozorna erudycja, niejednokrotnie ocierająca się o zwykły bluff.” A to cię zupełnie zwali z nóg, posłuchaj: „Nadużywanie wulgaryzmów w celu wy-

91

wołania szoku, aż w końcu czytelnik ulega takiemu samemu przygnębieniu jak mimowolny świadek kłótni handlarki ryb z nielegalnym połowiaczem homarów”. Czy też uważasz, że to będzie się cytowało na najlepszych przyjęciach tego sezonu?

— Niewykluczone. Ta książka to kompletny niewypał?

— O matko, masz moje słowo. Powiedziałem ci wczoraj — jest absurdalnie za długa. Całe trzy tomy. Nudna jak wszyscy diabli. Udało mi się ją tylko pobieżnie przejrzeć. Ale posłuchaj tego, drogi chłopcze: „O ile *Władca pierścieni* to bajka dla dorosłych, wytrawni czytelnicy szybko rozpoznają w tym monumentalnym poronieniu bajkę dla paranoików. Mowa tu o tej niedorzecznej spiskowej teorii dziejów, na której najwyraźniej opiera się cała intryga, o ile takowa w ogóle istnieje.” Ładnie ujęte, nie sądzisz?

— O, tak — przyznał Peter, wykreślając ze swojego notesu pozycję „Przegląd książek”. — Przyślij mi to. Zapłacę gońcowi.

Epicene Wildeblood odłożył słuchawkę i wykreślił ze swojego notesu pozycję „Konfrontacje”. Wybrał z kolei „Time” jako następną kwestię z listy i zabrał się za kolejną książkę, którą jego dewastujące mądrości miały unieśmiertliwić. Po koszmarnym wieczorze poprzedniego dnia bardziej niż zwykle poczuł się mizantropem. Gdy ktoś odpowiedział na jego anons o „zainteresowaniu grecką kulturą”, ogarnął go dreszcz podniecenia. Pomyślał o tym nieznanym durniu, którego miał zawojować; niestety, okazało się, że tym durniem jest wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, pragnący jedynie perorować na temat świetlanych osiągnięć junty wojskowej, która władała Atenami. Gdy Eppy, postradawszy już wszelką nadzieję na seks, próbował skierować rozmowę przynajmniej na Platona, wiceprezydent odparł: „Jest pan pewien, że był Grekiem? Ja mam wrażenie, że to jakieś makaroniarskie nazwisko.”

(Tobias Knight razem z dwoma innymi agentami FBI przepycha się obok Kurdupła, udając się na poszukiwanie kurew, które mogły być ubiegłej nocy z doktorem Moce-nigo, natomiast na zewnątrz pierwszego kontyngentu WSR, brygada Hugh'a M. Hefnera, dowodzona przez samego doktora Horacego Naismitha, maszeruje w takt pieśni: „Jesteśmy weteranami seksualnej rewolucji/ karabiny rozdano, sięgnęliśmy też po swe ostrza/ uzbrojeni po zęby, rozpoczęliśmy ostrzał/ walka trwała do świtu, nikt niewinny się nie ostał/ Jesteśmy weteranami seksualnej rewoluuuuucji!”).

Widzisz kochanie, wszystko toczy się wokół seksu, ale nie w tym sensie, o jakim myślał Freud. Freud nigdy nie rozumiał seksu. Prawdę mówiąc, mało kto rozumie seks, z wyjątkiem niektórych poetów. Każdy naukowiec, który zaczyna coś podejrzewać, trzyma usta na kłódkę, bo zdaje sobie sprawę, że zostałby pozbawiony prawa wykonywania zawodu, gdyby wyjawiał, co wie. Chodź, pomogę ci to odpiąć. To, co teraz czujemy, uważa się za napięcie, a to, co poczuje po orgazmie, jest uważane za odprężenie. Ach, jakież one piękne. Tak, wiem, że zawsze to powtarzam. Ale one są naprawdę piękne. Piękne, piękne, piękne. Mmmm. Mmmm. O tak, tak. Rób tak jeszcze chwilę. Tak. Napięcie? Co to ma wspólnego ze zmartwieniem, niepokojem albo czymkolwiek, co nazywamy napięciem? To popęd, nie żadne napięcie. Każe ci się wyładować, natomiast pod wpływem napięcia starasz się opanować. To są dwa skrajne przeciwieństwa. Och, przestań na chwilę. Pozwól, że ja to zrobię. Lubisz tak? Kochana, o tak, kochana. Ja też tak lubię. Jestem szczęśliwy, gdy dzięki mnie jesteś szczęśliwa. Widzisz, próbujemy przeniknąć do siebie przez skóry. Usiłujemy rozbijać te mury, mury, mury. Tak. Tak. Rozbijać mury. Napięcie próbuje podpierać mury, nie pozwala, by coś z zewnątrz dostało się do wnętrza. Jest przeciwieństwem. Och, Rebecca. Pozwól pocałować je raz jeszcze. Są takie śliczne. Śliczne, śliczne cycuszki. Mmm.

93

Mmm. Śliczne. I jakie one duże i okrągłe. Ach, stały ci i mnie też coś stoi. Lubisz, jak wszystko tak ładnie stoi, prawda? Chcesz, żebym wyjął palec i zaczął cię tam całować? Mój kochany, śliczny brzuszec. Mmm. Mmm. Kochanie, mmm. Mmmmm. Mmm. Boże, Boże. Nigdy przedtem nie miałaś orgazmu tak szybko, och, kocham cię. Jesteś zadowolona? Bo ja bardzo. Dobrze, ale tylko chwilę. O Boże, jak ja lubię patrzeć, jak to robisz. Uwielbiam ten widok, jak wsuwasz go do ust. O Boże, o Jezu, Rebecca, jak ja to uwielbiam. Tak, teraz wsadź go do środka. Malutki Saul wchodzi do środeczka. Czy malutka Rebecca go lubi? Wiem, wiem. Kochają się, prawda? Jak oni się kochają. Jaka ona ciepła, jak ona go miło wita. Ty też jesteś w środku mnie. To właśnie staram się powiedzieć. To moja przestrzeń. Jesteś w mojej przestrzeni, tak jak ja w twojej. To są przestrzenie, nie akt fizyczny. Tego właśnie boją się ludzie i właśnie dlatego są spięci w trakcie uprawiania seksu. Boją się, że ich przestrzenie się połączą. Bo to jest jednoczenie sił. Boże, nie mogę cały czas gadać. Jeśli zwolnimy, o tak, tak jest przyjemniej, prawda? Dlatego właśnie większość ludzi robi to tak szybko. Spieszą się, kończą akt fizyczny, by nikt nie zdążył wtargnąć do ich przestrzeni. Nigdy nie doświadczają tych przestrzeni, twierdzą, że to poezja, fikcja, gdy ktoś opisuje takie doświadczenie. Pewien naukowiec znalazł się na tym. Umarł w więzieniu. Opowiem ci o nim później. To wielkie tabu i wszyscy z niego wyrastają. To nie jest tylko sam seks, z którym oni usiłują walczyć. Jest w tym za wiele mocy, i dlatego nie są w stanie nic poradzić. To jest właśnie to. Tak kochanie. To. Zjednoczenie. To nadchodzi razem ze śmiercią, lecz oni usiłują to wykraść nawet wtedy. Z seksu to usuwają. Stąd fantazje. I rozwiązłość. To poszukiwanie. Czarni, homoseksualizm, nasi rodzice, ludzie, o których wiemy, że ich nienawidzimy, bernardyny. Wszystko. To nie żadne nerwice albo perwersje. To poszukiwanie. Rozpaczliwe poszukiwanie. Każdy pragnie uprawiać seks z wrogiem. Bo

94

widzisz, nienawiść także mobilizuje przestrzeń. Bo nienawidzić jest bezpieczniej niż kochać. Niebezpiecznie jest kochać. Boże, Boże jak ja cię kocham. Kocham cię. Jeszcze trochę, pozwól. Przytrzymuj ten ciężar na moich łokciach, obejmuj swój tyłek moimi dłońmi. Tak. Poezja nie jest poezją. Innymi słowy nie kłamie. To prawda, gdy mówię, że cię wielbię. Poza łóżkiem nie mogę tego powiedzieć. Normalnie mogę mówić tylko, że kocham. Słowo „wielbić” za bardzo przeraża. Niektórzy ludzie nawet w łóżku nie potrafią powiedzieć, że kochają. Poszukują, zmieniają partnerów. Nie potrafią powiedzieć: kocham. W ogóle tego nie czują. Kontrolują się. Nie możemy się o tym dowiedzieć, bo inaczej koniec gry. Jak się nazywają? Mają miliony imion. Mają na to monopol. Zachowują to dla siebie. Musieli to w nas odcisnąć jak pieczęć w celu zachowania kontroli. Żeby nas kontrolować. Żeby to zepchnąć do podziemia, w szum zakłóceń. Nic się nie może wydostać. Tak to właśnie. Tak to właśnie się odbyło. Kochanie. Najpierw represjonowali telepatię, potem seks. Stąd się wzięli schizofrenicy. Kochanie. Dlaczego to właśnie schizofrenicy uprawiają takie szaleństwa seksualne? Dlaczego homoseksualiści pakują się tak chętnie w okultyzm? Przełamują jedno tabu, żeby się zbliżyć do następnego. W końcu całkowicie rozbijają mur. Przechodzą na drugą stronę. Tak samo

jak my. A oni się na to nie godzą. Muszą nas rozdzielać. Schizmy. Wieczne podziały i schizmy. Biali przeciwko czarnym, mężczyźni przeciwko kobietom, wszyscy przeciwko wszystkim. Trzymają nas z dala od siebie. Nie pozwalają nam się połączyć. Z seksu robią wulgarny dowcip. Jeszcze kilka chwil. Jeszcze kilka. Twoje ucho, a w nim mój język. O Boże. Zaraz. Jak szybko. Cud. Całe społeczeństwo tak zorganizowane, żeby do tego nie dopuścić. Żeby zniszczyć miłość. Naprawdę cię kocham. Wielbię cię. Uwielbiam cię. Rebecca. Moja piękna. Rebecca. Oni nie chcą. Żebyśmy. Zjednoczyli. Siły. Rebecca. Rebecca. Rebecca.

95

ODLOT SIÓDMY albo NETZACH

(ZASADA SNAFU)

Z wszystkich Przeklętych Rzeczy najdogłębniej i naj-bezlitośniej wyklętą, zakazaną, wykluczoną, potępioną, przepędnoną, odepchniętą, zignorowaną, poskromioną, zrepresjonowaną, obrabowaną, pobitą i zniesławioną jest człowiek jako jednostka. Inżynierowie społeczni, statystycy, psychologowie, socjologowie, badacze rynku, właściciele nieruchomości, biurokraci, rekiny przemysłu, bankierzy, gubernatorzy, komisarze, królowie i prezydenci wiecznie wciskają tę Wyklętą Rzec do starannie opracowanych planów i wiecznie się wściekają, że nie pasuje ona do przypisanego jej otworu. Teolodzy nazywają ją grzesznikiem i próbują zreformować. Gubernator nazywa ją przestępcą i próbuje ukarać. Psychoterapeuta nazywa ją neurotykiem i próbuje wyleczyć. A mimo to ta Przeklęta Rzec nadal nie pasuje do ich otworów.

Nigdy nie gwizdź, kiedy sikasz. Hagbard Celine, H.M., S.H.

Kurdupel, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Mar-koff Chaney, nie był krewnym tych słynnych Chaneydw z Hollywood, niemniej ludzie stale dowcipkowali na jego temat. Nie dość, że był dziwołagiem według norm większości, złożonej z olbrzymów i kretynów, to jeszcze nosił nazwisko, które przypominało te wielkie, rozrośnięte cielska dwóch najsłynniejszych odtwórców kinowych gigan-to—potworów. Jeszcze przed ukończeniem piętnastu lat Kurdupel wyrobił w sobie odrazę do tej zwykłej ludzkości, która hamowała rozwój (nienawidził tego wyrażenia) pokrewnych sobie mizantropii Pawła z Tarsu, Klemensa z Aleksandrii, Swifta z Dublinu, a nawet Roberta Putneya Drake'a. Zemści się kiedyś, na pewno. Musiał się zemścić.

96

Na studiach (Antioch, Yellow Springs 1962) Markoff Chaney odkrył kolejny dowcip, jaki się krył w jego nazwisku, a okoliczności towarzyszące temu odkryciu były

— zważywszy na fakt, że Kurdupel miał się stać najtwardszym orzechem, jakiego Iluminatom kiedykolwiek przyszło zgryźć — odpowiednio synchroniczne. Stało się to podczas ćwiczeń z matematyki, a ponieważ było to Antioch, dwóch studentów, siedzących tuż za Kurdu-plem, ignorowało wykładowcę i dyskutowało na temat własnych zainteresowań intelektualnych; ponieważ było to Antioch, wyprzedzali oni o dobre sześć lat mody intelektualne obowiązujące gdzie indziej. Dyskutowali na temat etologii.

— Tak więc posiadamy te same instynkty, co nasi przodkowie wywodzący się z innych ssakdw naczelnych

— mówił jeden z tych studentów (pochodził z Chicago, nazywał się Moon i nawet w Antioch uważano go za walniętego). — Tylko że na to wszystko nakładamy kulturę i prawo. Dlatego jesteście rozdwojeni, kapujesz? Można powiedzieć — głos Moona zdradzał dumę z aforyzmu, właśnie sformułowanego — ludzkość to ustawowa mała.

— ...a ponadto — powiedział właśnie w tym momencie profesor, stary Fred „Świrus” Digits — gdy taki względny szereg pojawi się w jakimś przypadkowym procesie, otrzymujemy coś, co nosi nazwę Łańcucha Markoffa. Mam nadzieję, że pan Chaney nie będzie przez cały semestr torturowany dowcipami na ten temat, mimo że względny szereg jego obecności na ćwiczeniach istotnie stwarza wrażenie elementu procesu wybitnie przypadkowego.

Uczestnicy ćwiczeń ryknęli śmiechem i kolejna tona żółci została przelana do prowadzonego przez Kurdupla rejestru gówna, zawierającego listę ludzi, których przed jego śmiercią czekało zjedanie łajna.

Faktycznie, liczba jego nieobecności była wysoka, zarówno na matmie, jak i na innych ćwiczeniach. Bywały

97

takie dni, gdy zupełnie nie potrafił znieść towarzystwa olbrzymów i ukrywał się w swoim pokoju — rozkładówka „Playboya”, masturbacja, marzenia o milionach dojrzałych, młodych kobiet zbudowanych jak dziewczyny z „Playboya”. Tamtego jednak dnia „Playboy” na nic by się nie zdał, Kurdupel potrzebował czegoś pieprzniejszego. Lekceważąc następne ćwiczenia — antropologię fizyczną (zawsze znakomity pretekst do upokarzających momentów) — przebiegł przez David Street, mijając Atlantę Hope, nie zauważywszy jej, wpadł jak bomba do swojego pokoju i zamknął drzwi na łańcuch.

Pieprzyć starego Digitsa i pieprzyć matematykę, linie, kwadraty, przekątne, cały ten wymierny świat, w którym on uchodził za dziwaczny czynnik losowy. Raz na zawsze, wcale nie w wyobraźni, w głębi duszy, wypowiedział wojnę ustawowej małpie, prawu i porządkowi, przewidywalności, negaentropii. Stanie się czynnikiem losowym każdego równania: począwszy od tego dnia aż do śmierci będzie to wojna domowa — Kurdupel kontra liczby.

Wyjął talię pornograficznych kart do tarota, której używał, gdy chciał osiągnąć orgazm za pomocą wyjątkowo zajebistej wizji seksualnej, i potasował ją dokładnie. Zaczniemy od masturbacji Łańcucha Markoffa, pomyślał ze złowieszczym uśmiechem.

I tak, bez kontaktowania się z Legionem Dynamicznej Niezgody, Eryzyjskim Frontem Wyzwolenia albo samymi Prawowitymi Starożytnymi Mummu, Markoff Chaney rozpoczął swoją krucjatę przeciwko Iluminatom, nawet nie wiedząc, że oni istnieją.

Swoją pierwszą czynną akcję — swój, można powiedzieć, Fort Sumter — zorganizował w następną sobotę, w mieście Dayton. Wszedł właśnie do Domu Towarowego Nortona, należącego do tych wysławianych pod niebiosami sklepów z pięcio- oraz dziesięciocentowymi rabatami, i zobaczył tam wywieszkę:

98

ŻADEN SPRZEDAWCA NIE MOŻE OPUSZCZAĆ SWEGO STOISKA BEZ ZGODY KIEROWNIKA DZIAŁU

Dyrekcja

No proszę — pomyślał — to te biedne dziewczyny mają siusiać w majtki, jeśli nie znajdą kierownika? Przypomniały mu się szkolne lata („Czy mogę wyjść, proszę pana?”) i rytuały, które kiedyś wydawały się nonsensowne, a teraz w pewien złowieszczy sposób nabrały znaczenia. Matematyka, oczywiście. Próbowali nas wszystkich zredukować do przewidywalnych jednostek, robotów. Ha! Nie na darmo przesiedział cały semestr na intensywnym kursie profesora „Wykresa” Kell/ego, poświęconym te-kstualnej analizie współczesnej poezji. W następną środę Kurdupel ponownie przyszedł do domu towarowego Nor-tona i ukryty przy automacie do kawy czekał, aż wszyscy pracownicy wyjdą i zamkną sklep. Po chwili wywieszka została zdjęta, a na jej miejscu pojawiła się inna, subtelnie zmieniona:

ŻADEN SPRZEDAWCA NIE MOŻE OPUSZCZAĆ SWEGO STOISKA WZGLĘDNIE PODCHODZIĆ DO WYJŚCIA BEZ ZGODY KIEROWNIKA DZIAŁU

Dyrekcja

W ciągu następnych kilku tygodni pojawił się tam kilka razy — napis pozostał. Było tak, jak podejrzewał: w ramach sztywnej hierarchii nikt nie kwestionuje rozkazów, które pochodzą z góry, a ci na samym szczycie są tak odizolowani od realnej sytuacji pracowników, że nigdy nie sprawdzają, co się dzieje na dole. To łańcuchy komunikacji, nie środki produkcji, determinowały proces społeczny; Marks się pomylił, ponieważ nie dysponował cybernetyką, która mogła go oświecić. Marks przypominał

99

współczesnych mu inżynierów, którzy myśleli o elektryczności w kategoriach wykonywanej pracy, i dopiero Marconi pomyślał o niej w kategoriach przekazywanej informacji. Nic, co jest podpisane przez „Dyrekcję”, nie będzie nigdy kwestionowane, więc Kurdupel mógł się zawsze podawać za dyrekcję.

Jednocześnie zauważył, że pracownicy stali się bardziej nerwowi, kupujący to dostrzegali i sami robili się zrzędlivi, sprzedaż — jak poprawnie przewidział — zaczęła spadać. Wyjaśnienia należało szukać w poezji — poezji rozumianej na opak. Zinterpolowana przez niego fraza, ze swym niezgrabnym wewnętrznym rymem i niedorzecznością, nękała wszystkich, tyle że w ukrytym, podświadomym sensie. Niech badacze rynku i statystycy spróbują to rozgryźć za pomocą swoich komputerów i średnich.

Jego ojciec był akcjonariuszem Blue Sky Inc., firmy ogólnie uważanej za największy postrach Wielkiej Rady (produkowała ona urządzenia, które miały służyć do lądowania na planetach o niskiej grawitacji); dywidendy osiągnęły niebotyczną wysokość, gdy John Fitzgerald Kennedy zapowiedział, że Stany Zjednoczone wyślą człowieka na Księżyc jeszcze przed rokiem 1970. Dzięki temu Kurdupel miał przyznaną dożywotnią rentę, wynoszącą trzy tysiące sześćset dolarów rocznie, czyli trzysta dolarów miesięcznie. Dla jego celów to całkowicie wystarczało. Na pewno zemści się jak trzeba. Musiał się zemścić.

Wiodąc spartański tryb życia, często żywiąc się wyłącznie sardynkami i mlekiem z automatu, zawsze podróżując greyhoundami, Kurdupel niezmordowanie wędrował po całym kraju i umieszczał swe ulepszone, surrealistyczne napisy wszędzie, gdzie nadarzyła się okazja. Jego śladem zaczynała

powoli płynąć coraz bardziej wzburzona fala anarchii. Iluminaci ani razu go nie przyłapali: obdarzony ego zbyt małym, by dało się wykryć, spalał wszystkie swoje energie w Popędzie, niczym dyktator albo wielki malarz — ale, w odróżnieniu od dyktatora czy wielkiego

100

malarza, wcale nie pragnął, żeby go odkryto. Przez wiele lat Iluminaci przypisywali jego czyny Dyskordianom, PSM albo ezoterycznym EFW. Popłynęły Watts i padło Detroit; Birmingham, Buffalo, Newark, cała wielkowiejska Ameryka okryła się rozżarzonym kocem piknikowym, gdy w sklepach, pyszniących się swymi wywieszkami, zapłonęły napisy Kurdupła; sto tysięcy pomaszzerowało na Pentagon, a niektórzy z nich prdowali egzorcyzmować Demona (Iluminaci udaremniłi to w ostatniej chwili, przeszkadzając w utworzeniu kręgu); zjazd Demokratów odbył się za drutem kolczastym; w roku 1970 komisja senacka obwieściła, że tamtego roku podłożono trzy tysiące bomb, czyli około dziesięciu dziennie; do roku 1973 na każdej uczelni wyższej i we wszystkich większych miastach powstały ugrupowania Morituri; SLA dwukrotnie wracało; Atlanta Hope nie potrafiła niebawem zapanować nad Bożym Gromem, który zaczął uprawiać własną odmianę terroryzmu na wiele lat wcześniej niż przewidywały plany Iluminatów.

„Gdzieś występuje jakiś czynnik losowy” — wypowiedzieli się technicy na Międzynarodówce Iluminatów; „Gdzieś występuje jakiś czynnik losowy” — orzekł Hag-bard Celinę, odczytując dane z FUCKUP-a; „Gdzieś występuje jakiś czynnik losowy” — stwierdził rozmarzonym głosem Dealy Lama, przywódca EFW, zaczajony w swej podziemnej kryjówce pod Dealy Plaża.

Na zdradzieckich górskich drogach kłębi kierowcy, zdezorientowani tablicami o treści:

**ŚLISKA NAWIERZCHNIA PODCZAS OPADÓW MAKSYMALNA PRĘDKOŚĆ 50 MIL/
GODZ. NIEBEZPIECZEŃSTWO LAWIN NIE ŚMIECIĆ**

Ludzie uiszczali wysokie opłaty za wstęp, by się rozkoszować elegancją klubów, do których mogli należeć tyl-

101

ko biali, anglosascy protestanci, gdzie usługiwali kelnerzy tak wyszkoleni, że dorównywali nieomal swym snobizmem członkom klubu, po czym odczuwali lekki zawód na widok napisów ostrzegających ich:

**UPRASZA SIĘ O PILNOWANIE KAPELUSZY I PALT NIE ODPOWIADAMY ZA UTRATĘ
MIENIA**

ZARZĄD

W wolnych chwilach Kurdupel przeradzał się w elektronicznego czarodzieja. Piesi w całym kraju stawali niezdyscyplinowani na krawężnikach, gdy widzieli napis PRZECHODZIĆ i czerwone światło, a po chwili NIE PRZECHODZIĆ i zielone światło. Kurdupel rozwijał też zakres i zasięg swej działalności; potrafił spędzić całą noc przy kserokopiarce, a rankiem urzędnicy głowili się nad świeżo otrzymaną informacją:

1. Wszelkie podania o urlop należy przedkładać w trzech kopiach działowi kadr przynajmniej na trzy tygodnie przed planowanym urlopem.

2. Wszyscy pracownicy, którzy zmieniają swe plany wakacyjne, winni powiadomić dział kadr poprzez wypełnienie formularza nr 1472, Zmiana Planów Urlopowych, i przedłożenie go na trzy tygodnie przed zmianą planów.

3. Wszystkie plany urlopowe powinny być uzgadniane z kierownikiem działu i mogą ulegać zmianie, jeśli zakłócają plany urlopowe pracowników na wyższych stanowiskach i/lub z dłuższym stażem pracy.

4. Kierownicy działów mogą zawiadomić o takiej zmianie w dowolnym czasie, z zastrzeżeniem, że pracownik otrzyma zawiadomienie o zmianie z wyprzedzeniem czterdziestoosiogodzinnym lub wynoszącym dwa dni robocze, stosownie do danej sytuacji. (Pracownicy przekraczający Międzynarodową Linie Czasu, patrz formularz 2317).

102

5. Pracownikom nie wolno omawiać planów urlopowych z innymi pracownikami, względnie handlować preferowanymi datami.

6. Tych kilka prostych zasad winno w dużej mierze zapobiec niepotrzebnym zatargom i frustracjom pod warunkiem, że wszyscy pracownicy będą je stosowali. Dzięki temu wszyscy będziemy mieli przyjemne wakacje.

Dyrekcja

26 kwietnia tego roku, kiedy Iluminaci próbowali dokonać immanentyzacji eschatonu, Kurdupel cierpiał na rozmaite bóle, mdłości, plamy przed oczami, drętwienie nóg i zawroty głowy. Udał się do hotelowego lekarza i natychmiast po opisanu swoich dolegliwości został pośpiesznie zawieszony

zamkniętym samochodem do budynku, w którym od frontu mieścił się sklep z rytualnymi figurkami Indian Hopi, a od tyłu biuro CIA na Las Vegas. Zaczął już wtedy lekko majaczyć, usłyszał jednak, jak ktoś mówi: „Ha, więc wyprzedziliśmy FBI i Czyścicieli Szamba.” Potem dostał zastrzyk i poczuł się lepiej do chwili, gdy przy jego posłaniu usiadł jakiś siwowłosy mężczyzna o przyjaznym wyglądzie i spytał, kim była „ta dziewczyna”.

— Jaka dziewczyna? — mruknął gniewnie Kurdupel.

— Słuchaj, synu, wiemy, że byłeś z jakąś dziewczyną. To ona cię zaraziła.

— Czy to tryper? — zawołał w osłupieniu Kurdupel. Nie licząc pornograficznych kart do tarota, wciąż był prawiczkim (olbrzymki traktowały go obrzydliwie protekcyjnie, natomiast jego żeńskie odpowiedniczki nudziły go; gigantyzm był dla niego świętym Graalem, nigdy jednak nie miał odwagi, żeby się do takiej zbliżyć). — W ogóle nie wiedziałem, że tryper może być taki paskudny — powiedział, czerwieniąc się. Najbardziej w życiu bał się, że ktoś odkryje jego dziewictwo.

103

— Nie, to nie tryper — odparł uprzejmy mężczyzna (który ani trochę nie oszukiwał Kurdupla; wiedział, że jak nie uda mu się go przydusić, to przyślą tu kogoś nieprzyjemnego i brutalnego — miły gliniarz i wredny gliniarz, najstarsza sztuczka w tym biznesie). — Ta dziewczyna cierpiała na pewną, uh, rzadką chorobę, a my jesteśmy przedstawicielami Publicznej Służby Zdrowia USA.

Uprzejmy mężczyzna pokazał fałszywe dokumenty, by „udowodnić” to ostatnie stwierdzenie. Tere-fere — pomyślał Kurdupel.

— A teraz — ciągnął stary pierdziel przymilnym tonem — musimy ją odszukać i dopilnować, by dostała antidotum, bo inaczej wielu ludzi zachoruje na tę chorobę. Rozumie pan?

Kurdupel rozumiał. Ten facet był z Wywiadu Wojskowego albo CIA, chcieli rozgryźć sprawę, zanim to zrobi FBI, i zdobyć dla siebie punkty. Chorobę oczywiście rozsiał rząd. Jakiś rozpiździaj w jednym z ich laboratoridw pracujących na rzecz wojny biologicznej i teraz musieli wszystko zatuszować, zanim nardd coś zwietrzy. Zawahał się, w żadnym ze swych przedsięwzięć nigdy świadomie nie zamierzał doprowadzić do czyjejś śmierci; chciał tylko nastraszyć trochę gigantów, wprowadzając do rzeczywistości drobny element nieprzewidywalności.

— Amerykańska Służba Zdrowia Publicznego będzie panu niezmiernie wdzięczna — powiedział przypominający dobrego dziadunia mężczyzna, mrużąc nieśmiało oczy. — Nieczęsto się zdarza, by jakiś niepozorny człowiek miał szansę zrobienia czegoś wielkiego dla swego kraju.

To wystarczyło.

— Dobra — powiedział Kurdupel. — To była blondynka, na oko dwadzieścia kilka lat, powiedziała, że ma na imię Sara. Miała bliznę na szyi, chyba ktoś próbował jej kiedyś poderznąć gardło. Miała, no ile, około pięć i pół stopy wzrostu, i ważyła gdzieś od stu dziesięciu do stu

104

piętnastu. No i świetnie obciągała — zakończył, uważając, że właśnie stworzył całkiem udatną kurwę z Las Vegas. Jego umysł cwałował jak dziki — na pewno nie puszcza wolno kogoś, kto wie o wszystkim. Dali mu antidotum tylko po to, żeby podtrzymać go przy życiu, kiedy będą go przyduszali. Potrzebował zabezpieczenia.

— Aha, mam jeszcze dla was jedną wskazo'wkę — dodał. — Właśnie sobie przypomniałem. Tylko najpierw muszę coś powiedzieć na temat, mhm, ludzi, których wzrost jest poniżej przeciętnej. Jesteśmy bardzo seksowni. Rozumie pan, nasz gruczoł płciowy, czy jak to się tam nazywa, pracuje podwójnie, bo nie działa nasz gruczoł wzrostu. Dlatego nigdy nie mamy dosyć.

Zmyślał to wszystko na poczekaniu i był sobą zachwycony. Liczył, że to się rozniesie, już miał wspaniałą wizję znudzonych, bogatych kobiet, uganiających się za karłami, zamiast za czarnymi, tak jak obecnie.

— Tak więc, rozumie pan — ciągnął — trzymałem ją bardzo długo, bo stałe bisowałem. W końcu powiedziała mi, że musi podnieść cenę, bo czeka na nią następny klient. Nie było mnie stać, więc ją puściłem.

A teraz punkt kulminacyjny.

— Ale wspomniała nazwisko tego klienta. Powiedziała: „Joe Blotz się wkurwi, jak go zawiodę.” Tylko że on wcale nie nazywał się Joe Blotz.

— A jak się nazywał?

— W tym szkopu! — odparł smutnym głosem Kur-dupel. — Nie mogę sobie przypomnieć. Ale jak mnie pan zostawi na jakiś czas samego — dodał rozjaśniony — to może mi się przypomni. — Już planował swoją ucieczkę.

Tymczasem dwadzieścia pięć godzin wcześniej George Dorn, cytując Pilata, spytał: „Cóż to jest prawda?” (Dokładnie wtedy Barney Muldoon siedział rozwalony w hallu hotelu „Tudor”, czekając, aż

Saul dokończy to, co nazwał „bardzo ważną, bardzo prywatną rozmową” z Rebeccą; Nkrumah Fubar eksperymentalnie umieszczał lalkę voo-

105

doo, symbolizującą dyrektora American Express, we wnętrzu tetrahedronu — ich komputer nadal go nękał w związku z rachunkiem, który zapłacił ponad dwa miesiące wcześniej, tej samej nocy, gdy „Mydłek” Mocenigo śnił o Wągliku-Trądzie-Pi; R. Buckminster Fuller, nieświadom najnowszych wydarzeń w jego geodetycznej rewolucji, wygłaszał wykład w Królewskim Instytucie Architektów w Londynie i wyjaśniał, dlaczego w prawdziwym świecie nie istnieją żadne rzeczowniki; August Personage dyszał do słuchawki telefonicznej w Nowym Jorku; Pearson Mo-hammed Kent radośnie posuwał pewną kobietę, która była nie tylko biała, lecz również pochodziła z Teksasu; sam Kurdupel mówił „Wyjątkowo chamski skurwiel, prawda?” do doktora Naismitha, a nasi pozostali bohaterowie w różny sposób oddawali się swoim hobby, predylekcjom, obsesjom i świętym misjom). *Natomiast Hagbard, z nietypową dla niego powagą, powiedział:* „Prawda to przeciwieństwo kłamstwa. Przeciwieństwo większości tego wszystkiego, czego wysłuchiwałeś przez całe życie. Przeciwieństwo większości tego, co usłyszałeś ode mnie.”

Znajdowali się w bajeranckiej kabinie Hagbarda i George, po swoich przejściach w zdemolowanej posiadłości Drake[^], uznał, że ośmiornice i inne morskie monstra, namalowane na ścianach, wyglądają wybitnie nieapetycznie. Hagbard jak zawsze miał na sobie sweter z golfem i zwykle marynarskie spodnie, z tym że golf był lawendowy — wyglądał w tym stroju dziwacznie i jakby pedałowato. George nagle przypomniał sobie, co Hagbard mu kiedyś powiedział na temat homoseksualizmu: „Naturalnie, próbowałem”, ale dodał coś jeszcze, z czego wynikało, że raczej woli kobiety. (Boże, więc to naprawdę było dwa dni wcześniej?) George zastanawiał się, co by się stało, gdyby tego „spróbował” i czy w ogóle miałby tyle odwagi.

— Do jakich konkretnie kłamstw — spytał ostrożnie — masz zamiar się przyznać?

Hagbard zapalił fajkę i podał ją George'owi.

106

— Czarny hasz z Alamout — powiedział ochryple, wciągając dym głęboko do płuc. — Prywatna receptura Hassana Ibn Sabbaha. Czyni cuda, gdy atakuje cię jakaś ciężka metafizyka.

George zaciągnął się i natychmiast poczuł uderzenie, jakby to była kokaina albo jakiś inny stymulant przodo-mózgowia.

— O Chryste, z czym jest zmieszane to gdwno? — wyrzęził i już mu się wydawało, że ktoś zapala kolorowe światełka na złoto-morskozielonych ścianach tego pokoju i na tym zajebistym lawendowym swetrze.

— Och — odparł Hagbard niedbałym tonem — szczypta belladony i bielunia. Sekret starego Hassana. Całe te brednie w książkach o tym, jak to wpędzał on w nałóg swoich wyznawców, którym się wydawało, że hasz to magia, bo nigdy przedtem go nie próbowali, są łgarstwem. Haszysz był znany na Środkowym Wschodzie od neolitu, archeolodzy znajdują go w grobowcach. Wychodzi na to, że nasi przodkowie grzebali swoich kapłanów razem z działką haszu, co miało im pomóc w negocjacjach z bogami, gdy już weszli na Big Rock Candy Mountain, czy gdzie tam im się wydawało, że wędrują. Hassan był oryginalny przez to, że mieszał haszysz z jego odpowiednimi chemicznymi kuzynami, by uzyskać nowy efekt synergetyczny.

— Co to znaczy synergetyczny? — wolno spytał George, czując po raz pierwszy, odkąd znajdował się na pokładzie „Leifa Ericssona”, że łapie go choroba morska.

— Nieaddytywny. Gdy dodasz dwa i dwa i otrzymasz pięć zamiast czterech. Buckminster Fuller cały czas stosuje synergetyczne sztuczki w swoich geodetycznych budowlach. Dlatego są mocniejsze niż na to wyglądają.

Hagbard znowu się zaciągnął i podał fajkę George'owi.

A co tam — pomyślał George. — Czasami zwiększenie dawki pomaga przezwyciężyć mdłości. — Wziął głębokiego macha. Ale czy przedtem nie zaczęli rozmawiać o prawdzie?

107

George zaczął się śmiać.

— Tak właśnie podejrzewałem. Ty nie używasz tej swojej cholernej prajny, czy jak to się tam nazywa, do szpiegowania Iluminatów, tylko jesteś zwykłym, sprośnym dziadem. Używasz tego, żeby robić kipisz w cudzych głowach.

— W głowach? — zaprotestował Hagbard, śmiejąc się. — Nigdy nie oglądam tego, co inni mają w głowach. Komu by się chciało przyglądać, jak ludzie wydalają swoje odchody?

— A ja myślałem, że chcesz zostać Sokratesem — zawył George, cały czas wybuchając salwami wariackich chichotów — a ja miałem zostać Platonem albo chociaż Glau-conem czy jakimś

innym, mniej ważnym bohaterem. A ty się nawaliłeś tak samo jak ja. Nie potrafisz mi powiedzieć nic ważnego. Umiesz się tylko bawić w kiepskie kalambury.

— Kalambur — odparł Hagbard z godnością (nieco nadwreżoną przez nieoczekiwany wybuch rechotu) — jest potężniejszy od miecza. Tak kiedyś powiedział James Joyce.

— Nie bądź taki pedantyczny.

— A mogę być semantyczny?

— Tak. Możesz być semantyczny. Albo antyczny. Ale nie pedantyczny.

— O czym rozmawialiśmy?

— O prawdzie.

— A tak. Otóż prawda jest jak marihuana, mdj chłopcze. To narkotyk, którym się handluje.

— Kutas mi stanął.

— Tobie też? To kolejny etap tej zabawy. Przynajmniej podczas brania Czarnego z Alamout. Mdłości, mi-kroamnezja, śmiechawa, a na końcu seks. Bądź cierpliwy. Zaraz potem pojawia się czyste światło. Wtedy będziemy mogli rozmawiać o prawdzie. Tylko że my cały czas o niej rozmawiamy.

— Co z ciebie za guru, Hagbardzie. Czasem mam wrażenie, że jesteś durniejszy ode mnie.

108

— Gdyby Malaklipsa Starszy był tutaj, to by ci co nieco opowiedział o paru innych guru. I o geniuszach. Myślisz, że Jezus nigdy nie walił sobie konia? Że Szekspir nigdy się nie schlał na smutno w tawernie „Pod Rusalką”? Że Budda nigdy nie dłubał w nosie? Że Ghandi nigdy nie stroił jakichś fochów?

— Ciągłe mi stoi. Czy możemy odłożyć filozofię na potem, a ja tymczasem pójde poszukać Stelli, znaczy się, Mavis?

— To właśnie jest prawda.

— Co?

— Twoją korę mózgową interesuje, czy to jest Stella czy Mavis. Gruczołami tej różnicy nie dostrzegasz. Wystarczyłaby ci moja babcia.

— Nieprawda. To jakiś nędzny, tandetny, freudowski cynizm.

— No tak. Zobaczyłeś tę mandalę z udziałem Mavis.

— A ty w jakiś sposób wlałeś mi do głowy. Obłeśny podglądacz.

— Poznaj samego siebie.

— Poza *Dialogami* Platónskimi to się nigdy nie stanie, nawet przez milion lat. Obydwaj jesteście zaćpani po uszy.

— Kocham cię, George.

— Ja chyba też cię kocham. Jesteś taki cholernie uwodzicielski. Wszyscy cię kochają. Będziemy się różnić?

(„Zetrzyj sobie spermę ze spodni” — powiedziała wtedy Mavis. Wyobrażał sobie *Sophię Loren* podczas masturbacji. Albo sobie wyobrażał, że się masturbuje, a tak naprawdę...)

— Nie. Nie potrzebujesz. Powoli sobie przypominasz, co się naprawdę zdarzyło w więzieniu w Mad Dog.

„Och nie.” *Ogromny, zmijowaty kutas Coina... ból... rozkosz...*

— Obawiam się, że tak.

— O psiakrew, już się nigdy nie dowiem. Czy ty mi to wsadziłeś do głowy, czy to się naprawdę zdarzyło? Czy

109

ja sobie wymyśliłem, że mi przerwano, czy właśnie teraz wymyśliłem sobie gwałt?

— Poznaj siebie samego.

— Ty to dwa razy powtórzyłeś, czy ja to usłyszałem dwa razy?

— A jak myślisz?

— Nie wiem. W tej chwili nie wiem. Po prostu nie wiem. Czy to jakaś chytra metoda homoseksualnego uwodzenia?

— Może. Może to morderczy spisek. Może chcę, żebyś poderznął sobie gardło.

— Nie miałbym nic przeciwko temu. Zawsze ulegałem silnym tendencjom autodestrukcyjnym. Jak wszyscy tchórze. Tchórzostwo to obrona przed samobójstwem.

Hagbard roześmiał się.

— Pierwszy raz spotykam kogoś młodego, kto trzęsie ze strachu portkami i jednocześnie wiecznie naraża się na śmierć. I ty tu sobie siedzisz, przejmując się, że ktoś cię znowu nazwie tak samo jak wtedy, gdy jako nastolatek zacząłeś zapuszczać włosy.

— Luluś. Tak mówiono w New Jersey, w starym, pocziwym Nutley. Oznacza zarówno pedała,

jak i tchórza. Dlatego od tamtego czasu nigdy nie obciąłem włosów, by udowodnić, że nie dam się zastraszyć.

— No tak. Jestem teraz na tropie pewnego czarnoskórego faceta, który posuwa pewną białą damę, taką lilię z Teksasu. Częściowo dlatego, że on dostał na łeb na jej punkcie. A częściowo dlatego, że ona być może ma brata, który mógłby stuknąć tego faceta. On chce udowodnić, że nie da się im zastraszyć.

— Rzeczywiście? Przez cały czas zajmujemy się dowodzeniem, że nie damy się nastraszyć? A za to dajemy się zastraszyć na innym poziomie?

Kolory znowu nabrały intensywnych odcieni: to był właśnie taki odlot. Ledwie człowiek pomyślał sobie, że to on jest pilotem, a zaraz leciał w jakimś nieoczekiwanym

110

kierunku, co miało mu przypomnieć, że jest tylko pasażerem.

— To połowa prawdy, George. Ta druga połowa polega na tym, że zawsze, jak sobie pomyślisz, że dałeś się zastraszyć, to tak naprawdę buntujesz się na innym poziomie. Iluminaci to kretyni, George. Kiedyś zbierałem dane statystyczne o wypadkach przy pracy na przykładzie Birmingham w Anglii. Wprowadziłem wszystkie istotne dane do FUCKUP-a i otrzymałem to, czego się spodziewałem. Sabotaż. Nieświadomy sabotaż. Każdy przypadek to ślepa insurekcja. Wszyscy mężczyźni i kobiety biorą udział w buncie, ale niewielu z nich starczy odwagi, żeby się do tego przyznać. Pozostali blokują system za pomocą wypadków, ha ha ha, albo głupoty, jeszcze raz ha ha ha. Pozwól, że ci opowiem o Indianach, George.

— O jakich Indianach?

— Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, dlaczego nic nie działa tak, jak powinno? Dlaczego świat wydaje się wiecznie kompletnie spierdolony?

— Tak. Każdy się chyba nad tym zastanawia.

— Przypuszczalnie. Wybacz, muszę jeszcze trochę nawalić. Za chwilę wejść do FUCKUP-a, żeby połączyć nasze głowy. Dosłownie. Przymocuję sobie elektrody do skroni i spróbuję dotrzeć do tej awantury w Las Vegas. Nie zajmuję się cały czas podglądaniem przypadkowo wybranych osób — oświadczył Hagbard z godnością. Ponownie nabił fajkę i zrzędlwym tonem spytał: — Na czym stanąłem?

— Na Indianach z Birmingham. Skąd oni się tam wzięli?

— W Birmingham nie było żadnych pieprzonych Indian. Wszystko mi poplątałeś. — Hagbard wziął głębokiego macha.

— Ty sam sobie wszystko poplątałeś. Jesteś tak nawalony, że aż ci czaszka dymi.

— I kto to mówi? — Hagbard jeszcze raz się zaciągnął. — Indianie? W Birmingham nie było żadnych In-

111

dian. W Birmingham przeprowadziłem badania, które mnie przekonały, że większość wypadków przy pracy to nieświadomy sabotaż. Zaryzykuję twierdzenie, że z tego samego powodu urzędnicy robią bałagan w aktach. A Indianie to inna historia. Na samym początku, kiedy przyjechałem do twojego kraju, jeszcze zanim zająłem się piractwem, pracowałem jako adwokat. Zazwyczaj nie przyznają się do tego, George. Normalnie mówię ludziom, że grałem na pianinie w burdelu albo coś innego, tylko nie tę haniebną prawdę. Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego w organizacjach rządowych wszystko jest pozbawione sensu, to przypomnij sobie, że obecnie w biurokracji jest zatrudnionych dwieście tysięcy prawników.

— Ci Indianie to była grupa Szoszonów. Bronili ich przed Wielkim Złodziejem Gruntów, względnie, jak sam siebie pretensjonalnie tytułuje, przed rządem w Waszyngtonie. Zorganizowaliśmy konferencję. Wiesz, na czym polega indiańska konferencja? Potrafią się całymi godzinami nie odzywać. Znakomita joga. A jak ktoś wreszcie się odezwie, to możesz być pewien, że jego słowa pochodzą z serca. Ten stary, filmowy stereotyp: „Biały człowiek mówi rozdwojonym językiem” zawiera w sobie sporo prawdy. Im więcej mówisz, tym bardziej wszystko koloryzujesz za pomocą wyobraźni. Ja sam jestem jednym z najbardziej gadatliwych ludzi na świecie i jednym z największych łgarzy.

Hagbard długo się zaciągał, w końcu podał fajkę pytającym gestem; George potrząsnął głową.

— Chciałem ci jednak opowiedzieć o pewnym archeologu. Poszukiwał relikwów kultury dewońskiej, pozostałych po Indianach, którzy zamieszkiwali Amerykę Północną tuż przed katastrofą ekologiczną, która nastąpiła dziesięć tysięcy lat przed naszą erą. Odkrył coś, co uważał za kopiec pogrzebowy, i spytał, czy może w nim kopać. Pomyśl o tym, George. Indianie popatrzeli na niego. Popatrzeli na mnie. Popatrzeli na siebie. Dopiero wtedy najstarszy członek plemienia udzielił mu z

wielką powagą

zgody. Archeolog chwycił kilof i szpadel, i wziął się do roboty zupełnie jak John Henry walczący ze swym wiertłem parowym. Po dwóch minutach zniknął. Jak gdwno w szambie. A Indianie zaczęli się śmiać. Pociągnij, Geor-ge. Poznałem ich najlepiej, jak może ich poznać biały człowiek. Przekonali się, że mogą mi ufać i ja zaufałem im. A jednak siedziałem tam wtedy, gdy oni robili sobie ten ubaw, i zupełnie nie zajarzyłem, co się zaraz stanie. Mimo że właśnie powoli odkrywałem swoje talenty telepatyczne i nawet starałem się trochę z nich korzystać. Pomyśl

0 tym, George. Pomyśl o tych wszystkich znajomych ci czarnoskdrych, ktdrzy mają takie pokerowe twarze. Pomyśl, że zawsze, gdy jakiś czarny zrobił koszmarny, nieprawdopodobnie głupi numer, czuleś w sobie rasistowski odruch, ktdrego się wstydzileś jako radykał, i zaczynałeś się zastanawiać, czy oni jednak nie są gorszymi ludźmi.

1 pomyśl o tych dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach kobiet należących do świata białej rasy, nie licząc Norwegii, które cały czas robią z siebie słodką idiotkę albo Ma-rilyn Monroe. Pomyśl chwilę, George. Pomyśl.

Zapadła cisza, ktdra wydawała się rozciągać na kształt długiego korytarza nieledwie buddyjskiej pustki, i George ujrzał, nareszcie! w przelocie tę Próżnię, którą jego kumple, często biorący kwas, próbowali mu opisywać, a potem przypomniał sobie, że nie do tego odlotu popycha go Hag-bard. A jednak cisza utrzymała się w formie wyciszenia ducha, spokoju w samym środku tornada tych ostatnich kilku dni i George odkrył, że myśli o wszystkim zupełnie obojętnie, bez nadziei, strachu, zadowolenia z siebie albo poczucia winy, a może nawet całkowicie bez ego albo w pełnej Darshanie, w każdym razie bez tego rozognionego, żarłocznego ego, które na ogdł wykonywało wielkie susy do przodu albo wzdragało się przed gołymi faktami. Kontemplował swoje wspomnienia, niewzruszony, obiektywny, spokojny. Myślał o czarnych, o kobietach i o tej subtelnej zemście, jakiej dokonywali na swych Panach,

113

0 aktach sabotażu, nierozpoznawalnych, ponieważ przybierały formę aktów posłuszeństwa; myślał o Indianach Szoszonach i ich brutalnym żarcie, jakże podobnym do żartów wszystkich ciemieżonych; pojął, zupełnie nagle, znaczenie Tłustego Czwartku, Święta Głupców, Saturna-lii, gwiazdkowych imprez w biurze i wszystkich innych ograniczonych, dozwolonych, skodyfikowanych okazji, podczas których pozwalano na freudowski Powrót Represjonowanych; przypomniał sobie wszystkie te sytuacje, kiedy odwracał się tyłem do jakiegoś profesora, dyrektora szkoły, biurokraty albo jeszcze wcześniej do własnych rodziców wskutek wyczekiwania na taką okazję, w której wykonując dokładnie to, co mu się każe, jednocześnie spowoduje jakąś drobną katastrofę. Zrozumiał świat robotów, maszerujących sztywno po ścieżkach z góry dla nich wytyczonych, gdzie każdy taki robot częściowo żywy, częściowo ludzki, czekał na tę szansę, gdy będzie mu dane osobiście wrzucić klucz francuski do maszynerii. Zobaczył wreszcie, dlaczego w świecie nic nie działa tak, jak powinno, i że Sytuacja Jest Normalna Ale Fatalnie Upier-dolona.

— Hagbardzie — powiedział wolno. — Chyba złapałem. Genesis ma dokładnie odwrotny kierunek. Nasze kłopoty zaczęły się od posłuszeństwa, a nie nieposłuszeństwa.

1 ludzkość jeszcze nie została stworzona.

Hagbard, z bardziej jastrzębią twarzą niż zwykle, odparł z rozmysłem:

— Zbliżasz się już do Prawdy. Odtąd uważaj, jak idziesz, George. Prawda nie jest, jakby ujął to Szekspir, psem, którego można zagnać do budy. Prawda jest tygrysem. Uważaj, jak idziesz, George.

Odwrócił się w drugą stronę, wysunął szufladę swego nowoczesnego, duńsko-pseudomarsjańskiego biurka i wyciągnął z niej rewolwer. George patrzył, opanowany i samotny niczym człowiek na szczycie Everestu, jak Hagbard otwiera komorę i wsuwa do niej sześć naboí. Potem rozległ

114.

się trzask — broń została załadowana i położona na suszce do atramentu leżącej na biurku. Hagbard więcej na nią nie spojrział. Obserwował George'a, George zaś wpatrywał się w pistolet. Znowu powtarzała się scena z Carlem, tyle że wyzwanie Hagbarda nie zostało wymówione, a jego obojętne spojrzenie nawet nie dawało do zrozumienia, że zaczęła się walka. Rewolwer połyskiwał złowieszczo, opowiadał szeptem o całej przemocy i podstępach tego świata, o zdradach, jakie nie śniły się Medyceuszom albo Machiavellemu, o pułapkach zastawianych na niewinne i naiwne ofiary, wydawał się zalewać kajutę aurą swej obecności i zawierał w sobie znacznie subtelniej sżą groźbę niż nóż, broń używana przez niktzemników, albo bicz w rękach człowieka, którego uśmiech jest zbyt zmysłowy, zbyt intymny, zbyt chytry. Wdarł się w sam środek błogiego spokoju George'a, nieunikniony i nie oczekiwany niczym grzechotnik na ścieżce, popołudniową porą najcudowniejszego

dnia wiosny, w najlepiej utrzymanym i naj-sztuczniejszym ze wszystkich ogrodów na świecie. George czuł już, jak adrenalina płynie w jego krwiobiegu, jak „syndrom aktywacyjny” zwilża jego dłonie, przyspiesza akcję serca, połuznia zwieracz odbytu o mikrometr, a mimo to wciąż pozostawał zimny i opanowany na szczycie swej góry.

— Robot — powiedział, spojrzawszy wreszcie na rozmówcę — łatwo się denerwuje.

— Nie wkładaj rąk do tego ognia — ostrzegł go Hagbard, niczym nie poruszony. — Poparzysz się.

Obserwował, czekał, a George nie potrafił oderwać wzroku od tych oczu, i wtedy, właśnie w nich, zobaczył rozbawienie delfina Howarda, pogardę dyrektora jego szkoły średniej („Wysokie IQ, Dorn, nie usprawiedliwia arogancji i braku subordynacji”), rozpaczliwą miłość matki, która nigdy nie potrafiła go zrozumieć, pustkę Nemo, kociaka, którego przygarnął, kiedy był mały, pogroźki Bill^ego Holtza, szkolnego zabijaki, i całkowitą jego odmien-

115

ność, właściwą owadom albo wężom. Więcej: widział małego Hagbarda, dumnego jak on sam ze swej intelektualnej wyższości, i przerażonego, jak on sam, złośliwością głupszych, ale sprytniejszych chłopców, a także bardzo starego Hagbarda, wiele lat później, pomarszczonego jak gad, nadal jednak zdradzającego nieskończoną, przenikliwą inteligencję. Lód stopniał, góra, z rykiem protestu i oporu, rozpadła się na kawałki i George runął w dół, prosto do rzeki wartko płynącej w stronę wirów, do miejsca, gdzie pohukiwał goryl i galopowała mysz, gdzie z triasowego listowia wychylał się łeb jaszczurki, gdzie spało morze, a spirale DNA skręcały się w stronę tego błysku, który teraz przerodził się w promienistą jasność, tego wiecznego szaleństwa na tle zgoła niemożliwego umierania światła, w stronę tej burzy i tego centrum.

— Hagbard... — powiedział w końcu.

— Wiem. Widzę. Tylko więcej się w tamto nie zapadaj. To Błąd Iluminatów.

George uśmiechnął się blade; jeszcze nie do końca wrócił do świata słów.

— Zjedz, a będziesz bogom podobny? — spytał.

— Nazywam to odlotem *ego nie-ego*. To oczywiście największy odlot *ego*. Każdy może się czegoś takiego nauczyć. Dwumiesięczne dziecko, pies, kot. Gdy jednak dorosły odkrywa to na powrót, po wielu latach, w trakcie których wykruszał z niego nawyk posłuszeństwa i poddaństwa, dochodzi do totalnej katastrofy. Dlatego roshi zen mówią: „Ten, który osiąga najwyższe oświecenie, przypomina strzałę lecącą prosto do piekła.” Zapamiętaj to, co ci powiedziałem o ostrożności, George. Możesz to uwolnić w każdej chwili. To coś wielkiego, ale tobie jest potrzebna mantra, która cię przed tym uchroni, dopóki się nie nauczysz, jak tego używać. Gdybyś wiedział, jakie niebezpieczeństwo ci zagraża, zaraz byś chciał, żeby ci tę mantrę wypalono rozgrzanym żelazem na plecach, aby jej nigdy nie zapomnieć. Oto twoja mantra: „Jestem Robotem”. Powtórz.

116

— Jestem Robotem.

Hagbard zrobił małą grymas, a George nareszcie się roześmiał.

— Jak znajdziesz chwilę czasu — powiedział Hagbard — to zajrzyj do mojej książeczki *Nigdy nie gwizdź, kiedy sikasz*, na statku jest mnóstwo egzemplarzy. To mój przepis na *ego*. I pamiętaj: jesteś robotem i nigdy nie będziesz niczym innym. Oczywiście jesteś także operatorem i to nawet metaoperatorem, ale to już następna lekcja, przeznaczona na inny dzień. Na razie pamiętaj o ssaku, o robocie.

— Wiem — odparł George. — Czytałem T.S. Eliota i teraz go rozumiem. „Upokorzenie nie ma końca”.

— A ludzkość już została stworzona. To... inne coś... nie jest ludzkie.

— Już doszedłem do takiego wniosku — odparł na to George. — To tylko inny punkt wyjścia. Początek innego odlotu. Cięższego odlotu.

— To inne rozumienie Heraklita. „Koniec jest początkiem.” — Hagbard wstał i otrząsnął się jak pies. — Uch — powiedział. — Zabieram się do pracy z FUCKUP-em. Możesz tu zostać albo iść do swojego pokoju, ale sugeruję, żebyś tak od razu nie zaczął opowiadać wszystkim o swoich przeżyciach. Jeszcze byś sobie wygadał własną śmierć.

George pozostał w kajucie Hagbarda i oddał się refleksjom na temat ostatnich wydarzeń. Nie miał ochoty na bazgranie w swoim dzienniku, co od najwcześniejszych lat służyło mu zawsze za obronę przeciwko milczeniu. Delektował się natomiast spokojem panującym w tym pomieszczeniu i w jego własnym wnętrzu. Przypominał sobie, że święty Franciszek z Asyżu nazywał swoje ciało „Bratem Osłem” i że Timothy Leary zwykł mawiać, kiedy był zmęczony: „Robot potrzebuje snu”. Tak brzmiały ich mantry, taka była ich obrona przed szczytem góry i tą straszliwą arogancją, jaką

uwalniało osiągnięcie szczytu. Przypomnił sobie także ogłoszenie ze starej, klasycznej prasy

117

podziemnej: JPodjaraj mnie, a będę cię posuwała całą wieczność." Bardzo mu było żal autorki tego tekstu: tej żalostnej, współczesnej wersji świętego Szymona, szalejącego na swym słupie na pustyni. I Hagbard miał rację: potrafi to każdy pies albo kot, każdy potrafi wskoczyć na szczyt góry i tam trwać obojętnie do czasu, gdy Robot, Brat Osioł, przetrwa tę próbę albo zginie. Na tym właśnie polegały prymitywne rytuały inicjacyjne — doprowadzanie chłopców poprzez czysty terror do tego punktu na szczycie góry, w którym było im wszystko jedno, i potem sprowadzenie ich z powrotem na dół. George nagle zrozumiał, że jego pokolenie, ponownie odkrywając święte narkotyki, nie potrafiło ponownie odkryć ich właściwego przeznaczenia... nie potrafiło, albo mu na to nie pozwolono. Iluminaci, to było jasne, nie życzyli sobie żadnej konkurencji dla ich monopolu ludzi-bogów.

Zrozumiał, że może sobie wygadać własną śmierć nie tylko w rozmowie, lecz również w swojej głowie, ale i tak stale do tego nawracał, próbując dokonać takiej sekcji, by niczego nie okaleczyć. Ten numer z homoseksualizmem stanowił fałszywą przykrywkę (z jego własnymi realiami, naturalnie, towarzyszącymi wszystkim fałszywym przykrywkom). Za nim krył się uzasadniony terror skierowany przeciwko Robotowi: strach, symbolizowany przez Frankensteina i dziesiątki innych archetypów, że jeśli się wypuści, uwolni Robota, wówczas popadnie on w amok, będzie mordował, gwałcił, szalał... I dlatego Hagbard czekał na chwilę, w której czarny hasz z Alamout dał mu wolność, pokazał mu ten szczyt, to miejsce, w którym kora mózgowa nareszcie mogła przestać pracować niczym silnik idący na jałowych obrotach lub oddający się lenistwu pies czy kot, by stać się tym ostatnim azylem, w którym może się ukryć katatonik. A kiedy George dotarł bezpiecznie do tego portu, Hagbard wyciągnął broń — w bardziej prymitywnym albo bardziej rozwiniętym społeczeństwie byłby to symbol jakiegoś potężnego demona —

118

i George zrozumiał, że tu rzeczywiście może oddawać się lenistwu, zamiast na ślepo odbierać sygnały paniki z fabryki adrenaliny, należącej do Robota. A ponieważ był człowiekiem, a nie psem, dzięki temu doświadczeniu poczuł w sobie zachwyt i pokusę; więc Hagbard kilkoma słowami i tym spojrzeniem strącił go ze szczytu w... co?

Pojednanie było tu właściwym słowem. Pojednanie z Robotem, z samym sobą. Szczyt nie był zwycięstwem, to była wojna, wieczna wojna z Robotem, przeniesiona na wyższy i bardziej niebezpieczny poziom. Wojna zakończyła się jego porażką, ale tylko tak się mogła zakończyć, ponieważ Robot liczył sobie trzy miliardy lat i nie można go było zabić.

Spostrzegł, że w świecie występują dwa wielkie błędy: błąd poddańczych hord, które całe życie walczyły o przejęcie kontroli nad Robotem, żeby tym zadowolić swoich panów (i które zawsze sabotowały każdy trud, nawet o tym nie wiedząc, i same z kolei ulegały sabotażowi, czyli zemście Robota, jako ofiary nerwic, psychoz i całej tej nudnej listy psychosomatycznych bolączek), oraz błąd tych, którzy na nowo opanowali zwierzęcą sztukę pozwalania Robotowi na samodzielne działanie, i którzy potem próbowali podtrzymywać w nieskończoność ów rozłam z własnym ciałem, dopóki nie zginęli na zawsze w tej wiecznie rozrastającej się otchłani. Jedni usiłowali zmusić Robota do posłuszeństwa, drudzy powoli go zagłodzić — jedni i drudzy się mylili.

A jednak na innej płaszczyźnie swego wciąż zaćpanego umysłu George wiedział, że nawet to jest tylko półprawda, że w rzeczywistości dopiero zaczyna swoją podróż, że jeszcze nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Wstał, podszedł do regału z książkami i zgodnie z oczekiwaniami na dolnej półce znalazł stos broszur, a wśród nich opatrzoną napisem: *Nigdy nie gwiźdź, kiedy sikasz*, Hagbard Celinę, H.M., S.H. Usiłował się domyśleć, co oznaczają skróty H.M. i S.H., potem otworzył broszurę na pierwszej stronie,

119

lecz znalazł tam jedynie wydrukowane wielką czcionką pytanie:

KIM

JEST KTOŚ

ZNACZNIE BARDZIEJ GODNY ZAUFANIA

NIŻ

WSZYSCY BUDDOWIE '

I MĘDRCY

? ?

George wybuchnął głośnym śmiechem. Robot oczywiście. Ja. George Dorn. Całe trzy miliardy lat ewolucji zawarte w każdym moim genie i chromosomie. I Iluminaci (oraz wszyscy Iluminaci *in spe*, te szaraczki, które tworzyły wszelkie struktury władzy) nie chcieli, żeby jacyś mężczyźni albo

kobiety kiedykolwiek zdołali to właśnie zrozumieć.

George przewrócił kartkę i zaczął czytać:

Kiedy gwizdziesz podczas sikania, wówczas korzystasz z dwóch umysłów, mimo że w zupełności wystarcza ci jeden. Kiedy korzystasz z dwóch umysłów, wówczas toczysz wojnę z samym sobą. Kiedy toczysz wojnę z samym sobą, wówczas jakiejś zewnętrznej sile łatwo cię będzie pokonać. Dlatego Mong-tse napisał: „Człowiek musi zniszczyć samego siebie, zanim zniszczą go inni.”

To było wszystko, z wyjątkiem abstrakcyjnego rysunku na stronie trzeciej, który zdawał się przedstawiać postać wroga wykonującego jakiś ruch w stronę czytelnika. George już miał przewrócić kartkę, gdy nagle doznał szoku: oglądany pod innym kątem rysunek przedstawiał dwie postacie atakujące się nawzajem. Ja i On. Umysł i Robot. Jego pamięć cofnęła się błyskawicznie o dwadzieścia dwa lata i zobaczył swoją matkę — pochylała się nad kołyską

190

i zdejmowała jego dłoń z penisa. Chryste, nic dziwnego, że łapię się za niego, kiedy się boję: Zemsta Robota, Powrót Represjonowanych. George znowu chciał przewrócić kartkę i dostrzegł jeszcze inną sztuczkę, zawartą w hag-bardowej abstrakcji: z trzeciego ujęcia mogła to być para uprawiająca miłość. Natychmiast znowu przywidziała mu się twarz matki pochylonej nad kołyską, wizja była tym razem wyraźniejsza i rozpoznał zaniepokojenie w jej oczach. To miłość kierowała okrutną dłonią represji: matka próbowała ratować go przed Grzechem.

A ten Carlo, który od trzech lat już nie żył, i pozostali z Morituri — co inspirowało Carla, kiedy razem z czterema innymi (wszyscy mieli po mniej niż osiemnaście lat, przypomniał sobie George) wtargnął na wiec Bożego Gromu? Tam zabili trzech gliniarzy i czterech agentów Secret Service podczas próby zastrzelenia sekretarza stanu. Miłość, nic tylko szalona miłość...

Otworzyły się drzwi i George oderwał wzrok od tekstu. Weszła Mavis, znowu ubrana w swój sweter i marynarskie spodnie. Jak na zdeklarowaną prawicową anarchistkę bez wątplenia nosi się jak przedstawicielka Nowej Lewicy — pomyślał George, ale z kolei to, co pisał Hagbard, było czymś pośrednim między reichowską lewicą a pismami egomaniakalnego mistrza zen. Najwyraźniej nie udało mu się dotąd ogarnąć jeszcze wielu rzeczy w dyskordiańskiej filozofii, mimo że był przekonany, iż jest to system, do którego od wielu lat po omacku podążał.

— Mmm — powiedziała. — Lubię ten zapach. Czarny hasz z Alamout?

— Tak — odparł George, mając trudności ze spojrzeniem jej w oczy. — Hagbard mnie właśnie oświecał.

— Widzę. Czy to dlatego poczułeś się nagle nieswojo w mojej obecności?

George spojrział jej w oczy, ale zaraz spuścił wzrok, zobaczył czułość, lecz tak, jak się spodziewał, była to czułość co najwyżej siostrzana.

121

— To dlatego, bo właśnie zrozumiałem, że dla ciebie nasz seks — mruknął (dlaczego nie użył słowa pierdolenie albo przynajmniej pieprzenie?) — jest mniej ważny niż dla mnie.

Mavis usiadła na krześle Hagbarda i uśmiechnęła się czule.

— Kłamiesz, George. Twoim zdaniem, nasz seks jest ważniejszy dla mnie niż dla ciebie.

Zaczęła nabijać fajkę. Chryste Panie — pomyślał George — czy Hagbard ją tu przysłał, żeby mnie wprowadziła do drugiego etapu, niezależnie od tego, na czym on polega?

— Cóż, chyba myślałem o nas dwojgu — zaczął ostrożnie. — Wtedy ty byłaś bardziej zaangażowana emocjonalnie niż ja, ale teraz to ja jestem bardziej zaangażowany. I wiem, że nie dostanę tego, co chcę. Nigdy.

— Nigdy trwa bardzo długo. Powiedzmy po prostu, że nie możesz dostać tego teraz.

— „Upokorzenie nie ma końca” — powtórzył George.

— Nie zaczynaj litować się nad sobą. Właśnie odkryłeś, że miłość to coś więcej niż tylko słowo stosowane w poezji, i już ją chcesz mieć. Ty tylko doświadczyłeś dwóch rzeczy, które przedtem były dla ciebie jedynie słowami: *sunyata* i *satori*. Czy nie dość, jak na jeden dzień?

— Ja się nie skarżę. Wiem, że z frazy „upokorzenie nie ma końca” wynika również, że zaskoczenie nie ma końca. Hagbard obiecał mi radosną prawdę i oto ta prawda.

Mavis zapaliła wreszcie fajkę, najpierw sama wzięła głębokiego macha, potem podała ją George'owi.

— Możesz mieć Hagbarda — oświadczyła. George, zaciągając się bardzo lekko, bo ciągle jeszcze

był na sporym haju, mruknął:

— Mhm?

— Hagbard będzie cię nie tylko posuwał, ale również kochał. Oczywiście to nie to samo. On

kocha wszystkich.

122

Ja jeszcze nie dotarłam do takiego stadium. Potrafię kochać tylko sobie równych. — Uśmiechnęła się złośliwie.

— Oczywiście, nadal potrafię napalić się na ciebie. Ale odkąd wiesz, że jest coś więcej niż tylko to, chcesz dostać cały komplet, prawda? Więc zacznij od Hagbarda.

George roześmiał się, nagle pogodniejąc.

— Okay, zrobię to!

— Gdwno prawda — wypaliła bez namysłu Mavis.

— Nabierasz siebie i mnie. Wyzwoliłeś część swoich energii i od razu, jak każdy na tym etapie, chcesz udowodnić, że już nie masz w sobie żadnych blokad. Ten śmiech nie był przekonujący, George. Jeśli masz jakiś blok, to staw mu czoło. Nie udawaj, że go tam nie ma.

Upokorzeniom nie ma końca — pomyślał George.

— Masz rację — powiedział, bynajmniej nie zbity z tropu.

— Tak lepiej. Przynajmniej nie poczujesz się winny za to, że masz jakiś blok. To regres do nieskończoności. Następnym etapem będzie poczucie winy z powodu poczucia winy... i dość szybko znowu wpadasz w tę samą pułapkę, i usiłujesz zostać gubernatorem krainy zwanej Dorn.

— Robot — powiedział George. Mavis wzięła kolejnego macha i spytała:

— Co?

— Ja to nazywam Robotem.

— Wziąłeś to z Lear/ego jeszcze w sześćdziesiątych. Stale zapominam, że byłeś cudownym dzieckiem. Potrafię sobie wyobrazić ciebie, ośmio- albo dziewięcioletniego, jak w okularach, zgarbiony, ślęczysz nad jedną z książek Ti-ma. Na pewno byłeś niesamowitym dzieciakiem. Nie sądzę, by potem obchodzono się z tobą umiejętnie, prawda?

— Tak się dzieje z większością cudownych dzieci. Zresztą z przeciętnymi podobnie, jeśli już o tym mowa.

— Ano tak. Osiem lat podstawówki, cztery szkoły średniej, cztery lata studiów, potem studia podyplomowe. Na końcu nie zostaje nic prócz Robota. Wiecznie zbunt-

123

wana kraina Ja i to biedne stare Ja, usadzone na tronie, z którego próbuje nią władać.

— Nigdzie nie napotkasz władcy... — zacytował George.

— Całkiem niezłe ci idzie.

— To Czuang Czou, filozof taoistyczny. A przedtem w ogóle go nie rozumiałem.

— Więc z tego Hagbard to ukradł! On ma takie karty z napisem „Nigdzie nie napotkasz wroga”. I inne z napisem „Nigdzie nie napotkasz przyjaciela”. Powiedział kiedyś, że jest w stanie stwierdzić w ciągu dwóch minut, która karta jest właściwa dla danej osoby. Która karta wyrwie tę osobę z letargu.

— Ale same słowa nie wystarczą. Znam większość słów od wielu lat...

— Słowa mogą się przydać. We właściwej sytuacji. O ile to niewłaściwe słowa. Chciałam powiedzieć: właściwe słowa. Nie, chodzi mi o niewłaściwe słowa.

Roześmieli się, George zapytał:

— Wydurniamy się tylko, czy może podejmujesz się wyzwolenia kraju, zwanego Dorn w miejscu, w którym przestał to robić Hagbard?

— Tylko się wydurniamy. Hagbard faktycznie mi powiedział, że przeszedłeś jedną z bezbramnych bram i że mogę do ciebie wpaść, kiedy już spędzisz trochę czasu w samotności.

— Bezbramna brama. To kolejna rzecz, którą znałem od wielu lat, ale jej nie rozumiałem. Bezbramna brama i bezwładny kraj. Główną przyczyną socjalizmu jest kapitalizm. Co ma z tym wszystkim wspólnego to cholerne jabłko?

— Jabłko to świat. Kto je posiada, zgodnie ze słowami bogini?

— „Najpiękniejsza.”

— Kto jest tą najpiękniejszą?

— Ty.

124

— Teraz się nie wykrecąj. Pomyśl. George roześmiał się.

— Na razie mam dosyć i chyba chce mi się spać. Znam dwie odpowiedzi, jedną komunistyczną, a drugą faszystowską. Naturalnie, obydwie są złe. Prawidłowa odpowiedź musi pasować do twojego anarchokapitalizmu.

— Niekoniecznie. Anarchokapitalizm to tylko nasz odlot. Nie chcemy go nikomu narzucać.

Zawarliśmy sojusz z anarchokomunistyczną grupą, zwaną PSM. John Dillinger jest ich przywódcą.

— Nie ściemniaj. Dillinger umarł w trzydziestym piątym czy jakoś tam.

— John Dillinger żyje i ma się dobrze, mieszka w Kalifornii, Fernando Po i Teksasie — powiedziała z uśmiechem Mavis. — Prawdę mówiąc, to on zastrzelił Johna F. Kennedyego.

— Daj mi jeszcze jednego macha. Skoro muszę tego wysłuchiwać, to chyba lepiej, jak nie będę się musiał przejmować, czy rozumiem.

Mavis podała mu fajkę.

— Tę najpiękniejszą należy rozumieć na kilku poziomach, jak wszystkie dobre dowcipy. Jako początkującemu opowiem ci najpierw o poziomie freudowskim. Znasz tę najpiękniejszą, George. Dopiero co wczoraj ofiarowałeś ją jabłku. Dla każdego mężczyzny najpiękniejszą rzeczą na świecie jest jego własny penis. Od dnia narodzin aż do samej śmierci. Nigdy nie przestaje go fascynować. I ja wcale nie bujam, kotku, to samo się tyczy każdej kobiety i jej cipki. To coś najbliższego prawdziwej, ślepej, bezradnej miłości i religijnemu uwielbieniu, jakie większość ludzi w ogóle osiąga. Tylko że oni wolą umrzeć, niż się do tego przyznać. Do homoseksualizmu, chęci zabijania, drobnych uraz i zdrad, marzeń o sadyzmie, masochizmie, transwestytyzmie, do wszelkich dziwactw, jakie mają nazwę, potrafią się przyznać podczas terapii grupowej. Natomiast ten głęboko zanurzony, wieczny narcyzm, ta nie-

125

ustająca mentalna masturbacja to blok najpierwotniejszy i najpotężniejszy. Do tego nigdy nie potrafią się przyznać.

— A ja myślałem, na podstawie literatury psychiatrycznej, że większość ludzi żywi dość mętne i negatywne uczucia względem własnych genitaliów.

— Na tym polega, cytując samego Freuda, tworzenie się reakcji. Pierwotny wzorzec emocjonalny, jaki towarzyszy dziecku od dnia, w którym odkryje w tym miejscu ośrodek niewiarygodnej przyjemności, to stałe zadziwienie, groza i rozkosz. Nieważne, jak bardzo społeczeństwo stara się to zdławić i stłumić. Na przykład, każdy nadaje pieśczośliwą nazwę swoim genitaliom. Jak nazwałeś swoje?

— Polyfem — wyznał.

— Co?

— Bo on ma jedno oko, rozumiesz? A poza tym Polyfem rymuje się jakby ze słowem penisek, chyba. Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, na podstawie jakiego procesu myślowego wpadłem na ten pomysł, gdy miałem kilkanaście lat.

— Polyfem był także olbrzymem. Prawie bogiem. Rozumiesz, o co mi chodzi z tym pierwotnym wzorcem emocjonalnym? To początek wszelkich religii. Adoracja własnych genitaliów i genitaliów swojego kochanka. Oto Pan Pangenitor i Wielka Matka.

— A zatem — powiedział ponuro George, nadal niepewny, czy to wszystko to głębokie prawdy czy bzdury — Ziemia należy do naszych genitaliów?

— Do ich potomstwa i potomstwa ich potomstwa, i tak dalej, przez całą wieczność. Świat jest czasownikiem, nie rzeczownikiem.

— Najpiękniejsza liczy sobie trzy miliardy lat.

— Poczuleś tego bluesa, kotku. Wszyscy jesteśmy tu dzierżawcami, łącznie z tymi, którym się wydaje, że są posiadaczami. Własność jest czymś niemożliwym.

— Okay, okay, chyba z grubsza to pojąłem. Własność

126

jest kradzieżą, ponieważ tytuły własności ziemi, nadawane przez Iluminatdw, są arbitralne i niesprawiedliwe. Takie same są ich statuty bankowe, zniżki kolejowe i wszystkie te monopolistyczne gry kapitalizmu...

— Państwowego kapitalizmu. Nie prawdziwego *lais-sez-faire*.

— Czekaj. Własność jest niemożliwa, bo świat jest czasownikiem, płonącym domem — jak powiedział Budda. Wszystko jest ogniem — to mój stary kumpel Heraklit. Skoro więc własność jest złodziejstwem i jest niemożliwa, to jak stąd dojść do tego, by własność była wolnością?

— Bez prywatnej własności nie można podejmować prywatnych decyzji.

— Więc wracamy do miejsca, od którego zaczęliśmy?

— Nie, weszliśmy na wyższy podest spiralnej klatki schodowej. Popatrz na to w ten sposób. Dialektycznie, jak mdwią twoi marksistowsy przyjaciele.

— Ale powróciliśmy do własności prywatnej. Uprzednio dowodząc, że jest niewykonalną fikcją.

— Niewykonalną fikcją jest państwowa forma własności prywatnej, podobnie jak państwowa

forma własności komunalnej. Myśl poza kategoriami struktur państwowości, George. Myśl o własności w wolności.

George potrząsnął głową.

— Za cholerę tego nie chwytam. Ja tylko widzę, jak ludzie rozszarpują się nawzajem na kawałki. Wojna wszystkich przeciwko wszystkim, jak ten, jak-mu-tam, powiedział.

— Hobbes.

— Hobbes, mops, koks. Ktokolwiek. Czy cokolwiek. Nie miał racji?

— Zatrzymaj silnik tej łodzi.

— Co?

— Zmuś mnie, żebym cię kochała.

— Czekaaj, ja nie...

127

— Spraw, by niebo zrobiło się zielone albo czerwone, a nie niebieskie.

— Dalej nie chwytam.

Mavis wyjęła pióro z szuflady biurka i ujęła je w dwa palce.

— Co się stanie, jeśli je upuszczę?

— Upadnie.

— Na czym siadasz, jeśli nie ma żadnych krzesel?

— Na podłodze? — Gdybym nie był taki nawalony, na pewno już wtedy bym to załapał.

Narkotyki czasami przeszkadzają zamiast pomagać. — Na ziemi? — dodałem.

— Na własnej dupie, to jasne — odparła Mavis. — Chodzi o to, że ty nadal siadasz, nawet jeśli znikną wszystkie krzesła. Albo robisz nowe krzesła.

Ona też jest zaćpana, bo inaczej potrafiłaby to lepiej wyjaśnić — pojąłem.

— Ale nie możesz zatrzymać silnika, nie znając się na inżynierii morskiej. Nie wiesz, którą dźwignię trzeba pociągnąć. Albo co nacisnąć. I nie możesz zmienić nieba. A pióro upadnie, mimo że do pokoju nie wparuje jakiś demon grawitacji, żeby sprawić, by upadło.

— Gówno i różowe petunie — powiedziałem z obrzydzeniem. — To jakaś forma tomizmu? Chcesz mi sprzedać argument Naturalnego Prawa? Zupełnie tego nie kupuję.

— Okay, George. Oto następny kop. Tylko uważaj, żebyś nie popuścił.

Mówiła to w stronę ściany, domyślałem się, że do jakiegoś ukrytego mikrofonu.

— Przyślij go tu teraz.

Robot łatwo się denerwuje, zacisnąłem zwieracz już wtedy, gdy mnie ostrzegła przed następnym kopem i wcale nie musiała nic mówić o popuszczaniu. Carlo i jego rewolwer. Hagbard i jego rewolwer. Posiadłość Drake'a. Wykonałem głęboki wdech i czekałem, żeby zobaczyć, co uczyni Robot.

128

Jeden z paneli w ścianie rozsunał się i do pokoju został wepchnięty Harry Coin. Przyszło mi tylko do głowy, że powinienem był się domyślić, w tej grze, w której obie strony stale zabawiały się iluzją, że śmierć Coina, te dyndające sztuczne wnętrzości i cała reszta, to mogła być kompletna lipa, no i naturalnie Mavis razem ze swoją hordą mogła go wywieźć z aresztu w Mad Dog jeszcze zanim mnie wywieźli, i przypomniałem sobie ten bdl, po tym, jak uderzył mnie w twarz i jak wsadził we mnie kutasa, a Robot już się ruszał i nawet porządnie nie wycelowałem, a jego głowa odbijała się od muru, z jego nosa tryskała krew, a ja zdążyłem trzasnąć go raz jeszcze w szczękę, gdy się osuwał na podłogę i zaraz się cofnąłem, a potem zatrzymałem, omal nie kopiąc go w twarz, gdy już leżał nieprzytomny. Zen w sztuce prania się po pyskach. Znokautowałem człowieka dwoma ciosami. Ja, który nienawidziłem Hemingwaya i machoizmu tak bardzo, że w życiu nie uczestniczyłem w ani jednej lekcji boksu. Oddychałem z trudem, ale to było coś dobrego i czystego, uczucie takie jak po orgazmie, adrenalina wciąż płynęła, ale zamiast odruchu ucieczki odezwał się odruch walki i teraz już było po wszystkim, a mnie ogarnął spokój. Błysk w powietrzu: rewolwer Hagbarda w dłoni Ma-vis, potem lecący w moją stronę. Gdy go złapałem, powiedziała:

— Wykończ tego skurwiela.

Moja furia wygasła w tym momencie, gdy powstrzymałem się od wymierzenia kopniaka, widząc, że jest nieprzytomny.

— Nie — odparłem. — Już po wszystkim.

— Jeszcze go musisz wykończyć. Nie przydasz się nam, dopóki nie będziesz gotów do zabijania, George.

Zignorowałem ją i załotałem w ścianę.

— Wynieście stąd tego skurwiela — powiedziałem głośno.

Panel rozsunął się i dwóch marynarzy, z wyszczerzo-
129

nymi w uśmiechu twarzami o słowiańskim wyglądzie, chwyciło Coina pod pachami i wywlokło go na zewnątrz. Panel cicho zasunął się z powrotem.

— Nie zabijam na rozkaz — oświadczyłem, odwracając się w stronę Mavis. — Nie jestem jakimś niemieckim pasterzem albo ochotnikiem. Załatwiłem z nim swoje sprawy. Jeśli chcecie, żeby zginął, to sami zajmijcie się brudną robotą.

Ma vis uśmiechała się pogodnie.

— Czy to Naturalne Prawo? — spytała. *Natomiast dwadzieścia trzy godziny później Tobias*

Knight usłyszał ten głos w swoich słuchawkach: „W tym cały szkopał. Nie mogę sobie przypomnieć. Ale jak mnie pan zostawi na jakiś czas samego, to może mi się przypomniał.” Nerwowo gładząc swoje wąsy, Knight nacisnął guzik automatycznego nagrywania, zdjął słuchawki i wcisnął przycisk łączący go z gabinetem Esperando De-sponda.

— Despond — usłyszał z intercomu.

— CIA ma kogoś. Mężczyznę, który był z tą dziewczyną po Mocenigo. Przyślij tu kogoś po nagranie, opis dziewczyny jest całkiem niezły.

— Zrozumiałem — odparł ochryple Despond. — Coś jeszcze?

— Obiecał, że przypomni sobie nazwisko jej następnego klienta. Ona mu je podała. To też możemy zdobyć.

— Miejmy nadzieję — mruknął Despond i rozłączył się. Usiadł na swoim krześle i przemówił do trzech agentów zebranych w jego gabinecie. — Ten nasz facet, jak on się nazywa? Naismith, to prawdopodobnie następny klient. Skonfrontujemy ze sobą obydwa opisy i będziemy mieli o wiele dokładniejszy rysopis dziewczyny niż CIA, bo oni pracują na podstawie tylko jednego opisu.

Niemniej po kwadransie wytrzeszczył oczy ze zdziwienia na widok wykresu sporządzonego kredą na tablicy:

130

OPISY PODEJRZANEJ

Pierwszy świadek Drugi świadek

Wysoki, gburowaty agent Roy Ubu powiedział z namysłem:

— Nigdy nie widziałem, żeby opisy dwóch naocznych świadków pokrywały się dokładnie, ale to...

— Jeden z nich z jakiegoś powodu kłamie — zjeżył się niewysoki, zgryźliwy agent Buzz Vespa. — Tylko który?

— Żaden z nich nie ma powodów, by kłamać — odparł Despond. — Panowie, musimy spojrzeć faktom w oczy. Doktor Mocenigo nie był wart tego zaufania, jakie pokładał w nim rząd Stanów Zjednoczonych. Był zdegenerowanym maniakiem seksualnym. Ubiegłej nocy miał dwie kobiety, przy czym jedna z nich była czarna.

— Jakim cudem ten mały gnojek mógł zniknąć? — krzyknął Peter Kurten z CIA. — Z tego pokoju można wyjść tylko przez drzwi, o, tędy, a one znajdowały się pod naszym stałym nadzorem. Te drzwi były otwierane tylko raz, gdy DeSalvo zabrał automat do kawy i poszedł go napełnić w pobliskim barze. Och... mój... Boże... automat... do... kawy...

Gdy zwałił się z powrotem na krzesło, z opadłą szczęką, wystąpił agent z urządzeniem, które przypominało wykrywacz min.

131

Wzrost	5 stóp 2 cale	5 stóp 5 cali
Waga	90-100 funtów	110-115 funtów
Włosy	Czarne	Blond
Rasa	czarna	biała Imię lub
pseudonim	Bonnie	Sarah
Znaki szczególne	Brak	Blizna na szyi
Wiek	Nastoletnia	Dwudziestoparoletnia
Płeć	Kobieta	Kobieta

— Codzienne wymiatanie pluskiew FBI, sir — powiedział z zażenowaniem. — Obawiam się, że maszyna właśnie zarejestrowała jedną pod pańskim biurkiem. Gdyby pan pozwolił mi tam sięgnąć i... uh... to ją wyłapię...

I zasłuchany Tobias Knight nic już więcej nie słyszał. Minie co najmniej kilka godzin, zanim ich człowiek w CIA będzie mógł zamontować nową pluskwę.

A Saul Goodman nacisnął całą siłę hamulce swojego wypożyczonego forda brontosaura, gdy

malutka i wyraźnie zdecydowana na wszystko istotka wypadła pędem ze sklepu „Papa Mescalito Sandwich” i przebiegła tuż przed jego zderzakiem. Saul usłyszał nieprzyjemny łomot i głos siedzącego obok niego Barneya Muldoona, ktory jęknął:

— O Chryste, nie...

Już mnie zaczynało telepać z nerwów. Ze Syndykat, to rozumiałem, ale Federalni? Wymiękłem. Powiedziałem do tej głupiej cipy, Bonnie Quint:

— Jesteś pewna na tysiąc procent?

— Carmel — powiada ona. — Ja znam Syndykat. Oni nie są tacy pico waci. Ci faceci naprawdę byli tymi, za których się podawali. Federalni.

O Jezu Chryste! Jezus Chrystus z jajkiem w brodzie. Nie mogłem się opanować, poniosło mnie i dałem tej durnej cipie kopa w dupę.

— Co im nagadałaś? — krzyknąłem. — Co im nagadałaś?

Zaczęła chlipać.

— Nic im nie nagadałam.

Więc znowu musiałem jej przywalić. Chryste, jak ja nie lubię bić kobiet, one zawsze tak sklamrzą.

— Bo użyję pasa — ryknąłem. — Tak mi dopomóż Bóg, użyję pasa! Nie mów mi, że nic im nie powiedziałaś. Każdy coś im mówi. Niemowa będzie śpiewał jak Sinatra, gdy już z nim skończą. Więc co im powiedziałaś?

No i znowu ją skopałem. Chryste, to było straszne.

132

— Powiedziałam im tylko, że nie byłam z tym Mocenigo. Bo z nim nie byłam.

— A powiedziałaś im, że z kim byłaś?

— Wymyśliłam opis. Jednego kurdupła. Takiego faceta, którego widziałam na ulicy. Nie podałabym nazwiska prawdziwego faceta, wiem, że to by się odbiło na tobie. I na mnie.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc znowu jej przywaliłem.

— Idź sobie — krzyknąłem. — Zmiataj. Daj mi pomyśleć.

Ona wychodzi, nadal sklamrząc, a ja staję przy oknie i patrzę na pustynię, żeby uspokoić łeb. Zaczynał się już mój katar sienny, to była ta pora roku. Po co ludzie ściągają siano na pustynię? Bardzo się starałem skupić na problemie i zapomnieć o swoim zdrowiu. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: że ten cholerny Mocenigo domyślił się, iż Sherri u niego węszy, i powiedział Federalnym. Syndykat jeszcze w to nie wlaźł. Wszyscy biegali po Wschodnim Wybrzeżu jak jakieś kury z oberżniętymi łapami, usiłując się dokapować, kto sprzątnął Maldonada i dlaczego to się stało u Drake'a, w takim porządnym domu. Nie mieli więc jeszcze czasu wykryć, że te pięć milionów Bananowego Nosa zniknęło w moim sejfie, jak tylko się dowiedziałem, że on nie żyje. Federalni w ogóle w tym nie siedzieli i wszelkie związki w tej sprawie były wyłącznie przypadkowe.

I wtedy walnęło mnie tak silnie, że omal nie fajtnąłem. Oprócz moich dziewczyn, które nic nie powiedzą, było jeszcze z dziesięciu, a może dwudziestu taksówkarzy, barmanów i licho wie kogo jeszcze, którzy wiedzieli, że Sherri pracowała dla mnie. Federalni wyciągną to z kogoś prędzej lub później, pewnie prędzej. Czuję się tak, jakby w mojej głowie pokazał się dymek z komiksu: ZDRADA. POMAGANIE I UKRYWANIE WROGA. Pamiętałem z czasów, kiedy jeszcze byłem smarkiem, tych dwóch żydowskich naukowców, których Federalni za to wykasowali.

133

Tajniacy. Usmażyli ich, Jezu Chryste, myślałem, że się porzygam. Czemu ten pierdolony rząd musi być taki dla kogoś, kto tylko chce zarobić trochę kasy? Nawet Syndykat tylko by zastrzelił człowieka albo zrobił mu lewatywę z ołowiu, a ten chujowaty rząd musi od razu wsadzać na krzesło elektryczne. Jezu Chryste, zaczynało mi dymić z czachy.

Wyjąłem cukierka z kieszeni i zacząłem go ssać, zastanawiając się, co robić. Jak dam nogę, to Syndykat odgadnie, że to ja opróżniłem sejf, kiedy sprzątnęli Mal-donada, i wtedy mnie dopadną. Jak nie dam nogi, to Federalni staną na progu z nakazem aresztowania za zdradę państwa. Wdepnąłem w podwójny gnój. Mogłem próbować porwać samolot do Panamy, ale nie dowiedziałem się na czas, jaki układ zawarty pluskwy Mocenigo z tamtejszym rządem komuchów. Mogli mnie zaraz odesłać. Beznadzieja. Jak układanie strita z trzech kart. Mogłem tylko szukać jakiejś dziury i zakopać się w niej.

A potem, zupełnie jakby żarówka zaświeciła w mojej głowie, pomyślałem sobie: Jaskinia Lehmana.

— Co teraz mówi komputer? — spytał prezydent prokuratora generalnego.

— Co teraz mówi komputer? — warknął prokurator generalny do słuchawki.

— Jeśli dziewczyna kontaktowała się przed śmiercią z dwoma osobami, to w tym momencie liczba potencjalnych nosicieli wynosi — telefon urwał — czterysta dwadzieścia osiem tysięcy. Jeśli dziewczyna miała trzy kontakty, wówczas siedem milionów sześćset pięćdziesiąt sześć tysięcy.

— Sprowadźcie Agentą do Zadań Specjalnych — zażądał prezydent. Był najspokojniejszy ze wszystkich siedzących przy stole — od Fernando Po wspomagał się li-brium, tofranilem i elovilem demerolem, zdumiewającymi pastyleczkami, dzięki którym Hermann Goring był taki żywy i wesoły podczas Procesu Norymberskiego, gdy wszy-

134

scy pozostali hitlerowcy popadali w katatonię, paranoję i inne dysfunkcjonalne stany.

— Despond — przemówił drugi telefon.

— Mówi pański prezydent — powiedział prezydent. — Proszę powiedzieć uczciwie. Czy zdjął już pan tego szopa z drzewa?

— Uh, sir, nie, sir. Musimy znaleźć tego stręczyciela, sir. Dziewczyna prawdopodobnie nie żyje, ale nie znaleźliśmy jej. Jest teraz matematycznie pewne, że ktoś ukrył jej ciało. Oczywiście teza, sir, jest taka, że jej stręczyciel, jako osoba zaangażowana w nielegalne interesy, wolał ukryć ciało, zamiast donieść o jej śmierci. Mamy dwa opisy tej dziewczyny, sir, i, mhm, chociaż niecałkowicie się zgadzają, powinny nas do niego doprowadzić. Naturalnie, on niebawem powinien umrzeć i wtedy go znajdziemy. To jest Rubikon tej sprawy, sir. A póki co pragnę z zadowoleniem donieść, że mamy zdumiewające szczęście. Jak do tej pory, tylko dwa przypadki i w obydwóch udało się wstrzyknąć antidotum. Można też przypuścić, tylko przypuścić, że ten stręczyciel ukrył się gdzieś po pozbyciu się ciała. W takim przypadku nie kontaktował się z inną osobą i nie rozprzestrzenił choroby. Sir.

— Despond — powiedział prezydent. — Chcę mieć wyniki. Proszę nas informować. Los naszego kraju zależy od pana.

— Tak, sir.

— Proszę zdjąć tego szopa z drzewa, Despond.

— Zrobimy to, sir.

Esperando Despond odwrócił się od telefonu w chwili, gdy do pokoju wszedł agent z sekcji komputerowej.

— Masz coś? — zawołał nerwowo.

— Pierwszą dziewczynę, tę Murzynkę, sir. To jedna z prostytutek, które wczoraj przesłuchiwaaliśmy. Nazywa się Bonnie Quint.

— Wyglądasz na zdenerwowanego. Jakież komplikacje? — spytał podejrzliwie Despond.

135

— Tylko kolejna zagadka. Nie przyznała się, że była wczoraj z Mocenigo, ale spodziewaliśmy się takiego kłamstwa. Dziwnie natomiast opisała faceta, z którym twierdzi, że była.

Człowiek od komputerów pokręcił głową, wyrażając powątpiewanie.

— Opis tego faceta nie pasuje do Naismitha. Pasuje do tego krasnala, tego karła, którego trzyma CIA. A on mówił, że był z tą drugą dziewczyną.

Despond otarł czoło.

— Co się do diabła dzieje w tym mieście? — zapytał, wpatrując się w sufit. — Jakaś orgia seksualna?

W rzeczy samej w ciągu dwóch ostatnich dni, to jest odkąd do Las Vegas przybyli Weterani Seksualnej Rewolucji, w mieście odbyło się kilka orgii seksualnych. Brygada Hugh'a M. Hefnera zajęła dwa piętra w hotelu „Piaski”, zatrudniła stadko profesjonalistek i do tej pory nie wyszła na zewnątrz, by się przyłączyć do Brygady Alfreda Kinseya, Partyzantów Normana Mailera i pozostałych, którzy maszerowali po Strip, obsikując dziewczęce krocza z pistoletów na wodę, podając sobie butelki z bimbrem, tamując ruch i denerwując przechodniów. Sam doktor Nai-smith, po kilku manifestacyjnych wystąpieniach, na ogół unikał zabawy i wycofał się do swego prywatnego apartamentu, by popracować nad najnowszą odezwą wzywającą do zbierania funduszy na rzecz Fundacji Kolosa z Yorba Linda. W rzeczy samej WSR, podobnie jak Konserwatywni Rycerze Opozycją Czerwonego Ekstremizmu, stanowili późniejsze przedsięwzięcie Naismitha i zarabiał na nich zaledwie orzeszki ziemne. Większość prawdziwych weteranów rewolucji seksualnej padła ofiarą syfilisu, małżeństw, dzieci, alimentów i innych tego typu dolegliwości, toteż niewielu białych herosów było gotowych stawiać opór czerwonemu ekstremizmowi w ten dziwaczny sposób, zalecany przez ulotki Naismitha; w obydwu przypadkach znalazł po prostu dwa rynki orzechowe,

136

których nikt dotąd nie eksploatował i szybko je zagarnął dla siebie. Nawet Stowarzyszenie John Dillinger Umarł za Ciebie, z którego był przesadnie dumny, jako że prawdopodobnie była to

najbardziej niewiarygodna religia w długiej historii ludzkiego zaślepienia metafizyką, nie przynosiło rocznie znacznie mniejszych dochodów niż te fanaberie. Natomiast prawdziwych kokosów dostarczała Fundacja Kolosa z Yorba Linda, która od kilku lat skutecznie zbierała pieniądze na wzniesienie pomnika, z litego złota i o dziesięć stóp wyższego niż Statua Wolności, mającego uczcić pamięć męczennika, byłego prezydenta Richarda Milhouse'a Nixona. Pomnik ten, ufundowany w całości przez dwadzieścia milionów Amerykanów, którzy wciąż kochali i czcili Nixona, mimo godnych potępienia kłamstw Kongresu, Departamentu Sprawiedliwości, prasy, TV, sądów, itp., miał stać obok Yorba Linda — domu, w którym Cwany Rysio spędził dzieciństwo, i patrzeć złowieszczo w stronę Azji, ostrzegając żółtków, by nie próbowali napadać na Wujka Sama. Obok gigantycznej prawej stopy idola mieli stać Tajniacy i z uwielbieniem spoglądać w górę, a pod lewą stopą — widnieć miała zdruzgotana, alegoryczna postać przedstawiająca Cesara Chaveza. Wielki Człowiek miał trzymać w prawej dłoni główkę sałaty, a w drugiej taśmę z nagraniem. Całość zapowiadała się niezwykle gustownie i tak przemawiała do wyobraźni Fundamentalistycznych Amerykanów, że Fundacja Kolosa zebrała już setki tysięcy dolarów i Nai-smith zamierzał dać dyla z tym łupem do Nepalu na pierwszą oznakę, że darczyńcy albo inspektorzy pocztowi zaczynają się zastanawiać, kiedy wreszcie zostanie rozpoczęta budowa pomnika na tej działce, którą nabył za pierwsze kilka tysięcy, zadbawszy o duże nagłośnienie tego faktu w prasie.

Naismith był niskim, szczupłym mężczyzną i, podobnie jak wielu Tekszańczyków, uwielbiał kowbojskie kapelusze (mimo że nigdy nie zaganiał stad bydła) oraz bandyckie

137

wąsy (mimo iż kradł zawsze za pomocą oszustwa, a nie przemocy). Był także, odmiennie niż jego rodacy w tym momencie historycznym, niesłuchanie uczciwym człowiekiem i, w odróżnieniu od większości korporacji tej epoki, żadne z jego przedsiębiorstw nie zatrulo ani nie okaleczyło klientów, którym zabrał pieniądze. Jediną jego wadą był cynizm, wynikający z braku wyobraźni: uważał większość swoich ziomków za przypadki totalnych umysłowych po-jebów i gorąco wierzył, że eksploatuje ich głupotę, gdy im mówił, że to wielka konspiracja Iluminatów sprawuje kontrolę nad podażą pieniądza i stopami procentowymi, albo że bandyci z lat trzydziestych byli w pewnym sensie zbawicielami zanikającego ducha ludzkiego. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że w tych dziwacznych pomysłach jest jakiś element prawdy. Krótko mówiąc, mimo że Naismith urodził się w Teksasie, był równie wyalienowany z rytmu, poezji i głębokiej prawdy amerykańskiej emocji jak nowojorski intelektualista.

Niemniej cynizm ten dobrze mu służył, gdy udał się z rozmaitymi, dziwnymi objawami do lekarza hotelowego i gdy pośpiesznie zagnano go do rzekomej stacji Służby Zdrowia Publicznego USA, obsługiwanej przez osobników, w których szybko rozpoznał funków. Funk to takie stare tekszańskie określenie, prawdopodobnie skrót od „funkcjonariusz prawa” (Tekszańcy nie bardzo się znają na tworzeniu skrótów), i znaczeniowo jest nacechowane podejrzliwością oraz ostrożnością, lecz nie taką furią, jak słowo „świnia” używane przez Nową Lewicę. Wykorzystała je wymownie Bonnie Parker w swojej najnowszej balladzie:

Któregoś dnia zginą u swego boku
I skryje ich jedna ziemi hałda
Jednych to srodze utruje
Funków zaś uraduje
A to przecież śmierć Bonnie i Clyde'a.

138

Zawierało się w tym prawie wszystko: funk niekoniecznie jest faszystowsko-rasistowską świnią z gestapo (określenie to było zasadniczo nieznanne w Teksasie), jednakże z ulgą powitałby zniknięcie uprzykrzonej i buntowniczej jednostki, choćby nie wiadomo jak krwawe miało być owo zniknięcie. Natomiast kogoś wyjątkowo upierdliwego funki mogły posiekać jak kotlet — czy zastrzelić z ukrycia, nie dając szansy na poddanie się, jak to zrobili z panną Parker i panem Barrow — za to tak grzecznego złodzieja i oszusta jak doktor Naismith ze znacznie większą radością wsadzą do jakiegoś miejsca, z którego już nie da się wprowadzać entropii do działalności Maszyny, której służą. Tak więc, rozpoznawszy funków, doktor Naismith zmrużył oczy, zastanowił się głęboko i, gdy rozpoczęli przesłuchanie, łął jak przystało na niepoprawnego oszusta z dawnej teksańskiej szkoły.

— Zaraził się pan tym od kogoś, z kim miał pan kontakt cielesny. A zatem albo jechał pan zatłoczoną windą, albo zaraził się pan od jakiejś prostytutki. Który to przypadek?

Naismith pamiętał swoją kolizję z Kurduplem i szczerowatym facetem z wielką walizką, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ten śledczy bardzo wyraźnie przychyła się do tej drugiej możliwości. Szukali jakiejś kobiety, a jak już powie się funkom to, co chcą usłyszeć, to więcej nie

wracają do zadawania dalszych osobistych pytań.

— Byłem z jedną prostytutką — powiedział, starając się mdwieć zawstydzonym głosem.

— Czy może ją pan opisać?

Przypomniał sobie te wszystkie prostytutki, które widział w towarzystwie delegatów WSR, jedna z nich bardzo się wyróżniała. Jako człowiek uprzejmy, nie chciał wciągać jakiejś niewinnej kurwy w tę paskudną sprawę (nieważne, o co w niej chodziło), więc połączył ją z inną kobietą, tą pierwszą w życiu, do której udało mu się wbić w odległej młodości w pięćdziesiątych.

139

Pechowo dla dobrych intencji doktora Naismitha, funki nigdy nie oczekują, że opis naocznego świadka będzie pod wszelkimi względami pasował do opisywanej osoby, więc w rezultacie wprowadzenia jego informacji do IBM-a, otrzymano aż trzy wydruki. Każdy zawierał więcej zbieżności z jego wymysłami niż różnic i wszystkie powstały w oparciu o bazy danych kilkuset prostytutek, których opisy zostały zebrane i zakodowane w ciągu ostatniej doby. Po przeprowadzeniu tych trzech wydruków przez inny program sortujący, ograniczony do szczególnych cech fizycznych, technicy ustalili ostatecznie, że chodzi o Bon-nie Quint. Czterdzieści pięć minut później siedziała już w gabinecie Esperando Desponda, nerwowo kręciła młynka etolą z nerek i skubała rąbek mini-spódniczki, zrećnie unikając pytań, dręczona żywym wspomnieniem głosu Carmela: „Bo użyję pasa. Tak mi dopomóż Bóg, użyję pasa.” Starła się również, jak mogła, nie dostać zastrzyku.

— Nie pracujesz jako wolny strzelec — powtórzył złośliwie po raz piąty Despond. — W tym mieście mafia wsadziłaby ci nóż w dupę i złamała rękojeść, gdybyś tylko spróbowała. Masz jakiegoś alfonsa? Więc co, mamy cię zamknąć, czy powiesz nam, jak on się nazywa?

— Nie naciskaj jej tak mocno — powiedział Tobias Knight. — To biedna, ogłupiona smarkula. Nie masz jeszcze dwudziestu lat, prawda? — spytał ją uprzejmie. — Daj jej pomyśleć. Ona zrobi to, co trzeba. Czemu miałyby osłaniać jakiegoś obrzydłego alfonsa, który ją stale wykorzystuje? — Obdarzył ją uspokajającym spojrzeniem.

— Biedna, ogłupiona smarkula, a niech mnie diabli! — wybuchnął Despond. — To jest sprawa życia lub śmierci, więc żadna czarna kurwa nie będzie mi tu lgała jak z nut, żeby się od tego wykręcić. — Całkiem zrećnie udawał człowieka dosłownie trzęsącego się z tłumionej furii. — Mam ochotę jej przysolić — wrzasnął.

Knight, wciąż odgrywając rolę przyjaznego gliniarza, zrobił zaszokowaną minę.

140

— Zachowujesz się bardzo nieprofesjonalnie — powiedział ze smutkiem. — Jesteś przemęczony i teraz straszysz to dziecko.

Trzy godziny później — gdy Despond zdążył już odegrać prawie całą psychodramę i nieomal wmówił biednej Bonnie, że utnie jej głowę nożykiem do otwierania listów, a Knight zrobił się taki ojcowski i opiekuńczy, oboje zaczęli wierzyć, iż ona jest naprawdę jego sześcioletnią córeczką, osaczoną przez Grotów i Wandali — otrzymano wychlipany, lecz dokładny opis Carmela, łącznie z jego adresem.

Dwanaście minut później, Roy Ubu, komunikujący się za pomocą nadajnika w samochodzie, doniósł, że Carmela nie ma w domu i że widziano go, jak jechał na południowy zachód jeepem, w którym znajdowała się także duża walizka.

Podczas następnych osiemnastu godzin zatrzymano jedenastu mężczyzn wędrujących jeepami na południowy zachód z Las Vegas, jednak żaden z nich nie był Carme-lem, mimo że większość z nich z grubsza pasowała pod względem wzrostu, wagi i ogólnego opisu fizycznego podanego przez Bonnie Quint, a dwóch z nich miało nawet duże walizki. Dwadzieścia cztery godziny później na drogach wiodących na północ, południe, wschód i zachód zatrzymano prawie tysiąc mężczyzn, wszelkich rozmiarów i kształtów, jadących samochodami choć odrobinę przypominającymi jeepy. Kilku z nich podróżowało w stronę, a nie od strony Las Vegas. Żaden z nich nie był Carmelem.

Wśród wszystkich tych ludzi, którzy plątali się wokół bazy Pustynne Drzwi i miasta Las Vegas, wyposażeni w legitymacje Służby Zdrowia Publicznego USA, jeden był naprawdę zatrudniony przez SZPUSA. Miał długie, szczupłe ciało, żałobny wygląd i ogólnie przypominał późnego, tego wielkiego, Borisa Karloffa, a nazywał się Fred Filiarisus. Dzięki specjalnym pełnomocnictwom Białego Domu, doktor Filiarisus mógł zdobyć dostęp do wszystkiego, co

141

było wiadome naukowcom z Pustynnych Drzwi, łącznie z historiami choroby pierwotnie zarażonych, spośród których dwóch zdążyło umrzeć, zanim antidotum zaczęło działać, a trzech nie miało absolutnie żadnych objawów, mimo że byli narażeni na kontakt z pozostałymi. Miał także dostęp do informacji pochodzących zarówno od FBI, jak i CIA, bez potrzeby zakładania pluskiew w

ich biurach. To właśnie jemu udało się wreszcie, 30 kwietnia, nakreślić właściwy obraz sytuacji i o jedenastej tamtego ranka złożył sprawozdanie bezpośrednio w Białym Domu.

— Niektórzy ludzie są z natury niepodatni na Wąglik—Trąd-Pi, panie prezydencie — powiedział Filiari-sus. — Ale, niestety, są nosicielami. W tej bazie wykryliśmy trzech takich i jest statystycznie pewne, że czwarty wciąż przebywa na wolności.

— Wszyscy okłamywali FBI i CIA, sir. Wszyscy się boją kary, ponieważ uprawiają najrozmaitszą działalność zabronioną przez nasze prawo. Żadna z wariacji bądź per-mutacji ich zeznań nie da się racjonalnie podtrzymać. Wszyscy świadkowie kłamali z jakiegoś powodu, zazwyczaj z kilku powodów. Prawda jest inna niż się dotychczas wydawało. Mówiąc w skrócie, rząd, jako instytucja penitencjarna, od samego początku stanowił czynnik zniekształcający i musiałem zastosować równania z teorii informacji, żeby określić stopień owego zniekształcenia. Powiem, że to, co ostatecznie stwierdziłem, może mieć zastosowanie uniwersalne: żadna instytucja rządowa nie jest absolutnie w stanie uzyskać właściwej ilości danych odnośnie do rzeczywistości od tych, nad którymi sprawuje władzę. Z perspektywy analizy komunikacyjnej, rząd nie jest instrumentem prawa i porządku, lecz prawa i chaosu. Przykro mi mówić to tak otwarcie, ale trzeba o tym pamiętać, w razie gdyby w przyszłości doszło do podobnych sytuacji.

— On gada jak jakiś gówniany anarchista — mruknął wiceprezydent.

142

— Prawdziwy obraz, z dziewięćdziesięciosiedmiopro-centowym prawdopodobieństwem, jest taki — kontynuował Filiariusus. — Doktor Mocenigo kontaktował się z jedną tylko osobą i ta dziewczyna umarła. Hipoteza FBI jest poprawna: jej ciało zostało następnie ukryte, prawdopodobnie na pustyni, przez jakiegoś współnika, który chciał uniknąć kłopotów z instytucjami broniącymi prawa. Gdyby prostytutka była legalna, to być może taki koszmar by się nam nie przydarzył.

— Mówiłem, że to gówniany anarchista — warknął wiceprezydent. — I na dodatek maniak seksualny!

— Wspólnik, który ukrył jej ciało — ciągnął Filiariusus — to nasz czwarty nosiciel, sam odporny, lecz stanowiący śmiertelne zagrożenie dla innych. To właśnie on jest tą osobą, która zaraziła pana Chaneya i doktora Nai-smitha. Żadna prostytutka prawdopodobnie tego nie zrobiła. Ci mężczyźni kłamali, między innymi dlatego, że wiedzieli, co agenci rządowi chcą od nich usłyszeć. Ludzie podporządkowani jakiejś władzy mówią a także robią to, czego się — ich zdaniem — od nich oczekuje; jest to kolejny powód, dlaczego rząd zawsze napotyka takie trudności z poznaniem prawdy.

— Po wprowadzeniu wszystkich uzyskanych informacji do komputera, jedyna niesprzeczna z logiką matematyczną hipoteza jest taka, że czwarty nosiciel to ów zaginiony stręczyciel, pan Carmel. Ponieważ sam nie miał żadnych objawów, nie wie, że nosi w sobie najniebezpieczniejszą chorobę na świecie. Z własnych powodów, których nie możemy się domyślać, ukrywa się od czasu, gdy pozbył się ciała tej kobiety. Prawdopodobnie boi się, że gdy ciało zostanie odnalezione, będzie oskarżony o nieumyślne bądź umyślne spowodowanie śmierci. Względnie może mieć motyw zupełnie z tym nie związany. Kontaktował się tylko dwukrotnie z innymi ludźmi. Sugeruję, iż jego układy z panną Quint były typowe dla ich związku, opartego na uprawianych profesjach: albo ją bił, albo miał

143

z nią stosunek seksualny. Jego kontakt z doktorem Nai-smithem i panem Chaneyem był w pewnym sensie przypadkowy, być może doszło do niego w zatłoczonej windzie, jak sugerował pan Despond. Poza tym, pan Carmel był, jak wynika z powyższego, nieuchwytny.

— Dlatego właśnie wykryliśmy zaledwie trzy przypadki a nie tysiące albo miliony, jak się obawialiśmy.

— Niemniej problem pozostaje. Carmel jest odporny, nigdy się nie dowie, że nosi w sobie chorobę, dopóki mu się tego nie powie, i w końcu gdzieś się pojawi. Dowiemy się o tym, ponieważ w jego bliskości wystąpią przypadki Wąglika-Trądu-Pi. I w tym momencie znowu zacznie się koszmar, sir.

— Największą nadzieję należy pokładać, komputer wspiera mnie w tym mniemaniu, w publicznym ujawnieniu prawdy. Trzeba będzie stawić czoło panice, której tak usiłowaliśmy uniknąć. Należy upowszechnić wszystkie fakty za pośrednictwem środków masowego przekazu w całym kraju i wszędzie rozesłać rysopis Carmela. To nasza ostatnia szansa. Ten człowiek to chodząca, biologiczna maszyna zagłady i trzeba go odszukać.

— Psychologowie, również społeczni, wprowadzili do komputera wszystkie niezbędne dane związane z tą sprawą, a także dane uzyskane na podstawie uprzednich wybuchów paniki i zarazy. Wniosek, z dziewięćdziesięciotryprocentową pewnością, jest taki, że panika ogarnie cały kraj i trzeba będzie wprowadzić stan wyjątkowy. Na samym początku należy nałożyć areszt domowy na

liberałów z Kongresu, a Sąd Najwyższy pozbawić wszystkich uprawnień. Trzeba będzie wysłać wojsko i Gwardię Narodową do wszystkich miast, dając im pełnomocnictwa nadrzędne względem lokalnych władz. Mówiąc w skrócie, demokracja musi przestać istnieć, dopóki ta krytyczna sytuacja nie zostanie opanowana.

— On nie jest anarchistą — orzekł sekretarz spraw wewnętrznych. — To jakiś cholerny faszysta.

144

— To realista — stwierdził prezydent, trzeźwy, świeży, chwytający wszystko w lot, tak nafaszerowany swymi ulubionymi trzema środkami uspokajającymi, silniejszą dawką amfetaminy niż zwykle oraz ładunkiem malutkich, wesołych tabletek demerolu, że jedną nogą stał już poza granicą schizofrenii. — Zaraz zaczniemy wprowadzać jego sugestie w życie.

I w ten właśnie sposób tych parę podartych szczątków Karty Praw, które dotrwały do czwartej dekady zimnej wojny, zległo odłogiem — tymczasowo, jak się wydawało obecnym. Doktor Filiariusus, którego imię w szeregach Starożytnych Oświeconych Proroków Bawarii brzmiało Grakchus Guad, ukończył, w dniu znanym jako Majowa Ewa albo Walpurgisnacht, realizację projektu, rozpoczętą w dniu znanym jako święto Matki Boskiej Gromnicznej, kiedy to w umyśle doktora Mocenigo zamieszczono pierwszy sen o Wągliku-Trądzie-Pi. Naturalnie Iluminaci znali owe święta pod innymi, znacznie starszymi nazwami, spodziewali się również, że Karta Praw została pogrzebana na zawsze.

(Na dwie godziny przed rozmową doktora Filiariususa z prezydentem, na starym cmentarzu w Ingolstadt spotkało się czterech z pięciu Illuminati Primi; piąty nie mógł być obecny. Zgodzili się, że wszystko idzie zgodnie z planem, mimo iż wciąż zostawało jeszcze jedno niebezpieczeństwo: żaden z członków, ani członkiń Zakonu, niezależnie od stopnia, w jakim miał lub miała rozwinięte ESP, nie potrafił wpaść nad trop Carmela. Wsparty o grobowiec — przy którym Adam Weishaupt wykonywał kiedyś rytuały tak niezwykle, że psychiczne wibracje ogarnęły wszystkie wrażliwe umysły w Europie, owocując tak zdecydowanie specyficznymi dziełami literackimi jak: *Mnich Lewisa*, *Melmoth Maturina*, *Zamczysko w Otranto* Walpole'a, *Frankenstein* Mrs. Shelley i *Sto dwadzieścia dni Sodomy* de Sade'a — najstarszy z czterech powiedział:

145

— Może się jeszcze nie udać, jeśli jeden z zaludzi odnajdzie tego alfonsa, zanim zdąży on zarazić chociaż jedno albo dwa miasta.

Słowo „zaludzie” było skrótem, określającym wszy-stkich potomków tych, którzy nie należeli do pierwotnego Nieprzerwanego Kręgu, czyli „zaledwie ludzi”.

— Dlaczego nie umie go znaleźć żaden z naszych ultra-wrażliwych? — spytał drugi. — Czy on zupełnie nie ma *ego*, ani duszy?

— On wytwarza wibracje, które nie są jednak specyficznym ludzkie. Za każdym razem, gdy już nam się wydaje, że je wychwyciliśmy, natrafiamy na sejf jakiegoś banku albo domowy sejf jakiegoś milionera-paranoika — odparł starszy.

— Borykamy się z problemem coraz większej liczby ludności Ameryki — stwierdził ponuro trzeci. — W tym kraju wykonaliśmy naszą robotę za dobrze. Uzależnienie od tych kawałków papieru jest tak silne, że brak już innych impulsów psychicznych, które dadzą się odczytać.

Czwartym mówcą była kobieta.

— Nie ma teraz czasu na trwogę, bracia moi. Plan jest zasadniczo realizowany i brak zwykłych cech zaludz-kich u tego mężczyzny okaże się korzystny, kiedy już go namierzemy. Brak *ego*, brak oporu. Będziemy mogli nim manipulować, jak nam się zechce. Gwiazdy mają rację, Ten Który Nie Może Być Nazwany niecierpliwi się i winniśmy teraz porzucić wszelki lęk!

Przemówienie to wygłosiła z dużym żarem. Pozostali przytaknęli.

— *Heute die Welt, Morgen das Sonnensystem!* — wykrzyknął entuzjastycznie najstarszy.

— *Heute die Welt* — powtórzyli wszyscy — *Morgen das Sonnensystem!*)

Jednakże dwa dni wcześniej, gdy „Leif Ericsson” opuścił Atlantyk i wpłynął do podziemnego oceanu Valusia, znajdującego się pod Europą, George Dorn wysłuchał chó-

146

m zupełnie innego typu. Było to, co zawczasu wyjaśniła mu Mavis, cotygodniowe dyskordiańskie Agape Ludens, względnie Zabawa w Święto Miłości, a sala jadalna została przyozdobiona pornograficznymi i psychodelicznymi plakatami, motywami z chrześcijańskiej, buddyjskiej i amerykańskiej mistyki, balonami i lizakami, zwisającymi z sufitu na sznurkach pomalowanych farbą fluorescencyjną, numinotycznymi obrazami, przedstawiającymi dyskordiańskich świętych (między innymi: Cesarza Nortona I, Sigismundo Malatestę, Guillema z Akwitanii, Czuang Czou, sędziego Roya Beana i inne postacie historyczne, bardziej jeszcze podejrzane, oraz

liczne goryle i delfiny), bukietami róż, forsycji, gladioli i orchidei, wiązkami żołądź i miniaturowych dyń oraz obowiązkowymi proliferacjami złotych jabłek, pentagonów i ośmiornic.

Jako danie główne podano królewskiego kraba z Alaski, przyrządzonego *d la* Newburg — George w życiu nie jadł nic lepszego — lekko oproszonego szczyptą panam-skiej czerwonej gandzi. Między stolami cały czas krążyły dziesiątki tac z suszonymi owocami, serami i kanapkami z wysmienitym kawiozem, którego George nigdy wcześniej nie miał okazji skosztować („Tylko Hagbard wie, gdzie te jesiotry mają tarło” — wyjaśniła Mavis), a głównym napitkiem była złożona z siedemnastu ziół japońska herbata Mu, zmieszana z herbatą Indian Menomenee, wytwarzaną z peyotlu. W czasie gdy wszyscy obżerali się i śmiali, stając się umiarkowanie, lecz skutecznie zaćpani, Hagbard — najwyraźniej zadowolony, bo razem z FUC-KUP—em zlokalizował „problem w Las Vegas” — radośnie kierował oprawą religijną Agape Ludens.

— Rub-a-dub-dub — wyskandował. — O Heil, Eris!

— Rub-a-dub-dub — powtórzyli wesoło zebrani. — O Heil, Eris!

— *Sya-dasti* — Wszystko, co wam mówię, jest prawdą.

— *Sya-dasti* — podjął chór. — O Heil, Eris! George rozejrzał się dookoła; obecni tu byli przedsta-

147

wiciele trzech, a może pięciu rdznych ras (w zależności od tego, której szkole antropologii fizycznej się ufało) i bodaj pól setki reprezentantów rdznych narodowości, jednakże na wszelkie wrażenie kontrastu nakładało się poczucie ludzkiej wspólnoty, tworzącej jedność, jak w dziele muzycznym.

— *Sya-davak-tavya* — zaintonował Hagbard. — Wszystko, co wam mówię, jest fałszem.

— *Sya-davak-tavya* — przyłączył się George. — O Heil, Eris!

— *Sya-dasti-sya-nasti* — wykrzyknął znów Hagbard. — Wszystko, co wam mówię, jest nic nie znaczące.

— *Sya-dasti-sya-nasti* — zgodzili się wszyscy, niektórzy wyraźnie szydząc. — O Heil, Eris!

Gdyby baptyści z Nutley też odprowadzali takie nabożeństwa — pomyślał George — to nigdy bym nie powiedział mojej matce, że religia to jedna wielka zgrywa i nie doszłoby do tamtej koszarnej kłótni, gdy miałem dziewięć lat.

— *Sya-dasti-sya-nasti-sya-davak-tav-yaska* — zaśpiewał Hagbard. — Wszystko, co wam mówię, jest prawdą, fałszem i nic nie znaczące.

— *Sya-dasti-sya-nasti-sya-davak-tav-yaska* — odpowiedział mu chór głosów. — O Heil, Eris!

— Rub-a-dub-dub — powtórzył cicho Hagbard. — Czy ktoś zna jakiś nowy zaśpiew?

— Sieg Heil, krab — wykrzyknął ktoś z rosyjskim akcentem.

To był prawdziwy hit.

— Sieg Heil, krab — ryknęli wszyscy.

— Sieg Heil, te jebane, piękne róże — zaproponował ktoś z oxfordzkim akcentem.

— Sieg Heil, te jebane, piękne róże — zgodzono się. Wstała panna Mao.

— Główną przyczyną protestantyzmu jest papież — wyrecytowała cicho.

148

Ogólny ryk stanowił potwierdzenie, że to kolejny hit, wszyscy powtórzyli hasło chórem, a jakiś głos z Harlemu dodał:

— Dobrze gada!

— Główną przyczyną socjalizmu jest kapitalizm — wy-skandowała panna Mao, pewniejszym głosem. To również zostało dobrze odebrane, a potem jeszcze raz spróbowała:

— Główną przyczyną anarchizmu jest państwo — znowu odnosząc miażdżący sukces.

— Więzienia budowane są z kamieni prawa, burdele z cegieł religii — kontynuowała panna Mao.

— WIEZIENIA BUDOWANE SĄ Z KAMIENI PRAWA, BURDELE Z CEGIEŁ RELIGII — zagrzmiała sala.

— To ostatnie hasło ukradłam Williamowi Blake'owi — wyznała cicho panna Mao i usiadła.

— Jakież inne pomysły? — spytał Hagbard. Nikt już żadnych nie miał, więc po chwili sam zaczął mówić: — No to bardzo dobrze, wygłoszę teraz moje cotygodniowe kazanie.

— Pierdoły! — krzyknął ktoś z Teksasu.

— Sranie w banię! — dodała jakaś Brazylijka. Hagbard zmarszczył brwi.

— To nie była najlepsza demonstracja — skomentował ze smutkiem. — Czy wy wszyscy jesteście tacy bierni, że macie zamiar tu siedzieć na swoich martwych zadach i pozwolić, żebym zanudzał was na śmierć?

Teksańczyk, brazylijska dama i kilkoro innych wstało.

— Idziemy urządzać sobie orgię — rzuciła Brazylijka i wyszli.

— No, niech mnie zatopią, cieszę się, że jeszcze zostało trochę życia na tej starej łajbie — uśmiechnął się szeroko Hagbard. — A co do was, pozostałych... kto może mi powiedzieć, nie wymawiając ani słowa, na czym polega so-fizmat Iluminatów?

Jakaś dziewczyna — była najmłodszym członkiem załogi, George domyślał się, że nie miała więcej jak piętna-

149

ście lat, podobno uciekła od bajecznie bogatej rodziny mieszkającej w Rzymie — wolno uniosła rękę i zacisnęła pięść.

Hagbard odwrócił się z furią w jej stronę.

— Ludzie, ile razy mam wam powtarzać: tylko bez kantów! Wzięłaś to z jakiejś tandetnej książki o zen, z którego ani autor, ani ty nie rozumiecie słowa. Nie cierpię zachowywać się jak dyktator, ale lipny mistycyzm to coś, czego dyskordianizm nie może zdzierżyć. Będiesz przez cały tydzień zmywała gary, ty przemądrzała dziwko!

Dziewczyna nie poruszyła się, pozostała w tej samej pozycji z uniesioną pięścią, a George dostrzegł lekki uśmiech, który bardzo powoli pojawił się na jej ustach. Po chwili sam zaczął się uśmiechać.

Hagbard na moment spuścił oczy i wzruszył po sycylijsku ramionami.

— *O oi che siete in picciotta barca* — powiedział cicho i ukłonił się. — Nadal będę odpowiedzialny za sprawy żeglarskie i techniczne, lecz panna Portinari zastąpi mnie odtąd jako episkopos cabalu „Leifa Ericssona”. Każdy, komu doskwierają jakieś duchowe albo psychiczne problemy, ma zwracać się do niej.

Przemknął przez całe pomieszczenie, chwycił dziewczynę w objęcia, przez chwilę śmiał się razem z nią radośnie, po czym włożył swdż pierścień ze złotym jabłkiem na jej palec.

— Już nie muszę codziennie medytować — wykrzyknął uszczęśliwiony — i będę miał dwa razy więcej czasu na myślenie.

Przez następne dwa dni, w trakcie których „Leif Ericsson” powoli pokonywał morze Valusia i zbliżał się do Dunaju, George odkrył, że Hagbard istotnie zrezygnował z całej mistycznej pompy. Mówił wyłącznie o technicznych sprawach związanych z łodzią albo innych ziemskich tematach, i kompletnie się nie przejmował zmianami rdl i innymi posunięciami służącymi do rozpieprzania umy-

150

głu, które uprzednio konstytuowały jego *dramatis personae*. Przerodził się — ten nowy Hagbard, względnie dawny Hagbard z czasów zanim stał się guru — w twardego i pragmatycznego inżyniera w średnim wieku, charakteryzującego się błyskotliwą inteligencją i zainteresowaniami, druzgoczącą uprzejmością i hojnością, a także zdradzającego liczne, choć drobne objawy nerwowości, niepokoju i przepracowania. Na ogół jednak wyglądał na zadowolonego i George uświadomił sobie, że owo zadowolenie wynika z tego, że pozbył się nadmiernego ciężaru.

Równocześnie panna Portinari wyzbyła się swego zwyczaju stawania zawsze w cieniu, z którego to powodu dotychczas tak łatwo się o niej zapominało, i odkąd Hagbard podarował jej pierścień, stała się niedosiężna i demoniczna jak jakaś etruska sybilla. George stwierdził nawet, że trochę się jej boi — co go irytowało, ponieważ myślał, że udało mu się pokonać strach wraz z odkryciem, że Robot, pozostawiony samemu sobie, nie jest ani tchórzem, ani mordercą.

Próbował porozmawiać o swoich odczuciach z Hagbar-dem, gdy 28 kwietnia przypadkiem usiedli obok siebie przy kolacji.

— Już w ogóle nie wiem, co mi chodzi po głowie — zaczął.

— No to, mówiąc nieśmiertelnymi słowami Marksa, włóż kapelusz — odparł Hagbard z uśmiechem.

— Nie, poważnie — mruknął George, gdy Hagbard zabrał się za siekanie swojego stęka. — Nie czuję się ani rozbudzony, ani oświecony, ani w ogóle jakkolwiek. Czuję się jak K. w *Zamku*: Widziałem go raz, ale nie wiem, jak tam wrócić.

— Po co chcesz wracać? — spytał Hagbard. — Ja się cholernie cieszę, że już jestem poza tym wszystkim. To cięższa praca niż wydobywanie węgla w kopalni. — Żuł spokojnie, najwyraźniej nie zainteresowany kierunkiem, w jakim toczyła się rozmowa.

151

— To nieprawda — zaprotestował George. — Częściowo jesteś tutaj i zawsze będziesz. Przestałeś tylko kierować innymi.

— Próbuję przestać — powiedział Hagbard z naciskiem. — Niektórzy ludzie chcą znowu mnie

do tego wciągnąć. Przepraszam. Nie jestem jakimś niemieckim pasterzem albo najemnikiem. *Non serviam*, George.

George przez chwilę grzebał w swoim steku, potem jeszcze raz spróbował.

— Co znaczyło to zdanie po włosku, które wypowiedziałeś tuż przed oddaniem pannie Portinari pierścienia?

— Nie umiałem wpaść na nic innego — wyjaśnił Hagbard, wyraźnie zażenowany. — No i przez to, jak to mam w zwyczaju, zrobiłem się nadęty i pretensjonalny. Dante przemawia do swych czytelników w Pieśni Pierwszej *Raju* „*O voi che siete in piccioletta barca*” — czyli mniej więcej: „O wy, co za mną żeglujecie łódką niezwykle małą.” Chciał powiedzieć, że czytelnicy, którzy nie mieli Wizji, nie rozumieją jego słów. Ja to odwróciłem: „*O oi che siete in piccioletta barca*”, przyznając w ten sposób, że zostałem przez nią prześcignięty w rozumieniu. Powinienem dostać Nagrodę im. Ezry Pounda za umiejętność ukrywania emocji za pomocą pokrętniej erudycji. Dlatego właśnie się cieszę, że przestałem odgrywać rolę guru. Zawsze wychodziło mi to miernie.

— Cóż, ja ciągle żegluję za tobą... — nie rezygnował George.

— Posłuchaj — warknął Hagbard. — Jestem zmęczonym inżynierem pod koniec długiego dnia. Czy nie możemy pogadać o czymś mniej eksploatującym mój wyczerpany umysł? Co myślisz o systemie ekonomicznym, którego zarys przedstawiłem w drugiej części *Nigdy nie gwizdź, kiedy sikasz*? Postanowiłem nazwać to techno-anarchizmem, czy twoim zdaniem ten termin na pierwszy rzut oka wydaje się bardziej zrozumiały niż anarchokapi-talizm?

152

I sfrustrowany George mimo woli dał się wciągnąć w długą dyskusję o walutach nieoprocentowanych, zarządzie gruntów zamiast praw własności ziemi, niezdolności przystosowania się monopolistycznego kapitalizmu do dostatku i innych sprawach, które jeszcze tydzień wcześniej zainteresowałyby go, lecz teraz były zupełnie nieistotne w porównaniu z kwestią, którą mistrzowie zen ujmowali jako „wyciąganie gęsi z butelki bez rozbijania szkła”

— względnie, mówiąc konkretniej, wyciąganie George'a Dorna z „George'a Dorna” bez niszczenia GEORGE'A DORNA.

Tamtej nocy znowu przyszła do jego łóżka Mavis i George powtórzył:

— Nie. Dopóki nie będziesz kochała mnie tak, jak ja Kocham Ciebie.

— Zmieniasz się w nudną piłę — powiedziała Mavis.

— Nie próbuj chodzić, zanim nie nauczysz się raczkować.

— Posłuchaj — krzyknął George. — A gdyby nasze społeczeństwo systematycznie łamało nogi wszystkim niemowlakom, zamiast naszych umysłów? Tych, którzy usiłowałiby wstać i chodzić, nazywałoby się neurotykami, racja? A w pismach psychiatrycznych zamieszczałoby się publikacje na temat niezdarności ich pierwszych kroków, bo to byłby dowód na regresywną i schizoidalną naturę tego aspołecznego i nienaturalnego impulsu, który kazał im chodzić, racja? A ci, którzy znają tajemnicę zaczęliby się wywyższać, puszyć i kazaliby nam poczekać, być cierpliwymi: pokażecie nam to, gdy nadejdzie właściwy czas, racja? A gówno. Zrobię to po swojemu.

— Ja niczego nie ukrywam — powiedziała łagodnie Mavis. — Dopóki obydwa bieguny nie zostaną naładowane, nie powstaje żadne pole.

— Czyli jestem martwym biegunem? Idź do diabła piec kajzerki.

Po wyjściu Mavis, pojawiła się Stella ubrana w oryginalną, chińską pizamę.

153

— Napalony? — spytała z miejsca.

— Boże Wszechmogący, i to jeszcze jak!

Po dziewięćdziesięciu sekundach byli nadzy, on skubał ustami jej ucho, a dłonią gładził włosy łonowe, w umyśle jednak działał jakiś sabotażysta. Kocham cię — pomyślał, i to nie było kłamstwo, bo w tym momencie kochał wszystkie kobiety, zdając sobie częściowo sprawę z tego, o co tak naprawdę chodzi w seksie, ale nie potrafił się zmusić, żeby to powiedzieć, bo nie była to do końca prawda, ponieważ Mavis kochał o wiele, wiele bardziej. „Bardzo cię lubię”, już miał powiedzieć, lecz powstrzymał się, czując, jakie to idiotyczne. Ona ujęła dłonią jego kutasa i stwierdziwszy, że jest zwiotczały, otworzyła oczy i spojrzała na niego pytająco. Szybko pocałował ją w usta i opuścił niżej rękę, wyszukując palcem *clitoris*. Ale nawet wtedy, gdy zaczęła oddychać głębiej, nie zareagował tak jak zwykle, i jej dłoń zaczęła pocierać jego kutasa z jeszcze większą zaciekłością. Osunął się niżej, całując po drodze sutki i dół brzucha, i zaczął ją lizać. Gdy osiągnęła orgazm, unidł ją za pośladki, wsunął język do pochwy i wymusił jeszcze jeden szybki orgazm, potem znowu ją ułożył i wykonując bardzo delikatne i powolne, okrężne ruchy wrócił językiem do *clitoris*. Ale jego kutas nadal był miękki.

— Przystań — wydyszała Stella. — Pozwól, że ci pomogę, kotku.

George posunął się w górę i objął ją.

— Kocham cię — wyznał i ni stąd, ni zowąd nie brzmiało to już jak kłamstwo.

Stella zachichotała i musnęła jego wargi.

— Bardzo trudno to z ciebie wydusić, prawda? — powiedziała rozbawionym głosem.

— Uczciwość to najgorsza linia postępowania — odparł ponuro George. — Byłem cudownym dzieckiem, wiesz? Dziwolągiem. Ponura sprawa. Musiałem się jakoś bronić i nie wiedzieć czemu zdecydowałem się na uczci-

154

wrósć. Zawsze otaczali mnie starsi ode mnie, ani razu więc nie wygrałem żadnej bdkki. Żeby poczuć swą wyższość albo uniknąć totalnego poczucia niższości, musiałem stać się najuczciwszym sukinsynem na całej tej planecie.

— Więc nie możesz powiedzieć „kocham cię”, jeśli naprawdę tak nie myślisz? — roześmiała się Stella. — Jesteś prawdopodobnie jedynym mężczyzną w całej Ameryce, który ma taki problem. Gdybyś tak choć na chwilę zmienił się w kobietę, kotku! Nie możesz sobie wyobrazić, jakimi kłamcami są z reguły mężczyźni.

— Och, zdarzało mi się to mdwić. Gdy przynajmniej częściowo było prawdą. Ale zawsze miałem wrażenie, że odgrywam komedię i czułem, że tym kobietom też się tak wydaje. Tym razem powiedziało mi się to samo, zupełnie naturalnie, bez wysiłku.

— To już coś — powiedziała Stella, uśmiechając się szeroko. — A ja nie pozwolę, żebyś nie dostał za to żadnej nagrody.

Jej czarne ciało zsunęło się w dół, a on powiódł za nim wzrokiem, delektując się efektem estetycznym — czarne na białym, niczym yin-yang albo Święte Chao — skąd ta psychoza, która kazała białej rasie uważać takie piękno za brzydotę? Po chwili zacisnęła wargi na jego penisie i przekonał się, że słowa rozwiązały supeł: w ciągu sekundy miał erekcję. Zamknął oczy, rozkoszując się tym doznaniem, potem na powrót je otworzył, żeby popatrzeć na burzę jej włosów, na skupioną, ciemnoskórą twarz, na swego kutasa, wślizgującego się i wyslizgującego z jej warg.

— Kocham cię — powtórzył z jeszcze większym przekonaniem. — O Chryste, och Eris, och mała, kocham cię!

Znowu zamknął oczy i pozwolił, by Robot odpowiedział, unosząc pośladki.

— Och, przestań, — powiedział, podciągając ją w górę i obracając na plecy. — Razem — wyszeptał, wspinając się na nią — razem — powtórzył widząc, jak za-

155

myka oczy, gdy w nią wnikał, i potem, jak je otwiera, przez chwilę patrząc w jego oczy z krańcową czułością. — Kocham cię, Stella, kocham cię — i wiedział, że zaszli już tak daleko, iż jego ciężar nie przygniecie jej, więc opadł w dół, obejmując ją ramionami, nie wspierając się na łokciach, dotykając brzuchem jej brzucha, piersiami jej piersi, czując, że i ona obejmuje go ramionami i słysząc, jak mówi: „Ja też cię kocham, och, jak ja cię kocham”, i poruszając się w rytm tych słów, powtarzając: „cudowna” i „kochanie”, a potem już nic nie mówiąc, gdy eksplozja i światło znowu przeniknęły na wskroś nie tylko jego penis, lecz całe ciało, dokonując przejścia poprzez mandalę na drugą stronę, w stronę długiego snu.

Następnego ranka znowu walił się ze Stellą, dziko i radośnie; oboje powtarzali „kocham cię” tyle razy, że słowa te stały się jego nową mantrą, i dalej szeptali je do siebie podczas śniadania. Przystał zupełnie myśleć zarówno o problemie z Mavis, jak i o trudnościach z osiągnięciem całkowitego oświecenia. George Dorn z zadowoleniem pochłaniał jajka na bekonie, które wydawały mu się smaczniejsze niż te wszystkie, które jadł dotychczas. Wymieniał przy tym bezsensowne i bardzo prywatne żarty ze Stellą i nareszcie osiągnął spokój.

(Natomiast dziewięć godzin wcześniej, w tym „samym” czasie, w centrum najstarszego miasta w Północnej Ameryce, Orabi, zebrali się Indianie Kachina i zaczęli wykonywać taniec, którego pewien podniecony, przebywający tam gościnnie antropolog nigdy przedtem nie widział. Wypytał o niego starców i staruszki, należących do Ludu Pokoju — to właśnie oznacza termin ho-pi — i dowiedział się, że taniec został dedykowany Jej-Kobiecie-Nig-dy-Nie-Zmiana. Posiadał dość wiedzy, by nie próbować przełożyć nazwy tańca na własną gramatykę, jako że symbolizowała ona istotny aspekt filozofii czasu Indian Hopi, która w znacznej mierze przypomina filozofie czasu wyznawane przez Simona Moona i Adama Weishaupta, a zu-

156

pełnie się różni od fizyki, której uczą się studenci, przynajmniej przed zrobieniem dyplomu. Powiedziano mu, że dotychczas trzeba było wykonać ten taniec zaledwie cztery razy: cztery razy, gdy

wszystkie liczne światy znalazły się w niebezpieczeństwie, i że to jest piąty raz, a niebezpieczeństwo największe. Antropolog, który przypadkiem był Hindusem o nazwisku Indole Ringh, szybko zapisał w swoim notatniku: „Por. cztery yugi w «Upaniszadach», legenda Wagadu z Sudanu i dziwaczne poglądy Marsha odnośnie do Atlantydy. To wygląda na jakiś niezły numer”. Taniec trwał, monotonna dudniły bębny, a przebywający hen, daleko Carmel oblał się nagle potem...)

A w Los Angeles John Dillinger spokojnie załadował swój rewolwer, wrzucił go do teczki i nałożył panamę na gładko zaczesane, siwe włosy. Nucił piosenkę z lat swojej młodości: „Te weselne dzwony niszczą gang mój...” Mam nadzieję, że ten alfons jest tam, gdzie mówi Hagbard — pomyślał — zostało mi tylko osiemnaście godzin, zanim ogłoszą stan wyjątkowy... „Żegnajcie na zawsze — nucił dalej — starzy kumple i druhowie...”

Zobaczyłem fhordy tego samego dnia, gdy po raz pierwszy usłyszałem o plastikowym martini. Pozwolę sobie opowiedzieć o tym jasno i precyzyjnie, jako że wielu ludzi biorących udział w tym odlocie jest zdecydowanie i umyślnie niezrozumiałych: Nie zobaczyłbym, nie mógłbym zobaczyć fhordów, gdyby Hagbard Celinę nie zahipnotyzował mnie poprzedniej nocy w latającym spodku.

Czytałem u siebie w domu noty Pat Walsh i słuchałem nowego nagrania z Muzeum Historii Naturalnej. Właśnie uzupełniałem o kilka nowych egzemplarzy kolekcję wizerunków Washingtona-Weishaupta wiszącą na ścianie, kiedy za oknem pojawił się spodek. Nie trzeba chyba mówić, że ten widok raczej mnie nie zadziwił; wbrew instrukcjom z EFW, zaoszczędziłem odrobinę AUM-u w Chicago i sam się nawaliłem. Po tym, jak poznałem Dealy Lamę, nawet nie wspominając spotkania z Malaklipką Młodszym, i zo-

157

baczyłem, jak ten dewiant Celinę naprawdę rozmawia z gorylami, przyjąłem założenie, że mój umysł to miejsce podatne na AUM, który z niego uwolni coś rzeczywiście oryginalnego. UFO prawdę mówiąc trochę mnie zawiodło, tylu ludzi już je widziało, a ja czekałem na coś, czego nikt nigdy nie oglądał ani sobie nie wyobraził.

Jeszcze bardziej się rozczarowałem po tym, jak mnie wsiorbali albo wessali na pokład i zamiast Marsjan czy przedstawicieli Trustu Insektów z Galaktyki Kraba zastałem tam tylko Hagbarda, Stellę Maris i kilku innych ludzi z „Leifa Ericssona”.

— Heil, Eris — powiedział Hagbard.

— Sieg Heil, Discordia — odparłem, korzystając ze wzoru trzy po dwóch, w celu uzyskania piątki. — Coś ważnego, czy tylko chciałeś mi pokazać swój ostatni wynalazek?

Wnętrze spodka sprawiało, mówiąc banalnie, dość niesamowite wrażenie. Wszystko było tu nieeuklidesjskie i półprzezroczyste; stale miałem wrażenie, że zaraz przelecę przez podłogę, spadnę i roztrzaskam się na chodniku. Po chwili wystartowaliśmy i zrobiło się jeszcze gorzej.

— Nie denerwuj się tą architekturą — powiedział Hagbard. — To moja własna adaptacja niektórych elementów geometrii synergetycznej Bucky Fullera. Ten spodek jest mniejszy i bardziej wytrzymały niż się wydaje. Nie wypadniesz stąd, wierz mi.

— Czy to właśnie ten wynalazek kryje się za wszystkimi doniesieniami o latających spodkach od czterdziestego siódmego? — spytałem z ciekawością.

— Nie całkiem — zaśmiał się Hagbard. — Zasadniczo wszystkie zostały wymyślone. To projekt stworzony dzięki rządowi Stanów Zjednoczonych, należący do tych nielicznych idei, które nie były inspirowane bezpośrednio przez Iluminatów od około połowy pierwszej kadencji Roo-sevelta. Środek rezerwowy w razie gdyby coś się stało z Rosją i Chinami.

158

— Cześć, mała — powiedziałem cicho do Stelli, przypomniawszy sobie San Francisco. — Czy zechcesz mi powiedzieć, bez tej retoryki i paradoksów Celine'a, o czym do diabła on gada?

— Organizacja tego państwa jest oparta na groźbie — odparła bez zbędnych wstępów Stella. — Jeżeli ludzie nie będą się czegoś bali, to rozumieją, że niepotrzebna im łapa tego wielkiego rządu, bezustannie plądrująca ich kieszenie. Dlatego ludziom zaszczepiono mit spodka, na wypadek, gdyby w Rosji i Chinach ustały wewnętrzne waśnie lub gdyby te państwa zaczęły toczyć ze sobą jakąś prywatną wojnę, czy wreszcie gdyby uległy jakiejś niespodziewanej klęsce żywiołowej, na przykład serii trzęsień ziemi. W razie braku ziemskich wrogów, którymi można straszyć naród amerykański, mit o spodku ulegnie natychmiastowej zmianie. Znajdą się „dowody” na to, że pochodzą z Marsa i że chcą dokonać inwazji oraz zniewolić nas. Kapę?

— Dlatego — dodał Hagbard — zbudowałem ten mały bajer i mogę bez przeszkód podróżować wszędzie tam, gdzie zechcę. Jeśli ten statek zostanie zauważony, na przykład przez operatora radaru z dwudziestoletnim doświadczeniem albo przez jakąś staruszkę z Perth Amboy, ci z rządu uznają to za przypadek autosugestii, ponieważ będą wiedzieli, że sami go nie wysłali. Mogę

krażyć nad miastami, na przykład nad Nowym Jorkiem, albo nad bazami wojskowymi, całkowicie Top Secret, i wszędzie, gdzie mi się tylko spodoba. Fajnie?

— Bardzo fajnie — odparłem. — Ale po co mnie tu wzięłeś?

— Najwyższa pora, żebyś zobaczył fnordy.

Potem obudziłem się w łóżku i był już następny ranek. W dość podłym nastroju przygotowałem sobie śniadanie, zastanawiając się, czy już widziałem fnordy, czymkolwiek do diabła one były, wtedy, gdy Hagbard wyłączał światła, czy może zobaczę je, jak tylko wyjdę na ulicę. Muszę przy-

159

znać, że miałem o nich wtedy dość makabryczne wyobrażenia: pochodzące z Atlantydy stworzenia, obdarzone trojgiem oczu i mackami, żyjące wśród nas, niewidzialne dzięki jakiejś formie umysłowej tarczy i robiące obrzydliwe rzeczy dla Iluminatów. Już same te rozmyślenia odbierały wszelką odwagę, w końcu przestałem walczyć ze swoimi lękami i wyjrzałem za okno, myśląc, że najlepiej zobaczyć je najpierw z daleka.

Nic. Sami zwyczajni, senni ludzie, wędrujący do swych autobusów i metra.

To mnie trochę uspokoiło, więc uszykowałem tosta, kawę i przyniosłem sobie „New York Timesa” z korytarza. Nastawiłem radio na WBAI, złapałem jakiś dobry kawałek z Vivaldiego, usiadłem, wziąłem tosta do ręki i zacząłem przeglądać pierwszą stronę.

I właśnie wtedy zobaczyłem fnordy.

Główny artykuł dotyczył kolejnego, nie kończącego się sporu między Rosją a USA w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ i po każdym cytacie wziętym z przemówienia rosyjskiego delegata czytałem całkiem wyraźne „mord!”. Drugi artykuł był poświęcony debacie w Kongresie na temat wyprowadzenia wojsk z Kostaryki, po każdym argumentie przedstawionym przez senatora Bacona pojawiało się kolejne „fnord!”. Na samym dole strony redakcja „Timesa” zamieściła tzw. wnikliwą analizę narastającego problemu zanieczyszczenia środowiska i zjawiska coraz częstszego używania masek przeciwgazowych przez mieszkańców Nowego Jorku — wszystkie najbardziej niepokojące dane chemiczne zostały zinterpolowane przez kolejne „fnordy”.

Nagle zobaczyłem przepalające mnie na wskroś oczy Hagbarda i usłyszałem jego głos: „Twoje serce zachowa spokój. Twoje nadnercze zachowa spokój. Spokój, całkowity spokój. Nie wpadniesz w panikę. Spojrzysz na fnorda i stawisz mu czoło”. I cofnąłem się jeszcze dalej: mój nauczyciel z pierwszej klasy, który pisze na tablicy słowo FNORD, na jego stole obraca się koło ze spiralnym wzo-

160

rem, obraca się i obraca, a jego głos brzęczy jednostajnie: JEŚLI NIE WIDZISZ FNORDA, TO ON CIĘ NIE BĘDZIE MÓGŁ ZJEŚĆ, NIE WIDZISZ FNORDA, NIE WIDZISZ FNORDA, NIE WIDZISZ FNORDA...

Spojrzałem raz jeszcze na gazetę i nadal widziałem fnordy.

Uświadomiłem sobie, że to krok wyprzedzający Pawłowa. Pierwszy odruch warunkowy polegał na doświadczeniu reakcji paniki (syndrom aktywacji, tak to się technicznie nazywa), zawsze gdy się napotkało słowo „fnord”. Drugi odruch warunkowy miał wywołać kamuflaż tego, co się wydarzyło, łącznie z samym słowem, i po prostu powodować uczucie ogólnie niskiego stopnia zaniepokojenia bez znajomości przyczyny. A trzeci stopień, naturalnie, miał polegać na przypisaniu tego niepokoju wiadomościom, które i tak same w sobie były złe.

Naturalnie, istotą opanowania jest strach. Fnordy stworzyły całą populację chodzącą w chronicznym zaniepokojeniu niskiego stopnia, torturowaną przez wrzody, napady zawrotów głowy, koszmary senne, palpacje serca i wszelkie inne objawy nadmiernego wydzielania adrenaliny. Cała moja lewicowa arogancja i pogarda dla rodaków stopniała, i poczułem autentyczną litość. Nic dziwnego, że te biedne skurwiele wierzą we wszystko, co im się mówi, bez słowa skargi przebijają się przez klęskę zanieczyszczenia środowiska i przeludnienia, patrzą, jak ich synów posyła się na nie kończące się wojny i zarzyna, nigdy nie protestują, nigdy nie oddają zadanych ciosów, nigdy nie demonstrowują szczęścia, lubieżności, zaciekawienia i innych normalnych ludzkich emocji, żyją zawsze z klapkami na oczach, mijają slumsy, nie zauważając w nich ani ludzkiego nieszczęścia, ani potencjalnego zagrożenia dla swego bezpieczeństwa... W tym momencie coś mnie tknęło, szybko otworzyłem gazetę na stronie z ogłoszeniami. Było tak, jak się spodziewałem — żadnych fnordów. Element tej samej sztuczki: tylko w konsumpcji, wiecznej

161

konsumpcji da się uciec przed amorficznym zagrożeniem ze strony niewidzialnych fnordów.

Myślałem o tym przez całą drogę do pracy. Gdybym pokazał fnorda komuś, kto nie został odwarunkowany tak jak ja przez Hagbarda, to co by na to powiedział? Prawdopodobnie widziałby tylko poprzednie albo następne słowo. „Nie to słowo”. I znowu przeczytałby sąsiednie słowo. Ale

czyjego panika wzrosłaby po tym, jak groźba stała się bliższa jego świadomości? Wolałem nie eksperymentować; mogło się to skończyć psychotyczną fugą na temat. Ostatecznie uwarunkowanie sięgało w czasie podstawówki. Nic dziwnego, że wszyscy tak nienawidzimy nauczycieli: mamy zamazane, zakamuflowane wspomnienia o tym, co nam zrobili, gdy zmieniali nas w dobre i wierne sługi Iluminatów.

Gdy dotarłem do swojego biurka, Peter Jackson podał mi depesze prasowe.

— Coś z tego rozumiesz? — spytał, marszcząc brwi, a ja spojrzałem na odbitkę pierwszej strony. Atakował mnie stary symbol oka w piramidzie. „DeMolay Freres zaprasza cię na premierowy debiut pierwszego plastikowego, nagiego martini...”, informowała depesza. Z bliska oko w trójkącie zmieniało się w eliptyczną obwódkę kieliszka do martini, natomiast źrenicą oka była w rzeczywistości oliwka pływająca w koktajlu.

— Co to do cholery jest plastikowe, nagie martini? — spytał Peter Jackson. — I dlaczego zapraszają nas na przyjęcie dla prasy?

— Możesz się założyć, że nie jest biodegradalne — powiedział Joe.

— Czyli coś wyjątkowo niemożliwego dla tych krzykaczy nawiedzonych na punkcie ekologii — stwierdził z sarkazmem Peter.

Joe raz jeszcze przyjrzał się symbolowi. To mógł być przypadek. Ale przypadek to tylko inne słowo oznaczające synchroniczność.

162

— Chyba się tam przejdę — powiedział. — A co to jest? — dodał, gdy jego wzrok padł na złożony plakat leżący na jego biurku.

— Och, to przyszło razem z ostatnim albumem Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego — wyjaśnił Peter. — Ja tego nie chcę, ale pomyślałem, że może ty tak. Najwyższy czas, żebyś zdjął te zdjęcia Rolling Stonesów ze ściany. Żyjemy w epoce coraz szybszych przemian i człowiek, który pokazuje stare zdjęcia Stonesów, naraża się na etykietkę reakcjonisty.

Zobaczył cztery sowiookie twarze. Ich właściciele byli ubrani w jednoczęściowe, białe fartuchy i trzech z nich trzymało się za ręce, tworząc trójkąt, natomiast czwarty, Wolfgang Saure, powszechnie uznawany za lidera grupy, stał w środku z rękoma założonymi na piersiach. Zdjęcie wykonano z lotu ptaka, dzięki czemu najbardziej wyróżniającymi się elementami były cztery głowy i wyciągnięte ręce, tworzące boki trójkąta, natomiast ciała wyglądały na nieistotne, nieomal niezauważalne. Tło było atramentowoczarne. Kobieta i trzech młodych mężczyzn, z gładko wygolonymi kościstymi twarzami, jasne włosy ostrzyżone na jeża, lodowate niebieskie oczy patrzyły na Joego złowieszczo. Gdyby naziści wygrali wojnę i Heinrich Himmler zastąpił Hitlera jako przywódca niemieckiego imperium, taka młodzież kierowałaby światem. I prawie tak się stało, w innym sensie, ponieważ oni wygrali z Beatlesami i Stonesami, przejęli królestwo muzyki, stając się imperatorami wśród młodych ludzi. Mimo że długie włosy pozostały w modzie, młodzież przyjęła antyseptyczny, czysty wygląd Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego. Była to konieczna reakcja przeciwko stylowi, który stał się już nazbyt powszechny.

Jak powiedział sam Wolfgang: „Jeśli potrzebujesz zewnętrznego znaku, żeby rozpoznać swoich, nie przynależysz do nich naprawdę.”

163

— Ciarki przechodzą mi po plecach na ich widok — stwierdził Joe.

— Co myślałeś, kiedy po raz pierwszy pojawili się Beatlesi? — spytał Peter.

Joe wzruszył ramionami.

— Także przeszły mnie ciarki. Przez te swoje włosy wyglądali brzydko, aseksualnie, jak nastoletnie wilkołaki. I wyglądali na takich, co potrafią mesmeryzować dwunastoletnie dziewczęta.

Peter skinął głową.

— Większość fanów ASM jest jeszcze młodsza. Więc równie dobrze możesz już zacząć się do nich przyzwyczajać. Długo będą wokół nas.

— Peter, chodźmy zjeść lunch — zaproponował Joe. — Potem trochę tu popracuję, a o czwartej pójdę na to party z plastikowym martini. Ale najpierw przytrzymaj mi krzesło, a ja zdejmę tych Stonesów i powieszę Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne.

Dowiedział się, że ugrupowanie DeMolay Freres nie żartowało. Było martini, oliwki i reszta (albo koktajlowe cebulki dla tych, którzy preferowali inne dodatki) w przezroczystych torebkach w kształcie nagich kobiet. Wytwórca miał dość szczególny smak, pomyślał Joe. Przelotnie zastanowił się, czy to byłby dobry pomysł przeniknąć do tego grona, żeby dodać AUM-u do plastikowych, nagich martini. Potem jednak przypomniał sobie ich symbol i pomyślał, że towarzystwo jest już zapewne infiltrowane. Ale przez którą ze stron?

W pokoju była jakaś piękna Azjatka. Miała czarne włosy, które sięgały jej aż do pasa, a kiedy podniosła ręce, żeby poprawić ozdobę na głowie, Joe ze zdziwieniem zauważył gęste czarne włosy pod jej pachami. Azjatkom zazwyczaj nie rośnie tyle włosów na ciele, pomyślał. Czy ona jest może jakoś spokrewniona z włochatymi Ainu z północnej Japonii? Intrygowało go to i niepokoiło, podszedł więc do niej, żeby porozmawiać. Pierwsze, co zauważył,

164

to była przepaska ze złotym jabłkiem, z literą K, które nosiła na środku czoła. Jest jedną z Nas, pomyślał. Przecucie, mówiące mu, że powinien przyjść na to party, było właściwe.

— Te torebki z martini mają naprawdę głupi kształt

— powiedział Joe.

— Dlaczego? Nie podobają ci się nagie kobiety?

— Cóż, te mają tyle wspólnego z nagimi kobietami, co wszystkie pozostałe kawałki plastyku — stwierdził Joe.

— Nie, chodzi mi o to, że to w takim okropnym guście. No ale z kolei cały przemysł amerykański wydaje mi się ogromnym, obscenicznym cyrkiem. Jak masz na imię?

Czarne oczy taksowały go uważnie.

— Mao Tsu-hsi.

— Jakieś pokrewieństwo?

— Nie. Moje imię oznacza po chińsku „kota”. Jego nie. Jego imię brzmi Mao, a moje Mao.

Joe był oczarowany sposobem, w jaki zaakcentowała obydwie słowa.

— Cóż, panno Kot, jesteś najatrakcyjniejszą kobietą, jaką spotkałem od wieków.

Odpowiedziała uwodzicielskim spojrzeniem i wkrótce wdali się w cudownie interesującą rozmowę — której później zupełnie nie mógł sobie przypomnieć. Nie zauważył też szczypty proszku, jaką wsypała do jego drinka. Zaczął się czuć dziwnie zamroczony. Tsu-hsi ujęła go pod ramię i zaprowadziła do szatni. Odebrali swoje okrycia, wyszli z budynku i przywołali taksówkę. Na tylnym siedzeniu całowali się dłuższy czas. Rozchyliła płaszcz, a on rozpiął zamek błyskawiczny, wszyty na całej długości sukni. Wymacał jej piersi, gładził brzuch, a potem wsadził głowę w jej krzak. Nie miała na sobie żadnej bielizny. Oplotła nogami jego nogi, używając płaszcza jako osłony przed wzrokiem kierowcy taksówki i pomogła mu wyciągnąć wzwiedzonego penisa. Kilkoma szybkimi, zwinnymi ruchami zadarła spódnice, uniosła swój mały tyłek w górę,

165

nasunęła swą dobrze zwilżoną cipkę na jego kutasa i pieprzyła go na oklep. Mogło to być trudne i niezdarne, lecz była taka lekka i dobrze skoordynowana, że z łatwością i lubieżnie osiągnęła orgazm. Wciągnęła urywany oddech przez zęby i całe jej ciało przebiegł dreszcz. Na moment wsparła głowę na jego ramieniu, potem uniosła się lekko i pomogła Joemu dojść do przyjemnego klimaksu okrężnymi ruchami dupy.

Joe zauważył, że to doświadczenie przed kilkoma miesiącami albo latami byłoby znakomite. Teraz, wraz z rosnącą wrażliwością, był świadom tego, co tracił: rzeczywisty kontakt energetyczny. Doszedł do wniosku, że wpływ, jaki PSM i Dyskordianie wywierali na niego, okazał się według zwykłych norm paradoksalny. Nie był bardziej pu-rytański niż przedtem, zanim zaczęli łączyć jego system nerwowy (wręcz przeciwnie), ale jednocześnie zwykły seks stał się dla niego mniej pociągający. Przypomniał sobie diatryby Atlanty Hope przeciwko „seksizmowi” w jej książce *Telemach kichnął* — biblii Ruchu Bożego Gromu — i nagle dostrzegł w nich trochę jakiegoś dziwnego sensu. „Rewolucja Seksualna w Ameryce była identycznym oszustwem, jak Polityczne Rewolucje w Chinach i Rosji” — napisała Atlanta, jak zawsze szafując wielkimi literami, i miała w pewnym sensie rację. Ludzie dzisiaj byli wciąż owinięci w celofan fałszywego *ego* i nawet jeśli się pieprzyli, i razem osiągnęli orgazm, celofan wciąż tam był, a prawdziwy kontakt stanowił nieosiągalny szczyt.

Niemniej gdyby Mao była tym, co podejrzewał, wiedziałaby to jeszcze lepiej niż on. Czyżby ten szybki, chłodny spazm był jakimś rodzajem testu, jakąś lekcją albo demonstracją? Jeśli tak, to w jaki sposób miał zareagować?

A potem przypomniał sobie, że nie podała kierowcy adresu. Taksówka czekała wyłącznie na nich, żeby zawieźć ich nie wiadomo dlaczego na jakieś z góry wyznaczone miejsce.

166

Widziałem już fnordy — pomyślał — teraz jadę, żeby jeszcze kilka zobaczyć.

Taksówka zatrzymała się na wąskiej, mocno ocienionej ulicy, zabudowanej, jak się wydawało, wyłącznie pustymi sklepami, pomieszczeniami fabrycznymi, dokami przeładunkowymi i magazynami.

Panna Mao ruszyła przodem i weszli razem pod stary, wyraźnie rozpadający się, spadzisty dach

budynku. Otworzyła drzwi kluczem, który miała w torebce, a następnie wspięli się po pobrzękających żelaznych schodach, przeszli trzymając się za ręce przez długi, ciemny korytarz i minęli całą serię pokoi, każdy lepiej urządzony od poprzedniego. W końcu dotarli do wspaniałej sypialni. Joe potrząsnął głową ze zdziwienia, jednak coś — podejrzewał, że narkotyk — sprawiało, że był uległy i pasywny.

Dookoła ustawionego tu stołu siedzieli mężczyźni i kobiety ubrani w kostiumy z różnych epok. Joe rozpoznał stroje indiańskie, chińskie, japońskie, mongolskie i polinezyjskie, nadto ubiory ze starożytnej Grecji i Rzymu, średniowieczne i renesansowe. Były też wśród nich kostiumy trudne do rozpoznania na pierwszy rzut oka. Spotkanie na pokładzie „Latającego Holendra” — pomyślał Joe. Rozmawiali o Iluminatach, Dyskordianach, PSM i Eryzjanach.

Mężczyzna w stalowym napierśniku i hełmie ze złotą intarsją, równo przyciętymi wąsami i kozią bródką, powiedział:

— Można obecnie przewidzieć z dziewięćdziesięcio-ośmioprocentowym prawdopodobieństwem, że Iluminaci przygotowują Fernando Po do odegrania roli zapalnika międzynarodowego kryzysu. Pytanie brzmi, czy mamy dokonać rajdu na wyspę i zdobyć zapisy teraz, upewniając się, że nie są zagrożone, czy mamy czekać i skorzystać z kłopotów jako przykrywkę dla naszej akcji?

Mężczyzna w szacie z czerwonego jedwabiu, haftowanego w smoki, powiedział:

167

— Moim zdaniem, nie ma sposobu na skorzystanie z kłopotów. Pozornie będzie to wyglądało na chaos, ale w istocie Iluminaci roztoczą kontrolę nad wszystkim. Teraz jest czas na wykonanie ruchu.

Kobieta w prześwitującej jedwabnej bluzce, której skąpy przód nie zakrywał ciemnych, okrągłych piersi, stwierdziła:

— Zdaje pan sobie sprawę, że to będzie bomba dla pańskiego czasopisma, panie Malik. Mógłby pan wysłać reportera, żeby obejrzał warunki na Fernando Po. Gwinea Równikowa boryka się z wszystkimi zwykłymi problemami rozwoju afrykańskiego państwa. Czy rozgorzeje rywalizacja plemienna między Bubi a Fang, nie dopuszczając do dalszego rozwoju międzynarodowej współpracy? Czy ubóstwo kontynentalnej prowincji doprowadzi do ograbienia Fernando Po z bogactw? A co z wojskiem? Co, na przykład, z pewnym kapitanem Jezusem Tequilą y Mota? Wywiad z nim może okazać się za trzy lata dziennikarskim hitem.

— Tak — dodała potężna kobieta w farbowanych na kolorowo futrach, która bezustannie bawiła się rzeźbioną kością kończyny jakiegoś dużego zwierzęcia. — Nie spodziewamy się, by CL Sulzberger połapał się, jak ważne jest Fernando Po, dopóki kryzys nie ogarnie całego świata. A więc, skoro pożądane jest ostrzeżenie z wyprzedzeniem, jak nam się wydaje, to czemu nie przez „Konfrontacje”?

— Czy właśnie dlatego zaprosiliście mnie tutaj? — spytał Joe, — Żeby mi powiedzieć, że coś się stanie w Fernando Po? A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest to cholerne Fernando Po?

— Sprawdź w atlasie, kiedy już wrócisz do pracy. To jedna z kilku wysp pochodzenia wulkanicznego, położonych blisko afrykańskiego wybrzeża — powiedział ciemnoskóry i skośnooki mężczyzna, ubrany w bawołą skórę przyozdobioną piórami. — Rozumie pan naturalnie, że mógłby pan jedynie aluzyjnie wspomnieć o prawdziwych

168

siłach, które tam działają — dodał. — Na przykład nie chcielibyśmy, by pan nadmieniał, że Fernando Po to jedna z ostatnich odkrywek kontynentu Atlantydy, rozumie pan. Mao Tsu-hsi stała obok Joego ze szklanką zawierającą jakiś różowawy płyn.

— Proszę, wypij to — poprosiła. — To zaostry twoje zdolności postrzegania.

Mężczyzna w uniformie marszałka polnego, z naszytymi złotymi sznurami powiedział:

— Pan Malik jest następnym tematem w naszym porządku obrad. Mamy go do pewnego stopnia wyedukować. Zróbmy to więc.

W pokoju pogasły światła. W jednym końcu rozległo się jakieś szuranie i nagle Joe ujrzał jasny ekran filmowy.

KIEDY ATLANTYDA RZĄDZIŁA ZIEMIĄ

Litery tytułu przypominają kamienne bloki, ułożone jeden na drugim, tworzące stopniową piramidę. Po nim nastąpiły migawki ukazujące Ziemię, tak jak wyglądała przed trzydziestoma tysiącami lat, podczas wielkich epok lodowcowych, z wizerunkami wełniastych, włochatych mamutów, tygrysów szablozębnych i kromagnońskich myśliwych. Po chwili narrator wyjaśniał, że w tym samym czasie na kontynencie Atlantydy kwitła największa cywilizacja, jaką kiedykolwiek znali

ludzie. Atlantydzi nie wiedzieli nic o dobru czy złu. Żyli po pięćset lat i nie znali strachu przed śmiercią. Ich ciała porośnięte były futrem, tak jak u małp.

Po obejrzeniu rozmaitych scen z życia codziennego z Zukong Gimorlad-Siragosa — największego miasta, położonego centralnie na kontynencie (ale nie stolicy, ponieważ Atlantydzi nie mają żadnego rządu), przenosimy się do laboratorium, w którym młody (stuletni) naukowiec GRUAD demonstruje przebieg biologicznego eksperymentu asystentowi GAO TWONE. Obiektem doświadczenia jest olbrzymi człowiek-waż, mieszkający pod wodą. Gao

169

Twone jest pod wrażeniem przeprowadzonych badań, lecz Gruad nie kryje zdumienia, sam pragnąłby się zmienić w jakiś nieoczekiwany sposób. Gruad jest poza tym dziwny — w odróżnieniu od pozostałych Atlantyddów nie porasta go futro, ma jedynie krótkie, jasne włosy na czubku głowy i krótko przystrzyżoną brodę. Na tle innych wygląda na ohydnie nagiego. Nosi jasnozieloną szatę z wysokim kołnierzem i rękawice. Opowiada Gao Twone, jak to zmęczyło go już kolekcjonowanie wiedzy wyłącznie przez wzgląd na samą wiedzę.

— To tylko jeszcze jedna przykrywka dla poszukiwania przyjemności, której nazbyt wielu naszych rodaków poświęca swoje żywoty. Naturalnie, nie ma nic złego w przyjemności, porusza ona energie, ja jednak uważam, że istnieje coś wyższego i bardziej heroicznego. Nie znam jeszcze nazwy tej rzeczy, aczkolwiek bez najmniejszej wątpliwości wiem, iż istnieje.

Gao Twone jest odrobinę zaszokowany.

— Ty, jako naukowiec, ośmielasz się twierdzić, że coś istnieje, nie posiadając na to żadnych dowodów?

Gruad jest zdeprimowany i przyznaje:

— Moje soczewki wymagają oczyszczenia. — Po chwili jednak buntuje się na powrót. — A jednak, mimo że miewam momenty zwątpienia, uważam, że moje soczewki są czyste. Naturalnie, muszę znaleźć dowody. Ale nawet teraz, zanim zacznę, czuję, że wiem, co znajdę. Moglibyśmy być wspanialszy i bardziej wyrafinowani niż jesteśmy. Patrząc na to, czym jestem i czasami gardzę sobą. Jestem tylko mądrym zwierzęciem. Małpą, która się nauczyła bawić narzędziami. Chcę być czymś znacznie więcej. Powiadam, że jesteśmy tym, co lloigor, a z pewnością nawet czymś znacznie większym. Możemy dokonać podboju czasu i zdobyć wieczność. To znaczy, osiągnąć cel albo zniszczyć samych siebie podczas daremnej próby.

Obraz przenosi się do sali bankietowej, do której IN-GEL RILD, sędziwy atlantydzki naukowiec, wezwał wy-

170

bitnych Atlantyddów, by uczcili osiągnięcia w dziedzinie badań przestrzeni, a mianowicie pomyślnie ukończenie budowy pocisku słonecznego. Ingel Rild i jego towarzysze opracowali broń, która uderzywszy w Słońce może spowodować jego eksplozję. Opowiada właśnie palącemu marihuanę zgromadzeniu:

— Możemy kontrolować co do sekundy synchronizację w czasie lotu pocisku i co do milimetra dystans, w jakim odbije się od Słońca. Pocisk o dostatecznej wielkości spieczę naszą planetę na frytkę. Mniejszy zbombarduje Ziemię promieniowaniem takim, że obszar odsłoneczony zostanie zniszczony, zaś reszta naszego świata ulegnie drastycznym zmianom. Największe zapewne będą zmiany biologiczne, jakie wywoła nawała promieniowania. Dotychczasowe formy życia ulegną uszkodzeniu i najprawdopodobniej wyginą. Powstaną formy nowe. Całą przyrodą targnie ogromny wstrząs. Naturalnie, zdarzyło się to kilka razy. Między innymi siedemdziesiąt milionów lat temu, gdy dinozaury ni stąd, ni zowąd zostały zmiecione z powierzchni Ziemi i na ich miejsce pojawiły się mamuty. Wciąż musimy się wiele uczyć odnośnie do mechanizmu, który wytwarza spontaniczne pociski słoneczne. Jednakże moc sztucznego ich kreowania to krok w stronę przewidywania i kontroli. Po osiągnięciu tego stadium nasza planeta i nasza rasa będą chronione przed katastrofą, która zniszczyła dinozaury.

Kiedy ucichł aplauz, kobieta mająca na imię KAJECI pyta, czy manipulacja „naszym ojcem, Słońcem” nie jest brakiem szacunku? Ingel Rild stwierdza, iż człowiek jest częścią natury i to, co robi przez definicję jest naturalne, toteż nie może być mowy o żadnej manipulacji. W tym momencie przerywa mu ze złością Gruad, wskazując, że on, nieatrakcyjna mutacja, jest produktem manipulowania przyrodą. Zwraca dalej Ingelowi Rildowi uwagę, iż Atlantydzi nie rozumieją prawdziwie przyrody i porządku, który nią kieruje. Stwierdza, że człowiek podlega natural-

171

nym prawom. Wszystkie zresztą rzeczy w przyrodzie im podlegają, lecz człowiek jest inny, ponieważ może im się sprzeciwić.

— Z ludzkością możemy rozmawiać — ciągnie Gruad — tak jak rozmawiamy z naszymi maszynami, w kategoriach oczekiwanego efektu i dostarczonego rezultatu. Jeśli jakaś maszyna nie robi tego, do czego została zaprojektowana, usiłujemy ją zreperować. Chcemy, by wykonywała to, co powinna, to, co musi. Uważam, że naszym prawem i obowiązkiem jest żądanie tego samego od ludzi, żeby mianowicie robili to, co powinni i to, co muszą.

Tu wtrąca się sędziwy naukowiec o wesołych oczach, nazywany LHUV KERAPHT:

— Ale ludzie nie są maszynami, Gruadzie.

— Dokładnie — odpowiada Gruad. — Już to przemyślałem. Dlatego stworzyłem nowe słowa, słowa jeszcze silniejsze niż „powinien” i „musi”. Kiedy jakaś osoba robi to, co powinna i musi, nazywam to Dobrem, a wszystko gorsze od tego nazywam Złem.

Tak niezwykle, obcy pomysł zostaje powitany ogólnym wybuchem śmiechu. Gruad stara się mówić przekonująco, świadom swej samotniczej, pionierskiej pozycji i rozpaczliwie dążąc do porozumienia z otaczającymi go ciasnymi umysłami. W toku dalszej kłótni zaczyna wreszcie grozić i w końcu oświadcza:

— Lud Atlantydy nie żyje zgodnie z prawem. W swojej pysze atakuje samo Słońce i chełpi się tym, tak jak ty to dziś uczyniłeś, Ingelu Rildzie. Powiadam, że jeśli mieszkańcy Atlantydy nie będą żyli zgodnie z prawem, spadnie na nich katastrofa. Katastrofa, która wstrząśnie całą Ziemią. Zostaliście ostrzeżeni! Rozważcie moje słowa! — Gruad wychodzi majestatycznym krokiem z sali bankietowej, chwytając w drzwiach płaszcz i wymachując zamasyżuje jego połami. Kajeci idzie za nim i zapewnia, że — jak mniema — częściowo chyba rozumie to, co starał się powiedzieć. Prawa, o których mówili, są jak życzenia ro-

172

dzicdw i „Wielkie ciała Wszechświata są naszymi rodzicami. Czy nie jest tak?” Naga dłoń Gruada gładzi futrza-sty policzek Kajeci i razem roztapiają się w ciemności.

W ciągu sześciu miesięcy Gruad utworzył organizację zwaną Partią Nauki. Jej emblematem jest oko w trójkącie, otoczonym węzłem, który trzyma w zębach swój ogon. Partia Nauki żąda, by Atlantyda opublikowała naturalne prawa, odkryte przez Gruada, i uczyniła je wiążącymi dla wszystkich, dzięki systemom nagród i kar, które miałyby je umacniać. Słowo „kara” stanowi kolejny wkład do słownictwa atlantydzkiego, ukuty przez Gruada. Jeden z oponentów Gruada tłumaczy swoim przyjaciółom, że termin ten oznacza tortury i wszystkim na myśl o tym jeżą się futra. Ingel Rild obwieszcza zgromadzeniu wyznawców, że Gruad udowodnił dla własnej satysfakcji — a demonstracja obejmuje siedemdziesiąt dwa zwoje, pokryte symbolami logicznymi — że seks jest częścią tego, co on nazywa Złem. W systemie Gruada należy zezwalać na seks jedynie dla dobra społeczności, dla podtrzymania rasy przy życiu.

Naukowiec o przydomku TON LIT wykrzykuje:

— To znaczy, że w trakcie tego aktu powinniśmy myśleć o poczynaniu życia? To niemożliwe. Mężczyznom zwiotczają penisy, kobiece waginy nie będą wilgotnieć. To jak... to jak wygrywanie tej ogłuszającej muzyki wargami podczas wydalania moczu. Trzeba by się tego długo uczyć, o ile to w ogóle wykonalne.

Ingel Rild proponuje utworzenie Partii Wolności, której celem ma być stawienie oporu Gruadowi. W trakcie dyskusji nad osobowością Gruada Ingel Rild mówi, że sprawdził zapisy genealogiczne i odkrył, że do przodków Gruada zalicza się kilku ludzi, znanych z najbardziej niespokojnej energii w ciągu całej historii atlantydzkiego narodu. Gruad jest mutantem; podobnie wielu z jego wyznawców. Energia normalnych mieszkańców Atlantydy płynie wolno. Ludzie Gruada są niecierpliwi, sfrustrowani

173

— i to stanowi przyczynę ich chęci sprowadzenia cierpienia na innych ludzi.

Joe wyprostował się gwałtownie. O ile zrozumiał tę część filmu, Gruad — ewidentnie pierwszy Iluminat — był również pierwszym *homo neophilus*. A Partia Wolności, z której najwyraźniej wywodzili się Dyskordianie i PSM, składała się z czystych *homo neophobus*. Jak do diabła to pogodzić z ogólnie reakcyjnym stosunkiem Ilu-minatów do obecnej polityki i nowatorstwa Dyskordian oraz PSM? Tymczasem akcja filmu toczy się dalej...

W miejscu przypominającym podejrzaną tawernę, gdzie mężczyźni i kobiety palą narkotyki w fajkach podawanych sobie nawzajem, gromadząc się w parach i grupach w ciemnych kątach, SYLVAN MARTISET proponuje założenie Partii Nicości, która odrzucałaby stanowiska zarówno Partii Nauki, jak i Partii Wolności.

Potem widzimy uliczne bójki, okropności, karanie bezbronnych ludzi przez bojówkarzy noszących odznaki z Gru-adowym okiem w trójkącie. Partia Wolności deklaruje swój własny symbol:

złote jabłko. Walki rozprzestrzeniają się, liczba ofiar rośnie, Ingel Rild płacze. On i jego towarzysze decydują się na desperacki krok — uwolnienie Iloigora Yog Sothotha. Podarują wolność temu nienaturalnemu, złożonemu z samej energii, pożerającemu dusze i pochodzącemu z innego szczepu stworzeniu, w zamian za jego pomoc w pokonaniu ruchu Gruada. Yog Sothoth jest uwięziony w wielkim Pentagonie Atlantydy, na pustkowiu w południowej części kontynentu. Atlantydzki samolot elektryczny z Ingelem Rildem, Tonem Litem i jeszcze jednym naukowcem na pokładzie leci, zostawiając za sobą szlak pierzastych iskier, w kierunku lądowiska na płaskiej równinie, porośniętej zszarzałymi chwastami. Teren ograniczony murami Pentagonu — ogromnej budowli z czarnego kamienia — jest spalony, a powietrze lśni

174

niczym ciepły miraż. Co jakiś czas w tym lśnieniu mrugają elektrostatyczne wyładowania, a całym pustkowiem targa nieprzyjemny zgiełk, przypominający brzęczenie much, które obsiadły trupa. Na obliczach trzech atlan-tydzkich mędrców malują się obrzydzenie, mdłości i paniczny strach. Wspinają się na szczyt najbliższej wieży i rozmawiają ze strażnikiem. Yog Sothoth znieścacka przejmuje władzę nad umysłem Tona Lita, a potem oleistym, głębokim i dźwięcznym głosem, pyta ich, czego się po nim spodziewają. Ton Lit wydaje z siebie przeraźliwy skrzek i gwałtownym ruchem przykłada dłoń do uszu. Z ust cieknie mu piana, futro porastające ciało jeży się, a penis sztywnieje. W jego oczach widać obłęd i cierpienie, jak u umierającego goryla. Strażnik poskramia Yog Sothotha za pomocą elektronicznego przyrządu, z wyglądu przypominającego magiczną różdżkę zakończoną pięcioramienną gwiazdą. Ton Lit skamle jak ogar i skacze do gardła Ingelowi Rildowi. Odtracony przez elektryczny promień, stoi teraz dysząc, z wywieszonym językiem, a tymczasem Pentagon zaczyna drżeć w posadach, a potem ziemia zaczyna falować asymptotycznymi krzywymi. Yog Sothoth wykrzykuje rytmicznie:

— Ia-nggh-ha-nggh-ha-nggh-fthagn! Ia-nggh-ha-nggh--ha-nggh-hgual! Krew jest życiem... Krew jest życiem...

Wszystko — twarze, ciała i perspektywy — ulega wykoślawieniu i pokrywa się zielonkawym nalotem. Nagle strażnik uderza w najbliższą ścianę Pentagonu elektroniczną różdżką i Ton Lit skrzeczy, a w jego oczach znów pojawia się ludzka inteligencja, wielki wstyd i obrzydzenie. Trzej mędrcy uciekają z Pentagonu pod niebem wolno powracającym do swego normalnego kształtu i barwy. Ściga ich śmiech Yog Sothotha. Stwierdzają, że nie potrafią uwolnić Iloigora.

W tym czasie Gruad wzywa swych najbliższych wyznawców, zwanych Nieprzerwanym Kręgiem Gruada, aby obwieścić, że Kajeci poczęła. Potem pokazuje im grupę

175

człekokształtnych istot o zielonej, łuskowatej skórze, ubranych w długie, czarne płaszcze i czarne mycki z purpurowymi piórami. Nazywa ich Ofidianami. Ponieważ mieszkańców Atlantydy cechuje rodzaj instynktownego hamulca, który nie pozwala im zabijać, dopóki nie zawładnie nimi ślepa furia, Gruad stworzył tych syntetycznych humanoidów z węży, które uznał za najinteligentniejsze z wszystkich gadów. Nie będą się wahały przed mordowaniem ludzi, a przy tym będą słuchały wyłącznie rozkazów Gruada. Niektórzy z uczniów Gruada protestują, ale on wyjaśnia im, że nie ma mowy o prawdziwym zabijaniu. Powiada:

— Obywatele Atlantydy, którzy nie akceptują doktryny Partii Nauki, są istotami świńskimi. Przypominają roboty, pozbawione wewnętrznej substancji duchowej, która by nimi kierowała. Nasze zaś zmysły ulegają zwodniczemu przeświadczeniu, że tamci należą do tego samego gatunku co my, to z kolei powoduje, iż nie potrafimy podnieść na nich ręki. Teraz jednak nauka nas oświeciła, ofiarowując nam ręce, które można podnieść.

Na tym spotkaniu również Gruad po raz pierwszy nazywa swych ludzi „oświeconymi”.

Podczas następnego zebrania Partii Wolności Ofidia-nie atakują, pałując zgromadzonych żelaznymi sztabami i przegryzając im kłami gardła. Partia Wolności urządza później pogrzeb kilkunastu swoich zabitych, podczas którego Ingel Rild wygłasza orację opisującą, jak walka między wyznawcami Gruada i innymi mieszkańcami Atlantydy zmienia charakter wszystkich ludzkich istot:

— Dotychczas Atlantydzi radowali się wiedzą, jakkolwiek nie dręczył ich fakt, iż tak wiele jeszcze nie poznali. Jesteśmy konserwatywni i obojętni wobec nowych idei, nie zagrażają nam wewnętrzne konflikty i z chęcią robimy to, co wydaje się dyktować rozsądek. Naszym zdaniem, największą korzyść przynosi nam robienie tych rzeczy, na które mamy ochotę. Ból i przyjemność uważamy za wy-

176

miary tego samego zjawiska, nazywanego przez nas uczuciem, na nieunikniony ból zaś reagujemy relaksem lub ekstazą. Nie boimy się śmierci. Potrafimy czytać nawzajem w swoich

myślach, ponieważ mamy kontakt ze wszystkimi energiami naszych ciał. Wyznawcy Gruada zatracili tę zdolność i cieszą się z tego powodu. Naukowców oślepiają nowe zjawiska i nowe idee. Ta miłość do nowości jest efektem genetycznej manipulacji. Gruad zachęca ludzi, nawet dwudziestoletnich, do płodzenia dzieci, mimo że nie mamy w zwyczaju rozmnażać się przed ukończeniem stu lat. Pokolenia uczniów Gruada rozrastają się coraz szybciej, przy czym różnią się od nas zupełnie. Własna ignorancja wywołuje w nich śmiertelną udękę. Zmagają się z niepewnością i wewnętrznym konfliktem między tym, co powinni, a co mają ochotę robić. Dzieci, wychowane zgodnie z naukami Gruada, dręczą jeszcze większy niepokój i niezdecydowanie, niżli ich rodziców. Zdaniem pewnego lekarza, Gruad swym postępowaniem i sposobem życia zachęca ludzi, by znacznie skracali swój żywot. A oni boją się bólu. Boją się śmierci. I mimo że ich życie jest coraz krótsze, rozpaczliwie poszukują metod osiągnięcia nieśmiertelności.

Podczas posiedzenia Nieprzerwanego Kręgu Gruad oświadcza, że najwyższa pora natężyć walkę. Skoro nie mogą zapanować nad Atlantydą, to ją zniszczą.

— Atlantyda zostanie unicestwiona za pomocą światła — rzecze Gruad. — Światłem słońca.

Gruad wpaja swym uczniom kult słońca. Ujawnia istnienie bogów i bogiń.

— Oni są samą energią, energią obdarzoną świadomością — mówi. — Tę świadomą, kierowaną i koncentrowaną z potężną siłą, czystą energię nazywam duchem. Wszelki ruch jest duchem. Wszelkie światło jest duchem. Wszelki duch jest światłem.

Pod kierunkiem Gruada Partia Nauki buduje wielką piramidę o wysokości tysięcy stóp. Składa się ona z dwóch

177

części: dolnej bazy i gdry, wykonanej z niezniszczalnej, ceramicznej substancji, z ktorej wyziera straszliwe oko, utrzymywane w miejscu za pomocą generatorów antygra-witacji.

U podstawy wielkiej piramidy zbiera się grupa mężczyzn i kobiet, dowodzona przez LILITH VELKOR, rzecznikę Partii Nicości. Nicościowcy naigrawają się z piramidy. Trzymają tablice ze sloganami własnej partii:

NIE CZYŚĆ NASZYCH SOCZEWEK, GRUAD — NAPRAW NAJPIERW SWOJE

ZAWSZE JAK SŁYSZĘ SŁOWO „POSTĘP” JEŻY MI SIĘ FUTRO

SŁOŃCE SKURWIA

WOLNOŚĆ ZDEFINIOWANA TO WOLNOŚĆ ZAPRZECZONA

HASŁO NA TYM PLAKACIE TO ZWYKŁE KŁAMSTWO

Lilith Velkor przemawia do Nicościowców, wyśmiewając wszystkie wierzenia Gruada i twierdząc, że najpotężniejszym bogiem jest szalona kobieta, ktora jest boginią chaosu. Przy akompaniamencie wybuchów śmiechu oświadcza:

— Gruad twierdzi, że słońce jest okiem boga słońca. To jeszcze gorszy idiotyzm niż ta jego koncepcja, że mężczyźni, rozum i porządek są czymś nadrzędnym. W rzeczywistości przecież słońce jest ogromnym złotym jabłkiem, które służy bogini chaosu jako zabawka. A poza tym należy do każdego, kto — jej zdaniem — zasłużył sobie na nie swoją uczciwością.

Nagle banda Ofidian atakuje wyznawców Lilith Velkor, mordując kilku z nich. Lilith Velkor prowadzi swych

178

ludzi do bezprecedensowego kontrataku. Wdzierają się na ścianę wielkiej piramidy i zrzucają Ofidian na ulicę, zabijając ich kolejno. O dziwo, udaje im się zlikwidować ich wszystkich, co do jednego. Gruad oświadcza, że Lilith Velkor musi umrzeć. Przy pierwszej nadarżającej się okazji jego ludzie chwytają ją i wtrącają do lochu. Skonstruowano tam ogromne koło z czterema szprychami w kształcie:



Do tego urządzenia, do góry nogami, zostaje przywiązane ciało Lilith Velkor. W pobliżu przechadzają się członkowie Partii Nauki, patrzą na jej męczeńską śmierć. Pojawia się też Gruad, podchodzi do koła i przypatruje się umierającej kobiecie, która mdwi:

— To równie dobry dzień na śmierć, jak każdy inny. Gruad upomina ją, twierdząc, że śmierć to wielkie zło

i że powinna się jej bać. Ona śmieje się i powiada:

— Całe życie pogardzałam tradycją, a teraz gardzę również nowościami. Z pewnością stanowią wyjątkowo wredny przykład dla całego świata!

Umiera ze śmiechem na ustach. Gruad nie posiada się z wściekłości. Przysięga sobie, że dłużej już czekał nie będzie; Atlantyda jest zbyt zła, aby zasługiwała na ocalenie. Musi zostać zniszczona.

Pośród wietrznej równiny północnej Atlantydy, na wyrzutni stoi ogromna rakieta o kształcie łyży, ze zgrabnymi płetwami. Gruad znajduje się w pomieszczeniu kontrolnym i czyni ostatnie przygotowania, klóćąc się jednocześnie z Kajeci i Wo Topod.

Gruad powiada:

i

179

-f- Ludzka rasa ocaleje. Ocaleje jako lepsza, albowiem oczyszczona zostanie z tych mieszkańców Atlantydy, którzy są niczym innym jak zwykłymi świniami, zwykłymi robotami, istotami, które nie rozumieją Dobra i Zła. Niech giną.

Jego palec naciska czerwony guzik i rakieta mknie prosto do Słońca. Zanim tam dotrze, upłynie kilka dni, a tymczasem Gruad zabiera Nieprzerwany Krąg na statek napowietrzny, który wywozi ich z Atlantydy w kierunku ogromnych gór na wschodzie, do ziem, które kiedyś zostaną nazwane Tybetem. Gruad wyliczył, że zanim pocisk uderzy w Słońce, zdążą w ciągu dwóch godzin wylądować i skryć się pod ziemią. Światło słoneczne nad równinami Atlantydy przybiera oślepiająco żółtą barwę. W Zukong Gimorlad-Siragosa jest piękny dzień, widać wysmukłe, pełne gracji wieże, z owiniętymi wokół nich spiralnie pajęczymi pomostami, parki, świątynie, muzea, okazałe budynki publiczne i wspaniałe prywatne pałace. Przystojni, porośnięci gęstym futrem mieszkańcy kroczą z gracją pośród najpiękniejszych dzieł pierwszej i najznakomitszej cywilizacji, jaką kiedykolwiek stworzył człowiek. Rodziny, kochankowie, przyjaciele i wrogowie — nikt nie podejrzewa tego, co zaraz nastąpi — radują się błogością chwili. W oddali kwintet muzyków gra na melodyjnym zinthronie, balatecie, mordanie, swazie i fendra-rze. Nad tym wszystkim jednakże, z piramidy Gruada, jarzy się straszliwą czerwienią wielkie oko.

Nagle Słońce zaczyna szaleć. Wylatują zeń skręcone płomienie, kule gazu. Przypomina gigantycznego, płonącego pająka albo ośmiornicę. W stronę Ziemi leci, wirując, pojedynczy, wielki płomień, płonący czerwony gaz, który robi się żółty, potem zielony, niebieski, a na końcu biały.

Nic nie zostaje z Zukong Gimorlad-Siragosa, z wyjątkiem piramidy, której górna część spoczywa teraz na podstawie, bowiem generatory antygravitacji uległy zniszczeniu. Złowrogie oko spogląda teraz na całkowicie płaską,

180

spaloną na węgiel równinę. Grunt zaczyna się trząść, otwierają się wielkie szczeliny. Poczerniały obszar ma kształt wielkiego kręgu, o setkach mil średnicy, za nim ciągnie się ciemny brąz wyludnionych pustkowi. W kruchej powierzchni kontynentu, którego twarde niegdyś, skalne podłoże zostało zniszczone przez niewyobrażalny żar słonecznego pocisku, pojawiają się rysy. Na pustą równinę z wolna wpełza fala błota. Błoto następnie zalewa woda, z początku wsiąkając i zostawiając kałuże, później wznosząc się coraz wyżej, aż w końcu tylko czubek piramidy wystaje z wielkiego jeziora. Pod wodą, po obu stronach poczerniałego, centralnego kręgu, pojawiają się ogromne, równoległe rowy. Środkowa część kontynentu, łącznie z piramidą, zaczyna tonąć. Wszystko zapada się w głębinach oceanu, po bokach rosną klify, łączące się z tymi obszarami Atlantydy, których nie zalał ocean. Tak będą trwały przez wiele tysięcy lat, tworząc Atlantyde uwiecznioną przez ludzi w legendach. Jednakże prawdziwa Atlantyda — Wysoka Atlantyda — przestaje istnieć.

Wpatrzony w rozjarzony purpurowo ekran widokowy, Gruad ogląda zniszczenie Atlantydy. Światło zmienia barwę, z czerwonej na szarą, i twarz Gruada też szarzeje. Straszna to twarz. W ciągu ostatnich kilku minut postarzała się o sto lat. Gruad może twierdzić, że ma rację, ale w głębi duszy wie, że to, co zrobił, nie jest dobre. Jednakże głębia jego duszy kryje też satysfakcję, bowiem bezzasadne poczucie winy, od dawna nękające Gruada, wreszcie odnajduje prawdziwy przedmiot. Zwraca się do Nieprzerwanego Kręgu z propozycją, aby w związku z tym, że Ziemia najwyraźniej przetrwa kataklizm — nie był do końca tego pewien — poczynić plany na przyszłość. Jednakże większość jego członków jest nadal pogrążona w szoku. Niepocieszony Wo Topod zabija się nożem, co stanowi pierwszy uwieczniony w archiwach przypadek, by ludzka osoba z determinacją zabiła samą siebie. Gruad wzywa swych wyznawców, by zniszczyli wszystkie pozo-

181

stałości cywilizacji atlantydzkiej, a następnie zbudowali doskonałą cywilizację, która przetrwa, gdy już nawet ruiny Atlantydy okryje niepamięć.

Wielkie zwierzęta, które zamieszkiwały Europę, Azję i Północną Amerykę giną w wyniku

mutacji i chorób wywołanych przez skutki działania słonecznego pocisku. Wszelkie relikty cywilizacji atlantydzkiej ulegają zniszczeniu. Ludzie, którzy ongi byli rodakami Gruada, wymierają albo zostają skazani na tułaczkę po całej ziemi. Oprócz himalajskiej kolonii Gruada, istnieje jedna tylko pozostałość po erze Wysokiej Atlantydy: Piramida Oka, której ceramiczny budulec przetrwał uderzenie słonecznego pocisku, trzęsienie ziemi, potop i zatopienie w głębinach oceanu. Gruad wyjaśnia, iż nie ma w tym nic dziwnego, gdyż jest to oko Boga Jedynego, naukowo-techniczne oko uporządkowanej wiedzy, które spogląda na Wszechświat i postrzegając go, sprawia, że istnieje. Jeśli jakieś zdarzenie nie podlega percepcji, wówczas nie następuje, toteż Wszechświat potrzebuje do istnienia Świadka.

Wśród prymitywnych myśliwych i zbieraczy pojawia się nowa mutacja i zaczyna gwałtownie rozprzestrzeniać. Coraz więcej ludzi rodzi się bez futra, za to z włosami, które rosną im w taki sam sposób jak Gruadowi. Godzina Bożego Oka wywołała mutacje u wszystkich gatunków.

Z Himalajów wylatują szwadrony statków rakietowych Nieprzerwanego Kręgu, pomalowanych na czerwono i biało. Przelatują nad Europą i lądują na zbrązowiałych wyspach, w miejscu, gdzie kiedyś była Atlantyda. Dokonują inwazji na miasto odbudowane przez ocalałych z katastrofy. Zabijają przywódców i intelektualistów, a resztę zapędzają na pokłady statków, odlatują i potem porzucają bezbronnych na rozległych równinach obu Ameryk. Na trasie ich lotu, na samym dnie Atlantyku, znajduje się Piramida Oka. Jej podstawa jest oblepiona mułem, jest nim też wypełniona przestrzeń, nad którą niegdyś unosiła się górna część budowli, podtrzymywana przez generatory anty-

182

grawitacji. Piramida wciąż góruje nad otaczającym ją błotem, wyższa trzykrotnie od Wielkiej Piramidy w Egipcie, której konstrukcja zostanie zrealizowana za dwadzieścia siedem tysięcy lat. Na piramidę pada jakiś olbrzymi cień. W mrokach oceanicznej głębi widać zarysy ogromnych macek, ssawek szerokich jak obrzeża wulkanów, oka wielkiego jak słońce, spoglądającego na oko w piramidzie. Coś dotyka piramidy; mimo iż jest to takie ogromne, jego ruchy są zadziwiająco lekkie. Potem znika.

O dziwo, katastrofa nie zniszczyła pięciokątnej pułapki, w którą lud Atlantydy tak bohatersko i przemyślnie złapał tę starożytną, straszliwą istotę, jaką był Yog Sothoth. Położony na południowej, stosunkowo mało zamieszkaną równinie, Pentagon Yog Sothotha staje się centrum migracyjnym ludzi, którzy ocalili z katastrofy. Powstają prowizoryczne miasta, lecz się umierających na chorobę popromienną. Druga Atlantyda zaczyna się ukorzeniać. I wtedy uderzają na nią statki Nieprzerwanego Kręgu, które przylatują z Himalajów, dokonując jednego ze swych rajdów. Szeregi atlantydzkich mężczyzn i kobiet, zagnanych pod mury Pentagonu, padają skoszone ogniem laserowym. Następnie wśród stosów ciał zostają umieszczone ładunki wybuchowe, a zamaskowani ludzie w uniformach Nieprzerwanego Kręgu wycofują się. Seria eksplozji wzbija w górę skręcony słup straszliwego, żółtego dymu. Mury z szarego kamienia pękają. Przez chwilę nad wszystkim dominują martwota, spokój, napięcie. Potem spiętrzone głązy pozostałe po jednej ze ścian kruszeją, jakby wypchnięte od wewnątrz przez dłoń giganta. Na miękkiej glebie otaczającej Pentagon pojawia się odcisk ogromnego szpona. Zamaskowani ludzie z Nieprzerwanego Kręgu pędzą jak oszaleli do swoich statków i odlatują. Pojazdy wznoszą się ku niebu, nagle zatrzymują się, chy-boczą niezdecydowanie i niczym kamienie spadają na ziemię, rozbijając się w drobny mak. Ocalili krzyczą przeraźliwie i pierzchają na wszystkie strony. Jednak niczym

183

sierp w łanie pszenicy, śmierć zakreśla wielkie pldkola wśród pędzących gromadnie. Padają z ustami rozwartymi w niemym krzyku. Uciec udaje się jedynie garstce. Nad całą krwawą sceną triumfuje kolosalna, czerwona postać, obdarzona nieokreślonym kształtem i licznymi kończynami.

Ukryty w Himalajach Gruad wraz z Nieprzerwanym Kręgiem obserwują zniszczenie Pentagonu i masakrę Atlantyddw. Członkowie Nieprzerwanego Kręgu wiwatują, lecz Gruad lka dziwacznie.

— Myślicie, że ja nienawidzę murdw? — pyta. — Ja kocham mury. Kocham wszelkie mury. Wszystko, co dzieli. Mury chronią dobrych ludzi. Mury więżą zło. Zawsze muszą istnieć mury i miłość do murdw, a ja w zniszczeniu wielkiego Pentagonu, w którym więziony był Yog Sothoth, dopatruję się zagłady wszystkiego, czego bronię. Dlatego nie posiadają się z żalu.

Po tych słowach na twarzy EVOE, młodego kapłana, wykwita czerwony rumieniec i pojawia się demoniczna mina. Jest w tym coś więcej niż ślad zaledwie opętania.

— Dobrze słyszeć, że to mdwiesz — zwraca się do Gruada. — Żaden człowiek jak dotąd nigdy nie okazywał mi przyjaźni, mimo że wielu próbowało mnie wykorzystać. Przygotowałem specjalne miejsce dla twojej duszy, och pierwszy z ludzi przyszłości.

Gruad usiłuje przemówić do Yog Sothotha, lecz opętanie najwyraźniej ustąpiło i pozostali

członkowie Nieprzerwanego Kręgu wychwalają najnowszy napój, który Evoe sporządził ze sfermentowanego soku winogronowego. Później, tego samego dnia, podczas kolacji, także Gruad przybija nowego napoju i chwali go:

— Sok z winogron uspokaja mnie, a przy tym nie wywołuje niepokojących wizji i dźwięków, jakże nieprzyjemnych dla ludzkiej świadomości, jak ziele, które zwykli palić mieszkańcy Atlantydy.

184

Evoe dolewa mu z nowego dzbanka i Gruad przed wypiciem stwierdza:

— Każda kultura, która powstanie w ciągu następnych dwudziestu kilku tysięcy lat, będzie na pewno skażona zgnilizną Atlantydy. Dlatego zarządzam, że następne osiemset pokoleń ma istnieć bez kultury. Po upływie tego czasu dopuszczimy, by człowiek swobodnie korzystał ze swej skłonności do budowania cywilizacji. Stworzy kulturę, kierując się naszymi wskazówkami, zawierając wszystkie nasze ideały w każdym jej aspekcie, na każdym etapie przez nas kontrolowany. Ta nowa ludzka kultura zrodzi się dopiero wtedy, gdy przeminie osiemset pokoleń. Będzie stosowała prawo naturalne. Będzie posiadała wiedzę o Dobru i Złu, o świetle, które pochodzi od słońca, tego słońca, o którym bluźniercy mówią, że jest tylko jabłkiem. Ono nie jest żadnym jabłkiem, mimo że do owoców podobne, nawet do tych, z jakich Evoe sporządził napój, który teraz żłopię. Z winogron pochodzi ten napój i ze słońca pochodzi wiedza o Dobru i Złu, rozdzielenie światła i ciemności nad całą ziemią. Nie jabłko, lecz owoc wiedzy!

Gruad pije. Odstawia kielich, chwytając się za gardło i wchodzi chwiejnym krokiem. Drugą ręką chwytając się za serce. Potyka się i pada na plecy, z oczyma wlepionymi w górę.

Naturalnie, wszyscy oskarżają Evoe o otrucie Gruada. Evoe na to odpowiada spokojnie, że zrobiła to Lilith Velkor. Przeprowadził badania nad energiami zmarłych i dowiedział się, jak wchłaniać je w siebie. Czasami jednak energie zmarłych przejmowały nad nim władzę, tak więc należy go traktować jako pośrednika, poprzez którego oni działają. Krzyczy:

— Gdy już będziecie zapisywać tę tragedię w archiwach, zaznaczcie koniecznie, że nie zrobił tego Evoe-człowiek, lecz Evoe-Lilith, opętany przez złego ducha kobiety. Ta kobieta mnie zwiodła na pokuszenie, powiadam wam! Byłem bezradny.

185

Nieprzerwany Krąg daje się przekonać. Postanowione zostaje, że skoro Lilith Velkor i szalona bogini, którą ona czciła, są odpowiedzialne za śmierć Gruada, to w takim razie należy podporządkować kobiety mężczyznom, aby takie nikczemności już nigdy się nie powtórzyły. Decydują wybudować Gruadowi grobowiec i wyręczyć na nim „Pierwszy Oświecony: Nigdy Nie Ufaj Kobiecie”. Stwierdzają, że ponieważ Ilogor przebywa na wolności, będą mu składali ofiary i że będą to ofiary z młodych kobiet, które nigdy nie legły z mężczyzną. Evoe wyraźnie przejmując władzę nad całą organizacją, protestuje przeciwko temu Gao Two-ne. Chcąc udowodnić swe oddanie sprawie Dobra i Zła, Evoe oświadcza, że kazał sobie amputować penisa jako ofiarę dla Wszystkowidzącego Oka. Rozchyła szatę. Wszyscy widzą jego okaleczone krocze i natychmiast wymiotują. Evoe mówi zaś dalej:

— Co więcej, zarządza się w imieniu Oka i Naturalnego Prawa, by wszyscy chłopcy, którym dobro i prawda są bliskie, naśladowali moją ofiarę, przynajmniej tracąc napletek albo dając sobie zrobić nacięcie.

W tym momencie pojawia się Kajeci; razem z nią planują urządzenie wielkiego pogrzebu i postanawiają, iż nie będą palić Gruada zgodnie z atlantydzkim obyczajem, symbolizującym nieodwracalność śmierci, lecz zakonserwują ciało, wyrażając w ten sposób nadzieję, że Gruad nie umarł naprawdę i zmartwychwstanie.

Mija kilka tysięcy lat walk między pogrobowcami Atlantydy i mieszkańcami Agharti, twierdzący Naukowców, którzy teraz nazywają się różnie: Wiedzącymi albo Oświeconymi. Ostatnie resztki kultury atlantydzkiej ulegają zniszczeniu. Powstają wielkie miasta, po czym burzą je eksplozje nuklearne. Wszyscy mieszkańcy miasta Peos zostają jednej nocy wymordowani przez pożeracza dusz. Kawałki kontynentu odpadają i toną w morzu. Nadchodzą trzęsienia ziemi i potopy. Ostatecznie w miejscu, w którym kiedyś była Atlantyda, wystaje z morza jedynie

186

skrawek lądu — mająca kształt szyszki wyspa Fernando Po.

Około 13 000 lat p.n.e. na zboczach wzgórza, w pobliżu ujścia Eufratu, powstaje nowa kultura i zaczyna się rozprzestrzeniać. Plemię kromagnończyków, nadzwyczaj wysokich i silnych ludzi o wielkich głowach, maszeruje pod bronią ze śniegów Europy na żyzne ziemie Bliskiego Wschodu. Zostają zaprowadzeni na miejsce wybrane na pierwsze rolnicze osiedle i nauczeni uprawy ziemi. Robią to przez kilka lat, strzeżeni przez miotacze ognia ludzi z Nieprzerwanego Kręgu. Prędko rodzą

się kolejne pokolenia, a gdy wreszcie nowy sposób życia przyjmuje się, Oświeceni zostawiają ich w spokoju. Plemię dzieli się na królów, kapłanów, skrybów, wojowników i rolników. Powstaje miasto otoczone farmami. Królowie i kapłani są zniewieściali, słabi i tłuści. Chłopi niedorozwinięci fizycznie i umysłowo z niedożywienia. Wojownicy wysocy i inteligentni, lecz jednocześnie chudzi i bezkrwiści. Miasto wypowiada wojnę sąsiadującym z nim plemionom barbarzyńców. Dobrze zorganizowani i bardziej zaawansowani technicznie ludzie z miasta zwyciężają. Biorą barbarzyńców do niewoli i zakładają w pobliżu nowe miasta. Potem z północy nadciąga wielkie plemię barbarzyńców, podbija cywilizowanych ludzi i pali ich miasto. Nie oznacza to jednak końca nowej cywilizacji, lecz nawet powoduje jej ożywienie. Wkrótce najeźdźcy potrafią odgrywać role królów, kapłanów i wojowników, i powstaje coś na kształt kraju składającego się z kilku miast, bronionych przez duże oddziały uzbrojonych ludzi, którym należy wynajdywać zajęcie. Wielkie kwadratowe formacje przemierzają marszowym krokiem robotów równinę, chcąc znaleźć następne ludy, które można by podbić. Słońce oświetla swymi promieniami cywilizację stworzoną przez Iluminatów. A zalane przez morze oko na piramidzie spogląda tęsknie w górę.

KONIEC

187

Nagle zabłyśły światła. Ekran zwinął się z trzaskiem do swego pojemnika. Oślepiiony Joe przetaił oczy. Miał potężny ból głowy, czuł też potężną ochotę natychmiastowego oddania moczu, zanim pęknie mu pęcherz. Na party z plastikowym martini wypił mnóstwo drinków, potem kochał się z tą Chinką w taksówce, następnie oglądał film i ani razu nie zrobił sobie przerwy na pójście do toalety. Ból w pachwinach był rozdzierający. Wyobrażał sobie, że czuje mniej więcej coś takiego, jak Evoo, ten facet z filmu, po tym, jak się wykastrował.

— Gdzie do diabła jest kibel? — spytał na głos Joe. W pokoju nie było nikogo. Gdy jego wciągnął film, tamci ludzie, którzy bez wątpienia już go wcześniej widzieli, wymknęli się po cichu, pozwalając mu obejrzeć śmierć Atlantydy w samotności.

— Jezu Chryste — mruknał. — Muszę się wyszczać. Jeśli zaraz nie znajdę ubikacji, to posikam się w majtki.

W tym momencie zauważył pod stołem kosz na śmieci wykonany z orzechowego drewna i obity od środka metalem. Pochylił się i wyciągnął go stamtąd, wprawiając groźące wybuchem ciała w kolejne, śmiertelnie bolesne drgania. Postanawiając, że użyje tego kosza jako nocnika, postawił go na podłodze, rozpiął rozporek, wyjął fiuta i wysikał się.

A gdyby tak oni wszyscy tu teraz wrócili — pomyślał. — To ich wina, że puścili ten film, nie dając mu wcześniej szansy sobie ulżyć.

Joe spojrział przygnębionym wzrokiem na spienioną ciecz.

— Olać Atlantyde — mruknał. Kim do diabła byli ludzie, których spotkał tego wieczora? Simon, Padre i Big John nigdy mu nie opowiadali o takiej grupie. Nigdy też nie wspominali o Atlantydzie. Jednakże z filmu jasno wynikało, o ile w ogóle można mu było wierzyć, że Starożytnych Oświeconych Proroków Bawarii należało właściwie nazywać Starożytnymi Oświeconymi Prorokami Atlanty-

188

dy. I że słowo „starożytny” oznaczało coś znacznie starszego niż rok 1776.

Najwyraźniej trzeba już było opuścić lokal. Mdgł próbować przeszukać biura, wątpił jednak, czy cokolwiek znajdzie, a poza tym był za bardzo zmęczony i skacowany

— nie tylko od alkoholu, lecz również od dziwnego narkotyku, który podała mu przed filmem tamta Azjatka. Był to zresztą całkiem przyzwoity narkotyk. Od 1969 Joe miał zwyczaj, kiedy nie był zanadto zajęty i nie musiał wstawać wcześniej następnego ranka, zaćpać się i do pdźna oglądać filmy w telewizji. Tak upodobał sobie ten sposób spędzania wolnego czasu, że z jego powodu stracił już dwie dziewczyny; każda chciała iść do łdźka, kiedy on właśnie zasiadał przed tubą, zaśmiewając się głupawo z nadzwyczaj mądrych mądrości, dziwując się głębi filozoficznych aforyzmów rzucanych przez bohaterów (takich jak kwestia Johnny'ego w *Gorzkim ryżu*: „Pracuję cały tydzień, a potem w niedzielę patrzę, jak inni ludzie jeżdżą na karuzeli”

— ile ton patosu zawierało się w tym prostym podsumowaniu ludzkiego życia), albo podziwiając, jak ekspert od słów innego specjalisty, skomplikowaną subtelność reklam i sekretne powiązania między nimi a filmami, w trakcie których je pokazano (na przykład hasło: „Salema z kraju wywieziesz, ale nie wywieziesz Salem z kraju” w samym środku *Wilkołaka*). Cała ta umiejętność podziwiania filmów osiągnęła wyższy poziom dzięki narkotykowi, który dała mu Mao Tsu-hsi, poza tym był to kolorowy film na dużym ekranie, nie przerywany przez reklamy, ani, jak się nad tym zastanowić, przez fnordy — a reklamy, choćby nie wiadomo jak przemyślnie wplecione w wątek

filmu, chyba naprawdę przeszkadzały nawet tym, którzy tak byli zaćpani, że znali się na tym lepiej. To był świetny film. Najlepszy film, jaki widział w życiu. Nigdy go nie zapomni.

Joe na próbę nacisnął klamkę i drzwi natychmiast się otworzyły. Zatrzymał się, rozważając pomysł, czy nie wy-

189

jąc scyzoryka i nie wyrznąć w pięknym, drewnianym blacie stołu napisu „Był tu Malik” lub jakiejś sprośności. W niejasny sposób czuł, że dzięki temu oni by się dowiedzieli, że on wie, o co im chodziło. Ale to nieładnie niszczyć drewno, a poza tym był śmiertelnie zmęczony. Minał pociemniałe korytarze, chwiejnie zszedł po schodach na ddł i stanął na ulicy. Gdy popatrzył w stronę East River, wydało mu się, że na niebie nad Queens widać światło. Czyżby wschodziło słońce? Aż tak długo to trwało?

Minęła go wolno jadąca taksówka z zapalonym światelkiem, Joe zatrzymał ją. Gdy rozwalony na tylnym siedzeniu podawał kierowcy swój adres domowy, zauważył, że nazwisko na plakietce brzmi Albert Pidro.

No to przed nami drabina, Śmiało, wejdźmy na gdrę. Pierwszy szczebel należy do ciebie, Pozostałe zaś będą moje.

Zabawne, pomyślał porucznik Otto Waterhouse z Policji Prokuratora Stanowego. Zawsze, gdy sprawy się komplikują, w głowie zaczyna mi rozbrzmiewać ta cholerna piosenka. Jestem pewnie neurotykiem obsesyjno-kompulsywnym. Piosenkę *Być człowiekiem* Lena Chandlera usłyszał po raz pierwszy w domu laski, ktdrą posuwał w sześćdziesiątym piątym. Uznał, że całkiem niezłe określała jego sytuację jako członka plemienia. Plemię — tak właśnie myślał o czarnych; słyszał, jak Żydzi mówią o Żydach w taki sposób i podobało mu się to bardziej niż te gdwniane bratnie dusze. W skrytości ducha nienawidził innych czarnych i nienawidził być czarnym. Trzeba się było wspinać, na tym to polegało. Trzeba się było wspinać, każdy samotnie.

Kiedy Otto Waterhouse miał osiem lat, został pobity przez gang czarnych chłopaków w South Side; skłuli go nożem i wrzucili do jeziora Michigan, żeby się utopił. Otto nie potrafił pływać, ale jakoś dostał się do żelbetonowego

19(1

nabrzeża, przywarł do zardzewiałej stali, mimo że nie było się tam czego uchwycić. Jego krew lała się prosto do wody, czekał w ukryciu, dopóki banda nie odeszła. Potem podciągnął się do drabiny, wspiął po niej na górę i wyczołgał na betonową przystań. Leżał tam, ledwie żywy, przestraszony, że tamci wrócą i wykończą go.

W końcu ktoś się pojawił. Jakiś gliniarz. Gliniarz trącił ciało Otta czubkiem buta i obrócił je na plecy. Otto zobaczył irlandzką twarz, okrągłą, obdarzoną świńskim nosem i niebieskimi oczami.

— O kurwa — powiedział gliniarz i poszedł dalej.

Otto przeżył do rana, a wtedy nadeszła jakaś kobieta, znalazła go i wezwała karetkę pogotowia. Wiele lat później uznał, że logiczne będzie wstąpić do policji. Znał członków gangu, którzy nieomal go zabili. Nie zawracał sobie nimi głowy, dopóki nie został policjantem. Wówczas znalazł powody, żeby zabić ich wszystkich — niektórzy w owym czasie byli już szanowanymi obywatelami — jednego po drugim. Mało który z nich wiedział, kim on jest albo dlaczego ich morduje. Dzięki liczbie zabitych przez siebie stał się sławny w chicagowskiej policji. Był gliniarzem czarnuchem, któremu należało powierzać załatwianie spraw z czarnuchami.

Otto nigdy się nie dowiedział, kim był gliniarz, który pozwolił mu umrzeć — twarz z grubsza pamiętał, ale wszyscy wydawali mu się podobni do siebie.

Miał jeszcze jedno, dziwnie żywe wspomnienie z pewnego jesiennego dnia 1970 roku, kiedy szedł przez Pioneer Court i został zatrzymany przez durnia, który rozdawał darmowe próbki — jeszcze tego brakowało — soku pomidorowego. Otto przyjął dziesiątaka od durnia i wypił trochę tego soku. Facet był ostrzyżony na jeża i nosił okulary w rogowej oprawie. Wyraźnie mu nie przeszkadzało, że ktoś go zmusza do płacenia łapówki i spojrzął na Otta z dziwnym błyskiem w oku, gdy ten już wypił sok pomidorowy. Otto przez chwilę myślał, że ten sok pewnie za-

191

truto. Wszędzie było pełno ludzi nienawidzących gliniarzy; wielu z nich musiało chyba przysiąc, że będą zabijać „świnie”, jak ich nazywali. Ale dziesiątki ludzi już wypily sok i wszyscy odchodzili bez uszczerbku. Otto wzruszył ramionami i również odszedł.

Później, gdy się zastanawiał, co spowodowało zmiany w jego życiu, zawsze wracał do tamtego momentu. Coś w tym soku jednak było.

Gdy Stella Maris opowiedziała mu o AUM-ie, pojął dopiero, kim kiedyś był. A wtedy już było za późno. Przegrywał po trzykroć: pracował dla Syndykatu, Iluminatów i Ruchu Dyskordiańskiego.

Jedyna droga prowadziła w dół — w stronę chaosu, przy czym kierunek wskazywała Stella.

— Powiedz mi tylko jedno, mała — zwrócił się do niej pewnego popołudnia, gdy leżeli nago obok siebie w jego mieszkaniu w Hyde Park. — Dlaczego to właśnie ciebie wybrali do kontaktów ze mną?

— Bo ty nienawidzisz czarnuchów — odparła spokojnie Stella, gładząc palcem jego kutasa. — Nienawidzisz czarnuchów bardziej niż jakiś biały. Dlatego właśnie droga do twojego wyzwolenia wiedzie przeze mnie.

— A jak jest z tobą? — spytał ze złością, odsuwając się od niej i siadając na łóżku. — Domyślam się, że ty nie widzisz różnicy między czarnymi i białymi. Czarne mięso i białe mięso, dla ciebie to jedno i to samo, no powiedz, ty pierdolona kurwo!

— Chciałbyś tak myśleć — przytaknęła Stella. — Chciałbyś myśleć, że z tobą poszłaby do łóżka tylko czarna kurwa, kurwa, która pójdzie z każdym, niezależnie od rasy. Ale ty wiesz, że nie masz racji. Ty wiesz, że Otto Waterhouse, czarny mężczyzna, który jest lepszy od wszystkich czarnych ludzi, bo nienawidzi wszystkich czarnych, to kłamstwo. To ty nie znasz różnicy między czarnymi i białymi, i uważasz, że czarny człowiek powinien być tam, gdzie jest biały, a nienawidzi czarnych, bo nie jest biały. Nie, ja rozróżniam kolory. Ale poza tym widzę wszystko

192

pozostałe, co jest w człowieku, kochanie. I wiem, że nikt nie jest tam, gdzie powinien i że wszyscy są tam, gdzie powinni.

— Och, spieprzaj z tą twoją durną filozofią — powiedział Waterhouse. — Chodź tu.

Ale nauczył się. Jego zdaniem nauczył się wszystkiego, czego Stella, Hagbard i pozostali musieli go nauczyć. A było tego dużo, spiętrzonego na samym szczycie wszystkich iluminackich śmieci. Ale teraz wrzucali go na głębokie wody.

Miał zabijać.

Wiadomość została przesłana, tak jak wszystkie inne, przez Stellę.

— Hagbard kazał ci to zrobić?

— Tak.

— I domyślam się, że jeśli na to pjdę, to poznam powody dopiero po wszystkim, o ile sam się nie domyślę? Cholera, Stella, rozumiesz chyba, że dużo się ode mnie wymaga?

— Wiem. Hagbard powiedział mi, że masz to zrobić z dwóch powodów. Po pierwsze, dla honoru Dyskordian, tak by tamci poczuli wobec nich respekt.

— On gada jak jakiś makaroniarz. Ale ma rację. To rozumiem.

— Drugi powód. Powiedział, że Otto Waterhouse musi zabić białego człowieka.

— Co? — Stojący w budce telefonicznej Otto zaczął się trząść. Sięgnął nerwowo, bez czytania, po nalepkę z napisem TA BUDKA JEST ZAREZERWOWANA DLA CLARKA KENTA.

— Otto Waterhouse musi zabić białego człowieka. Powiedział, że będziesz wiedział, co to znaczy.

Dłoń Otta jeszcze się trzęsła, kiedy odwieszał słuchawkę.

— O psiakrew! — zaklął. Był bliski płaczu.

I tak, dwudziestego ósmego kwietnia stanął przed me-

193

talowymi drzwiami pomalowanymi na zielono, opatrzonymi numerem „1723”. Było to wejście służbowe do apartamentu przy Lakę Shore Drive 2323. Za jego plecami stało kilkunastu funkcjonariuszy z Policji Prokuratora Stanowego. Wszyscy, podobnie jak on, mieli na sobie kamizelki kuloodporne i błękitne hełmy z przezroczystymi, plastikowymi przyłbicami. Dwóch było uzbrojonych w karabiny maszynowe.

— W porządku — powiedział Waterhouse, zerkając na swój zegarek.

Flanagan dla własnego ubawu wyznaczył czas akcji na 5.23. Była 5.22.30.

— Pamiętajcie, strzelać do wszystkiego, co się rusza. — Stał tyłem do swych ludzi, dzięki czemu nie widzieli tych cholernych łez, które uporczywie zbierały się w jego oczach.

— Nie ma sprawy, poruczniku — powiedział sierżant O'Banion z ironią w głosie. Sierżant O'Banion nienawidził czarnych, ale jeszcze bardziej nienawidził tych gównianych, zawszonych, długowłosych, pedałowatych, podpuszczanych przez komuchów fabrykantów bomb Morituri. Był przekonany, że za tymi drzwiami z pomalowanego na zielono metalu kryje się całe obrzydliwe gniazdo śpiących obok siebie, brudnych nagich ciał, splecionych jak glisty w puszcze. Wyobrażał ich sobie. Oblizwał wargi. Miał zamiar sprzątnąć wszystkich. Uniósł karabin maszynowy.

— Okay — powiedział Waterhouse.

Była 5.23. Osłaniając się jedną ręką ubraną w rękawicę, wycelował swoją czterdziestkę piątkę

w zamek w drzwiach. Zgodnie z ustnymi instrukcjami, których Flanagan udzielił im na odprawie, mieli nie pokazywać nakazu ani nawet nie pukać przed wejściem do środka. W tym mieszkaniu były podobno takie ilości dynamitu, że starczyłoby do zmiecenia na proch całego kwartału, pełnego luksusowych wieżowców. Ci gówniarze z pewnością spowodowaliby wybuch, gdyby się dowiedzieli, że są spa-

194

/

leni. Dzięki temu mogliby zabrać ze sobą całe stado świń, zyskać sławę samobdjczych desperatów, uchronić się przed udzieleniem jakichkolwiek informacji, użyć ładunków wybuchowych i uniknąć życia ze wstydliwą świadomością, że byli tak głupi i dali się złapać.

O'Banion wyobrażał sobie, że znajdzie jakąś białą dziewczynę w ramionach czarnego gówniarza i wykończy ich z karabinu maszynowego. Czuł, jak pęcznieje mu kutas.

Waterhouse strzelił.

W następnej chwili rzucił się całym swoim ciężarem na drzwi i rozbił je. Znalazł się w korytarzu prowadzącym do kuchni. Wszedł do środka. Jego buty zadźwięczały na nagiej posadzce wykładanej kafelkami. Po policzkach ciekły mu łzy.

— Boże mój, Boże, dlaczego mnie opuściłeś? — załkał.

— Kto tam? — zawołał czyjś głos. Waterhouse, którego oczy już przywykły do ciemności, spojrzął przez pusty salon do foyer, w którym na tle światła padającego z pokoju wyróżniała się sylwetka Milo A. Flanagan.

Waterhouse uniósł ciężki pistolet automatyczny na wysokość ramienia, starannie wycelował, zrobił głęboki wdech i nacisnął spust. Broń wypaliła, podskoczyła w jego dłoni i ciemna sylwetka zatoczyła się w tył, prosto w ramiona stojących tam, zaskoczonych mężczyzn.

Nietoperz siedzący na parapecie wyfrunął przez otwarte okno w stronę jeziora. Tylko Waterhouse go zauważył.

Do pokoju wpadł O'Banion. Stał na ugiętych kolanach i oddał serię sześciu strzałów w stronę frontowych drzwi.

— Przestań! — warknął Waterhouse. — Przestań strzelać. Coś jest nie tak.

Coś rzeczywiście byłoby nie tak, gdyby chłopcy stojący przy frontowych drzwiach wpadli tu strzelając.

— Zapal światło, O'Banion — powiedział Waterhouse.

— Ktoś tu strzela.

195

— My tu stoimy i rozmawiamy, O'Banion. Nikt do nas nie strzela. Znajdź kontakt.

— Zaraz podpalą lonty! — O'Banion piszczał ze strachu.

— Jak zapalisz światło, O'Banion, to będziemy widzieli, gdy to będą robić. Może nawet uda nam się ich powstrzymać.

O'Banion podbiegł do ściany i zaczął w nią walić wnętrzem dłoni, ściskając nadal pod pachą karabin maszynowy. Jeden z ludzi, którzy w ślad za O'Banionem weszli przez wejście służbowe do mieszkania, znalazł kontakt.

Mieszkanie było zupełnie puste. Żadnych mebli, dywanów czy zasłon. Ktokolwiek tu mieszkał, zniknął.

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem. Nim zaczęli strzelać, Waterhouse wrzasnął:

— W porządku. Tu Waterhouse. Nikogo tu nie ma. Przestał już płakać. Było po wszystkim. Zabił swojego

pierwszego białego człowieka. Drzwi otworzyły się na oścież.

— Nikogo tam nie ma? — zapytał policjant w hełmie. — Kto do diabła zastrzelił Flanagan?

— Flanagan? — spytał Waterhouse.

— Flanagan nie żyje. Znalezli go.

— Nikogo tu nie ma — powiedział O'Banion, który przeszukiwał sąsiednie pokoje. — Co tu się do diabła stało? Przecież sam Flanagan to nagrał.

Teraz, dzięki zapalonym światłom, Waterhouse widział pentagram wyrysowany kredą na podłodze. Na samym środku leżała szara koperta. Otto podniósł ją. Z tyłu była odcisnięta okrągła, zielona pieczęć ze słowem ERIS. Otto otworzył kopertę i przeczytał:

Dobra robota, Otto. Natychmiast zasuwasz do Ingolstadt w Bawarii. Te sukinsyny usiłują dokonać immanen-tyzacji eschatonu.

S-M

196

Otto Waterhouse przeszedł przez pokój, jedną ręką składając list i wsuwając go do kieszeni, drugą chowając pistolet do kabury. Ledwie spojrzął na ciało Milo A. Flanagan, otwór po kuli w jego czole przypominał trzecie oko. Hagbard miał rację. Mimo wcześniejszego strachu i smutku, teraz, gdy już to miał za sobą, przestał czuć cokolwiek. Spotkałem wroga i już jest mój — pomyślał.

Otto przepchnął się obok ludzi stłoczonych wokół ciała Flanagan. Wszyscy uważali, że idzie złożyć jakiś raport. Nikt się nie domyślił, kto zabił Flanagan.

Zanim O'Banion rozwiązał tę zagadkę, Otto siedział już w swoim samochodzie. Sześć godzin później, kiedy już zablokowali lotniska i dworce, Otto znajdował się na Międzynarodowym Lotnisku w Minneapolis i kupował bilet do Montrealu. Musiał wrócić do Chicago, ale krótki przystanek na Międzynarodowym Lotnisku O'Hare przesiedział na pokładzie samolotu, a tymczasem bracia oficerowie szukali go na dworcach lotniczych. Dwanaście godzin później, z paszportem dostarczonym mu przez Dys-kordian z Montrealu, Otto Waterhouse leciał już do Ingolstadt.

— Ingolstadt — powiedział FUCKUP.

Hagbard zaprogramował maszynę tak, by w tym tygodniu rozmawiała w całkiem niezłej angielszczyźnie.

— Na brzegu jeziora Totenkopf, w pobliżu Ingolstadt, zostanie zorganizowany największy festiwal rockowy w historii ludzkości, największe tymczasowe zgromadzenie istot ludzkich. Spodziewany jest przyjazd dwóch milionów ludzi z całego świata. Będzie grało Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne.

— Czy już wcześniej wiedziałeś albo podejrzewałeś, że Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne, czyli Wolfgang, Werner, Wilhelm i Winifred Saure to czterech Illuminati Primi? — spytał Hagbard.

— Znajdują się na liście, ale na czternastym miejscu w kolejności pod względem prawdopodobieństwa — od-

197

parł FUCKUP. — Być może niektóre z pozostałych grup, które podejrzewałem, to Illuminati Veri.

— Czy potrafisz obecnie określić naturę kryzysu, z jakim będziemy się borykać w tym tygodniu?

Nastąpiła przerwa.

— Na ten miesiąc przewidziane zostały trzy kryzysy. Plus kilka subkryzysów, których celem było zmaksymalizowanie tych trzech głównych. Pierwszy to Fernando Po. Z powodu zamachu stanu na Fernando Po omal nie doszło do wojny światowej, lecz Illuminaci mieli kontrzamach w rezerwie i dzięki temu problem został pomyślnie rozwiązany. Głowy państw są tylko ludźmi i taki manewr mylący sprawił, że zrobili się bardziej drażliwi i irracjonalni. Brak im formy do trzeźwej reakcji na następne dwa wstrząsy. O ile nie życzysz sobie, bym kontynuował omawianie rysów charakterologicznych przywódców kierujących obecnie państwami, które stanowią istotny element kryzysów nękających świat, przejdę do następnego kryzysu. To Las Vegas. Wciąż nie wiem dokładnie, co się tam dzieje, ale nadal napływają stamtąd silne wibracje chorobowe. Z ostatnio pozyskanych informacji wydedukowałem, że gdzieś na pustyni w pobliżu Las Vegas znajduje się centrum badawcze broni bakteriologicznej. Moja bardziej mistyczna sonda powróciła stamtąd ze zdaniem: „Ukryty as jest zatrutym cukierkiem”. Ale to jedna z tych rzeczy, których pewnie nie zrozumiemy, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje w Las Vegas za pomocą bardziej konwencjonalnych środków.

— Już tam wysłałem Muldoona i Goodmana — powiedział Hagbard. — W porządku, FUCKUP, trzeci kryzys to najpewniej Ingolstadt. Co się stanie na festiwalu rockowym?

— Zostanie tam wykorzystana iluminacka doktryna strategicznego biomistyctwu. Jezioro Totenkopf to jedno z osławionych europejskich „bezdennych jezior”, co oznacza, że łączy się ono z morzem Valusia. Pod koniec drugiej

198

wojny światowej Hitler trzymał jeszcze w odwodzie całą dywizję SS w Bawarii. Miał zamiar wycofać się do Ober-salzbergu i z pomocą tej fanatycznie lojalnej dywizji stworzyć ostatni, sławetny przyczółek w bawarskich Alpach. Illuminaci przekonali go jednak, że wciąż ma szansę wygrać wojnę, jeśli zastosuje się do ich instrukcji. Hitler, Himmler i Bormann podali cyjanek wszystkim oddziałom, zabijając kilka tysięcy żołnierzy. Następnie ich ciała, wraz z pełnym wyposażeniem polowym, zostały umieszczone przez nurków na ogromnej, podziemnej równinie w pobliżu miejsca, w którym morze Valusia styka się z jeziorem Totenkopf. Ich obciążone łodzie opadły na dno, dzięki czemu nie przyciągały uwagi. Samoloty, czołgi i artyleria przydzielone tej dywizji też zostały obciążone i zatopione razem z wojskiem. Nawiasem mówiąc, wielu żołnierzy zdawało sobie sprawę, że podczas

ostatniej wieczerzy podano im cyjanek. Skoro jednak Fiihrer uważał, że trzeba ich zabić, zgodzili się na to.

— Nie sądzę, by jeszcze coś z nich zostało po trzydziestu latach z okładem — stwierdził Hagbard.

— Jak zwykle się mylisz, Hagbardzie — przyganił mu FUCKUP. — SS-manów umieszczono w biomistycznym polu ochronnym. Cała dywizja jest w równie dobrym stanie jak tego dnia, kiedy ją tam zatopiono. Naturalnie Iluminaci oszukali Hitlera i Himmlera. Prawdziwym celem tej masowej ofiary było dostarczenie dostatecznej ilości wybuchowo uwolnionej energii świadomości, aby umożliwić przeniesienie Bormanna żywcem do sfery nieśmiertelnej energii. Bormann, w swoim czasie jeden z II-luminati Primi, miał zostać nagrodzony za swój udział w zorganizowaniu drugiej wojny światowej. Pięćdziesiąt milionów ofiar tej wojny pomogło wielu Iluminatom osiągnąć transcendentalne oświecenie i dogodziło ich starszym braciom, sojusznikom i lloigor.

— I co się stanie w Ingolstadt podczas festiwalu?

— Piąty numer zagrany przez Amerykańskie Stowa-

199

rzyszenie Medyczne podczas europejskiego Woodstock wyemituje biomistyczne fale, które uaktywnią hitlerowskie legiony zatopione w jeziorze i każą im wymaszerować na brzeg. Podczas tego zmartwychwstania żołnierze zostaną obdarzeni ponadnormalną siłą i energią, przez co zabicie ich będzie nieomal niemożliwe. A dzięki wybuchowi energii świadomościowej, uwolnionej w trakcie masakry milionów młodych ludzi zgromadzonych na brzegu, osiągną jeszcze większą moc. Potem, pod wodzą braci Saure, zaatakują Europę Wschodnią. Rosjanie, już bardzo zdenerwowani incydentem Fernando Po, pomyślą, że atakuje ich armia z Zachodu. Urzeczywistni się ich dawny strach, że Niemcy, dzięki wsparciu kapitalistycznych potęg, na powrót powstaną, zaatakują Rosję i po raz trzeci w tym stuleciu zechcą wymordować naród rosyjski. Przekonają się, że broń konwencjonalna nie może powstrzymać zmartwychwstałych hitlerowców. Będą uważali, że stawiają opór jakiemuś nowemu rodzajowi amerykańskiej superbroni, że Amerykanie zdecydowali się zaatakować ich z zaskoczenia. Wtedy Rosjanie wprowadzą do gry swoje własne odmiany superbroni. Wówczas Iluminaci wyciągną z rękawa swojego asa, znajdującego się w Las Vegas.

Głos komputera, wydobywający się z biurka Hagbarda, wykonanego z tekowego polinezyjskiego drewna, umilkł nagle.

— Co się wtedy stanie? — spytał Hagbard, pochylając się z niepokojem do przodu.

George zauważył pot na jego czole.

— Nieważne, co stanie się później — odparł FUC-KUP. — Jeśli sytuacja rozwinię się zgodnie z moimi przewidywaniami, wówczas zostanie dokonana immanentyzacja eschatonu. Dla Iluminatów będzie to oznaczało spełnienie projektu, do realizacji którego dążyli od czasów Gruada. Totalne zwycięstwo. Wszyscy oni jednocześnie osiągną transcendentalne oświecenie. Z kolei dla ludzkiej rasy będzie to oznaczało zagładę, koniec.

200

KSIĘGA CZWARTA

BEAMTENSHERRSCHAFT

Cóż, Hoover sprawdził się. Walczyłby. To było ważne. Sprowokowałby kilku ludzi. Zastraszyłby ich na śmierć. On ma teczkę wszystkich.

Richard Milhous Nixon

ODLOT ÓSMY ALBO HOD

(TELEMACH KICHNAŁ)

Przyszedł do Wielkiego Chapperala taki, co pobierał nauki w szkołach Purpurowego Mędrca, Hung Mung Tong, Iluminatów i w wielu innych szkołach, a jednak nie znalazł spokoju.

Ba! Studiował on nawet Dyskordian, nauczycieli Mummua, Nazareńczyka i Buddy, a jednak nie znalazł spokoju.

I przemówił do Wielkiego Chapperala, i rzekł: Daj mi jakiś znak, abym mógł uwierzyć.

I Wielki Chapperal rzekł jemu: Opuść obecność mą, horyzontu poszukaj, a znak zostanie ci pokazany i szukać więcej nie będziesz.

I człek ów odwrócił się, i horyzontu jął szukać, aliści Wielki Chapperal zakradł się w ślad za nim, unidł nogę swą i potężnie kopnął onego poszukującego w rzyć, co go dotkliwie zabolalo i mocno upokorzyło.

Ten, ktdry ma oczy, niechaj czyta i rozumie.

Księga babcinej dobroci

Mordechai Malignatus, K.N.S.,
Nieuczciwa księga kłamstw

Kościół Gwiazdzistego Rozumu bynajmniej nie był zgodny z wyobrażeniem, jakie 00005 miał o firmach ekle-zjalnych. Nachalnie gotycka architektura, nieprzyjemnie dwuznaczne witraże nie tworzyły najlepiej świątobliwej atmosfery (Mój Boże, na pewno jakieś obrzydłe asfalty — pomyślał), a kiedy otworzył drzwi, na ołtarzu brakowało odpowiedniego krucyfiks. Właściwie to w miejscu, w którym powinien znajdować się krucyfiks, znalazł jeszcze bardziej dwuznaczny motyw. Był on, zdaniem 00005, absolutnie pozbawiony smaku.

203

Nic wspólnego z frakcją katolicką — stwierdził Chips.

Podchodził bliżej ostrożnie, mimo że budynek wyglądał na opuszczony. Ławki zbudowano chyba dla jakichś paskudnych gadów — zauważył — w kościele powinno być niewygodnie, to dobre dla duszy, no ale to już było, no cóż, przegiecie. Pewnie ogłaszają się w gazetach dla czubków — pomyślał z niesmakiem. Pierwszy witraż wyglądał od wewnątrz jeszcze gorzej niż z zewnątrz, nie wiedział, kim był Święty Ropuch, ale jeżeli ta mozaika podpisana jego imieniem dawała jakieś wyobrażenie o wyglądzie i predy-lekcjach Świętego Ropucha, to, na Boga, chyba żadna szanująca się kongregacja chrześcijańska nie mogła wpaść na pomysł, żeby go beatyfikować. Następny facet, niejaki shoggoth, był jeszcze mniej atrakcyjny; przynajmniej mieli choć tyle przyzwoitości, żeby go nie kanonizować.

Spomiędzy ławek wybiegł szczur. Przemknął w poprzek głównej nawy, tuż pod stopami Chipsa. Takie miejsce nieźle dawało człowiekowi po nerwach.

Chips podszedł do ambony i podniósłszy głowę, wypatrzył Biblię. Nareszcie choć jeden ślad cywilizacji. Ciekaw, jaki tekst głoszone ostatnio w tej jaskini czarnuchów, wdrapał się na ambonę i rzucił okiem na otwarte strony księgi. Ku jego konsternacji, to wcale nie była Biblia. Same dyrdymały i górnolotne pierdoły na temat jakiegoś Yog Sothotha, prawdopodobnie boga asfaltów, który był jednocześnie Bramą i Strażnikiem Bramy. Kompletny kretynizm. Chips uniósł ogromne tomisko i obrócił je, by móc przeczytać napis na okładce. *Necronomicon*, że co? Jeśli mógł zaufać swojej uniwersyteckiej łacinie, oznaczało to mniej więcej „księgę imion zmarłych”. Obłeśne, jak cały budynek.

Podszedł do ołtarza, uważając, by nie patrzeć na ohydne malowidło, które nad nim wisiało. Rdza — co można powiedzieć o chamach, którzy pozwalają, by ich ołtarz zardzewiał? Poskrobał paznokciem. Ołtarz wykuto z marmuru, a przecież marmur nie rdzewieje. Przez myśl prze-

204

mknęło mu zdecydowanie nieprzyjemne podejrzenie, zlizął to, co zdrapał paznokciem. Krew. Całkiem świeża krew.

Nic wspólnego z frakcją katolicką.

Chips ruszył w stronę zakrystii i wlaź prosto w pajęczynę.

— Cholera — mruknął, rozrywając delikatną sieć latarką, a wtedy coś upadło mu na ramię. Strzepnął to szybko i oświetlił podłogę. Stwór zaczął szybko wspinać się po nogawce jego spodni, natychmiast znowu go strzepnął, ciężko oddychając, i tupnął z całej siły. Usłyszał przekonujący trzask, ale tupnął raz jeszcze dla pewności. Gdy podniósł nogę i znowu oświetlił to miejsce latarką, stworzenie nie żyło.

Pająk, cholernie duże, paskudne bydlę. Czarni bogowie, Święte Ropuchy, szczury, tajemnicze, pogańskie Bramy pisane wielkimi literami, ten jakiś shoggoth o wyjątkowo paskudnej gębie, a teraz jeszcze pająki. Ten wyglądał jak spedalona tarantula. Tylko czekać na księcia Drakulę — pomyślał ponuro — sprawdzając drzwi zakrystii. Otworzyły się bez trudu, Chips odsunął się na bok z pola widzenia i chwilę czekał.

Albo nie zastał ich w domu, albo czaili się, pozwalając, by to on wykonał następny ruch.

Wszedł przez drzwi i poświecił dookoła latarką.

— O Boże, nie — krzyknął. — Nie! Boże! Nie!

— Do widzenia, panie Chips — powiedział Święty Ropuch.

Czy kiedykolwiek jechaliście metrem z Charing Cross do którejś z podmiejskich dzielnic? Wicie, taka długa przejażdżka bez przystanków, podczas której ogarnia was całkowity mrok i wydaje wam się, że wszystko na zewnątrz pędzi w odwrotnym kierunku? Relatywizm, tak nazywają to ludzie w laboratoryjnych fartuchach. Prawdę mówiąc, jeszcze bardziej przypomina to jazdę w górę komina niż jazdę w głąb tunelu, ale też jest trochę tak, jakby

205

działo się jednocześnie i jedno, i drugie, o ile mnie rozumiecie. Relatywizm. Minał mnie zgorzkniały starzec w jankeskim ubraniu z przełomu wieku, mrużąc coś o „Carcosie”. Za nim jechał antyczny pontiac, wiozący czterech Włochów z oszołomionymi minami — dostatecznie wolno, bym

zdażył wypatrzeć rok, z całą pewnością 1936, a nawet przeczytać tablice rejestracyjne: Rhode Island AW-1472. Potem jakiś czarny — nie jakiś czarnuch albo asfalt, ale naprawdę czarny człowiek — bez twarzy, raczej wolałbym nie mówić, co on miał zamiast twarzy. Przez cały ten czas słychać było pobekiwanie względnie popiskiwanie, które brzmiało mniej więcej tak: „Tekeli-li! Tekeli-li!” Inny człowiek, o wyglądzie Anglika, z tym, że ubrany w strój z początku dziewiętnastego wieku, spojrzął w moją stronę ze zdziwieniem i powiedział: „Ja tylko doglądałem koni!” Mogłem współczuć: Ja tylko otworzyłem krwawiące drzwi. Gigantyczny chrząszcz, który spojrzął na mnie inteligentniej niż dotychczas wszelkie inne żuki — wyraźnie szedł w innym kierunku, o ile w tym miejscu istniał w ogóle jakiś kierunek. Siwowłosy starzec o niepokojąco niebieskich oczach, który przelatując obok, krzyknął: „Roderick Usher!”. Potem cała parada pięciokątów i innych matematycznych figur, które wydawały się rozmawiać z sobą w jakimś języku przeszłości albo przyszłości, czy czegoś innego, co nazywały swoją ojczyzną. I teraz to już raczej nie przypominało tunelu albo komina, tylko bardziej *roller-coaster* z dołkami i pętłami, ale też nie taki, jaki znajduje się w Brighton — zdaje się, że kiedyś widziałem taką krzywą, na tablicy, gdy w tej sali, do której chodziłem na ćwiczenia z Ang Lit Pope do Swinb. i Neo-Rapf., odbywały się przedtem zajęcia z geometrii nieeuklidesowej. Potem minąłem shoggotha albo on minął mnie i pozwolę sobie stwierdzić, że wizerunki shoggothów w ogóle nie oddają ich wiernie: w służbie JWK jestem gotów udać się w dowolne miejsce i stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, ale modłę się do świętego Harr/ego,

206

żebym już więcej nie musiał zbliżać się do żadnego z tych facetów. Potem pojawił się jakiś pagórek, albo może powinienem użyć słowa szpic — rozpoznałem coś: Ingol-stadt, środek uniwersytetu. Potem znowu ruszyliśmy w drogę, ale nie na długo, kolejny szpic: Stonehenge. Banda zakapturzonych ludzi, prosto z jankeskiego filmu o KKK, uprawiająca jakąś koszmarną pantomimę w samym środku kamiennego kręgu i opętańczo wyjąca o jakiejś diabelskiej kozie z tysiącem młodych i że wszystkim gwiazdom na niebie się pomyliło. No cóż, człowiek zdobywa swoje wykształcenie, gdzie tylko może — teraz wiem, mimo że nie powiem żadnemu cholernemu naukowcowi, skąd to wiem: Stonehenge jest znacznie starsze niż uważamy. Świsty, zgrzyty, znowu ruszamy i płyną obok nas statki — wszelkie rodzaje statków, począwszy od starych jankeskich żaglowców po nowoczesne, luksusowe liniowce, wszystkie nadają rozpaczliwy stary sygnał SOS — i rusza ich śladem grupa samolotów. Pojąłem, że to pewnie Trójkąt Bermudzki i wtedy mi zaświtało, że ten Jankes z przełomu wieku o zgorzkniałej twarzy to pewnie Am-brose Bierce. Nadal nie miałem zielonego pojęcia, kim mogą być ci inni faceci. Potem pojawiła się jakaś dziewczyna, następnie pies, lew, blaszany człowiek i strach na wróble. Prawdziwa zagadka: czyja zwiedzam miejsca istniejące w rzeczywistości, czy tylko w ludzkich umysłach? Czy one się w ogóle czymś różnią? Na widok parodii żółwia, morsa, cieśli i jeszcze jednej małej dziewczynki, moja wiara w tę różnicę zaczęła się kruszyć. A może niektórzy z tych pisarzy potrafili założyć podsłuch w tym, jak to nazwać, alternatywnym świecie albo piątym wymiarze? Znowu minął mnie shoggoth (a może to był jego brat bliźniak?) i krzyknął, a może powinienem powiedzieć, wybełkotał: „Yog Sothoth Neblod Zin” i po tonie jego głosu zorientowałem się, że to było coś wybitnie sprośnego. Dodam tutaj, że jak mi ktoś składa jakąś podejrzaną propozycję, to wcale nie walę go od razu w mordę — rozumie-

207

cie, człowiek powinien być kosmopolitą — jednak wolę jak takie oferty padają z ludzkich ust, w ogóle z jakichkolwiek ust, a nie z jam, zasadniczo wcale nie przystosowanych do gadania. Tylko sami musicie zobaczyć shog-gotha, Boże ucho, żeby zrozumieć, o czym mówię. Następny przystanek przypominał lodówkę, lodówkę ciągnącą się na przestrzeni wielu, wielu mil i tam właśnie ten, który cały czas skomlał „Tekeli-li! Tekeli-li!”, powiesił kapelusz. Albo powiesiło. On albo to, nie będę próbował oddać mu sprawiedliwości. W *Necronomicon* o Yog Sotho-cie powiedziano, że „Kadath poznał je na mroźnych, leżących odłogiem przestrzeniach”* i teraz pojąłem, że słowo „poznał” zostało tu użyte w biblijnym sensie. Mam tylko nadzieję, że on lub ono pozostanie na tych mroźnych przestrzeniach. Wierzcie mi, na pewno nie chcielibyście go spotkać w samo południe na Strand. Obyczaje miał jeszcze gorsze niż pochodzenie, a już zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie zdrapał z siebie choć części wodorostów i skorupiaków; przypominał raczej Świętego Ropucha swoim pojmowaniem elegancji i etykiety obowiązującej przy stole, o ile rozumiecie, co mam na myśli. Ale znowu ruszyłem z miejsca, krzywizny stawały się coraz bardziej strome, coraz więcej było szpiców. Nie wątpiłem, że Głowy, do których potem dotarłem, to Wyspa Wielkanocna. Miałem tylko chwilę na refleksję, że Głowy przypominają Tlaloca i Iloigor z Fernando Po, ta pokrętna bowiem wersja Wyprawy Cooka ruszyła przed siebie i wtedy dotarłem do ostatniego przystanku.

— A niech to wszystko piorun trzaśnie! — powiedziałem, patrząc na Manolete, wykonującego

Veronikę i tę biedaczkę Concepcion, leżącą tam z poderżniętym gardłem. — No, tego już za dużo.

Postanowiłem, że tym razem nie polezę do Kościoła Gwiazdzonego Rozumu. Ostatecznie są jakieś granice.

* *Zew Cthulhu*, Lovecraft. Tłum. R. Grzybowska. Warszawa 1983.

208

Poszedłem natomiast na ulicę Tequila y Mota i zbliżyłem się do kościoła, ale zachowałem dystans, próbując wy-koncytować, gdzie PENER trzyma swoją Maszynę Czasu.

Gdy właśnie się nad tym głowiłem, usłyszałem pierwszy strzał z pistoletu.

Potem salwę.

Później wiedziałem już, że cała ludność Fernando Po — potomkowie kubańskich więźniów, których przywieziono statkami w dziewiętnastym wieku, gdy na wyspie mieściła się kolonia karna, zorganizowana przez Hiszpanów z epoki kolonialnej, czarni, asfalty i różni tacy — wyległa na ulicę Tequila y Mota z całą posiadaną przez siebie bronią. To był rzecz jasna ten kontrzamach — tłuszcza kapitana Puta, która obaliła Tequilę y Mota i zapobiegła wojnie nuklearnej — ja jednak nic o tym nie wiedziałem w owym czasie, więc dopadłem do najbliższych drzwi i starałem się ukryć przed kulami, które, pamiętajcie, wykwiwały w powietrzu tak licznie jak pączki na drzewach w maju. Niezły ubaw. A jeden Hiszpan — wesoły jak drzewo obwieszone papugami, na rozpedzonym powozie — mija mnie, wymachując starą maczetą jakby z jakiejś książki i z okrzykiem: „Lepiej umrzeć stojąc niż żyć na kolanach!” rusza prosto na oddział Armii Zawodowej, która wreszcie się tam pojawiła, żeby położyć kres tej awanturze. Utorował sobie między nimi drogę, kosząc głowy jak pirat, dopóki kule nie podziurawiły go tak, że przypominał sito. No i macie Hiszpanów: Nawet ci stuknięci mają jaja.

Cóż, to nie był mój show, więc się wycofałem, otworzyłem drzwi i wszedłem do budynku. Miałem tylko chwilę, żeby się zorientować, gdzie się wpakowałem, gdy Święty Ropuch mrugnął do mnie swym wylupiastym okiem i powiedział:

— To znowu ty!

Tym razem wyprawa była mniej interesująca (ostatecznie już wcześniej sporo się napatrzyłem), starczyło mi czasu, żeby się zastanowić i zrozumieć, że ta stara żabia

209

twarz nie używa Maszyny Czasu ani w ogóle żadnego mechanicznego urządzenia. Potem stanąłem przed jakąś piramidą — ostatnim razem pominęliśmy ten przystanek — i czekałem na powrót do hotelu „Durrutti”. Ku memu zdziwieniu, kiedy nastąpił ostateczny skręt w wymiarach albo w czymś, co tam było, znalazłem się w jakimś innym miejscu.

Prawdę mówiąc, 00005 przebywał teraz w ogromnym, wyłożonym marmurem pomieszczeniu, umyślnie tak zaprojektowanym, żeby zwiedzający wybałuszili gały. Filary cyklopowej wysokości wspierały sklepienie położone tak wysoko, że skryte w mroku stawało się zupełnie niewidoczne, a wszystkie ściany, których najwyraźniej było tam pięć, zbudowano z takiego samego nieprzenikliwego, ziarnistego marmuru o barwie kości słoniowej. Oczy instynktownie wędrowały w stronę gigantycznego tronu z litego złota w kształcie jabłka, w którym wyciosane zostało siedzenie, zdające się błyszczeć na tle mętnego oświetlenia wyjątkowo jasno. Na tronie siedział starzec z białą jak śnieg brodą, sięgającą nieomal do pasa jego jeszcze bielszej togi.

— Pozwolę sobie na banał — przemówił dźwięcznym głosem — i powiem: witaj synu.

Nadal nie była to żadna frakcja katolicka, no ale przynajmniej coś zdecydowanie lepszego od tego chlewu, w którym gnił Święty Ropuch i jego obrzydliwe *objets d'art*. Niemniej poczucie zdrowego, brytyjskiego rozsądku 00005 uległo zakłóceniu.

— Chyba nie jesteś jakimś mistykiem, prawda? — zaryzykował pytanie. — Muszę ci powiedzieć, że nie zamierzam się nawracać na pogańską wiarę.

— Nawrócenie, tak jak ty je rozumiesz — odparła spokojnie sędziwa postać — polega na tak długim wbijaniu słów do ludzkich uszu, że w końcu zaczynają tymi uszami wychodzić. Nic nie może interesować mnie mniej. Nie masz się czego obawiać pod tym względem.

210

— Rozumiem — 00005 zastanowił się. — To nie jest Shangri-La albo inne podobne miejsce, prawda?

— To jest Dallas w Teksasie, mdj synu. — W oczach starca rozbłysła ledwie zauważalna iskierka rozbawienia, jakkolwiek na twarzy zachował powagę. — Znajdujemy się pod kanałami ściekowymi Dealy Plaża, a ja jestem Dealy Lama.

00005 potrząsnął głową.

— Ja się nie przejmuję, jak mnie ktoś robi w konia — zaczął.

— Jestem Dealy Lama — powtórzył starzec — a to jest kwatera główna Eryzyjskiego Frontu

Wyzwolenia.

— Żart to żart — upierał się Chips — ale jak kierowaliście tym stworzeniem o żabiej twarzy w Kościele Gwiazdzistego Rozumu?

— Tsathoggua? My nim nie kierujemy. Prawdę mówiąc, uratowaliśmy cię przed nim. Już dwukrotnie.

— Tsathoggua? — powtórzył Chips. — A ja myślałem, że to bydlę nazywa się Święty Ropuch.

— Uściślijmy, że to jedno z jego imion. Kiedy się pojawił po raz pierwszy, w krainie Hiperborejczyków, był znany jako Tsathoggua i tak też o nim pisano w *Manuskryptach Pnakotycznych*, w *Nekronomicon* i innych klasycznych dziełach. Autorami jego najlepszych opisów byli najwyżsi kapłani atlantydzcy, Klarkash Ton i Lhuv Ke-raph, lecz przetrwały one jedynie w naszych archiwach, bowiem ich dzieła zaginęły.

— Potrafisz się nieźle maskować — stwierdził szczerze 00005. — Przypuszczam, że już niebawem zaczniesz mi wmawiać, że znalazłem się tu za sprawą jakiejś karmy?

Żałował, że nie bardzo ma na czym usiąść. Bez wątpienia Lama zyskiwał na godności, dzięki temu, że siedział, a Chips musiał stać, jednak Chips miał za sobą ciężką noc i bolały go nogi.

— Tak, mam dla ciebie sporo rewelacji — oświadczył starzec.

211

— Bałem się tego. Czy nie ma tu czegoś, na czym mógłbym zakotwiczyć dupsko, jak zwykły mawiać mój wujek Sid, zanim wysłucham twoich mądrości? Jestem pewien, że to długo potrwa.

Starzec zignorował to.

— Jest to punkt zwrotny w historii — powiedział. — Wszystkie siły Zła, dotychczas rozproszone i częstokroć pozostające ze sobą w konflikcie, skupiły się pod jednym znakiem, oka w piramidzie. Również wszystkie siły Dobra skupiły się pod jednym znakiem, znakiem jabłka.

— Rozumiem — 00005 pokiwał głową. — I wy chcecie mnie zwerbować po stronie Dobra?

— Wcale nie — zawołał starzec, trzęsąc się na swoim siedzeniu ze śmiechu. — Chcę cię zaprosić, żebyś został tu z nami w czasie, gdy ci obłąkańcy będą walczyć na powierzchni ziemi.

00005 zmarszczył czoło.

— Nie jest to odważne podejście — powiedział z dezaprobatą, ale po chwili uśmiechnął się szeroko. — Och, omal nie dałem się nabrać, prawda? Robisz mnie w konia!

— Mówię ci prawdę — wybuchnął starzec. — Jak, twoim zdaniem, udało mi się dożyć tak zaawansowanego wieku? Bo chowałem się w kibli podczas każdej idiotycznej burdy w barze, wojny światowej albo tego Armaged-donu, który właśnie się zbliża! Pozwól, że ci przypomnę tę ulicę, z której cię zabraliśmy, to całkiem typowe postępowanie podczas Kali Yuga. Te imbecyle używają ostrej amunicji, synu. Czy chcesz, żebym ci wyjawiał tajemnicę długowieczności, chłopcze? Moją tajemnicę? Żyję tak niesłychanie długo, bo — powiedział to z umyślną emfazą — bo pierdołę Dobro i Zło.

— Na twoim miejscu wstydzilibym się tego — odparł chłodno Chips. — Gdyby wszyscy na świecie myśleli tak jak ty, wówczas byłibyśmy tylko żalonym kotłem pełnym ryb.

— Bardzo dobrze — starzec zaczął podnosić rękę. — Odeślę cię z powrotem do Świętego Ropucha.

212

— Czekaj! — Chips poruszył się niespokojnie. — Czy nie mdglbyś mnie odesłać tam, gdzie mógłbym stawić czoła Złu w jego, mhm, bardziej ludzkim kształcie?

— Aha — zadrwił starzec. — A więc chcesz mniejszego Zła, czy tak? Takie fałszywe wybory zanikają, nawet teraz, podczas tej naszej rozmowy. Jeśli chcesz stawić czoła Złu, będziesz musiał to zrobić na moich warunkach, nie zaś w takiej formie, która pasuje do twojego mieszczańskiego pojmowania Sądu Ostatecznego. Zostań tu ze mną, chłopcze. Zło jest znacznie bardziej nieprzyjemne, niż ci się zdaje.

— Nigdy — oświadczył stanowczo Chips. — „Nie nam pytać dlaczego. Spełniać swą powinność lub ginąć, kolego.” Każdy Anglik powie ci to samo.

— Nie wątpię — powiedział starzec szyderczym tonem. — Twój rodacy są równie tępi, jak ci Teksaszczyki ponad nami. Gloryfikują tę idiotyczną *Lekką brygadę* tak samo, jak te buraki chwala się swym zwycięstwem w Alamo! Jakby położenie się przed walcem parowym było czymś najbardziej godnym podziwu z tego, co człowiek może zrobić ze swoim życiem. Pozwól, że opowiem ci pewną historię, synu.

— Możesz, jeśli chcesz — odparł sztywno 00005. — Ale żadna cyniczna parabola nie zmieni mojego poczucia Prawa i Obowiązku.

— Prawdę powiedziawszy, cieszysz się z tego interludium; wcale nie masz ochoty zмагаć się

ponownie z potęgą Tsathoggua. Niech tak będzie. — Starzec poprawił się na tronie i nadal nie zwracając uwagi na Chipsa, który zmęczony przestępował z nogi na nogę, zaczął:

Oto opowieść o Naszej Pani Niezgody, o Eris, córce Chaosu, matce Fortuny. Bez wątpienia czytałeś o tym trochę u Bullfincha, lecz jego wersja jest egzoteryczna. Ja przedstawię ci Opowieść Wewnętrzzną.

Czy myśl o jednorożcu to prawdziwa myśl? W pewnym sensie to zasadnicza kwestia filozoficzna...

213

Myślałem, że chcesz mi przekazać jakąś opowieść, nie popadając w jakąś ponurą niemiecką metafizykę. Miałem tego dość na uniwersytecie.

Właściwie tak. Mówiąc zatem w skrócie, myśl o jednorożcu to prawdziwa myśl. Taka też jest myśl o Ukrzyżowanym Zbawicielu, o Krowie, Która Przeskoczyła Księżyc, o zaginionym kontynencie Mu, o Produkcie Narodowym Brutto, Pierwiastku Kwadratowym z Minus Jeden i wszystkim innym, co może pobudzić energię emocjonalną. Stąd, w pewnym sensie, Eris i inni mieszkańcy Olimpu byli i są realni. W innym zaś sensie jest tylko jeden Prawdziwy Bóg i nasz Zbawca jest jego jedynym poczętym synem, a Iloigor, tak jak Tsathoggua, są dostatecznie realni, by móc wciągnąć cię do własnego świata, który znajduje się po drugiej stronie Koszmaru. Ale obiecałem sprowadzić filozofię do minimum.

Przypominasz sobie historię Złotego Jabłka, przynajmniej w jej egzoterycznej i okrojonej wersji? Prawdziwa wersja, do pewnego momentu, jest taka sama. Zeus, nawiasem mówiąc straszliwy nudziarz, naprawdę zrobił balangę na Olimpie i wkurzył Naszą Panią, nie zapraszając jej. Ona rzeczywiście stworzyła jabłko, ale to było Acapul-co Gold, a nie metaliczne złoto. Napisała na nim *Korhhi-sti*, „dla najpiękniejszej”, i wrzuciła do sali bankietowej. Wszyscy, nie tylko boginie, jak chce stary mit wymyślony przez męskich szowinistów, zaczęli się kłócić o to, komu ma przypaść. Nigdy nie poproszono Parysa o wydanie wyroku; to kolejna *licentia poetica*. Wojna Trojańska była po prostu kolejną imperialistyczną burdą i nie miała z tym wszystkim żadnego związku.

W rzeczywistości wszyscy się żarli o to jabłko, handry-czyli i odpychali od niego, przez co dość szybko ich wibracje, a bogowie mają wibracje o bardzo wysokiej częstotliwości, równej prędkości światła, tak rozgrzały jabłko, że zaczęły się z niego wydzielać jakieś ciężkie opary. Słowem wszyscy mieszkańcy Olimpu się nawalili.

914

I wszyscy mieli Wizję albo serię Wizji.

W pierwszej Wizji zobaczyli Jahwe, sąsiedniego boga, który posiadał własny świat, miejscami pokrywający się z ich światem. Oczyszczał właśnie scenę, żeby zmienić jej wartościowania i rozpocząć nowy show. Jego metoda zaszokowała ich swoim barbarzyństwem. Mdwiać otwarcie, Jahwe wytopił wszystko, z wyjątkiem jednej rodziny, której pozwolił uciec arką.

— To jest Chaos — powiedział Hermes. — Nawet jak na boga, ten Jahwe to zła matka.

I przyjrzeni się trochę dokładniej tej Wizji, a ponieważ potrafili przewidzieć przyszłość, i ponieważ wszyscy oni byli (jak każda inteligentna istota) zaciekłymi fanami Laurela i Hardy'ego, i ponieważ nawalili się zielskiem, widzieli, że Jahwe ma twarz Olivera Hardy'ego. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wokół gdry, na której żył (jego świat był płaski), podnosiły się wody. Widzieli tonących mężczyzn i kobiety, niewinne niemowlęta ginące pod falami. Omal się nie porzygali. A potem przyszedł Inny i stanął obok Jahwe, zapatrzony na panoramę dziejącego się poniżej horroru, i był Adwersarzem Jahwe, a oni byli tak zaćpani, że wydał im się podobny do Stanleya Laurela. I wtedy Jahwe przemówił nieśmiertelnymi słowami Oli-vera Hardj^ego: „No i popatrz, w co mnie wpakowałeś”.

I to była pierwsza Wizja.

Spojrzeni raz jeszcze i zobaczyli Lee Harveya Oswalda siedzącego na parapecie okna Teksańskiej Składnicy Książek, i on też miał twarz Stanleya Laurela. A ponieważ ten świat został stworzony przez wielkiego boga nazwiskiem Earl Warren, Oswald oddał jedyne strzały tamtego dnia i John Fitzgerald Kennedy został, jak to czarująco nazwała Armia Zbawienia, „wyniesiony do chwały”.

— To jest Zamęt — powiedziała Atena, błyskając swymi sowimi oczyma, ponieważ była lepiej zaznajomiona ze światem stworzonym przez boga nazwiskiem Mark Lane.

215

Potem zobaczyli korytarz i Oswalda-Laurela, którego prowadziło dwóch policjantów. Nagle do przodu wystąpił Jack Ruby, o twarzy Olivera Hardy'ego, i wypalił z pistoletu prosto w jego kruche, wątłe ciało. Potem Ruby wygłosił do trupa leżącego u jego stóp nieśmiertelną kwestię: „No i popatrz, w co mnie wpakowałeś.”

I to była druga Wizja.

Następnie zobaczyli miasto zamieszkałe przez pięćset pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, i w jednej chwili miasto przestało istnieć; po ludziach, którzy zniknęli, pozostały cienie, a za to rozpełtała się burza płomieni, pałac alfonsów, dzieci i stary pomnik roześmianego Buddy, myszy, psy, starców i kochanków, a nad wszystkim uniosła się chmura w kształcie grzyba. Stało się to w świetle stworzonym przez najokrutniejszego z wszystkich bogów, *Realpolitik*.

— To Niezgoda — powiedział zaniepokojony Apollo, odkładając swą lutnię.

Harry Truman, sługa *Realpolitik*, z twarzą Olivera Hardy'ego, popatrzył na swoje dzieło i stwierdził, że jest dobre. Jednakże stojący obok niego Albert Einstein, sługa tej najbardziej nieuchwytniej i gnomicznej z bogiń, Prawdy, zalał się łzami, słynnymi łzami Stanley'a Laurela, widząc, co wyniknęło z jego własnej karmy. Truman przez krótką chwilę odczuwał zakłopotanie, ale potem przypomniał sobie nieśmiertelną kwestię: „No i popatrz, w co mnie wpakowałeś.”

I to była trzecia Wizja.

Widzieli teraz pociągi, liczne pociągi, wszystkie jechały punktualnie, przemierzając całą Europę, jechały dwadzieścia cztery godziny na dobę i wszystkie docierały do kilku jednakowych miejsc przeznaczenia. Tam ludzki towar stemplowano, katalogowano, przetwarzano, zabijano za pomocą gazu, systematyzowano, spisywano, znowu stemplowano, kremowano i wyrzucano na śmietnik.

— To Biurokracja — stwierdził Dionizos i z gniewu

216

rozbił dzban z winem; jego ryś wodził złowrogim spojrzeniem.

I wtedy zobaczyli tego, który rozkazał to wszystko zrobić, Adolfa Hitlera, wciąż w masce Olivera Hardy'ego, a on zwrócił się do pewnego bogatego człowieka, barona Roth-schilda, noszącego maskę Stanleya Laurela i wiedzieli, że jest to świat stworzony przez boga zwanego Hegel i że anioł Tezy spotkał się z demonem Antytezy. A Hitler natenczas wydmwił nieśmiertelną kwestię: „No i popatrz, w co mnie wpakowałeś.”

I to była czwarta Wizja.

Patrzyli dalej i, dziwujcie się, ze swych wysokości ujrzeli powstawanie wielkiej Republiki i usłyszeli proklamacje, którymi witano nowych bogdów zwanych Właściwym Rozwojem i Równymi Prawami dla Wszystkich. I zobaczyli, jak wielu zajmujących wysokie stanowiska we władzach Republiki przystępuje do tworzenia odrębnego kultu i oddaje cześć Mamonie oraz Władzy. W miejsce Republiki powstało Imperium i wkrótce przestano oddawać hołdy Właściwemu Rozwojowi i Równym Prawom dla Wszystkich, nawet Mamonie i Władzy oddawano cześć tylko w słowach, bowiem prawdziwymi bogami wszystkich stały się teraz: bezsilne Co Ja Mogę Zrobić, jego tępny brat To Co Zrobiliśmy Wczoraj oraz jego brzydka i groźna siostra Dopadnijcie Ich Zanim Oni Dopadną Nas.

— To jest Pokłosie — powiedziała Hera i jej łono zatrzęsło się od szlochu, którym opląkała dzieci tego narodu.

I patrzyli na zamachy bombowe, zamieszki, snajperów na dachach, koktajle Mołotowa. Widzieli stolice leżące w gruzach i przywódcę o twarzy Stanleya Laurela, wziętego do niewoli w ruinach własnego pałacu. Zobaczyli przywódcę rewolucjonistów wpatrującego się w rumowiska i ulice usłane trupami, usłyszeli jego westchnienie, a potem, jak przemówił do przywódcy, używając nieśmiertelnej kwestii: „No i popatrz, w co mnie wpakowałeś.”

I to była piąta Wizja.

217

Mieszkańcy Olimpu zaczęli schodzić w dół, patrząc na siebie z niepewnością i konsternacją. Sam Zeus przemówił pierwszy.

— A niech mnie — powiedział — ale to była Ciężka Trawa.

— Absolutnie zajebista — zgodził się uroczyście Hermes.

— Bombastylistyczna — dodał Dionizos, gładząc swego rysia.

— Upierdoliliśmy się w trzy dupy — podsumowała Hera w imieniu wszystkich.

I znowu skierowali swe oczy na Złote Jabłko i odczytali słowa, które Nasza Pani Eris na nim napisała, te najbardziej wieloobrzędkowe z wszystkich stów, *Korhhisti*. I wiedzieli, że każdy bóg i bogini, każdy mężczyzna i kobieta są w prywatności swego serca tym najpiękniejszym, najczystszym, najniewinniejszym, najlepszym. I pożałowawszy, że nie zaprosili Naszej Pani Eris na swoją ucztę, niezwłocznie ją wezwali i spytali:

— Dlaczego nigdy przedtem nam nie powiedziałaś, że wszystkie kategorie są fałszywe, a całe Dobro i Zło to urojenie będące efektem ograniczonych horyzontów?

A Eris odparła im:

— Tak jak mężczyźni i kobiety są aktorami na wymyślonej przez nas scenie, tak my jesteśmy aktorami na scenie wymyślonej przez Pięć Parek. Musieliście wierzyć w Dobro i Zło oraz osądzać wasze dzieła, mężczyzn i kobiety, znajdujących się pod wami. Takie przekleństwo nałożyły na was Parki! Odkąd jednak osiągnęliście Wielkie Zwątpienie, jesteście wolni.

Słyszając to, mieszkańcy Olimpu utracili zainteresowanie tą zabawą w bogów i wkrótce ludzkość o nich zapomniała. Albowiem Ona pokazała im wielkie Światło, a wielkie Światło niszczy cienie; i my wszyscy, bogowie i śmiertelni, jesteśmy niczym innym jak tylko przemijającymi cieniami. Wierzysz w to?

218

— Nie — odparł Fission Chips.

— Bardzo dobrze — odparł pośpym tonem Dealy Lama. — Odejdź, wracaj do świata Mai!

I Fission Chips polecał na łeb na szyję, prosto w wir pobekiwania i popiskiwania, a czasem i przestrzenią znowu coś mocno szarpnęło i prawie miesiąc później, na łeb *na szyję pada Kurdupel, pada, wstaje i chwiejnym krokiem wędruje po Trasie 91, a wynajęty ford brontosaurus hamuje z piskiem i Saul z Barneyem wysiadają z niego (instykt, właściwy wszystkim gliniarzom, podpowiada im, że człowiek uciekający z miejsca wypadku musi coś ukrywać), lecz John Dillinger jadący z północy w stronę Vegas wciąż nuci „Żegnajcie na zawsze dawne miłości, niechaj Bóg w swej opiece... was... ma...” i to samo szarpnięcie w czasoprzestrzeni chwyta Adama Weishaupta dwa stulecia wcześniej, zmuszając go do zrezygnowania z zaplanowanej uprzednio łagodnej kampanii reklamowej, i warczy na zaskoczony Johanna Wolfganga Goethego: „Spielen Sie Strip Schnipp-Schnapp?”, a Chips, który słyszy słowa Weishaupta, jest z powrotem na cmentarzu w Ingolstadt, w chwili, gdy właśnie opuszczają go cztery spowite w zmierzch postaci.*

— *Strip Schnipp-Schnapp?* — pyta Goethe, przykładając dłoń do podbródka, która to poza miała w przyszłości stać się sławna. — *Das ist dein hoch Zauberwerk?*

— *Ja, ja* — odpowiada nerwowo Weishaupt. — *Der Zweck heiligte die Mittel.*

Ingolstadt zawsze mi przypomina scenerię z jakiegoś krwawego filmu o Frankensteinie, a po Świętym Ropuchu, shoggocie i starym Lamie jego czarnuchowatą metafizyką, ten niewidzialny głos, który mnie zaprosił do udziału w pewnej sprośnej grze w karty, raczej mi nie pomógł. W służbie JWK bywałem świadkiem różnych dziwacznych scen, ale ta afera z Fernando Po okazała się zgoła niezdrowa, wręcz *unheimlich*, jakby to określiły szkopy. A z oddali zaczyna mnie dobiegać jakaś muzyka typowa

219

dla asfaltów, tyle że z jankeskim brzmieniem i nagle zrozumiałem najgorsze: ten przeklęty Lama, Święty Ropuch albo jeszcze ktoś inny wyrwał prawie miesiąc z mojego życia. Wlazłem na Świętego Ropucha po północy 31 marca (nazywajcie to więc 1 kwietnia), a był teraz 30 kwietnia albo 1 maja. *Walpurgisnacht*. Kiedy z grobów wylazą wszystkie szkopskie duchy. I że w Londynie prawdopodobnie uznano mnie za zmarłego. I że gdybym tam zadzwonił i próbował wyjaśnić, co się stało, stary W. z pewnością postukałby się w czoło, na pewno byłby przekonany, że mam nierówno pod sufitem. Tak czy siak, ocknąłem się z ręką w nocniku.

Potem przypomniałem sobie, że stary Lama w Dallas powiedział, że posyła mnie na ostateczny bój między Dobrem i Złem. Prawdopodobnie miało do niego dojść właśnie tu, właśnie teraz, tej nocy w Ingolstadt. Trochę człowieka zatykało, jak sobie o tym pomyślał. Byłem ciekaw, kiedy pojawią się Anielskie Zastępy: liczyłem, że dość szybko. Dobrze byłoby je mieć w pobliżu, gdy Czart spuści ze smyczy shoggotha, Świętego Ropucha i resztę tego typu towarzystwa.

Wylazłem więc na ulice Ingolstadt i zacząłem węszyć w poszukiwaniu zapachu siarki i smoły.

Natomiast pół mili niżej i dwanaście godzin wcześniej George Dorn i Stella Maris palili czarny haszysz z Ala-mout w towarzystwie Harry'ego Coina.

— Jak na intelektualistę, całkiem nieźle posuwasz — wyraził ciepło swe uznanie Coin.

— Sam nieźle gwałcisz — odparł George — jak na najbardziej niekompetentnego skrytobójcę na całym świecie.

Coin już miał ułożyć wargi w złowieszczy grymas, ale hasz działał za bardzo silnie.

— Hagbard powiedział ci, Asie? — spytał nieśmiało.

— Powiedział mi prawie wszystko — przytaknął George. — Wiem, że wszyscy na tym statku pracowali

220

kiedyś dla Iluminatdw, bezpośrednio albo dla któregoś z ich rządów. Wiem, że Hagbard był banitą przez ponad dwa dziesięciolecia...

— Dokładnie dwadzieścia trzy lata — podpowiedziała Stella z chytrym uśmiechem.

— To już coś — George pokiwał głową. — Dwadzieścia trzy lata i nigdy nikogo nie zabił aż do tego incydentu z pająkowatymi statkami cztery dni temu.

— Ależ on zabił nas — powiedział marzycielskim tonem Harry, zaciągając się fajką. — To, co on robi, jest gorsze od kary śmierci, bo to trwa nieustannie. Nie powiem, że jestem tym samym człowiekiem co przedtem. Ale to dość paskudne, dopóki się nie sprawdzisz.

— Wiem — zgodził się George z szerokim uśmiechem. — Sam co nieco doświadczyłem na własnej skórze.

— System Hagbarda — odezwała się Stella — jest bardzo prosty. Pomaga ci on tylko przyjrzeć się odbiciu własnej twarzy w lustrze. Pomaga ci dostrzec sznurki, którymi porusza tobą jak marionetką. Czy je zerwiesz — wciąż zależy od ciebie. On nigdy nikogo nie zmuszał, by robił coś wbrew własnej woli. Rzecz jasna — zmarszczyła czoło w skupieniu — w pewien sposób popycha cię do miejsc, w których musisz natychmiast się dowiedzieć, co ci dyktuje twoje serce. Opowiadał wam kiedykolwiek o Indianach?

— O Indianach Szoszone? — spytał George. — Tamtą historię z tym gównianym zbiornikiem?

— Wymyśliłem dla nas zabawę — przerwał Coin, zagłębiając się w swoim fotelu, w miarę jak narastało działanie haszyszu. — Jedno z nas w tym pokoju jest Marsjaninem, a pozostali muszą na podstawie przebiegu rozmowy odgadnąć, kto nim jest.

— Okay — odparła beztrąsko Stella. — Nie Szoszone — poprawiła George'a. — Mohawk.

— Nie jesteś Marsjanką — zachichotał Coin. — Trzymasz się tematu, a to ludzka cecha.

221

George, starając się jednocześnie stwierdzić, czy ośmiornica na ścianie jest jakoś związana z marsjańską zagadką, powiedział:

— Opowiedz o Hagbardzie i plemienu Mohawk. Może to nam pomoże zidentyfikować Marsjanina. Wymyślasz niezłe gry — dodał uprzejmie — jak na faceta, który spieprzył wszystkie misje skrytobójcze, na które go posłano.

— Jestem dumny, ale mam szczęście — odparł Coin.

— Zawsze znalazł się ktoś, kto strzelał w tym samym czasie. Politycy są okropnie niepopularni w dzisiejszych czasach, Asie.

To był mit, co Hagbard zdradził w tajemnicy Geor-ge'owi. Harry Coin do czasu ukończenia kursu Systemu Celine'a miał wierzyć, że jest najbardziej pechowym asa-synem na całym świecie, zamiast poznać prawdę: że spieprzył tylko swoją pierwszą robotę (Dallas, 22 listopada, 1963), a później naprawdę zabił pięciu ludzi. Naturalnie, nawet jeśli Hagbard przestał już być świętym, to wciąż uciekał się do rdznych sztuczek: być może Harry chybiał za każdym razem. Być może Hagbard utrzymywał w umyśle George'a obraz Harry'ego jako wielokrotnego mordercy, żeby sprawdzić, czy George potrafi nawiązać kontakt z tym człowiekiem w teraźniejszości, nie klejąc się do jego „przeszłości”.

Przynajmniej tyle się nauczyłem — pomyślał George.

— Dla mnie słowo „przeszłość” zawsze już występuje w cudzysłowie.

— Plemię Mohawk — powiedziała Stella, odchylając się leniwym ruchem do tyłu (męski organ George'a, penis, kutas czy jakieś inne naturalne określenie, no dobrze, mdj chuj, mdj smakowity, wiecznie głodny chuj unidł się o centymetr, gdy bluzka naprężyła się na jej piersiach, Panie Boże, mimo że przez wiele godzin waliliśmy się jak norki, ja wciąż byłem napalony, nadal ją kochałem i prawdopodobnie tak już miało być zawsze, no ale przecież jestem być może Marsjaninem). Cdz, prawdę mdwiąc, stary tro-

222

piciel cipek nie unidł się więcej niż o milimetr, nawet nie o centymetr, i był tak powolny jak staruszek wstający z łózka w styczniu. Dopiero co grzmociłem się tak, że mdzg mi się wylewał uszami, jeszcze zanim Harry przyniósł hasz i chciał pogadać. Szukanie Marsjan. Szukanie gubernatora Dorna. Szukanie Iluminatdw. Krishna ścigający własny ogon wokół zakrzywionej przestrzeni Einstei-nowskiego wszechświata tak długo, dopdki nie zniknie za własną dupą, pozostawiając tył z tyłu: spdd prdźni: Dorna teorię cyrkoteosodomognozy.

— Mieli trochę ziemi — kontynuowała. Ta piękna czarna twarz, jak hebanowa melodia: tak, żaden malarz by tego nie oddał, tylko Bach potrafiłby zasugerować słodycz tych purpurowych warg w czarnej twarzy, mdwią-
ych:

— A rząd chciał ukraść tę ziemię. Żeby zbudować ta-ę. — Jej cipa w środku też była purpurowa, a wnętrza

loni jasnobeżowe, tak jak skdra białych, jej ciało kryło sobie tyle rozkosznych miejsc, i moje tak

samo, skarby, tdrzych nie można było roztrwonić nawet przez milion lat ajczulszego i najgwałtowniejszego pierdolenia.

— Hagbard był inżynierem wynajętym do budowy ta-y, zrezygnował jednak z tej posady, gdy odkrył, że Inianie mają zostać pozbawieni swej własności i przenie-ieni na mniej żyzne ziemie. — Eris, Eros, łatwe do omylenia słowa. — Zerwał kontrakt, więc rząd wytoczył

u proces — powiedziała. — W taki właśnie sposób aprzyjaźnił się z Indianami Mohawk.

Kompletne sranie w banię. Hagbard naturalnie trafił o sądu jako adwokat Indian, ale resztką wstydu, jaka

nim została, nie pozwoliła mu się przyznać przed Stellą, e kiedyś był prawnikiem, więc wymyślił historyjkę, że ył inżynierem zatrudnionym przy budowie tamy, żeby akoś wyjaśnić, jak się zaplątał w tę sprawę.

— Pomógł im się przenieść, kiedy odebrano im ziemię. Potrafiłem sobie wyobrazić mężczyzn i kobiety, o skó-

223

rach barwy brązu, poruszających się w świetle zmiernych, na tle jakiegoś wzgórza.

— To było dawno temu, chyba jeszcze w latach pięćdziesiątych. (Hagbard był o wiele starszy niż wyglądał.) Jeden z Indian nidsł szopa, o którym mówił, że to jego dziadek. Sam był bardzo stary. Twierdził, że dziadek pamięta generała Washingtona, i jak on się zmienił po tym, jak został prezydentem. (On tu będzie dziś wieczorem, ta istota, która kiedyś była Georgem Washingtonem i Adamem Weishauptem; ten sam, o którym Hitler powiedział: „On już jest wśród nas. Jest nieustraszony i potworny. Boję się go.”) Hagbard twierdzi, że stale myśli o Patricku Henrym — człowieku, który był świadkiem tego, co się stało podczas Konwencji Konstytucyjnej. To właśnie Henry spojrział na Konstytucję i od razu powiedział: „Coś mi się tu nie podoba. To skręt w stronę monarchii.” Stary Indianin, który nazywał się Wuj John Pióro, powiedział, że dziadek, kiedy jeszcze był człowiekiem, potrafił rozmawiać z wszystkimi zwierzętami. Powiedział, że naród Mo-hawk to nie tylko żywi ludzie, ale to dusza i ziemia zjednoczone ze sobą. Kiedy zabrano ziemię, umarła częśćka duszy. Powiedział, że to właśnie dlatego nie potrafi rozmawiać z wszystkimi zwierzętami, lecz tylko z tymi, które kiedyś należały do jego rodziny.

Dusza jest we krwi, ona wprawia krew w ruch. Zwłaszcza nocą. Nutley to typowe miasteczko w New Jersey, zdominowane przez katolików, a Dornowie są baptystami, więc osaczono mnie z dwóch stron, ale nawet jako mały chłopiec zwykłem waleśać się po brzegach Passaicu, szukając grotów indiańskich strzał i czułem drgnienie duszy, gdy znalazłem taki grot. Kim był antropolog, który uznał, że Indianie Ojibway wierzą, że wszystkie kamienie są żywe? Pewien wódz mu to wytłumaczył: „Otwórz oczy, a zobaczysz, które kamienie są żywe.” Jeszcze nie mieliśmy swojego Frobeniusza. Amerykańska antropologia przypomina dziewice piszące o seksie.

224

— Wiem, kto jest Marsjaninem — zaskrzeczał Coin. — Ale nie powiem. Jeszcze nie.

Ten człowiek, który był albo najbardziej udanym, albo najbardziej nieudanym skrytobójcą dwudziestego wieku i który mnie zgwałcił (co, zdaniem niektórych idiotów, miało na zawsze zniszczyć moją męskość), był nawalony po pachy i wyglądał na tak szczęśliwego, że ja sam byłem szczęśliwy z jego powodu.

— Hagbard — ciągnęła Stella — stał tam jak drzewo. Sparaliżowało go. Wreszcie stary Wuj John Pióro zapytał, co się stało.

Stella pochyliła się do przodu, na tle złotej ośmiornicy na ścianie jej twarz przybrała barwę jeszcze głębszej czerni.

— Hagbard przewidział katastrofę ekologiczną. Obserwował powstanie państwa dobrobytu, wojującego liberalizmu (to jego określenie) i zalew całego świata rosyjskim marksizmem. Rozumiał, dlaczego to wszystko musiało się zdarzyć, z pomocą Iluminatów lub bez niej. Rozumiał zasadę SNAFU.

Pracował przez całą tamtą noc, uprzednio wyjaśniwszy Wujowi Johnowi Pióro, że jego serce przepełnia niepokój z powodu tragedii Mohawków (nie wspomniawszy o znacznie straszniejszej tragedii zagrażającej planecie, tragedii, którą starzec już dostrzegał poprzez własne obserwacje), a była to ciężka harówka: przenoszenie nędznych, tandetnych mebli z chat na ciężarówki, obwiązywanie dobytku twardymi sznurami i kiedy skończyli krótko przed świtem, cały się zdążył spocić i zasapać. Następnego dnia spalił swoje dokumenty naturalizacyjne i wsypał popioły do koperty zaadresowanej do prezydenta Stanów Zjednoczonych, do której włożył też krótki list: „Niniejszym zarządza się, że wszystko, co posiada znaczenie, nie ma znaczenia. Zarządza się, że wszystko materialne jest niematerialne. Ex-obywatel.” Popioły z zaświadczenia z armii o jego przeniesieniu do rezerwy

powędrowały do sekretarza obrony wraz z jeszcze krótszą notką: *Jfon ser-*
225

viam. Ex-niewolnik." Formularz rocznego zeznania o dochodach, którym najpierw podtarł sobie tyłek, powędrował do sekretarza skarbu, notka głosiła: „Spróbuj okraść skrzynkę z datkami na biednych. *Der Einziege.*" Czując, jak wciąż narasta w nim wściekłość, pochwyił z pdłki egzemplarz *Das Kapital* i uśmiechając się gorzko na widok swoich sarkastycznych notatek pisanych na marginesach, nabazgrał na skrzydełku obwoluty: „Bez własności prywatnej nie ma prywatnego życia" i wysłał to do Jdzefa Stalina na Kremlu. Potem zwolnił swoją sekretarkę, dał jej trzymiesięczną odprawę i na zawsze opuścił biuro. Wypowiedział wojnę wszystkim rządóm na świecie.

Spędził całe popołudnie na wydawaniu swoich oszczędności, które w owym czasie wynosiły siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Część rozdał bezdomnym pijakom, część małym chłopcom i dziewczynkom w parkach, a po zamknięciu Giełdy poszedł na Wall Street i tam wręczał grube zwitki banknotów najbogatszym ludzióm, jakich zauważył, ze słowami: „Ciesz się nimi. Jeszcze zanim umrzesz, będą gównó warte." Tamtej nocy spał na ławce na lotnisku Grand Central, rankiem, bez grosza przy duszy, wsiadł na pokład statku kupieckiego płynącego do Norwegii, podając się za pracownika Amerykańskiego Biura ds. Żeglugi Morskiej.

Tamtego lata włóczył się po całej Europie, pracując jako przewodnik turystyczny, kucharz, nauczyciel, w ogóle wykonując wszelkie prace, jakie mu się nawinęły, głównie jednak rozmawiał i słuchał. Rozmawiał o polityce. Dowiedział się, że Plan Marshalla to był sprytny sposób na obrabowanie Europy pod pozorem niesienia jej pomocy, że Stalina czekały większe kłopoty z Tito niż miał z Trockim, że Viet Minh miał się niebawem poddać, że Francuzi zamierzali odebrać Indochiny, że nikt w Niemczech nie był już hitlerowcem, że wszyscy w Niemczech są wciąż hitlerowcami, że Dewey miał bez trudu zająć miejsce Tru-mana.

226

Podczas ostatniej pieszej wyprawy po Europie, w latach trzydziestych, dowiedział się, że Hitler chciał tylko Czechosłowacji i że był gotów na wszystko, byle tylko uniknąć wojny z Anglią, że kłopoty Stalina z Trockim miały się nigdy nie skończyć, że cała Europa miała się stać socjalistyczna po następnej wojnie, że Ameryka miała z całą pewnością przystąpić do wojny w razie jej wybuchu, że Ameryka miała z całą pewnością nie przystępować do wojny w razie jej wybuchu.

Jednakże jedna idea pozostawała w miarę nienaruszona i słyszał o niej wszędzie. Więcej rządu, surowszego i uczciwszego — głosiła ta idea — jest rozwiązaniem dla wszystkich problemów.

Hagbard zaczął robić notatki, na podstawie których powstał później traktat *Nigdy nie gwizdź, kiedy sikasz.* Zaczął od rozdziału, który później przesunął do środka książki:

Teoretycznie jest obecnie możliwe podłączenie ludzkiego systemu nerwowego do sieci radiowej, dzięki czemu zminiaturyzowane mikroodbiorniki można będzie wszczepiać do ludzkich mózgów, przesłania odbierane z nich byłyby nieodróżnialne dla podmiotów od głosu ich własnych myśli. Jeden centralny nadajnik, umieszczony w stolicy kraju, mógłby nadawać przez cały dzień to wszystko, w co władze chciałyby, żeby ludzie wierzyli. Przeciętny człowiek na końcu odbiorczym tych audycji nawet by nie wiedział, że jest robotem, myśląc, że słucha własnego głosu. Przeciętna kobieta byłaby traktowana podobnie.

To ironia, że ludzie uznają taki pomysł za jednocześnie szokujący i przerażający. Podobnie jak *Rok 1984* Orwella, nie jest to fantazja na temat przyszłości, lecz parabola terażniejszości. Każdy obywatel w każdym społeczeństwie autorytarnym już ma takie „radio" ulokowane w głowie. To radio to cichy głos, który pyta,

227

za każdym razem, gdy pojawia się jakieś pragnienie: „Czy to bezpieczne? Czy moja żona (mój mąż/mdj szef/mój kościół/moja gmina) to aprobuje? Czy ludzie będą ze mnie drwić i szydzić? Czy przyjdzie policja i mnie aresztuje?" Ten cichy głos wyznawcy Freuda nazywają *^uperego*", przy czym sam Freud jest plastycznie nazwany „surowym panem *ego*". W bardziej funkcjonalnym podejściu Perls, Hefferline i Goodman w *Gestalt Therapy* opisują ten proces jako „zbidr uwarunkowanych nawyków werbalnych."

Ten zbiór, który jest dość jednolity w każdym społeczeństwie autorytarnym, określa działania, które pojawiają się i nie pojawiają. Potraktujmy ludzkość jako biogram (projekt DNA ludzkiego organizmu i jego możliwości) połączony z logogramem (zbiorem „uwarunkowanych nawyków werbalnych"). Biogram się nie zmienił od kilkuset tysięcy lat, logogram jest inny w przypadku każdego społeczeństwa. Kiedy logogram umacnia biogram, mamy społeczeństwo libertariańskie, takie jakie wciąż można znaleźć wśród niektórych plemion Indian amerykańskich. Podobnie jak konfucjanizm, zanim stał się autorytarny i usztywniony, etyka amerykańskich Indian jest oparta na

mówieniu z serca i działaniu z serca — to znaczy z biogramu.

Żadne społeczeństwo autorytarne nie może tego tolerować. Cała władza jest oparta na warunkowaniu mężczyzn i kobiet tak, by działali według logogramu, ponieważ logogram jest zbiorem stworzonym przez tych, którzy są u władzy.

Każdy autorytarny logogram dzieli społeczeństwo, tak jak dzieli jednostkę, na dwie wyalienowane połowy. Ci na dole cierpią na to, co nazwę *brzemieniem niewiedzy*. Ta naturalna, sensoryczna działalność biogramu — to, co dana osoba widzi, słyszy, smakuje, czuje i przede wszystkim to, czego organizm jako całość albo potencjalna całość pragnie — jest zawsze pozbawiona

228

znaczenia i niematerialna. Autorytarny logogram, nie zaś pole odczuwanego doświadczenia, determinuje, co jest istotne i materialne. Jest to równie prawdziwe tak dla wysoko opłacanego twórcy reklam, jak i dla operatora silnika. Osoba działa nie na podstawie osobistego doświadczenia i ocen jej systemu nerwowego, lecz na mocy rozkazów płynących z góry. Dlatego osobiste doświadczenie i osobista ocena stają się pozbawione operacyjnej mocy, funkcje te stają się również mniej „rzeczywiste”. Jeśli w ogóle one istnieją, to jedynie w tej krainie fantazji, którą Freud nazwał podświadomością. Ponieważ nikt nie znalazł sposobu na udowodnienie, że Freudowska podświadomość naprawdę istnieje, można wątpić, czy naprawdę istnieją osobiste doświadczenie i ocena; zakładanie, że tak jest — jest aktem wiary. Organizm stał się, jak powiedział Marks: „narzędziem, maszyną, robotem”.

Ci na szczycie autorytarnej piramidy cierpią jednakże pod równym a przeciwstawnym *brzemieniem wszechwiedzy*. Wszystko, co jest zabronione klasie służących — sieć percepcji, oceny i uczestniczenia w wyczuwanym Wszechświecie — jest wymagane od członków klasy panującej. Oni muszą próbować widzieć, słyszeć, wąchać, smakować, czuć i podejmować decyzje za całe społeczeństwo.

Niemniej człowiekowi uzbrojonemu mówi się tylko o tych, wobec których nie powinien dać się sprowokować do pociągnięcia spustu. Ponieważ cała władza i rząd są oparte na sile, klasa panująca, ze swym brzemieniem wszechwiedzy, ściera się z klasą służących, z jej brzemieniem niewiedzy, dokładnie tak jak rozbójnik ściera się ze swą ofiarą. *Komunikacja jest możliwa tylko wśród równych*. Klasa panujących nigdy nie wyciąga dość informacji od klasy służących, by wiedzieć, co się właściwie dzieje w świecie, gdzie występuje rzeczywista wydajność społeczeństwa. Co więcej, logo-

229

gram każdego społeczeństwa autorytarnego pozostaje w zasadzie nienaruszony w miarę upływu czasu, ale wszystko inne we Wszechświecie stale się zmienia. Wynikiem tego może być jedynie progresywna dezorientacja panujących. Koniec jest lawiną.

Schizofrenia autorytaryzmu istnieje zarówno w jednostce, jak i w całym społeczeństwie.

Nazywam to Zasadą Snafu.

Tamtej jesieni Hagbard zamieszkał w Rzymie. Pracował jako przewodnik turystyczny, zabawiając się łączeniem autentycznej historii Rzymu z Cecilem B.DeMille (żaden z turystów nigdy go na tym nie przyłapał); spędzał też długie godziny na dokładnym studiowaniu raportów publikowanych przez Interpol. Jego *Wanderjahr* już się kończył i Hagbard przygotowywał się do działania. Nigdy nie nękanym poczuciem winy albo skłonnościami do masochizmu, miał jeden tylko powód do roztrwonienia swych oszczędności: udowodnić sobie, że to, co ma zamiar zrobić, można zacząć od zera. Wraz z nastaniem zimy zakończył swoje badania: dzięki publikowaniu statystyk przestępczych, Interpol był tak uprzejmy, iż dostarczył mu listę tych towarów, które albo z powodu ceł tłumili konkurencję, albo z powodu praw „moralnych” mogły się stać podwalinami pomyślnej kariery w dziedzinie przemytu.

Rok później w hotelu „Claridge” przy Czterdziestej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku Hagbard został aresztowany przez dwóch agentów z wydziału do spraw zwalczania narkotyków. Nazywali się Calley i Eichmann.

— Niech pan nam nie ma tego za złe — powiedział Calley. — My tylko wykonujemy rozkazy.

— Nie ma sprawy — odparł Hagbard — nie czujcie się winni. Tylko co macie zamiar zrobić z moimi kotami?

Calley ukląkł na podłodze i uważnie przyjrzał się kociakom, jednego podrapał pod brodą, drugiego za uchem.

— Jak się wabią? — spytał.

230

— Samca nazywam Vaginą — odparł Hagbard. — Samicę Penisem.

— Jak się wabi samiec? — spytał Eichmann, mrugając.

— Samiec to Vagina, a samiczka to Penis — niewinnie powtórzył Hagbard — ale kryje się w tym pewna metafizyka. Po pierwsze, musicie zadać sobie pytanie, co pojawiło się wcześniej na tej planecie, życie czy śmierć? Zastanawialiście się kiedykolwiek nad tym?

— Ten facet to jakiś czubek — powiedział Calley Ei-chmannowi.

— Musicie zrozumieć — mawiał dalej Hagbard — że życie polega na rozdzielaniu, a śmierć na łączeniu. Pomogło?

(— Nigdy nie wiem, czy Hagbard mówi poważnie, czy bredzi — powiedział sennie George i przyjął kolejnego macha.)

— Reinkarnacja działa w czasie wstecz — kontynuował Hagbard, a agenci otwierali szuflady i zaglądali pod krzesła. — Zawsze się odradzacie we wcześniejszym okresie historycznym. Mussolini jest teraz czarownicą z czternastego wieku i inkwizytorzy mu dopierdalają za skopaną karmę w tej epoce. Ludzie, którzy „pamiętają” przeszłość, ulegają złudzeniom. Tylko ci, którzy naprawdę pamiętają przeszłe wcielenia, pamiętają przyszłość i stają się pisarzami science-fiction.

(Do pokoju George'a weszła małeńka staruszka z Chicago, w rękę trzymała puszkę oznakowaną napisem „Marsz Matek Przeciwko Stulejce”. Dał jej dziesiątaka, ona podziękowała i wyszła. Gdy drzwi się zamknęły, George zaczął się głowić, czy staruszka była halucynacją, czy po prostu kobietą, która wpadła przez szczelinę czasoprzestrzeni i wylądowała na „Leifie Ericssonie”).

— Co to jest, do diabła? — spytał Eichmann. Przeszukiwał szafę Hagbarda i znalazł kilka czerwono-biało--niebieskich nalepek. Górne połowy wydrukowanych na nich liter składały się z białych gwiazdek na niebieskim

231

tle, a dolne z czerwono-białych pasków. Nalepki wyglądały dzięki temu niezwykle patriotycznie. Zamieszczone na nich hasło brzmiało:

ZALEGALIZOWAĆ ABORCJĘ CIAŻA TO ŻYDOWSKI SPISEK!

Hagbard rozdawał te nalepki w pobliskich dzielnicach, na przykład w Yorkville na Manhattanie, a także na zachodnich przedmieściach Chicago i w innych miejscach, gdzie wciąż był silny staroświecki, irlandzko-katolicki faszyzm *d la* ojciec Coughlin-Joe McCarthy. Była to seria próbna zastosowania podwójnej taktyki logogramowo-bio-gramowej, na podstawie której Dealy Lama opracował później Operację „Obciążanie Mózgu”.

— Patriotyczne nalepki — wyjaśnił Hagbard.

— Tak, wyglądają na patriotyczne... — przyznał Ei-chmann z wątpliwością w głosie.

(— Czy przez ten pokój przeszła właśnie jakaś kobiecina z Chicago? — spytał George.

— Nie — odparł Harry Coin, znowu się zaciągając.

— Nie widziałem tu żadnej kobiety z Chicago. Ale wiem za to, kto jest Marsjaninem.)

— Co to jest do diabła? — spytał Calley. Znalazł karty wielkości wizytówek, na których widniał napis CZERWONE, wydrukowany zielonymi literami i ZIELONE — czerwonymi literami.

(— A jak jesteś poza tym wszystkim, na szczycie góry

— spytał George — to nie jest to ani biogram ani logo-gram, prawda? Tylko co to wtedy jest, do cholery?)

— Antygram — wyjaśnił Hagbard, nadal chętny do pomocy.

— Te karty to antygramy? — powtórzył Eichmann, zadziwiony.

— Może będę was musiał aresztować i zabrać do centrum — ostrzegł Hagbard. — Obydwaj jesteście bardzo

232

niegrzecznymi chłopcami. Kradzież z włamaniem. Celowanie we mnie z pistoletu — to technicznie napad z bronią w rękę. Zajęcie moich narkotyków — to kradzież. Wszelkie odmiany naruszenia prywatności. Bardzo, bardzo niegrzecznie.

— Nie może nas pan aresztować — jęknął Eichmann. — To my mamy pana aresztować.

— Które jest czerwone, a które zielone? — spytał Hagbard. — Popatrzcie jeszcze raz.

Spojrzeni i tym razem CZERWONE było naprawdę czerwone, a ZIELONE było naprawdę zielone. (Prawdę powiedziawszy, barwy zmieniały się zależnie od kąta, pod jakim Hagbard pokazywał kartę, nie wyjawiał jednak policjantom swoich tajemnic.)

— Potrafię również zmieniać górę i dół — dodał. — Co gorsza, blokuję też zamki błyskawiczne. Na przykład żaden z was nie rozepnie w tej chwili rozporoka. Jednakże moja najlepsza sztuczka, to odwracanie rewolwerów. Spróbujcie mnie zastrzelić, a kule wyjdą odwrotnie i już nigdy nie będziecie mogli władać prawą ręką. Spróbujcie tylko, a zobaczycie, czy blefuje.

— Czy nie może nam pan trochę odpuścić, oficerze? — Eichmann wyjął portfel. — Pensja gliniarza nie jest chyba najwyższa na świecie, co? — Tracił znacząco Hag-barda.

— Próbujesz mnie przekupić? — spytał surowym tonem Hagbard.

— Czemu nie? — jęknął Harry Coin. — Nic nie zyskasz, jeśli mnie zabijesz. Bierz forszę i wysadźcie mnie z tej łodzi na pierwszej lepszej wyspie.

— Cóż — powiedział z namysłem Hagbard, licząc pieniądze.

— Mogę zdobyć więcej — dodał Harry. — Mogę ci je przysłać.

— Nie wątpię. — Hagbard włożył pieniądze do popielniczki zrobionej z muszli i zapalił zapalną. Błysnął

233

krótki, wesoły płomień i Hagbard spytał spokojnie: — Masz jeszcze jakieś walory do zaoferowania?

— Powiem ci wszystko, co chcesz o Iluminatach! — zaskrzeczał Harry, naprawdę już przestraszony, gdy uświadomił sobie, że jest w rękach szaleńca, dla którego pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

— Wiem więcej o Iluminatach niż ty — odparł Hagbard ze znudzoną miną. — Uzasadnij to filozoficznie, Harry. Po co pozwalać takiemu okazowi jak ty, żeby polował na słabych i niewinnych?

— Z ręką na sercu, stanę się uczciwy. Przejdę na twoją stronę. Będę pracował dla ciebie, zabiję każdego, kogo tylko wskażesz.

— Taka możliwość istnieje — zgodził się Hagbard. — Ale jest wyjątkowo niewielka. Świat wypełniają mordercy i potencjalni mordercy. Dzięki Iluminatom oraz ich rządów mało jest na świecie dorosłych mężczyzn, którzy nie przeszli jakiegoś przeszkolenia wojskowego. Na jakiej podstawie uważasz, że nie mogę wyjść w samo południe na ulicę dowolnego większego miasta i znaleźć dziesięciu morderców lepiej wyszkolonych od ciebie?

— Okay, okay — powiedział Harry, ciężko oddychając. — Nie mam wyższych studiów, ale nie jestem też głupi. Twoi ludzie wywlekli mnie z więzienia w Mad Dog i wpakowali na tę łódź. Chcesz czegoś, Asie. Inaczej już bym nie żył.

— Tak, chcę czegoś. — Hagbard oparł się wygodniej w fotelu. — Rozgrzewasz się, Harry. Chcę czegoś, ale nie powiem ci, co to jest. Musisz to stworzyć i mi to pokazać, nie dysponując żadnymi wskazówkami. A jeśli nie potrafisz tego zrobić, to naprawdę każę cię zabić. Nie wciskam ci żadnego kytu, bratku. To jest moja wersja procesu za wszystkie twoje przeszłe zbrodnie. Ja jestem sędzią i ławą przysięgłych, a ty musisz uzyskać wyrok uniewinniający bez znajomości prawa. Jak ci się podoba taka gra?

234

— To nie fair.

— Takiej szansy nie dałeś żadnemu z zastrzelonych przez siebie ludzi, prawda?

Harry Coin obliznął wargi.

— Myślę, że blefujesz — zaryzykował w końcu. — Jesteś śmierzącym ze strachu liberałem, który nie wierzy w karę śmierci. Szukasz wymówki, żeby mnie nie zabić.

— Spójrz mi w oczy, Harry. Widzisz w nich choć trochę litości?

Coin zaczął się pocić i w końcu spuścił wzrok.

— Okay — powiedział głucho. — Ile mam czasu? Hagbard otworzył szufladę i wyjął z niej rewolwer.

Otworzył z trzaskiem magazynek, ukazując naboje i szybko zamknął z powrotem. Odbezpieczył — później stwierdził, że procedura ta jest niepotrzebna w przypadku Geor-ge'a Dorna, który kompletnie się nie znał na broni — i wycelował w brzuch Hanyego.

— Trzy dni i trzy minuty to tak samo za długo — powiedział spokojnie. — Jeśli w ogóle masz zamiar to zrobić, zrób to teraz.

— Mamo — wyrwało się Coinowi.

— Zaraz popuścisz w gacie — oświadczył zimnym tonem Hagbard. — Ale lepiej tego nie rób. Brzydkie zapachy uważam za obraźliwe i mógłbym cię za nie zastrzelić. A mamy tu nie ma, więc lepiej jej nie wołaj.

Coin zobaczył sam siebie, jak leci łukiem przez cały pokój, słysząc w połowie skoku łoskot wystrzału; przynajmniej jednak spróbował przed śmiercią schwycić tego bydlaka za gardło.

— Bez sensu — Hagbard uśmiechnął się lodowato. — Nigdy nie wstaniesz z tego krzesła.

Zacisnął lekko palec na spuście i Coin poczuł pieczenie w trzewiach; dostatecznie znał się na broni, by wiedzieć, jak łatwo o wypadek i wydało mu się, że broń wypali, jeszcze zanim ten skurwysyn Celinę się zdecyduje, może

235

nawet właśnie w tej chwili, gdy on znajdzie się o krok od rozwiązania tej cholernej zagadki,

bezsens której napawał go absolutną zgrozą i wtedy spojrzał raz jeszcze w te oczy pozbawione zrozumienia winy, współczucia czy jakiegokolwiek słabości, które on mógłby wykorzystać, a potem, po raz pierwszy w życiu, Harry Coin osiągnął spokój, zaznawszy wytchnienia w śmierci. .

— Całkiem nieźle — powiedział Hagbard z daleka, zasuwając bezpiecznik. — Jesteś lepszy, niż się nam obu wydawało.

Harry powoli się odwrócił i spojrzał na tę twarz i te oczy.

— Boże — powiedział.

— Za chwilę dam ci tę broń — ciągnął Hagbard. — Wtedy będzie moja kolej, żeby się pocić. Naturalnie, jeśli mnie zabijesz, nigdy nie wyjdiesz żywy z tej łodzi, ale może uznasz, że warto, choćby dla zemsty. Z drugiej zaś strony, być może zaciekawi cię ta chwila spokoju i zastanowisz się, czy istnieje łatwiejsza droga powrotna i czy ja mogę cię tego nauczyć. Może. I jeszcze jedno, zanim rzucę broń w twoją stronę. Każdy, kto przyłącza się do mnie, robi to z wolnej woli. Gdy powiedziałeś, że przejdziesz na moją stronę, bo boisz się umrzeć, byłeś dla mnie zupełnie bezwartościowy. Oto broń, Harry. Chcę, żebyś ją najpierw sprawdził. To nie jest jakaś sztuczka z brakującą iglicą, albo coś w tym rodzaju. Żadnych innych numerów, nikt cię nie obserwuje przez dziurkę i nie jest gotów zastrzelić cię w chwili, gdy we mnie wycelujesz. Jestem całkowicie zdany na twoją łaskę. Co masz zamiar zrobić?

Harry zbadął dokładnie broń i spojrzał na Hagbarda. Nigdy nie studiował kinezylogii i ergonomii tak jak Hagbard, potrafił jednak wyczytać dostatecznie dużo z ludzkiej twarzy i ciała, by wiedzieć, co się dzieje w drugim człowieku. Hagbarda cechował ten sam spokój, którego on przez chwilę doświadczał.

93fi

— Wygrałeś, skurwielu — powiedział Harry, odrzucając broń. — Chcę wiedzieć, jak to robisz.

— Częściowo już to wiesz — Hagbard uśmiechnął się uprzejmie, odkładając broń do szuflady. — Przecież dopiero co sam to zrobiłeś, prawda?

— Co on by zrobił, gdybym się naprawdę zablokował? — spytał Harry Stellę w terażniejszości.

— Coś. Nie wiem. Coś niespodzianego, co by ci napędziło jeszcze większego stracha niż ta broń. On improwizuje. System Celine'a nigdy nie jest dwukrotnie identyczny.

— No to miałem rację, nie zabiłby mnie. To wszystko to był blef.

— I tak, i nie. — Stella spojrzała przed siebie, omijając wzrokiem Harry'ego i George'a. — On nie bawił się tobą, on manifestował. Brak litości był jak najbardziej prawdziwy. Darował ci życie, bynajmniej nie kierując się żadnymi sentymentalnymi odruchami. Zrobił to, bo to element jego Demonstracji.

— Jego Demonstracji? — spytał George, przypomi-ając sobie zadania z geometrii i zgrabne QED na samym ole, jeszcze z Nutley wiele lat wcześniej.

— Znam Hagbarda dłużej niż ona — wtrącił Eich-ann. — Prawdę mdwiąc, Calley i ja należymy do pier-szych ludzi, których zwerbował. Obserwowałem go przez iele lat i wciąż go nie rozumiem. Ale rozumiem Demon-

trację.

— Wiecie — powiedział George roztargnionym to-em — z początku, kiedy tu obydwaj weszliście, myśla-

em, że jesteście jakimś przywidzeniem.

— Nigdy nas nie widziałeś przy obiedzie, bo pracuje-y w kuchni — odparł Calley. — Jemy, kiedy już wszy-

cy skończą.

— Tylko niewielka część załogi to byli przestępcy — wyjaśniła Stella wyraźnie zdezorientowanemu Geor-e'owi. — Rehabilitacja jakiegoś Harry'ego Coina, wy-

237

bacz mi Harry, specjalnie Hagbarda nie podnieca. Interesuje go przede wszystkim rehabilitowanie policjantów i polityków, a także uczenie ich różnych pożytecznych fachów.

— Lecz nie z jakichś sentymentalnych powodów — podkreślił Eichmann. — To część jego Demonstracji.

— To także jego pomnik dla narodu Mohawk — dodała Stella. — Tamten proces zdeterminował jego życie. W owym czasie usiłował przypuścić bezpośredni, frontalny atak, próbując rozplatać logogram skalpelem. To oczywiście nie wyszło, nigdy się nie udaje. Wtedy zdecydował: „Bardzo dobrze, wpakuję ich tam, gdzie nie pomagają słowa i zobaczymy, co wtedy zrobią.” Na tym polega jego Demonstracja.

Hagbard w pewnym sensie, nie, nie w pewnym sensie, bo sam mi to powiedział, zaczął od stworzenia sobie dwóch przeszkód, zamierzając udowodnić, że to nie są żadne przeszkody. Pierwsza polegała na tym, że bilans jego konta w banku będzie wynosił na początku dokładnie 00.00\$, a druga na tym, że nigdy nie zabije żadnego człowieka podczas Demonstracji. To, co należało udowodnić (a mianowicie, że rząd to halucynacja albo samospełniające się proroctwo), dawało się wykazać jedynie pod takim warunkiem, że cały swój sprzęt, łącznie z pieniędzmi i ludźmi, zdobędzie drogą uczciwego handlu lub dobrowolnego zrzeszenia. Zgodnie z tymi zasadami, nie mógł strzelać nawet w obronie własnej, ponieważ biogram urzędników służących rządowi musiał zostać zachowany i jedynie ich logo-gramy można było odłączyć, dezaktywować i rozbroić. System Celine'a opierał się na konsekwentnym, a przy tym elastycznym ataku na pewien specyficzny odruch warunkowy, ten właśnie odruch, który zmuszał ludzi do szukania wskazówek, względnie wsparcia, nie w samych sobie, lecz u boga lub w rządzie. Wszyscy urzędnicy rządowi nosili przy sobie broń; szalony plan Hagbarda polegał na sprawieniu, by ta broń stała się nieszkodliwa. Nazywał

93S

to Zasadą *Tar-Baby** („Jesteś Przyklejony Do Tego Co Atakujesz”).

Jako człowiek patologicznie zmuszający się do autorefleksji pojął, że sam stanowi przykład Zasady *Tar-Baby* i że atakując rząd w istocie przykleja się do niego. Złośliwie i niecnie wymyślił sobie, że z kolei rząd jest jeszcze bardziej klejony do niego, że jego istnienie *qua* anarchisty, *qua* szmuglera, *qua* banity wzbudza większy przepływ energii w ludziach z rządu, niż ich istnienie wzbudza w nim, że, mdwiąc w skrócie, to on jest tą *Tar-Baby*, na którą oni muszą się rzucić z gniewem i strachem; elektrochemiczna reakcja, w wyniku której mdgl przykleić ich do siebie, tak jak *Tar-Baby* brała do niewoli każdego, kto podnosił na nią pięść.

Co więcej (w przypadku Hagbarda zawsze było jakieś „co więcej”), podczas lektury *Uber Strip Schnipp-Schnapp, Weltspiele und Fiinfwissenshaft* Weishaupta wywarł na nim wrażenie ustęp poświęcony Zakonowi Asasynów, który brzmiał następująco:

Otoczony przez maniaków muzułmańskich z jednej strony, a chrześcijańskich z drugiej mądry lord Hassan ochronił swych ludzi i swój kult poprzez doprowadzenie sztuki skrytobójstwa do estetycznej perfekcji. Dzięki zaledwie kilku sztyletom strategicznie przyłożonym do właściwych gardel, znalazł alternatywę wojny w Rozumie i ratował całe narody wskutek zabijania ich przywódców. Zaiste był to bezprzykładny żywot, cechujący się wręcz babciną dobrocią.

* Lepka lalka, której substancję stanowi smoła, guma, wosk itp. Główna postać bajek afro-amerykańskich lub Indian Ameryki Północnej. Motyw *Tar-baby* spopularyzował amerykański pisarz Joel Chandler Harris, przedstawiając ją jako ruchomą pułapkę negatywnych bohaterów opowieści. Kiedy ktoś atakuje *Tar-baby*, ona przylepia się do niego.

239

— *Grossmutterliche Gefälligkeit* — mruknął Hagbard, który czytał to w oryginalnej wersji niemieckiej — gdzie ja to już słyszałem?

Po sekundzie przypomniał sobie: *Mumonkan*, czyli *Bezbramna brama* Zen Rinzai, zawierała historię o mnichu, który stale pytał pewnego mistrza zen: „Czym jest Budda?” Za każdym razem, gdy o to pytał, jego mistrz walił go laską po głowie. Ostatecznie zniechęcony opuścił go i szukał oświecenia u innego mistrza, który zapytał, dlaczego opuścił swego poprzedniego nauczyciela. Gdy biedny gamoń udzielił odpowiedzi, drugi mistrz dał mu ontologicznego kopniaka:

— Natychmiast wracaj do swojego poprzedniego mistrza — krzyknął — i przeproś za to, że nie dość doceniłeś jego babciną dobroć!

Hagbard nie był zdziwiony, że Weishaupt najwyraźniej znał, w 1776 roku, kiedy zostało napisane *Uber Strip Schnipp-Schnapp*, książkę, której wówczas jeszcze nie przełożono na żaden język europejski; zdumiał się jednak, że nawet ten zły *Zauberer* z Ingolstadt rozumiał rudymen-ty Zasady *Tar-Baby*. Nie oplaca się nie doceniać Iluminatów — pomyślał wtedy po raz pierwszy. Miał tak myśleć jeszcze wiele razy przez następne dwa i pół dziesięciolecia.

24 kwietnia, jeszcze zanim kazał Stelli zanieść trochę Kallisti Gold do kajuty George'a, Hagbard zapytał FUC-KUP-a, jakie są szanse na to, że statki Iluminatów przybędą do Peos w tym samym czasie, w którym on sam zamierzał tam być. W odpowiedzi usłyszał, że szanse są większe niż sto do jednego. Zastanowił się, co to oznacza, po czym nacisnął brzęczyk, żeby przysłano do niego Harry'ego Coina.

Harry zwał się chwiejnie na krzesło i usiłując robić zuchwałą minę, zapytał:

— Więc to ty jesteś przywódcą Dyskordian, co?

— Tak — odparł spokojnie Hagbard — i na tym

240

statku moje słowo jest prawem. Pozbądź się tego głupawego uśmieszku i usiądź prosto.

Zauważył, że Harry zeszywniał mimo woli, zanim opamiętał się i przypomniał sobie, że chciał

siedzieć taki niedbale rozwalony. Typowe: Coin potrafił się oprzeć kluczowym zwrotom warunkującym, lecz musiał w to włożyć pewien wysiłek.

— Słuchaj — wycedził — powiem ci to tylko jeden raz, że to jest mdj statek. Masz mnie nazywać kapitanem Celinę. Będiesz uważał, gdy ja będę do ciebie mdwił. Bo inaczej... — pozwolił, by ten zwrot pozostał nie dokończony.

Coin powoli przybierał postawę kinestetyzną, wyrażającą więcej szacunku — natychmiast jednak rekompensując to sobie bardziej bezczelnym uśmiechem. Cdź, to było niezłe; buntownicza żyłka sięgała głęboko. Nie oddychał źle, jak na zawodowego przestępcę: jedyny blok wyraźnie następował na samym końcu wydechu. Ten uśmiezek stanowił naturalnie obronę przeciwko łzom, tak jak u najbardziej nieuleczalnych amerykańskich wesołków. Hagbard poważił się na sondę: ojciec Harr/ego zaliczał się do takich typów, którzy udają, że przemyśli-wują sprawę i zastanawiają się, czy przebaczyć, zanim spuszczą łanie.

— Czy tak lepiej? — spytał Harry, zwracając uwagę na swoją pełną szacunku postawę i uśmiechając się jeszcze bardziej sarkastycznie.

— Trochę — odparł Hagbard, pozornie udobruchany.

Ale jeszcze nie wiem, co z tobą zrobię, Harry. Ta banda, z którą się skumplowałeś, jest zła, bardzo antyame-rykańska.

Urwał, czekając na reakcję na to słowo, wystąpiła na-ychmiast.

— Ich pieniądze są równie dobre jak czyjeś inne — dparł butnie Harry. Gdy to mówił, jego buty cofnęły się,

a szyja odrobinę zmarszczyła. Hagbard nazywał to odru-

241

chem żółwia, który stanowił nieomylny objaw stłumionego poczucia winy, dementowanego przez brzmienie głosu Harr/ego.

— Urodziłeś się w dość biednej rodzinie, prawda? — spytał Hagbard obojętnym tonem.

— Biednej? Byliśmy białą nędzą.

— Cóż, sądzę, że to cię trochę tłumaczy...

Hagbard obserwował: uśmiech stawał się coraz szerszy, ciało niedostrzegalnie osuwało się w tył, przybywało nonszalancji.

— Ale napadać na własny kraj, Harry? To nieładnie. To najpodlejsza rzecz, jaką człowiek może zrobić. To jakbyś się zwrócił przeciwko własnej matce.

Stopy znowu się podkurczyły, nieobowiązująco. Co mówił ojciec Harr/ego, zanim sięgnął po pas? Hagbard domyślił się:

— Harry — powtórzył to uroczyście — nie zachowałeś się jak prawdziwy biały człowiek. Tak się zachowałeś, jakby płynęła w tobie krew czarnucha.

Usta rozciągnęły się w uśmiechu do takiego stopnia, jakby zaraz miały pęknąć, ale zaraz wykrzywiły się w grymasie, a ciało zeszytywniało, wyrażając krańcowy szacunek.

— Niech pan posłucha, sir — zaczął Harry — nie ma pan prawa tak do mnie mówić...

— I nawet nie jest ci wstyd — dobił go Hagbard. — Nie okazujesz żadnej skruchy. — Potrząsnął głową z głębokim oburzeniem. — Nie mogę pozwolić, żebyś się wałęsał na wolności, popełniał dalsze przestępstwa i zdrady. Każę nakarmić tobą rekiny.

— Niech pan posłucha, kapitanie Celinę, pod tą koszulą mam pas z pieniędzmi, nigdy nie widział pan na raz tylu banknotów studolarowych, ile w nim jest...

— Próbujesz mnie przekupić? — spytał srogo Hagbard.

Reszta tej odsłony pójdzie łatwo — pomyślał. Część jego umysłu podryfowała w stronę statków Iluminatów,

242

które miał spotkać w Peos. Nie było sposobu na wykorzystanie Systemu Celine'a bez nadawania komunikatów i wiedział, że załogi statków będą przed nim „chronione” za pomocą jakiejś iluminackiej odmiany wosku do uszu, dzięki któremu ludzie Ulissesa minęli Syreny. Pieniądze powędrują do gigantycznej popielniczki z muszli małży, to potężnie wstrząśnie takim człowiekiem jak Coin, ale co on ma zrobić ze statkami Iluminatów?

Gdy nadszedł czas na wyciągnięcie broni, podstępnie odwiódł bezpiecznik.

Skoro mam wstąpić do starożytnego bractwa zabójców

— pomyślał ponuro — to może powinienem zdobyć się na odwagę i zacząć od widocznego celu.

— Trzy dni i trzy minuty to jednakowo za długo — powiedział, starając się mówić jak najzwyczajszym tonem.

— Jeśli w ogóle masz zamiar to zrobić, zrób to teraz. Będą w Peos za niecałą godzinę — pomyślał, a tymczasem Coin mimo woli wykrzyknął: „Mama”. Jak Holender Schultz, zauważył Hagbard; jak ilu innych? To byłoby ciekawe przeprowadzić wywiady z lekarzami i pielęgniarzami, i dowiedzieć się, ilu ludzi odchodziło z przedśmiertnym wezwaniem Opiekunki Wszystkich na ustach..., ale Harry wreszcie się poddał, ustąpił, pozwolił robotowi działać samemu zgodnie z biogramem. Nie siedział już z tą bezczelną nonszalancją, pogrążony w pełnym szacunku skupieniu, unieruchomiony skurczem poczucia winy... Siedział zwyczajnie. Był gotów na śmierć.

— Całkiem niezłe — powiedział. — Jesteś lepszy, niż się nam obu wydawało.

Ten człowiek przenieś swoje odruchy posłuszeństwa na Hagbarda i następny etap potrwa dłużej, i będzie trudniejszy, dopóki on nie przestanie odgrywać ról i zacznie wreszcie manifestować, tak jak to robił w chwili, gdy groziło mu skasowanie.

Gambit z bronią był wariantem numer 2 trzeciej taktyki podstawowej w Systemie Celine'a i zazwyczaj miał

243

pięć rozwiązań. Hagbard wybrał to najbardziej niebezpieczne — zazwyczaj tak robił, ponieważ w ogóle nie bardzo lubił gambitów z bronią i starczało mu na nie odwagi tylko wtedy, gdy dał podmiotom swoich eksperymentów szansę na odegranie tej drugiej roli. Tym razem jednak wiedział, że ma inny motyw: ukryty w nim głęboko tchórz miał nadzieję, że Harry Coin jest bardziej szalony niż go oceniał i rzeczywiście strzeli, dzięki czemu Hagbard nie będzie musiał podejmować decyzji oczekującej go w Peos.

— Wygrałeś, skurwielu — rozległ się głos Coina; Hagbard powrócił i błyskawicznie rozegrał partię drobnej gry werbalnej, zawierającej obrazy Piekła, zapamiętane z dzieciństwa Harry'ego. Kazał odesłać Coina do jego niezbyt silnie strzeżonej kajuty, zwałił się na krzesło i zmęczonym gestem przetrął oczy. Poszukał Dorna i odkrył, że na tym kanale nadaje Dealy Lama.

— Zostaw w spokoju tego chłopaka — nadał sygnał. — Teraz moja kolej. Idź kontemplować swój pepek, ty stary oszuście.

W odpowiedzi posypały się płatki róży. Lama zniknął. George nadal gadał do siebie na tematy podsunęte przez przywódcę EFW: „Dziwne, wielkie, czerwone. O-ko-go chodzi? Oko Apolla. O jego świetlne ja”.

— Tak jest, nie ufaj mi — nadał Hagbard. — Nie ufaj człowiekowi, który ma krocie lnu, jego moralność to zbiór pustych słów. (Widać tu ślad niektórych moich wątpliwości — pomyślał.) Ona nazywa się Stella Maris. Czarna Gwiazda Morza. (Nie powiem mu, kim ona i Maris są naprawdę.) George, przyjdź do kwatery dowodzenia kapitana.

George powinien zacząć od wariantu nr 1, *Liebestod* albo odlot orgazmowo-śmiertelny — zdecydował Hagbard. — Trzeba, żeby sobie uświadomił, do jakiego stopnia traktuje kobiety jak przedmioty — a później, oczywiście, nakarmić go mistycznymi pomysami, żeby je tymczasowo trochę podkoloryzować, dzięki czemu wąpli-

94A.

wości zostaną na razie zepchnięte do podświadomości. Tak: George już był na pornograficznym odlocie, zresztą tak samo jak Atlanta Hope i Uśmiechnięty Jim Trepone-ma, tyle że w jego przypadku było to ego-dystoniczne.

— To był niezły numer — powiedział George nieco później w kwaterze kapitana. — Ściągnąłeś mnie na ten pomost telepatycznie.

Hagbard, wciąż się zastanawiając nad decyzją w Peos, odpowiedział z jak najniewinniejszą miną:

— Wezwałem cię przez interkom.

Uświadomił sobie, że jednocześnie gwizdał i sikał, martwiąc się o Peos i o George'a, więc natychmiast przywołał siebie samego do porządku. „Absurd”, takie słowo pojawiło się w umyśle George'a.

Cdź — pomyślał Hagbard — spierdoliłem to.

— Myślisz, że nie odróżnię głosu rozlegającego się w mojej głowie od głosu, ktory słyszę w uszach? — spytał podniesionym głosem George.

Hagbard ryknął śmiechem, znowu w czasie terazniejszym, ale po odesłaniu George'a do kaplicy, w której miał przejść inicjację, problem powrócił. Albo Demonstracja zawiodła, albo zawiodła Demonstracja. Nierozstrzygalny dylemat. Cholerne dwa kierunki. To było wkurzające, ale wszystkie książki ostrzegły go dawno temu: „Dawajcie, a będzie wam dane”. Przez blisko trzy dziesięciolecia stosował System Celine'a wobec całkiem sporej liczby ludzi i teraz sam znalazł się w samym środku klasycznej Pułapki Celine'a. Nie istniało żadne poprawne rozwiązanie, najwyżej takie, że ma się

poddać.

Gdy jednak nadeszła ta chwila, poczuł, że częściowo wcale się nie poddał.

— Gotów do niszczenia wrogich statków — powiedział Howard.

Hagbard potrząsnął głową. George przypomniał sobie pewien szaleńczy incydent ze swojego życia, gdy próbował popełnić samobójstwo nad brzegiem Passaicu, a Hagbard

245

stale wyszukiwał części tamtego nędznego odlotu, jednocześnie próbując oczyścić własną głowę.

— Szkoda, że nie możemy się z nimi porozumieć — powiedział głośno, pojmując, że poprzez zdradzanie przed Georgem swoich wątpliwości najprawdopodobniej przegrywa grę w guru. — Szkoda, że nie możemy dać im szansy kapitulacji...

— Nie można dopuścić, by podплыnęli zbyt blisko — powiedział Howard.

— Czy nasi ludzie usunęli się z drogi? — spytał Hag-bard, ogarnięty śmiertelnym bdlem.

— Oczywiście — odparł z irytacją delfin. — Przestań się wahać. To nie jest pora na humanitarne odruchy.

— Morze jest okrutniejsze niż ląd — zaprotestował Hagbard, po chwili dodał jednak: — czasami.

— Morze jest czystsze niż ląd — odparł Howard.

Hagbard usiłował się skupić — delfin naturalnie odczuwał jego niepokój i wkrótce zauważy go również George (nie: szybka sonda wykazała, że George wycofał się z tej sceny do przeszłości i krzyczy: „Wy głupie sukiny!” do kogoś o imieniu Carlo).

— Ci ludzie byli naszymi wrogami od trzydziestu tysięcy lat.

— Nie jestem taki stary — odparł zmęczonym głosem Hagbard. Demonstracja się nie powiodła. Zaangażował się i towarzyszący mu też się teraz zaangażowali. Hagbard wystawił swój poźółkły palec, położył go na białym przycisku, znajdującym się przed nim w balustradzie, nacisnął go stanowczym ruchem.

— I to by było wszystko — powiedział cicho.

(„No to do dzieła, mądralo! Gdy wytracisz połowę uczestników swojego eksperymentu, to może powrócisz do rzeczywistości.” Jakiś głos dawno, dawno temu... w Harvar-dzie... A kiedyś, na południu, wzruszył się pewnym bardzo prostym, śmiesznie prostym hymnem fundamentalistycz-nym:

^{9Afi}

Jezus wędrował tą odludną doliną Musiał ją pokonać zupełnie sam. Nikt inny nie mdgł jej przejść za Niego Nikt nie mdgł mu towarzyszyć w tej drodze.

Powędruję tą samotną doliną — pomyślał z goryczą Hagbard — zupełnie sam, aż do samego Ingolstadt i ostatecznej konfrontacji. Ale teraz to nie ma znaczenia, Demonstracja się nie powiodła; mogę jedynie pozbierać szczątki i ratować, co się da. Zacząć od Dorna, tu i teraz.)

Nienawiść, niczym stopiony ołdw, kapie z rannego nieba... nazywają to zanieczyszczeniem powietrza... August Personage powoli wykręca numer na tarczy telefonu, z ci-py-laknącymi oczyma średniowiecznego świętego... — Bóg kłamie! — zawołał Weishaupt w samym środku swego pierwszego odlotu — Bdg jest nienawiścią!... Harry Coin siedzi skulony na krześle... Głowa George'a zwisa przekrzywiona, jak u marionetki z pozrywanyimi sznurkami... Stella się nie rusza... Nie są martwi, tylko zaćpani...

Abe Reles gwizdał na całą organizację Murder Inc. w 1940... Mianował Charleya Workmana gldwną spluwą w masakrze Holendra Schultza... Podał szczegóły, kt-dre dowodziły, jaką rolę odegrali Lepke (stracony) i Luciano (wtrącony do więzienia, później skazany na deportację)... Trzymał język za zębami odnośnie do pewnych innych spraw, jednakże... Drake się jednak niepokoił. Wydał rozkazy Maldonadowi, który doniósł o nich pewnemu capo, a ten poinformował o nich kilku żołnierzy... Relesa strzegło pięciu policjantów, niemniej wyszedł na zewnątrz przez okno w swoim hotelu i rozsmarował się po ziemi jak dżem... W prasie coś przebąkiwano... Ława przysięgłych sądu koronera nie potrafiła uwierzyć, że tych pięciu gliniarzy brało łapówki od Syndykatu... Stwierdzono, że śmierć Relesa była wynikiem samobójstwa... Jednakże w 1943 r., gdy Ostateczne Rozwiązanie działało na najwyższych obrotach, Lepke obwieścił, że będzie mówił

247

przed swoją egzekucją... Tom Dewey, żywy dzięki śmierci Holendra, został gubernatorem i nakazał wstrzymanie egzekucji... Lepke spędził dwadzieścia cztery godziny z przedstawicielami Departamentu Sprawiedliwości, a później ogłoszono, że nie zgodził się ujawnić niczego ważnego... Sprowadzono więc jednego z urzędników Departamentu Stanu i kazano mu współpracować z Departamentem Sprawiedliwości w związku z jego przeszłymi związkami z Schultzem i Wielką

Szóstką Syndykatu... Powiedział mało, lecz Lepke wiele wyczytał w jego oczach... Jego nazwisko brzmiało naturalnie Winifred... Lepke zrozumiał, że — jak kiedyś powiedział Bela Lugosi — są gorsze rzeczy niż śmierć...

W 1932 roku porwano synka lotnika Charlesa Lind-bergha Juniora... Już w tamtych czasach na Północnym Wschodzie nie wolno było dokonywać wyczynów takiego kalibru bez zgody pełnomocnego don a mafii... Upoważnić do tego nie mógł jakiś zwykły capo... Ojciec lotnika, kongresman Charles Lindbergh Senior, był zagorzałym krytykiem monopolu Funduszu Rezerw Federalnych... Na trybunie Kongresu wytaczał między innymi takie oskarżenia: „Dzięki Ustawie o Rezerwach Federalnych szerzy się w naukowy sposób panikę, ta obecna jest pierwszą wywołaną tą metodą, zgodnie z tym, jak wyobrażamy sobie problem matematyczny...” Posłańcem dostarczającym okup był Jafsie Condon, dyrektor szkoły, do której chodził niegdyś Holender Schultz... „To na pewno zbieg okoliczności” — orzekł później Marty Krompfer...

John Dillinger przyjechał do Dallas rankiem 22 listopada 1963 roku i wynajął na lotnisku samochód. Pojechał na Dealy Plaża i dokonał lustracji terenu. Zauważył, że wylot tunelu, nad którym miał stać Harry Coin podczas wykonywania swojej roboty, jest obserwowany z baraku robotników kolei; przyszło mu do głowy, że człowiek ukryty w baraku nie powinien się spodziewać długiego życia. Pojął, że będzie wielu innych świadków i że PSM nie

ochronią ich wszystkich, nawet z pomocą LDN. Zanosilo się na to, że będzie tam wyjątkowo paskudnie... W rzeczy samej, człowiek ukryty w baraku, S.M.Holland, złożył zeznanie, które nie pasowało do wersji Earla Warrena, i zginął później, gdy jego samochód zjechał z drogi w okolicznościach, które zrodziły spekulacje tych, którym pozwolono spekulować, zaś ława przysięgłych sądu koronera nazwała to wypadkiem... Dillinger zajął swoje stanowisko wśród gęstej kępy drzew na wzgórzu i obserwował tunel, oczekując na pojawienie się Hanyego Coina. Rozluźnił się i rozejrzał dookoła, żeby się upewnić, że znikąd nie jest widoczny, z wyjątkiem być może helikoptera (helikopterów nie miało tu być: główny podwójny agent Ilumina-tów w Secret Service dopilnował tego.) Jego wzrok przyciągnął jakiś ruch przy Składnicy Podręczników. Działo się tam coś dziwnego. Natychmiast przyłożył lornetkę do oczu... i na szczycie budynku Dal-Tex dostrzegł jeszcze jedną głowę, która szybko się schowała. Włoch, bardzo młody... Niedobrze. Jeśli był tam jeden z żołnierzy Mal-donada, to albo Iluminaci spostrzegli, że mają między sobą podwójnego agenta i wynajęli dwóch zabójców, albo Syndykat zadziałał na własną rękę. John na powrót uchwycił panoramę Składnicy Podręczników; nieważne, co to za dupek, ma karabin i jest szczwany; z całą pewnością to nie Secret Service.

To był dopiero gnój.

John planował pierwotnie, że wyeliminuje Harr/ego Coina, zanim ten zdąży wycelować do młodego hegli-sty z Bostonu. A teraz musiał unieszkodliwić trzech ludzi jednocześnie. To było nie do zrobienia. Trafienie więcej niż dwóch, zanim na całym terenie zaroi się od glin, przekraczało granice ludzkich możliwości — wszyscy trzej znajdowali się przecież w różnych miejscach i na różnych wysokościach. W tym czasie trzeci zdąży odwalić swoją robotę. Takie coś Hagbard nazywał koanem egzystencjalnym.

249

— Gówno, siki i odpady przemysłowe — mruknął John, cytując jeszcze jeden celinizm.

Cóż, ratujcie, co się da, zwykły mawiać Harry Pierpoint, gdy robota w banku nawaliła w samym środku. Ratuj, co się da i wynoś swój tyłek z tego miejsca.

Skoro Kennedy miał umrzeć, a to naturalnie było w kartach albo przynajmniej-w *I Chingu* (co prawdopodobnie tłumaczyło, dlaczego Hagbard, po skonsultowaniu się ze swoim komputerem, odmówił angażowania się w tę awanturę), wówczas to „ratuj co się da” oznaczało w tym przypadku jedynie: narobić gnoju Iluminatom. Stworzy im zagadkę, której nigdy nie rozwiążą.

Kawalkada motocykli znajdowała się już przed Składnicą Podręczników i lada moment z jej okna miała wybuchnąć salwa, o ile Harry Coin albo mafiosi nie będą szybsi. Dillinger chwycił swój karabin, szybko wymierzył w głowę Johna F.Kennedy'ego, i pomyślał błyskawicznie: Nawet jeśli przejdzie i nie stanie się zagadką wkurwiającą Ilu-minatów, to czytając dzikie nagłówki, jak mnie złapią: PREZYDENT ZASTRZELONY PRZEZ JOHNA DILLIN-GERA, ludzie pomyślą, że gazety wydaje Orson Welles, i wtedy nacisnął spust.

(— Morderstwo? — spytał George. — Trudno nie pomyśleć o Dobru i Złu, gdy czyjeś zabawy robią się takie podniecające.

— Podczas Kali Yuga — odparła Stella — prawie wszystkie nasze zabawy są rozgrywane z użyciem ostrej amunicji. Nie zauważyłeś?)

Trzy pociski rozbryzgały mózg na spódnicy Jackie Kennedy i zdumiony Dillinger,

błyskawicznie obracając się wokół własnej osi, zobaczył człowieka, który zbiegał ze wzgórza na ulicę. Ruszył w pościg za nim i dostrzegł w przelocie twarz zabójcy, gdy ten zmieszał się już z tłumem.

— Chryste! — zawołał John. — To on?

(Stella znowu wzięła macha — najwyraźniej nigdy nie uważała się za dostatecznie zaćpaną.

— Czekaj — powiedziała. — Jest taki ustęp w *Nigdy nie gwizdź, kiedy sikasz*, który to trochę tłumaczy.

Wstała, ruszyła wolnym krokiem jak wszyscy ćpuni i zaczęła szperać wśród książek stojących na półce.

— Znasz to stare powiedzenie: „Dla każdego inne posunięcie”? — spytała przez ramię. — Hagbard i FUC-KUP sklasyfikowali sześćdziesiąt cztery tysiące typów osobowości, w zależności od posunięć albo gambitów, jakich najczęściej używają w stosunkach z innymi ludźmi.

Znalazła książkę i, uważnie stawiając kroki, podeszła do krzesła.

— Na przykład — powiedziała powoli — teraz właśnie możesz się skrzyżować z moją linią życia na wiele sposobów, począwszy od pocałowania mnie w rękę, a skończywszy na poderżnięciu mi gardła. Między tymi skrajnościami, możesz, powiedzmy, prowadzić intelektualną konwersację połączoną z flirtem seksualnym oraz kine-estetycznymi sygnałami, wskazującymi, że flirt to tylko gra i że wcale nie chcesz, żebym zareagowała, a na jeszcze głębszym poziomie możesz wysyłać inne sygnały, wskazujące, że jednak chcesz, żebym mimo wszystko zareagowała, tylko że jeszcze nie jesteś gotów, żeby się do tego przyznać. W społeczeństwie autorytarnym, z tego, co o nim wiemy, wynika, że ludzie zazwyczaj wysyłają bardzo proste sygnały dominacji: „Zaraz zawładnę tobą, a ty lepiej pogódź się z tym, zanim zrobię się naprawdę niegrzeczny” albo sygnały posłuszeństwa: „Ty mną zawładniesz, a ja się z tym godzę.”

— Dobry Boże w niebiesiech — powiedział cicho Harry Coin. — O to właśnie chodziło w mojej pierwszej sesji z Hagbardem. Zamierzałem wysyłać sygnały dominacji, żeby go omamić, ale się nie udało. Więc próbowałem z sygnałami posłuszeństwa, czyli tej jedynej innej sztuczki, jaką znam, ale z tym też nie wyszło. Więc się poddałem.

— Twój mdzgi się poddał — poprawiła go Stella. — Wyczerpało się centrum strategiczne, odpowiedzialne za

251

stosunki międzyludzkie w społeczeństwie autorytarnym. Nie miało już z czym próbować. A potem władzę przejął Robot. Biogram. Działałeś z serca.

— Ale co ma z tym wspólnego zbyteczność? — spytał George.

— Oto ten ustęp — Stella zaczęła głośno czytać:

Ludzie mieszczą się w spektrum od najbardziej zbytecznych do najbardziej elastycznych. Ci drudzy, o ile nie zostali dokładnie wyszkoleni w psychodynamice, w społecznych interakcjach znajdują się zawsze na straconej pozycji względem tych pierwszych. Zbyteczni nie zmieniają swojego scenariusza, elastyczni stale dokonują zmiany, starając się znaleźć sposób na nawiązywanie konstruktywnych związków. Ostatecznie ci elastyczni znajdują „właściwy” gambit i możliwe jest swoiste porozumienie. W tym momencie znajdują się na planie stworzonym przez osobę zbyteczną i odgrywają jej rolę.

Stały, wykładniczy rozrost biurokracji nie wynika z samego Prawa Parkinsona. Państwo, stając się coraz bardziej zbyteczne, przyłącza coraz więcej ludzi do swego zbioru i zmusza, by postępowali zgodnie z jego scenariuszem.

— Mocno powiedziane — stwierdził George — ale niech mnie diabli, jeśli rozumiem, jak to się ma do Jezusa albo cesarza Nortona.

— Dokładnie! — zachichotał Harry Coin. — I na tym koniec zabawy. Właśnie udowodniłeś to, co cały czas podejrzewałem. To ty jesteś Marsjaninem!

— Nie podnoście głosów — powiedział ospale leżący na podłodze Calley. — Widzę setki radosnych buddów unoszących się w powietrzu...)

Tymczasem w Nowym Jorku uwagę Dann/ego Price-fixera przykuwał jeden radosny budda — wraz z odwró-

252

conym, satanicznym krzyżem, symbolem pokoju, pentagonem i Okiem w Trójkącie. W końcu postanowił, że wykona własną zagrywkę w sprawie podłożenia bomby w „Konfrontacjach” i pięciu związanych z nią zniknąć. Decyzja zapadła po tym, jak on i szef Wydziału Zabójstw zostali porządnie opieprzeni przez samego komisarza policji.

— Zniknął Malik. Zniknęła ta Welsch. Ten główniarz Dorn został porwany prosto z aresztu w Teksasie. Zniknęło dwóch moich najlepszych ludzi, Goodman i Muldoon. Federalni zachowują się

paskudnie i twierzę, że wiedzą coś, co w tej sprawie jest jeszcze ważniejsze niż pięć potencjalnych morderstw. Do końca tego dnia macie mi zdać raport z jakichś postępów, bo inaczej każę praktykantom, żeby was zastąpili.

Gdy wreszcie uciekli na korytarz, Pricefber spytał człowieka z Wydziału Zabójstw, Vana Metera:

— Co masz zamiar zrobić?

— Wracać i opieprzyć moich ludzi w taki sam sposób. Spreżą się. — W głosie Van Metera nie było słycać przekonania. — A co ty masz zamiar zrobić? — spytał słabym głosem.

— Mam zamiar wykonać własną zagrywkę — odparł Danny i powędrował do Wydziału Przepęstw Gospodarczych, gdzie zamienił kilka słów z detektywem zwanym Sierżantem Joe Fridayem, który zawsze się upierał, żeby zachowywać się jak jego imiennik ze słynnego serialu telewizyjnego.

— Potrzebuję mistyka — oświadczył Danny.

— Czytający z dłoni, z kuli, czarownica, astrolog... jakieś preferencje? — spytał Friday.

— Technika nie jest ważna. Chcę kogoś takiego, do kogo nic nigdy nie mieliście. Kogo sprawdziliście i okazało się, że budzi lęk... jakby rzeczywiście coś potrafił.

— Znam kogoś takiego — stwierdził dobitnie Friday, naciskając guzik interkomu w swoim aparacie telefonicz-

253

nym. — R & I — powiedział i chwilę czekał. — Carel-la? Przyślij mi akta Mamy Sutry.

W aktach, które wypadły z międzywydziałowego pneumatyku, Danny znalazł dokładnie to, na co liczył. Mama Sutra nie była ani razu aresztowana. Prowadzono przeciwko niej kilka dochodzeń — zazwyczaj na żądanie bogatych mężdw, którzy uważali, że wywiera ona za duży wpływ na ich żony, i raz na żądanie rady nadzorczej pewnego przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, która uznała, że dyrektor firmy za często się z nią konsultuje — jednakże nic z prowadzonej przez nią działalności nie kwalifikowało się do oskarżenia o oszustwo. Co więcej, od wielu lat utrzymywała kontakty z nadzwyczaj bogatymi ludźmi i nigdy nie uprawiała z nimi na odległość gier typu *okanna borra* albo Gipsy Switch. Jej wizytówka, dołączona do akt, oferowała skromnie „duchowy wgląd”, ale dostarczała go ewidentnie w końskich dawkach: jeden detektyw po przesłuchaniu jej zwolnił się z policji i wstąpił do zakonu trapistów w Kentucky, drugi stał się niewiarygodny i ostatecznie bezużyteczny w oczach swych przełożonych z powodu serii notatek, które pisał bezustannie, namawiając, by Nowy Jork stał się pierwszym amerykańskim miastem, w którym się przeprowadzi eksperyment z angielskim systemem nieuzbrojonych policjantów, trzeci natomiast ogłosił, że od dwóch dziesięcioleci był pedałem i zaczął nosić znaczek Ruchu Wyzwolenia Gejów, przyczyniając się do swego natychmiastowego przeniesienia do obyczajówki.

— To kobieta, której szukam — oświadczył Pricefi-xer i godzinę później siedział w jej poczekalni, przypatrując się błogo uśmiechniętemu Buddzie i innym akcesoriom okultystycznym, czując się jak kompletna dupa. Wiedział, że czeka go skakanie na wyjątkowo kruchej gałęzi i miał tylko taką wymówkę, że Saul Goodman często rozwiązywał beznadziejne sprawy poprzez dokonywanie równie dziwacznych skoków. Danny był gotów skoczyć: zniknięcie

2fU

profesora Marscha w Arkham łączyło się z tajemnicą „Konfrontacji”, a obydwie sprawy były związane z Fernando Po i bogami Atlantydy.

Recepcjonistka, atrakcyjna młoda Chinka, nazwiskiem Mao Jakaś-Tam odłożyła słuchawkę i powiedziała:

— Może pan już wejść.

Danny otworzył drzwi i wszedł do niezwykle ascetycznie urządzonego pomieszczenia, białego jak Biegun Północny. Na białych ścianach nie było żadnych malowideł, na podłodze leżał dywan śnieżnobiały bez żadnego wzoru, biurko i stojące naprzeciwko duńskie krzesło były również białe. Zrozumiał, że ten całkowity brak okultystycznych peryferalii, wraz z tym brakiem koloru robi z pewnością większe wrażenie niż grube zasłony, cienie, dymiące świece i kryształowa kula.

Mama Sutra przypominała Marię Uspieńską, starą aktorkę, która zawsze wyskakiwała na ostatnim przedstawieniu, żeby powiedzieć Lon Chaneyowi Juniorowi, że zawsze będzie podążał „ciernistą ścieżką” lykantropii, dopóki „wszystkie łzy nie wpłyną do morza”.

— Co mogę dla pana zrobić? — spytała rześkim, rzeczowym głosem.

— Jestem detektywem z policji nowojorskiej — odparł Danny, pokazując jej swoją odznakę. — Nie przyszedłem tu handryczyć się z panią ani sprawić żadnych innych kłopotów. Potrzebuję wiedzy i rady, za które zapłacę z własnej kieszeni.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Oficerowie, którzy w przeszłości prowadzili przeciwko mnie śledztwo w sprawie domniemyanych oszustw, stworzyli mi zapewne niezłą legendę w policji. Nie obiecuję cudów, a moja wiedza jest ograniczona. Może mogę panu pomóc, a może nie. W obu przypadkach nie wezmę zapłaty. Uprawiam dość kontrowersyjny zawód, chciałabym zachować przyjazne stosunki z policją.

Danny skinął głową.

255

— Dziękuję — powiedział. — A oto moja historia...

— Niech pan zaczeka. — Mama Sutra zmarszczyła czoło. — Chyba już coś łąpię. *Tak. Prokurator okręgowy Wade Clark. Statek tonie. 2422. Skoro nie mogę żyć tak, jak chcę, to pozwólcie mi umrzeć, kiedy chcę.* Czy rozumie pan coś z tego?

— Tylko tę pierwszą część — odparł zaskoczony Danny. — Podejrzewam, że sprawa, którą teraz badam, sięga czasów zabójstwa Johna F. Kennedyego. Człowiek, który prowadził w Dallas związane z nim dochodzenie, był prokuratorem okręgowym i nazywał się Henry Wade. Ale reszta jest zupełnie nieprzydatna. Skąd pani to wszystko wie?

— Są pewne... wibracje... i ja je rejestruję. — Mama Sutra znowu się uśmiechnęła. — Tylko tak potrafię to wyjaśnić. To się po prostu dzieje samo, a ja nauczyłam się, jak z tego korzystać. Do pewnego stopnia. Mam nadzieję, że któregoś dnia, jeszcze zanim umrę, jakiś psycholog znajdzie dzięki swoim badaniom wyjaśnienie tego, co ja właściwie robię. Ten tonący statek nic panu nie mówi? A data piętnastego czerwca tysiąc dziewięćset czwartego roku? To wszystko wydaje się płynąć na tej samej fali.

Pricefixer potrząsnął głową.

— Śmieci, jak to mówią przy pokerze.

— Niech pan poczeka — powiedziała Mama Sutra. — Dla mnie to ma jakiś sens. Był taki irlandzki pisarz, James Joyce, który studiował teozofię Bławatskiej i mistycyzm Zakonu Złotego Świtu. Napisał powieść, w której cała akcja toczy się szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset czwartego roku. Ta powieść nosi tytuł *Ulysses* i cała, strona po stronie, jest przesiąknięta zakodowanymi, mistycznymi objawieniami. I tak, teraz pamiętam, jest w niej wzmianka o katastrofie statku. Joyce zadbał o dokładność historyczną zawartych w książce szczegółów, więc opisał to, co podawano w dublińskich gazetach tamtego dnia, bo widzi pan, akcja książki toczy się w Dublinie, i jedna

256

z notatek prasowych opisywała zatonięcie statku „Generał Slocum” w nowojorskim porcie dzień wcześniej, piętnastego czerwca.

— Pani powiedziała Złoty Świt? — spytał podniecony Pricefixer.

— Tak. Coś to panu mdwi?

— To tylko wprowadza dodatkowe komplikacje, ale przynajmniej dowodzi, że jest pani na właściwym tropie. Sprawa, nad którą pracuję, jest prawdopodobnie związana z pewnym profesorem z uniwersytetu w Massachusetts, który zaginał kilka lat temu i pozostawił po sobie kilka notatek, w których wspominał o Zakonie Złoty Świt i... niech sprawdzę... o kilku jego członkach. Jedno z nazwisk, które zapamiętałem, to Aleister Crowley.

— Do Mega Theiron — powiedziała powoli Mama Sutra, zaczynając lekko błędąc. — Młody człowieku, wplątał się pan w bardzo poważną sprawę. Znacznie poważniejszą niż może to pojąć zwykły oficer policji. Ale pan nie jest zwykłym oficerem policji, bo przede wszystkim wcale by pan do mnie nie przyszedł. Powiem więc panu bez ogródek, że natrafił pan na coś, co jest być może związane zarówno z mistycyzmem Jamesa Joyce'a jak i z zamordowaniem prezydenta Johna Kennedyego. Ale żeby to pojąć, będzie pan musiał napiąć swój umysł nieomal do punktu krytycznego. Proponuję, żeby pan chwilę zaczekał, moja sekretarka przygotowuje panu mocnego drinka.

— Nie mogę pić na służbie, proszę pani — powiedział ze smutkiem Danny.

Mama Sutra zrobiła głęboki wdech.

— No trudno. Będzie pan w takim razie musiał wysłuchać tego na zimno i poradzić sobie z tym najlepiej, jak pan potrafi.

— Czy w to są wmieszane Iloigor? — spytał z wahaniem Danny.

— Tak. Skoro wie pan tak dużo, to już pan zna sporą część zagadki.

257

— Proszę pani — powiedział Danny. — Myślę, że chyba się jednak napiję. Bourbona, jeśli można.

2422 — pomyślał, gdy Mama Sutra rozmawiała z sekretarką, to chyba jeszcze większe

szaleństwo niż cała reszta. 2 plus 4 plus 2 plus 2. To razem 10. Podstawa systemu dziesiętnego. Co to do diabła znaczy? Albo 24 i 22 to razem 46. To 23 razy dwa, brakująca liczba zawarta między 24 i 22. Kolejna enigma. A 2 razy 4 razy 2 razy 2 to... zaraz... 32. Prawo spadających ciał. Fizyka szkoły średniej. 32 stopy na sekundę do kwadratu. I 32 to 23 od tyłu. Idiotyizm.

Weszła panna Mao z tacą.

— Pański drink, sir — powiedziała dźwięcznym głosem.

Danny wziął od niej szklankę i patrzył, jak z gracją wędruje w stronę drzwi. Mao to po chińsku kot — przypomniał sobie z lat spędzonych w wywiadzie wojskowym — ona z pewnością porusza się jak kot. Mao: mówią na to onomatopeja. Tak jak niektóre dzieci mówią na psa „Wof-woF. Jakby się nad tym zastanowić, to stąd mamy słowo wilk. Zabawne, nigdy mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Och ten pentagram na zewnątrz i pentagram w starych filmach Łona Chaneya o Człowieku Wilku. Dość tego.

Upił spory łyk bourbona i powiedział:

— Do dzieła. Niech pani zaczyna. Przyjmę jeszcze trochę tego lekarstwa, gdy mój mózg zacznie się rozpadać.

— Opowiem to panu bez żadnych wstępów — odparła cicho Mama Sutra. — Inwazja z kosmosu już się dokonała na Ziemi. To nie jest jakieś zagrożenie z przyszłości, którym zabawiają się pisarze. To się stało dawno temu. Mówiąc dokładnie — pięćdziesiąt milionów lat temu.

Danny przełknął jeszcze jeden haust.

— Lloigor — powiedział.

— Tak sami ogólnie nazywali swój gatunek. Dzielili się na kilka ras. Między innymi: shoggothy, Tcho-Tcho,

258

Dhołe, Tiki, Wendigo. Istoty te nie składają się wyłącznie z materii, tak jak my ją pojmujemy, i nie zajmują danego miejsca w czasie i przestrzeni w tak konkretny sposób jak meble. Nie są też falami dźwiękowymi albo radiowymi, ale na razie proszę o nich tak myśleć. Lepiej nie wytwarzać sobie o nich żadnego mentalnego obrazu. Czy miał pan fizykę w szkole średniej?

— Bez teorii względności — powiedział Danny, uświadamiając sobie, że wierzy w to wszystko.

— Dźwięk i światło? — spytała.

— Trochę.

— A zatem zna pan pewnie dwa podstawowe eksperymenty. Po przepuszczeniu białego światła przez pryzmat na ekranie za pryzmatem pojawia się widmo. Widział pan to?

— Tak.

— A ten eksperyment ze szklaną rurką z cienką warstewką kolorowego proszku na dnie, przez którą przesyła się falę dźwiękową?

— Tak. Fala zostawia po sobie niewielkie ślady w każdej z dolnych faz amplitudy i można to zobaczyć na tym proszku. Ślad niewidzialnej fali w widzialnym czynniku pośredniczącym.

— Bardzo dobrze. Teraz może pan sobie chyba wyobrazić, jak lloigor, mimo że nie stworzeni z materii, mogą się objawiać w materii, pozostawiając ślady, które pokazują przekrój, tak to nazwijmy, tego, czym naprawdę są.

Danny skinął głową, absolutnie zafascynowany.

— Z naszego punktu widzenia — ciągnęła Mama Su-tra — ich objawienia są niewiarygodnie ohydne, i nie bez powodu. Stanowili źródło największego terroru, jakiego doświadczyli pierwsi ludzie. Nasz kod DNA nadal przenosi awersję i paniczny strach wobec nich, i to uaktywnia tę część naszych umysłów, którą psycholog Jung nazwał zbiorową podświadomością. Stamtąd właśnie biorą się

259

wszystkie mity i sztuka. Wszystko, co w folklorze, malarstwie i rzeźbie, w legendach i poematach wszystkich narodów na ziemi jest przerażające, odrażające i straszliwe, zawiera częściowy obraz objawień lloigor. „Objawiają się ci jako plugastwo” — napisał pewien wielki arabski poeta.

— I oni toczyli z nami wojnę przez całą historię? — spytał przybitym głosem Danny.

— Wcale nie. Czy rzeźnie prowadzą wojnę z bydłem? To wcale nie przypomina wojny — odparła bez namysłu Mama Sutra. — Oni po prostu nas posiadają.

— Rozumiem — powiedział Danny. — Tak, oczywiście, rozumiem. — Zajrzał posepnie do swojej szklanki. — Czy mdgłbym poprosić o jeszcze? — mruknął.

Gdy panna Mao przyniosła mu kolejnego bourbona, upił potężny łyk i skulił się na swoim krześle.

— Czy nic z tym nie możemy zrobić? — spytał.

— Jest takie jedno ugrupowanie, które stara się wyzwolić ludzkość — powiedziała Mama Sutra. — Jednak Iloigor dysponują potężnymi mocami, dzięki którym wypaczają i zniekształcają umysły. Członkowie tego ugrupowania należą do najbardziej ośmieszanych, wyszydzanych i znieawidzonych ludzi na całym świecie. Przypisuje im się całe zło, któremu pragną zapobiec. Działają w tajemnicy, ponieważ w innym przypadku zostaliby zniszczeni. Nawet teraz Stowarzyszenie imienia Johna Birchera i różni inni fanatycy, wśród nich pewien nikczemny geniusz — Hagbard Celine, walczą niezłomnie, by ich unicestwić. Mają liczne nazwy: Wielkie Białe Bractwo, Bractwo Różokrzyżowców, Złoty Świt... zazwyczaj jednak znani są jako Iluminaci.

— Tak! — krzyknął podniecony Danny. — Znalazłem całą kupę notatek na ich temat na miejscu przestępstwa, od którego zaczęła się cała ta sprawa.

— I te notatki, jak zgaduję, przedstawiały ich w niekorzystnym świetle?

260

— Rzeczywiście — zgodził się Danny. — Wynikało z nich, że to najgorsze skurwiele w całej historii. Pani wybaczy, madam. — Upiłem się, pomyślał.

— Tak się ich zazwyczaj przedstawia — powiedziała ze smutkiem Mama Sutra. — Mają licznych wrogów, a ich samych jest niewielu...

— Kim są ich wrogowie? — Danny pochylił się z przejściem do przodu.

— Kult Żółtego Znak — odparła Mama Sutra. — Jest takie ugrupowanie, które służy Iloigorowi zwanemu Hastur. Oni żyją w wielkim strachu przed tą istotą, którą zazwyczaj nazywają Tym, Który Nie Może Być Nazwany. Hastur zamieszkuje pewne sekretne miejsce, zwane Hali, które kiedyś było jeziorem, a teraz jest pustynią. Hali było położone w pobliżu wielkiego miasta zaginionej cywilizacji — Carcosy. Te nazwy wyraźnie coś panu mówią?

— Tak. Były o nich wzmianki w notatkach zaginionego profesora. To ten drugi przypadek, o którym byłem przekonany, że jest związany z tą sprawą.

— Zostały wymienione, nieroztropnie moim zdaniem, przez niektórych pisarzy, takich jak: Bierce, Chambers, Lovecraft, Bloch i Derleth. Carcosa znajdowała się kiedyś w tym miejscu, gdzie teraz jest pustynia Gobi. Głównymi jej miastami były: Hali, Mnar i Sarnath. Kultowi Żółtego Znak udało się to wszystko dość dokładnie ukryć, niemniej kilku archeologów opublikowało trochę interesujących spekulacji na temat terenów Gobi. Większość dowodów na istnienie wielkiej cywilizacji przed Sumerami i Egiptem ukryto albo tak sfalszowano, że wskazują one obecnie na Atlantyde. W rzeczywistości Atlantyda nigdy nie istniała, zaś Kult Żółtego Znak starannie podtrzymuje jej mit, dzięki czemu nikt nie odkrył, co się stało i nadal się dzieje na gobijskich pustkowiach. Widzi pan, wyznawcy Kultu Żółtego Znak ciągle tam się zbierają przy różnych okazjach, by oddawać cześć i zawierać rozmaite transakcje z Hasturem, Shub Niggurathem — Iloi-

261

gorem, który jest znany w literaturze mistycznej jako Czarna Koza z Tysiącem Młodych — a także z Nyarlath-hotepem, ukazującym się w postaci rosnącego czarnoskórego mężczyzny, nie tak jednak czarnego jak Murzyn, lecz raczej jak bezdenne otchłań, lub gigantycznego flecisty bez twarzy. Ale powtarzam: nie zrozumie pan Iloigor na podstawie takich objawień albo skrzyżowań z naszym kontinuum czasoprzestrzennym. Czy wierzy pan w Boga?

— Tak — odparł Danny, zaskoczony tym zadaniem zniecka osobistym pytaniem.

— Proszę się jeszcze napić. Muszę teraz panu powiedzieć, że pański Bóg to kolejna epifania niektórych Iloigor. To od nich zaczęła się religia i teraz Iloigor oraz ich śludzy z Kultu Żółtego Znak ją kontynuują. Czy kiedykolwiek doświadczył pan czegoś, co jest nazywane przeżyciem religijnym albo mistycznym?

— Nie — odparł Danny z zażenowaniem.

— Dobrze. Zatem pańska religia to tylko sprawa wiary w to, co panu powiedziano, a nie osobistego doświadczenia emocjonalnego. Wszelkie takie doświadczenia pochodzą od Iloigor, którzy w ten sposób nas niewolą. Objawienia, wizje, transy, cuda — wszystko to jest pułapką. Zwykli, normalni ludzie instynktownie unikają takich aberracji. Niestety, dzięki swej łatwowierności i poddawaniu się zgodnym wysiłkom w zakresie prania ich mózgow, chętnie kierują się wskazówkami wiedz, czarowników i szamanów, którzy regulują takie sprawy. Proszę zrozumieć i w tym momencie namawiam, żeby pan się jeszcze napił, wszyscy przywódcy religijni w całej ludzkiej historii należeli do Kultu Żółtego Znak i celem wszystkich ich wysiłków jest okłamywanie, zwodzenie i niewolenie reszty ludzi.

Danny dokończył drinka i spytał potulnie:

— Czy mogę dostać jeszcze?

Mama Sutra zadzwoniła po pannę Mao i powiedziała:

— Znakomicie pan to wytrzymał. Ludzie, którzy mieli
262

wizje religijne, znoszą to bardzo źle, nie chcą wiedzieć, z jakiego nikczemnego źródła wzięły się te doświadczenia. Rzecz jasna, Iloigor można uznawać za bogów albo demonów, jednakże w tym momencie historycznym znacznie lepiej jest uważać ich za inną formę życia, wyplutą przez kosmos, na nieszczęście stojącą wyżej od nas w rozwoju i na jeszcze większe nieszczęście wrogą nam. Widzi pan, religia zawsze wymaga ofiar, a wszędzie tam, gdzie są ofiary, są także męczennicy, a także osoby lub istoty czerpiące korzyści ze składanych ofiar. Na całym świecie nie istnieje ani jedna religia, która nie stanowiłaby parawanu dla działalności Kultu Żółtego Znak. Sam Kult, podobnie jak Iloigor, jest pochodzenia przedludzkiego. Założony przez ludzi-węży z półwyspu Valusia, znajdującego się obecnie w Europie, rozprzestrzenił się później na wschodzie, gdzie został przyjęty przez pierwszych ludzi zamieszkujących Carcosę. Celem Kultu było zawsze służenie Iloigor kosztem istot ludzkich. Zaraz po powstaniu Ilumi-natów wyznawcy Kultu zaczęli zwalczać ich dzieła i dyskredytować ich samych.

Danny ucieszył się, gdy w tym momencie pojawiła się panna Mao z trzecim bourbonem.

— A kim są ci Iluminaci i jaki jest ich cel? — spytał, pociągnawszy tęgiego łyka.

— Ich założycielem — powiedziała Mama Sutra — był człowiek, który jako pierwszy zaczął myśleć o Iloigor racjonalnie. On rozumiał, że nie są niczym nadprzyrodzonym, tylko jeszcze jednym przejawem natury; nie wszechpotężni, tylko potężniejsi od nas i że te „niebiosy”, z których przybyli, to są po prostu inne światy, takie jak nasz. Jego imię zostało nam przekazane w pewnych sekretnych pismach i dokumentach. Brzmiało ono: Ma-lik.

— Jezus — jęknął Danny — tak się nazywa facet, od którego zniknięcia to wszystko się zaczęło.

— To imię w języku carcosańskim oznaczało „Tego, Który Wie”. Znają je nadal Persowie i niektóre plemiona

263

arabskie, lecz w znaczeniu „Tego, Który Przewodzi”. Jego wyznawcy, Iluminaci, to ci, którzy zobaczyli światło rozumu, całkowicie odmienne od tego ogłupiającego i niszczącego umysł światła, którym Iloigor czasami wydają się zamraczać i mistyfikować swoich sługusów z Kultu Żółtego Znak. To, czego poszukiwał Ma-lik, czego wciąż poszukują Iluminaci, to wiedza naukowa, która się przysłuży do pokonania władzy Iloigor, wyzwolenia ludzkości z niewoli, i dzięki której staniemy się panami samych siebie, zamiast jak dotąd być czyjąś własnością.

— Ilu jest Iluminatów?

— Bardzo mało. Nie znam dokładnej liczby. — Mama Sutra westchnęła. — Nigdy nie zostałam przyjęta w poczet członków. Ich wymagania są dość wysokie. Trzeba być zasadniczo chodzącą encyklopedią, żeby się zakwalifikować na wstępne przesłuchanie. Musi pan pamiętać, że jest to jedna z najbardziej oddanych, najbardziej prześladowanych i najbardziej utajnionych organizacji na całym świecie. Wszystkie ich działania, te, których świadectwa nie zostały zniszczone przez Kult Żółtego Znak, zawsze się fałszuje i przedstawia jako szkodliwe, podstępne i absolutnie złe. W rzeczy samej wszelkie dążenia do racjonalności, naukowego myślenia, odkrywania albo publikowania nowej prawdy, nawet przez ludzi nie należących do Iluminatów, są zawsze przedstawiane w takich barwach przez Kult i wszystkie religie, które mu służą jako parawan. Każda religia — protestancka, katolicka, żydowska, muzułmańska, hinduistyczna, buddyjska i inne — zawsze przeciwstawia się nauce i prześladowuje ją. Wyznawcy Kultu Żółtego Znak wypełniają swoją propagandą nawet środki masowego przekazu. Mają dwie ulubione historyjki, jedną o naukowcu, który nie jest w pełni człowiekiem, dopóki nie osiągnie wizji religijnych i nie uzna „wyższych mocy”, to znaczy Iloigor, oraz drugą — o naukowcu, który bez strachu szuka prawdy i powoduje

264

katastrofę. „Babrał się w sprawach, które człowiek powinien zostawić w spokoju” — tak brzmi zawsze morał takiej opowieści. Ta sama nienawiść do wiedzy, gloryfikowanie przesądów i ignorancji przenikają wszystkie ludzkie społeczeństwa. Ile jeszcze może pan tego wytrzymać? — spytała znienacka Mama Sutra.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparł znużony Danny. — Zdaje się, że gdy już dobrnę do końca całej tej sprawy, ściągnę sobie na głowę wszystkie władze funkcjonujące w tym kraju. W najlepszym przypadku zostaną wylany z pracy. Bardziej jednak prawdopodobne, że zniknę jak ten człowiek, którego szukam i ci pierwsi dwaj detektywi, którzy prowadzili śledztwo. Jednak dla własnej satysfakcji chciałbym poznać resztę prawdy, zanim pożegnani się z panią i zacznę szukać dziury, w której mógłbym się ukryć. A może pani mi powie, jak udało się jej ujść z życiem, pomimo posiadania

takiej wiedzy.

— Prowadzę wiele badań. Mam Tarczę. Nie potrafię wyjaśnić, co to jest Tarcza, tak samo jak nie potrafię wyjaśnić swojego ESP. Wiem tylko, że ona działa. A co do odpowiedzi na pańskie pozostałe pytania, to proszę mi najpierw opowiedzieć o swoim śledztwie. Wtedy będę je mogła powiązać z Iluminatami i Kultem Żółtego Znak.

Danny przyjął kolejnego drinka, zamknął oczy na minutę i rozpoczął swoją opowieść. Mówił najpierw o zniknięciu Marsha w Arkham przed czterema laty, potem o lekturze zaginionych notatek profesora i książek, o których były wzmianki w tych notatkach, i jak doszedł do wniosku, że jest z tym związany jakiś kult narkotykowy. Potem opowiedział o wybuchu bomby podłożonej w „Konfrontacjach”, o tym, co znalazł w notatkach dotyczących Iluminatów, o zniknięciu Malika, panny Walsh, Goodmana i Muldoona oraz o niezdrowej ciekawości FBI.

— To wszystko — zakończył. — Właściwie tyle tylko wiem.

265

Mama Sutra pokiwała głową w zadumie.

— Jest tak, jak się obawiałam — powiedziała w końcu. — Myślę, że mogę rzucić trochę światła na tę sprawę, ale doradzam, by wystąpił pan z policji i szukał ochrony Iluminatów po tym, co pan usłyszy. Już w tej chwili znajduje się pan w wielkim niebezpieczeństwie. — Znowu pograżyła się w milczeniu, po czym dodała: — Nie ogarnie pan całości wszystkiego, co się tu dzieje, dopóki nie naświetlę dokładniej całej sprawy.

Przez następną godzinę Danny Pricefixer siedział jak zaczarowany, a Mama Sutra opowiadała mu o najdłuższej wojnie w historii, bitwie o wolność ludzkiego umysłu, jaką Iluminaci stoczyli z siłami niewolnictwa, przesądów i magii.

Wszystko zaczęło się, powtórzyła, w starożytnej Car-cosie, gdy pierwsi ludzie nawiązali kontakt z ludźmi-wę-żami z półwyspu Valusia. Ci drudzy nakarmili ich owocami, obdarzonymi dziwnymi właściwościami. Dzisiaj te owoce nazwano by halucynogenami albo psychodelikami, jednakże to, co one robiły z umysłem spożywającego, nie było w żadnym sensie wywoływaniem halucynacji. Czyniły go po prostu podatnym na inwazję Uoigor. Najważniejszy owoc używany do tych obrządków to botaniczny kuzyn współczesnego jabłka, miał żółtawą bądź złotą barwę, a ludzie-węże obiecywali: „Spożyj go, a staniesz się wszechmocny”. W rzeczywistości spożywający stawali się niewolnikami Uoigor, a w szczególności Hastura, który obrał sobie jezioro Hali za swoją rezydencję. Zniekształcone wersje tych wydarzeń zostały nam przekazane w rozmaitych legendach afrykańskich, opowiadających o ludziach, którzy tracili dusze z powodu kontaktów płciowych z wężami, a także w Homeryckiej opowieści o zjadaczach lotosów, w Genesis i w arabskim folklorze, który w swej fikcji wykorzystali Robert W.Chambers, Ambrose Bierce i inni. Wkrótce wśród zjadaczy złotych jabłek powstał Kult Żółtego Znak i jego pierwszy wielki kapłan, Gruad, wy-

266

targował od Hastura pewne moce dla siebie; w zamian lloigor był karmiony ofiarami z ludzi. Ludziom wmdwiono, że ofiary te zwiększały plony i było to częściowo prawdą, jako że lloigor pożerał jedynie energię ofiary, a ciało pogrzebane na polu oddawało swą azot glebie. To był początek religii i rządu. Gruad miał władzę nad Świątynią, Świątynia przejęła niebawem władzę nad Hali, a potem całą Carcosą.

Tak to się wszystko odbywało przez wiele tysięcy lat, kapłani stali się bogaci, utyli i obsunęli w dekadencję, a tymczasem obywatele żyli w strachu i zniewoleniu. Liczba ofiar zwiększała się, bowiem Hastur rozrastał się w miarę pochłaniania energii kolejnych ludzi, a jednocześnie z nim rósł jego apetyt. Wreszcie znalazł się taki, któremu nie pozwolono przystąpić do stanu kapłańskiego, Ma-lik. Nauczał on, że ludzkość powinna się stać wszechmocna nie dzięki spożywaniu złotych jabłek i składaniu ofiar lloigorowi, lecz dzięki procesowi, który nazywał racjonalną myślą. Oczywiście, gdy tylko kapłani dowiedzieli się o jego naukach, rzucono go na pożarcie Hasturowi, lecz miał przecież uczniów, a ci szybko nauczyli się zachowywać swe myśli dla siebie i planować swą działalność w tajemnicy. W Carcosie nastąpiła epoka aresztowań — często w środku nocy — czystek i coraz częstszych ofiar, aż w końcu wyznawcy Ma-lika, ci nieliczni, którzy uniknęli śmierci, uciekli na subkontynent thurański, czyli do dzisiejszej Europy.

Tam poznali plemię małych ludzi, którzy przybyli z północy po tym, jak węzowy lud wytepił sam siebie podczas jakiejś powolnej, zdradzieckiej i potajemnej wojny domowej. (Węże najwyraźniej nie stoczyły podczas niej ani jednej bitwy: trucizna w pucharze z winem, nóż w plecy i podobne subtelne czynności wzmagaly się stopniowo, aż w końcu liczba ofiar osiągnęła poziom prawdziwych działań wojennych. Węzowy naród czuł awersję do patrzenia w twarz zabijanemu przez siebie wrogowi.) Mali ludzie

wynieśli z dalekiej przeszłości własne doświadczenia w stosunkach z lloigor, pamiętali jednak tylko chaotyczne legendy o Orkach (które Mama Sutra zidentyfikowała jako Tcho-Tcho) i wielkim bohaterze Phroto, który stoczył bój z potworem Zaurnem (był to z całą pewnością jakiś shoggoth — powiedziała Mama Sutra.)

Mijały tysiąclecia i mali ludzie łączyli się z wyznawcami Ma-lika, a ich potomkowie stworzyli trzon dzisiejszej rasy ludzkiej. Wielki prawodawca o przydomku Kuli usiłował założyć racjonalne społeczeństwo, oparte na zasadach nauki Ma-lika i stoczył walkę z ludźmi-wężami, którzy częściowo przetrwali w kryjówkach; większa część tych wydarzeń zaginęła w egzageracjach i legendach. Po upływie kolejnych kilku tysięcy lat, pewien barbarzyńca imieniem Konan albo Conan zajął w jakiś niewytłumaczony sposób tron Akwilonii — najpotężniejszego królestwa na subkon-tyńencie thurańskim; Konan wiele się zastanawiał nad nieustającymi okropieństwami w Carcosie, w których dostrzegał zagrożenie dla reszty świata. W końcu abdykował na rzecz syna Conna i podobno pożegłował na zachód.

Konan — powiedziała Mama Sutra — był tą samą osobą, która pojawiła się wówczas na półwyspie Jukatan i stała się znana jako Kukulana. Najwyraźniej poszukiwał on wśród naukowców majańskich jakiejś wiedzy albo technologii, której można by użyć przeciwko lloigor. Nie wiadomo, co zaszło, w każdym razie wkrótce zniknął, pozostawiając po sobie jedynie legendę Kukulana — „Pierzastego Węża”. Kiedy z północy przybyli na te tereny Aztekowie, nazwali Kukulana Quetzacoatlem i nazaczyli składanie ofiar na cześć jego imienia. Lloigor w jakiś sposób obrócili dzieło Konana i sprawili, że ostatecznie służyło ich sprawie.

Tymczasem Carcosa zniknęła. Nie wiadomo, jak do tego doszło, jednakże niektórzy badacze starożytności podejrzewają, że Konan opłynął cały świat, zdobywając po drodze potrzebną wiedzę, i dotarł do Carcosy z bronią,

która zniszczyła zarówno Kult Żółtego Znak, jak i wszelkie ślady cywilizacji, która mu służyła.

Przez całą resztę historii — kontynuowała Mama Su-tra — Kult Żółtego Znak nigdy nie odzyskał swej dawnej siły, jakkolwiek w różnych chwilach i miejscach był tego bardzo bliski. Lloigor nadal istnieli, lecz nie mogli już pojawiać się w naszej odmianie kontinuum czasoprzestrzennego, dopóki nie dokonano wysoce skomplikowanych operacji technicznych, które czasami przybierały pozory obrzędów religijnych, a czasami wojen, klęski głodu lub innych nieszczęść.

Przez kolejne wieki Kult prowadził ustawiczną wojnę z jedyną mocą, która mu zagrażała: z racjonalnością. Gdy już nie mogli pokazywać lloigor, by zniszczyć czyjś umysł, nauczyli się to udawać; skoro prawdziwa magia była niedostępna, zastąpiła ją magia sceniczna.

— Naturalnie, przez „prawdziwą magię” — wyjaśniła Mama Sutra — rozumieć należy technologię lloigor. Jak zauważył pisarz science-fiction, Arthur C. Clarke, żadna wysoko rozwinięta technologia nie różni się niczym od magii. Lloigor znają technologię tego typu. Dzięki niej właśnie przybyli na Ziemię z ich gwiazdy.

— Chciała pani powiedzieć z planety, prawda? — spytał Danny.

— Nie, oni pierwotnie mieszkali na pewnej gwiazdzie. Powiedziałam panu, że oni nie składali się z materii, tak jak my to rozumiemy. Notabene to ich gwiazdne pochodzenie wyjaśnia, dlaczego pentagram względnie symbol gwiazdy zawsze przyciąga ich uwagę i stanowi jeden z najlepszych sposobów na ich wezwanie. To oni wymyślili ten symbol. Ludzie nie widzą pięciu ramion gwiazdy, oni natomiast tak.

Wreszcie, w osiemnastym wieku, z pomocą najwyraźniej przyszedł Wiek Rozumu. W Bawarii na próbę ujawniło się jedno z odgałęzień Iluminatów. Kierował nim pewien były jezuita, Adam Weishaupt, który posiadał tajniki

wiedzy o działalności Kultu Żółtego Znak, o wszystkich dokonywanych przez niego fałszerstwach i „cudach”. Prawdziwym mózgiem tego iluminackiego ugrupowania była żona Weishaupta, Ewa, ponieważ jednak oboje zdawali sobie sprawę, że nawet w Wiek Rozumu ludzie nie zgodzą się na to, by na czele ruchu wyzwolenczego stanęła kobieta, więc Adam występował publicznie zamiast niej.

Eksperyment się nie powiódł. Kult Żółtego Znak podrzucił sfalszowane dokumenty w domu Iluminata o przydomku Zwack, podszeptął kilka aluzji rządowi bawarskiemu i potem z radością obserwował, jak rozwiązywano ruch iluminacki, a jego członków wyganiano z Bawarii.

Podobne przedsięwzięcie podjęli w Ameryce Iluminaci nazwiskiem Jefferson i Franklin. Tak jak

Weishaupt, byli oni rzecznikami prymatu rozumu, zadbali jednak, by nie popełnić jego błędu i nie głosili otwarcie, iż rozum stoi w sprzeczności z religią oraz przesadami. (Tę drugą kwestię omawiali jedynie w swych prywatnych listach.) Jako że Jefferson i Franklin byli bohaterami narodowymi, a racjonalistyczny rząd, który pomogli utworzyć, wydawał się stabilny, Kult Żółtego Znak nie odważył się potępić ich publicznie. Na próbę wypuścili jeden balon: wielbny Jebediah Morse, wysoki adept Kultu Żółtego Znak, oskarżył otwarcie Jeffersona o to, że jest Iluminatem i ob-winił go i jego partię o większość przestępstw, które skompromitowały Weishaupta w Bawarii. Amerykańska opinia publiczna nie dała się oszukać, lecz Kult Żółtego Znak całą swoją późniejszą propagandę w Ameryce wspierał na tych pierwszych oskarżeniach antyiluminackich wielbego Morse'a.

Dzięki Jeffersonowi nowy rząd przejął jeden z symboli Iluminatów: Oko na Piramidzie, które — reprezentując geometrię — wyobrażało porządek natury. Przyszłe pokolenia miały go w razie konieczności wykorzystywać dla wykazania słuszności powołania rządu Stanów Zjednoczonych, ponieważ doskonale wiadano, że Kult Żółtego

270

Znak będzie usiłował najszybciej, jak się tylko da, zniekształcić fakty. Innymi dziełami Iluminatów, jeszcze donioślejszymi, były Karta Praw (ta część Konstytucji, która jest ciągle przedmiotem żartów ze strony fanatyków Kultu Żółtego Znak) oraz pewne kluczowe wyrażenia we wczesnych dokumentach, takich jak odniesienie do „Natury i Boga Natury” w Deklaracji Niepodległości — przynajmniej w takim stopniu, w jakim Jefferson odważył się wypełnić tradycyjne przesady, zastępując je wiedzą przyrodniczą. No i naturalnie kilku pierwszych prezydentów było wysokiej rangi masonami lub różokrzy-żowcami, rozumiejącymi bodaj podstawy filozofii Iluminatów.

Mama Sutra westchnęła. Wszystko to — kontynuowała — jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. W rzeczywistości rząd odgrywa poślednią rolę w sprawowaniu władzy nad ludźmi, znacznie ważniejsze są słowa i wyobrażenia, które tworzą semantyczne otoczenie. Kult Żółtego Znak nie tylko tłumi słowa i wyobrażenia, które zagrażają jego władzy, lecz nasąca każdy środek przekazu swoją własną ideologią. Nauka i rozum są bezustannie wyszydzane, względnie przedstawiane jako coś groźnego. Wychwalane są pobożne życzenia, mrzonki, religia, mistycyzm, okultyzm i magia — jako prawdziwe rozwiązania dla wszelkich problemów. Najlepiej sprzedające się książki uczą ludzi, że mają się modlić, a nie pracować w celu osiągnięcia sukcesu. Filmy zdobywają nagrody za pokazywanie infantylnej, ignoranckiej wiary, biorącej górę nad sceptycyzmem dorosłych. Niemal w każdej gazecie istnieje kolumna poświęcona astrologii. Coraz częściej przedstawia się otwarcie ideologię Kultu Żółtego Znak, a idee Iluminatów i Ojców Założycieli są zapominane albo zniekształcane. Wystarczy pomyśleć o jakiejś antydemokratycznej, anty racjonalnej albo antyhumanistycznej idei z Wieków Ciemnoty, a natychmiast przypomina się jakiś popularny dziennikarz religijny albo jakaś gwiazda filmo-

271

wa, którzy krzykliwie taką ideę eksponują i nazywają „amerykanizmem”.

Kult Żółtego Znak — kontynuowała starsza pani — jest zdeterminowany zniszczyć Stany Zjednoczone, ponieważ ten kraj w znacznie większym stopniu niż jakikolwiek inny zbliżył się do iluminackich ideałów wolnych umysłów i wolnych ludzi, a także dlatego, że w jego prawie i obyczajach wciąż zachowało się parę sponiewieranych relikwów iluminizmu.

I tu właśnie na scenie pojawia się pan Hagbard Celinę — powiedziała z ponurą miną Mama Sutra.

Celinę to błyskotliwa, lecz pokrętna osobowość, syn włoskiego alfonsa i norweskiej prostytutki. Wychowany w świecie podziemnym, wcześniej rozwinął pogardę i nienawiść dla zwykłego, uczciwego społeczeństwa. Mafia, rozpoznawszy jego talenty i skłonności, zajęła się nim i sfinansowała jego studia w Harvardzkiej Szkole Prawa. Po uzyskaniu dyplomu stał się wziętym obrońcą łobuzów z Syndykatu, którzy popadli w kłopoty z prawem. Przyjął ponadto kilka spraw amerykańskich Indian, bo była to dobra metoda na nękanie rządu. Przy okazji jednej, szczególnie zawziętej batalii, usiłował wstrzymać budowę bardzo potrzebnej tamy w stanie Nowy Jork; jego niezrównoważone zachowanie na sali rozpraw (z powodu którego przegrał sprawę) wskazywało na głębokie zainteresowanie okultyzmem, ponieważ najwyraźniej uwierzył w przesady Indian, dla których pracował. Donowie z mafii naradzili się z przywódcami Kultu Żółtego Znak i wkrótce Hagbard, który błąkał się po Europie, został zwerbowany w celu stworzenia nowej organizacji, stanowiącej parawan dla Kultu, która miała toczyć polityczną i religijną walkę ze Stanami Zjednoczonymi. Organizacja ta została nazwana Legionem Dynamicznej Niezgody i udając, że jest przeciwna wszystkim rządóm, w rzeczywistości działała jedynie na szkodę Stanów Zjednoczonych. Hagbard otrzymał łódź podwodną

(twierdził później, że sam ją zaprojektował)

272

i stał się ważną postacią na prowadzonym przez mafię rynku szmuglu heroiny. Co więcej, jego załoga — renegaci i przestępcy z najrozmaitszych krajów — dali się nawrócić na zdecydowanie absurdalną odmianę mistycyzmu.

Zasadniczym centrum sieci heroinowej Hagbarda był fikcyjny kościół w Santa Isobel na wyspie Fernando Po.

Joseph Malik — zakończyła swą opowieść Mama Su-tra — wydawca „Konfrontacji”, najwyraźniej badał Iluminatów, zwiedziony kłamstwami rozpowszechnianymi przez Celine'a i wyznawców Kultu Żółtego Znak. Jeśli zaś idzie o profesora Marsha, to mógł on dzięki swym badaniom, prowadzonym na Fernando Po, ujawnić coś na temat pierścienia heroinowego Hagbarda.

— A więc, pani zdaniem, oni obydwaj nie żyją — stwierdził ponuro Danny. — I prawdopodobnie nie żyją również Goodman, Muldoon i Pat Walsh.

— Niekoniecznie. Celinę, jak panu powiedziałam, jest jednocześnie inteligentny i zupełnie szalony. Doprowadził do perfekcji swoją metodę prania mózgu i bawi go bardziej werbowanie niż niszczenie wszelkich potencjalnych przeciwników. Jest całkiem możliwe, że wszyscy ci ludzie pracują już dla niego, przeciwko Iluminatom i Stanom Zjednoczonym, których uważają za głównych wrogów ludzkości.

Mama Sutra popadła w chwilowe zamyślenie.

— Jednakże nie jest to wcale takie pewne. Wydarzenia ostatnich kilku dni zmieniły Celine'a na gorsze. Skrytobójstwa, popełnione dwudziestego piątego kwietnia na obszarze całego kraju, są być może jego dziełem, zaprojektowanym przez mafię. On atakuje na ślepo każdego, kogo uważa za Iluminata. Nie trzeba dodawać, że większość jego ofiar wcale nie należała do Iluminatów, którzy tworzą, jak już wspomniałam, bardzo niewielką organizację. Ponieważ stan jego umysłu wskazuje na wielką porywczosć i paranoję, obawiam się o życie wszystkich, którzy są z nim związani.

273

Danny skulił się na krześle, pijany, zniechęcony i przygnębiony.

— Skoro już wiem o wszystkim — spytał retorycznie — co mam z tym zrobić? Mój Boże, co ja mam z tym zrobić?

Podczas lotu do Monachium zabrałem się wreszcie za czytanie *Telemach kichnął*, szczypta stosownej synchroniczności, ponieważ Atlanta Hope (niczym ulubiony tapeciarz Iluminatów) była spowinowacana po kądzieli ze starym wrogiem Clarka Kenta, Lotharem i jego niepewnym Bogiem wesołego mieszczanina. W rzeczy samej Atlanta pisała w taki sposób, jakby codziennie rano dostawała na śniadanie swoją Porcję Diety Robaczanej. Było to tym bardziej zajebombastyczne, że leciała tym samym samolotem co ja, a nawet siedziała kilka miejsc przede mną, przy sterborcie, sterburcie, czy jak to się tam poprawnie mdwi, na prawą stronę, gdy się jest w powietrzu.

Towarzysząca mi Mary Lou należała do tego typu kobiet, których trudno się pozbyć z własnego systemu, gdy już się raz z nimi to robi. Pieniądzy przysłanych mi przez Johna starczało tylko na moją podrzęd, więc opchnąłem na Wells Street trochę czarnego z Alamout, żeby zebrać na bilet dla niej, a potem musiałem jeszcze wyjaśnić, że to nie jest podrzęd dla przyjemności.

— Po co te wszystkie tajemnice? — spytała. — Czy ty jesteś jakimś agentem z CIA albo komuchem, na litość boską?

— Gdybym ci powiedział, to byś mi nie uwierzyła. Po prostu ciesz się muzyką, kwasem i wszystkim, co się nawinie, a kiedy to się zdarzy, sama zrozumiesz. Nigdy nie uwierzysz, dopóki nie zobaczysz.

— Simonie w Moon Jebany — powiedziała uroczyście — po tej jodze i seksie, których mnie uczyłeś przez ostatnie trzy dni, jestem gotowa uwierzyć we wszystko.

— A w duchy? W jaśnie zombie?

974

— Znowu mnie robisz w konia — zaprotestowała.

— No widzisz?

Na tym mniej więcej stanęło, wypaliliśmy dwa jointy i wskoczyliśmy do taksówki, która zawiozła nas na O'Ha-re, mijając po drodze tablice, które cięły dzielnice niższej średniej klasy, zmieniając je w dzielnice wyższej klasy średniej, a każda taka tablica oznajmiała: OTO KOLEJNY DODATEK ULEPSZAJĄCY CHICAGO — RICHARD J.DALEY, BURMISTRZ. Naturalnie, w dzielnicach należących do niższej klasy niczego nie cięli, tylko czekali, aż ludzie dostaną znowu na łeb i wszystko podpalą. Tablice zostały tu przyozdobione napisami, wykonanymi farbą w aerozolu, znacznie bardziej zróżnicowanymi: ŚWINIE WYNOCHA, WŁASNOŚĆ STANISŁAWA

HASZYŃSKIE-GO, WŁADZA DLA LUDZI, FRED ŻYJE, LATYNOSI PA-NY, a także jeden taki, który sprawiłby przyjemność Hag-bardowi: POSIADACZE WON. Potem wessał nas korek przy autostradzie Eisenhowera (przez moje myśli przemknęło wspomnienie panny Doris Day, stojącej przed portretem Ike'a w mojej dawnej klasie, niczym duch starej erekcji, potem tkanka jej sutka), więc założyliśmy maski gazowe i siedzieliśmy, a tymczasem taksówka pełzła z taką prędkością, że być może dogoniłaby sędziwego ślimaka cierpiącego na artretyzm.

Na lotnisku Mary Lou kupiła siedemdziesiątą albo osiemdziesiątą powieść Edisona Yerbj^ego, co mi zapasowało, bo sam lubię czytać w samolotach. Rozejrzawszy się, wypatrzyłem *Telemach kichnął* i stwierdziłem, a co tam, że warto zobaczyć, co myśli druga połowa ludzkości. Tak więc na wysokości pięćdziesięciu tysięcy stóp, w odległości kilku jardów od samej autorki, zatopiłem się w metafizycznych *donner-und-blitzen* Bożego Gromu. W odróżnieniu od płaczącego austriackiego monorchidy, Atlanta Hope pisała w taki sposób, jakby miała jaja, i wołała ubrać swoją filozofię bardziej w fikcję niż autobiografię. Dość szybko wlałem po dupę w jej prozę i gwałtownie zacząłem

275

tonać. Fikcja zawsze tak na mnie działa: kupuję ją całkowicie i mój krytycyzm przystępuje do akcji dopiero wtedy, gdy już skończę.

Mówiąc w skrócie, *Telemach kichnął* dotyczy czasu najbliższej przyszłości, kiedy to my — brudni, wulgarni, nawiedzeni, leniwi, zaćpani, pieprzający się jak wściekli anarchiści — doprowadzimy do nerwowego rozpadu Prawo i Porządek w Ameryce. Bohaterka, Taffy Rhinestone, jest, podobnie jak kiedyś sama Atlanta, członkinią Women's Liberation i wierzy w socjalizm, anarchizm, prawo do aborcji i charyzmę Che. Potem zostaje brutalnie przebudzona: zamieszki o jedzenie, stagnacja przemysłowa, terror bezprawnych grabieży, wszystko, przeciwko czemu ostrzegał nas zawsze George Wallace — jednakże Sąd Najwyższy, złożony z samych anarchistów, których nazwiska kończą się na *-stein*, *-farb* albo *-berger* (w książce nie ma jawnego antysemityzmu), stale znosi różne ustawy i odbiera prawa policjantom. Na koniec, w piątym rozdziale — *climax* Księgi Pierwszej — bohaterka, biedna, niedotykalska Tafty, zostaje zgwałcona piętnaście razy przez maniaka seksualnego, czarnego bandytę prosto z *Narodzin narodu*, a tymczasem grupa gliniarzy stoi obok przeklinając, załamując ręce i ocierając usta z piany, ponieważ rozporządzenia Sądu Najwyższego nie pozwalają im podjąć żadnego działania.

W Księdze Drugiej, której akcja rozgrywa się kilka lat później, wszystko ulega jeszcze większemu zwyrodnieniu i zamiast zanieczyszczenia powietrza wzywami pochodzenia przemysłowego, nad całym krajem zawisa gęsta chmura dymu marihuanowego. Przystaje istnieć Sąd Najwyższy, wymordowany przez ogarniętą szalem od nadużywania LSD kenijską frakcją anarchistyczną Mau-Mau, której działacze pomylili jego członków z waszyngtońskim oddziałem Policyjnego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy. Prezydent i gabinet cieni-na-wygnaniu ukrywają się w okolicach Montrealu, wiodąc ponurą egzystencję emigrantów; Ślepe Tygrysy, dość oczywista karykatura Czar-

07ft

nych Panter, terroryzują białe kobiety od Bangor po Walla Walla; ogarnięci szalem anarchiści zmuszają kobiety do aborcji, niezależnie od tego, czy one tego chcą czy nie, a telewizja nie pokazuje nic prócz maoistycznej propagandy i duńskich pornosdów. Naturalnie, najbardziej w tym koszmarze cierpią kobiety i pomimo uczęszczania na lekcje karate, Taffy jest gwałcona tyle razy, nie tylko z zastosowaniem standardowej techniki vag-pen, lecz również oralnie i analnie, że praktycznie staje się chodzącym bankiem spermy. W końcu następuje wielki szok, monstro-gwałt wieńczący wszystkie gwałty, popełniony przez czystego Aryjczyka o zapadniętych policzkach, długim, szczupłym ciele i twarzy, która nigdy nie zmienia wyrazu.

— Wszystko jest ogniem — mówi Aryjczyk, wyciągając wreszcie z niej kutasa — nigdy o tym nie zapominaj. — Z tymi słowy znika.

No i okazuje się, że Taffy dostaje kompletnego świra na punkcie tego faceta, postanawia odnaleźć go i zrobić z niego uczciwego człowieka. Tymczasem jednak rodzi się kolejny wątek, w którym bierze udział zły brat Taffy, Diamentowy Jim Rhinestone, pozbawiony skrupułów handlarz narkotyków, który miesza heroinę z grassesem, żeby wpędzać ludzi w nałóg i czynić ich swoimi niewolnikami. Diamentowy Jim jest związany z budzącymi powszechną grozę Ślepymi Tygrysami i pewnym tajnym stowarzyszeniem, Oświeconymi, którzy próbują utworzyć rząd światowy. Nie udaje się im to, ponieważ w Ameryce wciąż żywy jest nurt patriotycznego, paranoidalnego nacjonalizmu.

Tymczasem siły zła mają ciężki orzech do zgryzienia. Powstaje tajne, podziemne ugrupowanie, które za swój symbol przyjmuje krzyż. Na wszystkich murach pojawia się ich hasło:

RATUJCIE BANKNOTY FUNDUSZU REZERW

FEDERALNYCH, CHŁOPAKI,
TEN KRAJ ZNOWU SIĘ PODNIESIE!

277

Dopóki owa grupa nie zostanie wykryta i zniszczona, Diamentowemu Jimowi nie uda się wciągnąć nikogo w he-roinowy nałóg, Ślepe Tygrysy nie zgwałcą tych ostatnich białych kobiet, których jeszcze nie dopadli, a Oświeconym nie uda się stworzyć jednego rządu światowego i wprowadzić jednolitej diety sojowej na całej planecie. Jednakże odnaleziony zostaje ślad: przywódca Podziemia jest czystym Aryjczykiem o zapadniętych policzkach, długim, szczupłym ciele i twarzy, która nigdy nie zmienia wyrazu. Co więcej, ma on zwyczaj opowiadać o Heraklicie przez blisko siedem godzin pod rząd (jest to niezły numer, ponieważ po Ciemnym Mędrцу pozostało jakieś sto zdań — lecz nasz bohater, jak się okazuje, uzupełnia je wyczerpującymi komentarzami).

W tym momencie następuje większa dygresja, jako że do odrzutowca lecącego do Ingolstadt wsiada stado pomniejszych bohaterów. Wkrótce okazuje się, że główny pilot ocieka kwasem, drugi pilot pęka od tangierskiego haszu, a wszystkie stewardessy są uzależnionymi od amfy, nawiedzonymi lesbami, zainteresowanymi jedynie ciu-pcianiem się ze sobą. Wtedy Atlanta oprowadza cię po życiu wszystkich pasażerów i wykazuje, że jak najbardziej zasłużyli na katastrofę, która zaraz im się przydarzy: wszystko, w taki czy inny sposób, pomogło stworzyć kulturę hasel: „W głowie anielsko, gdy przypalasz zielsko” oraz „Jebcie, jebcie drogie dziatki!..”, dzięki zaprzeczeniu „ewidentnej prawdy” zawartej w pewnej hermetycznej tezie Heraklita. Gdy samolot wywija orła i wpada do północnego Atlantyku, wszyscy na pokładzie, łącznie z ociekającym kwasem kapitanem Clarkiem, dostają to, na co zasłużyli, zaprzeczając, że rzeczywistość jest naprawdę ogniem.

Tymczasem Taffy wynajmuje prywatnego detektywa, zwanego Mickey „Koktajl” Mołotow, by odnalazł jej zaginionego aryjskiego gwałciciela o zapadniętych policzkach. Zanim jednak w to wszedłem, zastanowiły mnie synchro-

nistyczne implikacje poprzedniego rozdziału, więc przywołałem jedną ze stewardess.

— Czy może mi pani powiedzieć, jak się nazywa pilot? — spytałem.

— *Namen?* — odparła. — *Ja, Gretchen.*

— Nie, nie pani imię — powiedziałem — imię pilota. *Namen unser, um, Winginmacher?*

— *Winginmacher?* — powtórzyła, nie rozumiejąc. — *Ein Augenblick.*

Odeszła, a ja tymczasem sprawdziłem słowo „*Augenblick*” w kieszonkowym słowniku niemiecko-angielskim, a wtedy pojawiła się druga stewardesa, w identycznym uniformie, z identycznym uśmiechem i identycznymi niebieskimi oczyma, pytając: — *Was wollen sie haben?*

Zrezygnowałem z tego *Winginmachera*, który był najwyraźniej niecelnym strzałem.

— *Gib mir, bitte* — powiedziałem — *die Namen unser Fliegenmacher.* — Rozpostarłem ramiona, naśladując samolot. — *Luft Fliegenmacher* — powtórzyłem, dodając usłużnie. — A może *Luft Piloten?*

— Mówi się *Pilot*, nie *Piloten* — odparła z pomocą licznych zębów. — Nazywa się kapitan Clark. Heathclif-fe Clark.

— *Danke...* dzięki — powiedziałem ponurym głosem i wróciłem do *Telemach kichnął*, wyobrażając sobie przyjaciela Heathcliffe'a na wichrowych wzgórzach *saure-szy-bowania* i spadającego do oceanu, ponieważ — jak powiedział Mallory — to tam jest. Anglik pilotujący szwabski samolot, nie inaczej jak po to, żeby mi przypomnieć, że jestem otoczony paradoksalno-paranoidalno-paranormalnymi parametrami synchroniczności. Ich wędrujące ministerialne Oko. Boże, znowu się zagrzebałem w skandalicznej epice Atlanty Hope.

„Koktajl” Mołotow, prywatny szpicel, zaczyna szukać Wielkiego Amerykańskiego Gwałciciela, mając tylko jedną wskazówkę: jakiś projekt architektoniczny, który wypadł

279

mu z kieszeni, kiedy posuwał Taffy. Metoda, którą „Koktajl” stosuje w śledztwie, jest klasycznie prosta: bije każdego, kogo spotka, tak długo, dopóki ten się nie przyzna albo nie ujawni czegoś, co mu pomoże wpaść na trop. W trakcie wykonywania zlecenia napotyka pewnego zgrzybiałego snoba, ktory wygłasza przemowę w stylu Williama O.Douglassa i to wydarzenie kładzie kres całej brutalności. Mołotow wyjaśnia, na kilkunastu stronach — to jeden z najdłuższych monologów, na jakie kiedykolwiek natknąłem się w powieści — że życie to bitwa między Dobrem i Złem, i że cały współczesny świat jest splugawiony, ponieważ ludzie widzą wszystko w odcieniach czerwieni, pomarańcza, żółci, zieleni, błękitu, indygo i fioleto, zamiast w czystej czerni i bieli.

Tymczasem naturalnie wszyscy zajęci byli przeważnie pieprzeniem się, paleniem grasu i odmową inwestowania swoich kapitałów w rozwój przemysłu, przez co Ameryka osuwała się w stronę

tego, co Atlanta nazywa „rozpustnym, prekapitalistycznym chaosem”.

W tym momencie w książce pojawia się kolejny bohater, Howard Cork, jednonogi szaleniec, który dowodzi łodzią podwodną zwaną „Laik Eremita” i walczy z wszystkimi — z anarchistami, komunistami, heroinowym gangiem Diamentowego Jima Rhinestone'a, Ślepymi Tygrysami, Oświeconymi, rządem USA na wygnaniu, wciąż nie posiadającym nazwy patriotycznym podziemiem i Chicagowskimi Lwiątkami — ponieważ jest przekonany, że za działalnością ich wszystkich kryje się biały wieloryb, dysponujący nadludzką inteligencją, który usiłuje przejąć władzę nad światem i oddać ją waleniom. (— Żaden normalny wieloryb nie mógłby tego zrobić — mówi zawsze po tym, jak kolejne dzienniki telewizyjne ukazują kolejne symptomy rozpadu i chaosu w Ameryce — tylko wieloryb dysponujący nadludzką inteligencją...!) Ta megalomańska beczka bzdur — wieloryb, nie Howard Cork — jest odpowiedzialna za wydanie w słynnych latach sześćdziesiątych płyty *Pieśni błękitnych wielorybów*, która zawiera w sobie hipnotyzującą moc, sprawiającą, że ludzie wpadają w dziki szal, ćpają, gwałcą i tracą wiarę w chrześcijaństwo. To wieloryb jest sprawcą większości wielkich przełomów w kulturze ostatnich dziesięcioleci, ponieważ oddziałuje na ludzkie umysły za pomocą hipnotycznej telepatii.

— Najpierw wylansował W.C.Fieldsa — wścieka się Howard Cork w obecności swego niezbyt przekonanego pierwszego mata „Kozła” Stara — potem, gdy kręgosłup moralny Ameryki został dostatecznie nadwątlony przez Liz, Dicka, Andy Warhola i muzykę rockową. A teraz pieśni o błękitnych wielorybach!

Star nabiera przekonania, że kapitanowi Corkowi coś się odkorkowało z powodu utraty nogi w wyniku operacji na wrośniętym paznokciu, skopanej przez młodego orto-pedę-hippisa, nawalonego meskaliną. To podejrzenie potwierdza się, gdy kapryśny marynarz upiera się przy noszeniu starej korkowej nogi zamiast nowoczesnej protezy, obwieszczając:

— Urodziłem się jako Cork od stóp do głów i nie umrę jako trzy czwarte Córka!

Następnie dochodzi do przełomu w akcji powieści i okazuje się, że Cork to nie czubek, a wspaniały dołek. Podczas spotkania z czystym Aryjczykiem o zapadniętych policzkach, długim, szczupłym ciele i twarzy nigdy nie zmieniającej wyrazu, okazuje się, że kapitan to agent Podziemia, którego nazwa Boży Grom została wzięta z koncepcji He-raklita, głoszącej, że Bóg objawił się najpierw w postaci gromu, który stworzył świat. Zamiast polować na wielkiego, białego wieloryba — jak to się wydaje załodze — w rzeczywistości „Laik Eremita” dostarcza ostrej amunicji rządowi na wygnaniu i Bożemu Gromowi. Na odchodnym, przywódca o zapadniętych policzkach mdwi do Córka:

— Pamiętaj, droga w gdrę jest drogą w dół.

W tym czasie Bezbramna Brama otworzyła się skrzypiąc na oścież i zaczęły do mnie docierać drobiny „prawdziwego”

281

świata. To znaczy znowu rozpoznawałem w sobie władcę cyrkowej areny. Wszystkie informacje są we mnie wprowadzane, entropia i negaentropia synergizowane w postaci kluchy krainy czarów, a ja to przetwarzam, przy czym moje banki pamięci pomagają mi zrozumieć te czynności.

Jednakże do apartamentu panny Portinari wchodzę, podobnie jak Harry Coin, nieco-nieśmiało. Wyczuwam duchy zmarłych piratów, częściowo tylko indukowane za pomocą surrealistycznej wersji upodobania Hagbarda do marynistycznych fresków, zawartej w tym pokoju. Harry, mówiąc jego słowami, miał tak ciasną dziurę w zadku, że mógł srać cegłami. Nietrudno było uznać teraz tego długowłosego hippisa, George'a, a nawet jego czarną dziewczynę za równych sobie, ale jakoś trudno było przystać na prośbę uznania nastolatki za swoją przełożoną. Kilka dni temu rozmyślałbym nad tym, jak się dostać do jej majtek. Teraz myślałem o tym, jak ją sobie wsadzić do głowy, i o tym, że Hagbard ze swymi narkotykami z pewnością wypieprzył mój system wartości gorzej niż wszystko inne, odkąd opuściłem Biloxi.

I z jakiegoś niewiadomego powodu usłyszałem, jak wielebny Hill tłucze pięścią w Biblię i wydziera się jak stare prześcieradło w Biloxi przed wieloma laty:

— Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi! Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi, bracia i siostry! Święty Paweł to mówi, a wy o tym nie zapominajcie! Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi naszego pana i zbawcy Jezusa Chrystusa! Amen.

A Hagbard odczytuje ostateczną analizę strategii i taktyki w bitwie pod Atlantis, zaleconą mu przez FUCKUP-a. Wszystkie dowody są spójne z Założeniem A, a niespójne z Założeniem B, stwierdziła matematyczna część FUCKUP-a. Hagbard zgrzyta zębami, zaciśniętymi w barbarzyńskim grymasie: Założenie A głosi, że pajęczce statki Illuminatów są zdalnie sterowane, a założenie B — że są na ich pokładzie ludzkie istoty.

ooo

— Nie ufaj człowiekowi, który ma krocie lnu, jego moralność to zbiór pustych słów.

— Grotów do niszczenia wrogich statków — dobiegł go głos Howarda.

— Czy wasi ludzie usunęli się z drogi?

— Oczywiście. Przestań się wahać. To nie jest pora na humanitarne odruchy.

(Założenie A głosi, że pajęczce statki Iluminatów są zdalnie sterowane.)

Morze jest okrutniejsze niż ląd. Czasami.

(Żaden z dowodów nie jest spójny z Założeniem B.)

Hagbard położył swój poślizki palec na białym przycisku, znajdującym się przed nim w balustradzie i nacisnął go stanowczym ruchem. *I to by było tyle* — powiedział.

Ale to nie było wszystko, co się z tym wiązało. Postanowił, na chłodno, pełen złych myśli, że skoro już jest mordercą, to równie dobrze finałowy gambit może być tym, który uratuje część Demonstracji. Posłał George'a do Drake'a (Bob, ty już nie żyjesz, ale czy kiedykolwiek rozumiałeś, choć przez chwilę, to, co starałem ci się powiedzieć? Co Jung próbował ci powiedzieć jeszcze wcześniej?) i wtedy zginęło dwadzieścioro czworo prawdziwych mężczyzn i kobiet, a teraz rozlew krwi nabierał rozpędu i Hagbard nie był już pewien, którą część Demonstracji da się uratować.

— *Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi! Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi, bracia i siostry! Święty Paweł to mówi, a wy o tym nie zapominajcie! Żadnego odpuszczenia grzechów bez krwi naszego pana i zbawcy Jezusa Chrystusa!*

Wpakowałem się na Iluminatów w 1951 roku, kiedy na fali był Joe McCarthy i wszyscy doszukiwali się wszędzie spisków. Na swój własny naiwny sposób (w tamtych czasach byłem studentem drugiego roku na Uniwersytecie

283

Nowojorskim) starałem się odnaleźć samego siebie i odpowiedziałem na jedno z ogłoszeń Różokrzyżowców, zamieszczone na ostatniej stronie czasopisma z nagimi babkami. Oczywiście Rdzokrzyżowcy nie stanowią ich parawanu, tak bezpośrednio, jak się wydaje bircherowcom i innym paranoikom, tylko kilka wtyk w kwaterze AMORC to agenci Iluminatów. Wybierają jednak ewentualnych kandydatów przypadkowo i dostajemy nieco inne przesyłki niż te, które są wysyłane przeciętnym nowym członkom. Kto wykaże odpowiedni zapał, tego przesyłki stają się bardziej interesujące i nawiązywany jest z nim kontakt osobisty. Tak więc, dość szybko złożyłem całą przysięgę, łącznie z głupim ustępem o tym, że nigdy nie odwiedzę Neapolu, który stanowi jedynie odbicie dawnych urazów Weishaupta, i zostałem przyjęty jako Illuminatus Miner-val, obdarzony przydomkiem Ringo Erigena. Ponieważ uzyskałem dyplom z prawa, nakazano mi robić karierę w FBI.

Eisenhowera spotkałem tylko raz, na bardzo dużym i okazałym balu. Odwołał jednego agenta i mnie na bok.

— Mieście na oku Mamie — powiedział. — Jeśli wypije pięć martini albo zaczniesz cytować Johna Wayne'a, to szybko zaprowadźcie ją na górę.

Z Kennedym nigdy nie rozmawiałem, lecz Winifred (którego imię w zakonie brzmi Scotus Pythagoras) zwykł często na niego ujadać.

— Cała historia z Nową Granicą jest niebezpieczna — wściekał się Winifred. — Ten facet sobie ubrał, że żyje w jakimś westernie. Jedna pokazowa i źli faceci gryzą piach. Raczej nie powinniśmy dopuścić, żeby żył za długo.

Możecie sobie wyobrazić, jak się zdenerwowałem, kiedy ta historia z Dallas zaczęła rzucać światło na cały, ogólny wzorzec. Oczywiście, nie wiedziałem, co zrobić: Winifred był moim jedynym zwierzchnikiem w rządzie, który był jednocześnie przełożonym w Iluminatach, ale miałem sporo przeczuć i domysłów odnośnie do innych, i nie za-

984

łożyłbym się o to, czy John Edgar nie był jednym z nich, na przykład. Gdy z CIA nadeszły wskazówki, popadłem w to coś, co dzisiejsza młodzież nazywa paranoicznym odlotem. Był to może zbieg okoliczności albo synchroniczność, ale równie dobrze Zakon mógł mnie sprawdzać i upewniać się, czy zaangażuję się jeszcze głębiej.

(— Większość ludzi z wywiadu nie wie, dla kogo pracuje — powiedział mi kiedyś Winifred tym głosem z atlasu, jedwabiu i sztyletów — szczególnie dotyczy to tych, którzy wykonują tylko „drobne zadania”. Przypuśćmy, że znajdziemy francusko-kanadyjskiego separatystę w Montrealu, który nadaje się do dostarczania pewnych informacji w wybranych momentach. Z pewnością nie poprosimy go, żeby pracował dla wywiadu wojskowego. Jego to nie powinno obchodzić, jest wręcz dlań szkodliwe. Kontaktuje się więc z nim inny, bardzo przekonujący kanadyjski Francuz, wyposażony w „dowody”, że jest agentem najbardziej tajemnych podziemnych ruchów Quebec Libre. Albo jeśli Rosjanie znajdą w Nairobi kobietę, która ma dostęp do pewnych urzędów i jest

przypadkiem antyko-munistką oraz ma anglofilskie odchylenie: nie ma sensu werbować jej do NKWD, prawda? Łącznik, z którym ona się spotka, będzie posiadał komplet listów uwierzytelniających i odpowiedni oksfordzki akcent, którym ją przekona, że jest przedstawicielem londyńskiego M5. I tak to się wszystko kręci — zakończył sennym głosem — tak to się kręci...)

Mój łącznik z CIA naprawdę pracował dla CIA, na to jestem prawie absolutnie gotów postawić około sześćdziesięciu przeciw czterdziestu. Znał przynajmniej odpowiednie hasła, które dowodziły, że działał z rozkazu prezydenta, bez względu na to, co to oznacza.

To sam Hoover kazał mi infiltrować Boży Grom. To znaczy nie wybrał wyłącznie mnie, lecz pewną grupę i wygłosił do nas pouczającą gadkę. Pamiętam do dziś, jak mówił: „Nie dajcie się ogłupić tym ich amerykańskim flagom.

285

Popatrzcie na błyskawice, wzięte żywcem z hitlerowskich Niemiec, i pamiętajcie, że najbliższy bezbożnemu komuchowi jest bezbożny hitlerowiec. Jeden i drugi jest przeciwny Wolnej Przedsiębiorczości." Naturalnie, jak tylko zostałem przyjęty do oddziału Bożego Gromu w Arlington, zaraz odkryłem, że wolna przedsiębiorczość w ich panteonie zajmuje drugie miejsce, tuż po Heraklicie. J.Edgarowi legły się pod czaszką dziwne myśli — na przykład ta obawa, że John Dillinger żyje i nabija się z niego w ukryciu. To właśnie z tego strachu wziął się na Melvina Purvisa, agenta, który zastrzelił Dillingera w Chicago, i wykopał go z FBI. Ci z was, którzy są obdarzeni dobrą pamięcią, przypominają sobie pewnie, że biedny Purvis zakończył jako pracownik firmy handlującej płatkami owsianymi, występując jako tytułarny szef praktykantów na służbie FBI.

To właśnie w Bożym Gromie przeczytałem *Telemach kichnął* i nadal uważam, że to zajebiste dobra opowieść. Ta scena, gdy Taffy Rhinestone ogląda nowego króla w telewizji i rozpoznaje w nim dawnego kumpla gwałciciela o wychudłych policzkach, a on mdwi: „Nazywam się Jan Wina", to jest prawdziwa literatura, ludzie! Potem to jego stotrzystronicowe przemówienie, w którym wyjaśnia istotę winy i wykazuje, dlaczego wszyscy antyherakliticy, freudyści i relatywiści niszczą cywilizację poprzez deprecjonowanie poczucia winy, na pewno trafia do przekonania — szczególnie kogoś takiego jak ja, wyposażonego w cztery tożsamości, w tym trzy aktywne, z których każda zdradza pozostałe. Do dziś potrafię przytoczyć ostatnią kwestię: „Żadna cywilizacja nie może istnieć bez poczucia winy". Natomiast niebeletrystyczna książka *Militaryzm: Nieznany ideał nowego heraklitczyka* bardzo mnie zawiodła, jednakże ulotki Bożego Gromu z pytaniem: „Kim jest Jan Wina?" z pewnością wywołują ciarki u każdego, kto jeszcze nie zna odpowiedzi.

Samą Atlantę Hope poznałem w czasie Nowojorskich Zamieszek Antypoborowych. Było to, jak pewnie pamię-

286

tacie, wtedy, gdy Boży Grom, zdegustowany informacjami, że FBI ugrzęzło w dwuletnich zaległościach przy zwalczaniu przypadków odmowy i unikania poboru do wojska, postanowił zorganizować komitety Straży Obywatelskiej, które miały polować na hippisowsko-yippisowsko-komuni-styczno-pacyfistyczne szumowiny. Gdy tylko ich członkowie weszli do East Village — w którym, jak podejrzewali, kryły się setki brodatych, długowłosych i ogólnie rzecz biorąc ledwie odróżnialnych od siebie dezertów z wojen w Wietnamie, Kambodży, Tajlandii, Laosie, Tajwanie, Kostaryce, Chile i Tierra del Fuego — zaczęli się stykać z podejrzliwością i oporem. Po upływie trzech godzin burmistrz nakazał policji otoczyć ten teren kordonem. Policjanci stali naturalnie po stronie Bożego Gromu i robili wszystko, co mogli, by wspomóc jego krucjatę przeciwko Wielkim Niemytym, a jednocześnie bronić go przed odwrotną krucjatą. Po trzech dniach gubernator wezwał Gwardię Narodową. Gwardia, której członkowie w większości byli w duchu niechętni poborowi, próbowała po cichu pomóc trochę Mętom i Ćpunom. Po upływie trzeciego tygodnia prezydent ogłosił tę część Manhattanu obszarem klęski żywiołowej i wysłał do niej Czerwony Krzyż, żeby pomógł ocalałym.

Sam wlałem w ten gnój po uszy (nie macie pojęcia, jaka dziwaczna jest wojna domowa, gdy arsenał jednej ze stron składa się głównie z wyrzuconych do śmieci puszek) i poznałem nawet przedwcześnie Joe Malika. Stało się to pod rolls roycem silver wraith, pod którego on wpełzł, żeby robić notatki z linii frontu, a ja po to, by opatrzyć rany, które odniosłem, gdy mnie wypchnięto przez wystawę księgarni „Oko Pokoju" — blizny pozostały mi do dzisiaj. Jakiś głos ponad moim ramieniem powiedział wtedy, że powinienem zwrócić uwagę na fakt, iż August Personage został uwięziony w budce telefonicznej w odległości zaledwie kilku stóp i zмага się z potwornymi, paranooidalnymi urojeniami, że pomimo całego tego chaosu policja wykryje,

287

skąd wykonał swój ostatni obsceniczny telefon i znajdzie go w tej budce, z której boi się wyjść i

stawić czoło zardzewiałym puszkom, kulom i innym przedmiotom fruującym w powietrzu. Pamiętam nawet, że na tablicy rejestracyjnej tego rollsa było napisane RPD-1, co kazało się domyślać, iż gdzieś w pobliżu znajdowała się również jakaś ważna osoba, realizująca tu jakieś bez wątpienia jeszcze ważniejsze zlecenie. Samą Atlantę Hope poznałem następnego dnia, przy następnej przecznicy, na podium, z którego Taylor Mead wygłaszał swoje słynne Ostatnie Orędzie. Atlanta chwyciła mnie za prawe ramię (to zranione: skrzywiłem się z bólu) i ryknęła coś w stylu: „Witaj bracie w prawdziwej wierze! Wojna to zdrowie państwa! Konflikt to stwórca wszechrzeczy!” Widząc, że unosi ją wysoka częstotliwość heraklitowej fali, zacytowałem żarliwym tonem: „Ludzie winni walczyć o prawa tak jak o mury miasta!” Tym ją podbiłem i do końca batalii służyłem jako Osobisty Lejtnant Atlanty.

Atlanta zapamiętała mnie z zamieszek i zostałem wezwany, bym organizował pierwsze strajki taktyczne przeciwko Piratom Nadera. Gdyby dane mi było to oceniać, powiedziałbym, że spisałem się na schwał; zostałem nagrodzony podwyżką w FBI, skąpym, lecz pełnym autentycznego zadowolenia uśmiechem na odprawie w CIA, awansem na Illuminatusa Prelatora przez Winifreda oraz kolejną audiencją u Atlanty Hope, i w końcu wprowadzono mnie do A.-A./., supertajnej organizacji konspiracyjnej, dla której w rzeczywistości pracowała. (To A.-A./. jest tak tajne, że nawet teraz nie mogę ujawnić pełnej nazwy, kryjącej się za tym skrótem.) Mój tajny pseudonim brzmiał: Rycerz Buław E; tego Rycerza Buław wylosowałem wyciągając kartę do tarota, a Atlanta osobiście dołożyła E — z czego wywnioskowałem, że było czterech innych Rycerzy Buław oraz pięciu Królów Mieczy i tak dalej, co oznaczało, że A.\A.\ jest czymś szczególnym nawet w królestwie ezoteryki, bowiem to tajne stowarzyszenie działa-

9.RR

jące na całym świecie liczyło nie więcej niż trzystu dziewięćdziesięciu członków (pięć razy tyle, ile liczy talia kart do tarota). Ten przydomek całkiem mi się spodobał — nie chciałem być Wisielcem D albo Głupcem A — i radowało mnie, że Rycerz cieszy się sławą wskutek swych licznych tożsamości.

O ile dotychczas moja osoba łączyła w sobie trzech i pół agenta (moja rola w Bożym Gromie była raczej nieskomplikowana, przynajmniej z punktu widzenia BG, ponieważ kazano mi tylko rozgromiać, a nie szpiegować), nie było wątpliwości, że obecnie stałem się agentem poczwórnym, pracującym dla FBI, CIA, Illuminatów i A.-A./., i że zdradzałem każdego co najmniej jednemu a czasami dwom lub trzem pozostałym. (Tak, dałem się nawrócić na A.\A.\ podczas inicjacji; gdybym potrafił opisać ten najbardziej zdumiewający z rytuałów, nie dziwilibyście się.) Potem wiceprezydentowi odbiło na punkcie oszczędzania na agentach i zaczęto mnie często wypożyczać CIA, przy czym FBI dyskretnie prosiło mnie wtedy, bym donosił o wszystkich interesujących rzeczach, jakie zauważę. To jednak postrzegam jedynie jako dalsze pogłębienie mojego napięcia nerwowego, rozczłonkowanego w cztery strony, a nie jako nieuchronny, niepodważalny i synergetyczny piąty etap.

1 miałem rację. Dopiero bowiem w ubiegłym roku doszedłem do stadium końcowego, *Grumment* — jak to nazywa Zakon — dzięki interesującemu przebiegowi wydarzeń, które zawiiodły mnie od Roberta Putneya Drake'a do Hagbarda Celine'a.

Zostałem wysłany na bankiet Rady Stosunków Międzynarodowych, podczas którego, wyposażony w dokumenty agencji Pinkertona, miałem rzekomo pilnować jako prywatny detektyw precjozów obecnych tam dam. Moim prawdziwym zadaniem było umieszczenie małej pluskwy pod stolikiem, przy którym miał siedzieć Robert Putney Drake; w tamtym tygodniu wypożyczono mnie Urzędowi

289

Podatkowemu, w którym nie wiedzieli, że Departament Sprawiedliwości wydał stały zakaz ścigania Drake'a i starali się udowodnić, że ukrywa on swoje dochody. Naturalnie, miałem także uszy otwarte na wszystko, co mogło być ważne dla Illuminatów, A.-A./. i CIA, o ile mdj łącznik spod pomnika Lincolna naprawdę pracował dla CIA, a nie wywiadu wojskowego, morskiego albo innej tego typu instytucji. (Możecie być pewni, że często zastanawiałem się nad ewentualnością, czy on przypadkiem nie jest z Moskwy, Pekinu albo Hawany, a poza tym Winifred powiedział mi kiedyś, że Illuminaci nie bez powodów uważają go za przedstawiciela awangardy piątej kolumny wysłanej przez okupantów z Alpha Centauri — lecz Wielcy Mistrzowie Illuminatów są notorycznymi Magierami, więc tej bajki już nie kupiłem, tak samo jak tamtej, która pierwotnie przyciągnęła mnie do Illuminatów, stwierdzającej, że są oni organizacją spiskową, której celem jest utworzenie rządu światowego, kierowanego przez brytyjskich Izraelitów.) Konspiracja była dla mnie nagrodą samą w sobie, nie obchodziło mnie, na rzecz czego konspiruję. Sztuka dla sztuki. Nieważne, co się zdradza albo czego się broni; istotne jest tylko, w jaki sposób się to rozgrywa. Czasami nawet utożsamiałem to z ideą

Wielkiego Dzieła A.-A.-, bowiem w krętych labiryntach mojej jaźni zaczynałem powoli odnajdywać szkic duszy.

Przy stole Drake'a siedział makaroniarz o jastrzębiej twarzy, elegancko ubrany w nowy, pierwszorzędny smoking, skryty we mnie glina jednak uznał go za przedstawiciela świata przestępczego. Czasami można określić podmiot dokładnie, jako oszusta, kasiarza, gangstera i Bdg wie, kogo jeszcze; natomiast jego potrafiłem tylko z grubsza ulokować po tej stronie gry; prawdę mówiąc, kojarzył mi się z piratami dalekich mdrz albo tego typu gambitami, które rozgrywali Borgiowie. Rozmowa z jakichś powodów zesłała na najnowszą książkę niejakiego Mortimera Adlera, który, o ile dobrze zrozumiałem, był autorem co naj-

9.9(1

mniej setki wielkich dzieł. Jednemu z biesiadników, przypominającemu wyglądem bankiera, strasznie się ten Adler podobał, a szczególnie ta jego ostatnia wielka książka.

— On twierdzi, że my i komuniści wywodzimy się z tej samej Wielkiej Tradycji — wyraźnie usłyszałem, że wymówił ten termin wielkimi literami — i że musimy się zjednoczyć przeciwko jedynej sile, która naprawdę zagraża cywilizacji, to znaczy anarchizmowi!

Parę osób sprzeciwiło się, nie należał jednak do nich Drake (siedział z boku, palił cygaro i patrzył na wszystkich uprzejmie; ja zaś pod tą maską widziałem znudzenie), więc ten bankier próbował wytłumaczyć, co to jest Wielka Tradycja, ale dla mnie to było trochę za mądre i — sądząc po minach pozostałych — również trochę za mądre dla nich, gdy nagle odezwał się ten facet o jastrzębiej twarzy.

— Ja potrafię ująć Wielką Tradycję jednym słowem — powiedział spokojnie. — Przywilej.

Stary Drake nagle przestał wyglądać na uprzejmego — ale-znudzonego — wydawał się jednocześnie zainteresowany i rozbawiony.

— Rzadko kiedy spotyka się taką pokrępiącą swobodę używania eufemizmów — stwierdził, pochylając się do przodu. — Ale być może za wiele wyczytuję w pańskiej uwadze, sir?

Człowiek o jastrzębiej twarzy upił najpierw łyk szampana i otarł serwetką usta, zanim odpowiedział.

— Chyba nie — przemówił wreszcie. — Większość słowników definiuje termin „przywilej” jako uprawnienie albo immunitet przyznający specjalne względy lub korzyści tym, którym przysługuje. Inne znaczenie, które podaje Webster, to „nie podlegający powszechnym prawom lub karom”. Niezastąpiony tezaurus podaje takie synonimy jak „władza”, „autorytet”, „prawo z tytułu urodzenia”, „immunitet”, „uprawnienie”, „prawo”, „fortytowanie” i, przykro mi to powiedzieć — „roszczenie”. Z pewnością wszyscy

291

w tym klubie wiemy, co to jest przywilej, prawda, panowie? Czy muszę panom przypominać łaciński źródłosłów: *privi* — czyli prywatny oraz *legē* — prawo, i dowodzić szczegółowo, w jaki sposób stworzyliśmy tutaj nasze Prywatne Prawo, podobnie jak Politbiuro stworzyło swoje własne prywatne prawo w swojej własnej sferze wpływów?

— Ależ to nie jest Wielka Tradycja — zaprotestował facet o wyglądzie bankiera (później dowiedziałem się, że w rzeczywistości był wykładowcą uniwersyteckim; Drake był jedynym bankierem siedzącym przy tym stole). — To, co profesor Adler ma na myśli, mówiąc o Wielkiej Tradycji...

— To, co Mortimer ma na myśli, mówiąc o Wielkiej Tradycji — przerwał mu brutalnie człowiek z jastrzębią twarzą — to zbiór mitów i bajek wymyślonych w celu zalegalizowania, względnie zakamuflowania instytucji przywileju. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę — dodał nieco bardziej uprzejmym tonem, za to opatrując wypowiedź ironicznym uśmiechem.

— On mówi — powiedział prawdziwy wierny —

0 aksjomatach, którym nie da się zaprzeczyć, o prawdach sprawdzonych w czasie, o wspólnej wiedzy wieków, o...

— Mity i bajki — mruknęła jastrzębia twarz.

— Święta, sprawdzona w czasie wieków wiedza — ciągnął tamten, zaczynając się już powtarzać. — Podstawowa opoka społeczeństwa obywatelskiego, cywilizacji.

1 naprawdę dzielimy ją z komunistami. I to jest właśnie ta wspólna, humanistyczna tradycja, którą młodzi anarchiści po obu stronach żelaznej kurtyny bezczeszczą, za-kłamują i starają się zniszczyć. Nie ma ona zupełnie nic wspólnego z przywilejem.

— Pan wybaczy — powiedział brunet. — Czy jest pan wykładowcą uniwersyteckim?

— Jak najbardziej. Kieruję Wydziałem Nauk Społecznych na Harvardzie!

— Ach tak. — Brunet wzruszył ramionami. — Przepraszam, że wyrażam się tak zuchwale w

pańskiej obecno-

ooo

ści. Myślałem, że jestem otoczony wyłącznie ludźmi biznesu i finansów.

Profesor zrobił taką minę, jakby w tych formalnych przeprosinach dostrzegł ukrytą zniewagę, ale przerwał mu Drake.

— Prawie tak jest. Nie należy szokować opłacanych przez nas idealistów i w ciągu jednej nocy przekształcać ich w wulgarnych realistów. A jednocześnie, czy naprawdę trzeba wyrażać to, co wszyscy wiemy, w taki sposób, by implikować raczej wrogie i zewnętrzne stanowisko? Kim pan jest i jaki jest pański zawód, sir?

— Hagbard Celine. Import-export. Tu w Nowym Jorku przedsiębiorstwo „Gold & Appel” trudniące się przeprowadzkami. Ponadto kilka bardzo małych firm w innych portach.

Kiedy to mówił, przed oczyma znowu przesunęły mi się wyraźne wizje piratów i podstępnych Borgiów.

— Nikt z nas tu obecnych nie jest dzieckiem — dodał — dlaczego więc unikać szczerych słów?

Profesor, zdeprymowany tym zwrotem w rozmowie, umilkł zakłopotany, a Drake odparł:

— No dobrze. Cywilizacja to przywilej albo prywatne prawo, jak pan to dosłownie ujmuje. Wszyscy, z wyjątkiem naszego biednego profesora, wiemy, skąd się bierze Prywatne Prawo: z lufy broni, mówiąc słowami dżentelmena, którego szczerłość z pewnością by pan docenił. Czy zatem nadal twierdzi pan, że Adler, mimo swej naiwności, ma rację, i że więcej nas łączy niż dzieli z komunistycznymi władcami?

— Pozwolę sobie *oświecić* pana w jeszcze większym stopniu — powiedział Celine, a ja aż podskoczyłem, gdy usłyszałem, w jaki sposób wymawia to słowo. Oczy Drake'a zaiskrzyły się, ale to mnie nie zdziwiło: każdy, kogo Urząd Podatkowy uważał za tak bogatego, musiał być W Środku.

— Przywilej implikuje pozbawienie przywileju, tak jak korzyść implikuje niekorzyść — kontynuował Celine.

293

— Na zasadzie tej samej matematycznej odwrotności zysk implikuje stratę. Jeśli pan i ja wymienimy się towarami tej samej wartości, to będzie to handel: żaden z nas nie zyska i żaden nie straci. Jeśli jednak wymienimy się towarami różnej wartości, wówczas jeden z nas zyska, a drugi straci. Z matematyczną dokładnością. Z pewnością. Z kolei zawsze dochodzi do takich matematycznie nierównych wymian, ponieważ niektórzy kupcy są sprytniejsi od innych. Jednakże w warunkach absolutnej wolności, w anarchii, do takiej nierównej wymiany będzie dochodziło sporadycznie i nieregularnie. Fenomen nieprzewidywalnej okresowości, jeśli użyć terminów matematycznych. Proszę teraz spojrzeć na siebie, profesorze, proszę podnieść nos znad swoich wielkich dzieł i przyjrzeć się rzeczywistemu światu, takiemu, jaki on jest, a nie dostrzeże pan takich nieprzewidywalnych funkcji. Zauważy pan natomiast matematycznie gładką funkcję: stały zysk przypadający jednej grupie i równie stałe straty ponoszone przez wszystkie inne. Dlaczego tak jest, profesorze? Bo system nie jest wolny ani przypadkowy, każdy matematyk powie to panu *a priori*. A zatem, gdzie jest ta determinująca funkcja, ten czynnik, który kieruje innymi zmiennymi? Sam ją pan nazwał albo pan Adler: Wielka Tradycja. Ja to wolę nazywać Przywilejem. Kiedy A spotyka B na targowisku, nie targują się jak równi. A targuje się z pozycji uprzywilejowanego, więc zawsze osiąga zysk, a B zawsze traci. Tu nie ma już żadnego wolnego rynku, tak samo jak po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Przywileje albo Prywatne Prawa, czyli zasady gry, określone przez Politbiuro i Zjazd Partii Komunistycznej po tamtej stronie oraz przez rząd Stanów Zjednoczonych i Radę Systemu Rezerw Federalnych po tej, różnią się tylko nieznacznie, to wszystko. I to temu właśnie zagrażają anarchiści realni a także ukryci w każdym z nas — zakończył, patrząc na Drake'a, nie na profesora.

294

Profesor miał natychmiast wiele do powiedzenia o prawach społeczeństwa, które są prawami natury, i o prawach natury, które są prawami bożymi, ja jednak uznałem, że najwyższy czas, by jeszcze trochę powęszyć, więc nie słyszałem dalszej części rozmowy. Jestem pewien, że Urząd Podatkowy dysponuje jej pełnym nagraniem, ponieważ pluskwę zamontowałem na długo przed podaniem kolacji.

Moje następne spotkanie z Robertem Putneyem Drake'em stanowiło punkt zwrotny. Zostałem ponownie wysłany do Nowego Jorku, tym razem z misją na rzecz wywiadu morskiego, i Winifred przekazał mi wiadomość, którą miałem dostarczyć Drake'owi osobiście; Zakon nie ufał żadnym mechanicznym środkom łączności. O dziwo, mój łącznik z CIA również wręczył mi wiadomość dla Drake'a i była ona identyczna. Na mnie to zupełnie nie podziałało, a tylko potwierdziło niektóre z

moich podejrzeń.

Udałem się do jego biura przy Wall Street, blisko Bro-ad (dokładnie tam, gdzie babrałbym się w prawie handlowym, gdyby moja rodzina postawiła na swoim) i powiedziałem jego sekretarce:

— Knigge z „Pyramid Constructions” do pana Drake'a.

Tak brzmiało hasło ustalone na tamten tydzień. Knigge był bawarskim baronem i drugim po Weishaupcie wśród Starożytnych Oświeconych Proroków Bawarii. Zostałem usadzony i tak czekałem w nieskończoność, przypatrując się wystrojowi wnętrza, wybitnie elżbietańskie-mu, co kazało mi się zastanowić, czy Drake przypadkiem nie roi o sobie jako o potomku sławnego korsarza.

Wreszcie drzwi gabinetu Drake'a otworzyły się i ktoś w nich stanął? Była to Atlanta Hope we własnej osobie, z dzikim, jakby nieobecny spojrzaniem. Drake położył rękę na jej ramieniu i powiedział pobożnym tonem:

— Oby twoje dzieło przyspieszyło nadejście tego dnia, kiedy Ameryka odzyska swoją czystość.

295

Minęła mnie, potykając się jakby oszołomiona, a ja zostałem wprowadzony do gabinetu. Gospodarz wskazał mi wyściełane krzesło i długo przypatrywał się mojej twarzy.

— Jeszcze jeden Knigge w stosie drewna — zaśmiał się zniecierpliwiony. — Ostatnim razem, gdy pana widziałem, był pan detektywem z agencji Pinkertona.

Taka pamięć jest godna podziwu, minął rok od bankietu RSM, a poza tym tamtego wieczora nie zrobiłem nic, czym mogłem przyciągnąć jego uwagę.

— Pracuję dla FBI, będąc jednocześnie członkiem Zakonu — odparłem, pomijając kilka innych rzeczy.

— Jest pan czymś więcej — powiedział spokojnie, siadając za biurkiem, wielkim jak niektóre place zabaw. — Ale dość mam na głowie w tym tygodniu, by się zastanawiać, po ilu stronach pan gra. Jak brzmi wiadomość?

— Pochodzi zarówno od Zakonu, jak i od FBI — wyjaśniłem, pragnąc być precyzyjnym i jednocześnie stosunkowo prawdomównym. — Oto ona: „Transport tajwańskiej heroiny nie przybędzie o czasie. Laotańskie pola opiumowe znalazły się tymczasowo w rękach Pathet Lao. Nie wierz w informacje rozpowszechniane przez Pentagon, że nasze wojska mają kontrolę nad sytuacją w Laosie.” Odpowiedź nie jest wymagana. — Zacząłem się podnosić.

— Niech pan zaczeka, do cholery — powiedział Drake, marszcząc czoło. — To jest ważniejsze, niż się panu zdaje.

Na jego obliczu pojawił się nieodgadniony wyraz i widziałem, że jego umysł pracuje niczym silnik z zepsutym regulatorem; to robiło wrażenie.

— Jaką ma pan rangę w Zakonie? — spytał w końcu.

— Illuminatus Prelator — wyznałem skromnie.

— Niezbyt wysoką. Ale ma pan większe doświadczenie szpiegowskie niż wielu członków wyższej rangi. Będzie pan musiał wystarczyć.

296

Stara barakuda odprężyła się, gdy już podjęła decyzję.

— Co pan wie o Kulcie Czarnej Matki? — spytał.

— Najbardziej wojownicza i utajniona grupa Black Power w kraju — powiedziałem ostrożnie. — Unikają rozgłosu zamiast go szukać, ponieważ ich strategicznym celem jest ewentualny zamach stanu, a nie rewolucja. Jeszcze przed chwilą sądziłem, że o ich istnieniu nie wie żaden biały, z wyjątkiem FBI. Biuro nie informowało o nich innych agencji, ponieważ wstydzimy się przyznać, że nigdy nie udało się nam utrzymać wśród nich informatora. Wszyscy umierają z naturalnych przyczyn, co jest dla nas bardzo żenujące.

— Nikt w Zakonie nigdy nie powiedział panu prawdy? — spytał Drake.

— Nie — odparłem zaciekawiony. — Myślałem, że to, co właśnie panu powiedziałem, jest prawdą.

— Winifred trzyma więcej w tajemnicy niż musi — stwierdził Drake. — Zakon ma pełną władzę nad Kultem Czarnej Matki. Oni monitorują sprawy w getcie na nasze zlecenie. Aktualnie przewidują, że pod koniec lata w Har-lemie, chicagowskim West Side i Detroit wybuchną powstania w stylu lat sześćdziesiątych. Muszą w tych miejscach zwiększyć liczbę uzależnionych do osiemnastu procent, jeśli zaś dobrze pójdzie to do dwudziestu albo dwudziestu pięciu procent, bo inaczej nie damy sobie rady z likwidacją szkód majątkowych. A oni tego nie osiągną, jeśli nadal będzie ograniczona ilość towaru. W gettach po prostu musi być więcej narkotyków, bo inaczej do sierpnia rozpęta się tam piekło.

Zacząłem pojmować, że użył słowa „monitorować” w jego ścisłym, cybernetycznym znaczeniu.

— Istnieje tylko jedno wyjście — ciągnął Drake. — Czarny rynek. Od jakiegoś czasu pewna wyjątkowo sprytna i dobrze zorganizowana grupa próbuje rozbić heroino-wy monopol spółki CIA-Syndykat. Kult Czarnej Matki będzie musiał się nimi zająć bezpośrednio. Nie chcę, żeby

297

Zakon mieszał się do tego, spowodowałyby to niezły bałagan, a poza tym musielibyśmy potem zniszczyć tych ludzi, gdy już się uda do nich przeniknąć.

Skończyło się na tym, że znalazłem się na Sto Dziesiątej Ulicy w Harlemie i z uczuciem, że jestem bardzo biały i że nic mnie nie chroni przed kulami, wszedłem do restauracji „Pod wściekłą małpą”. Obrzucany wrogimi spojrzeniami, podszedłem prosto do kobiety o kawowej cerze stojącej przy kasie i powiedziałem:

— Mam dyspozycje odnośnie do nagrobka. Przewierciła mnie na wylot wzrokiem i mruknęła:

— Na gdrze, za męską toaletą, drzwi z napisem „Pomieszczenie prywatne”. Pukać pięć razy. — Uśmiechnęła się złowieszczo. — A jeśli jesteś trefny, to pocałuj swój biały tyłek na do widzenia, bracie.

Poszedłem na górę, znalazłem drzwi i zapukałem pięć razy. Wyjrzało na mnie jedno kamienne oko osadzone w mahoniowej twarzy.

— Biały — usłyszałem.

— Człowiek — odparłem.

— Syn.

— Swojego kraju — dokończyłem.

Zaczepek łańcucha został zdjęty i drzwi otworzyły się do końca. Nigdy się nie dowiedziałem, kto obdarzony takim poczuciem humoru wybrał to hasło — zapożyczone oczywiście od Ku-Klux-Klanu. W pomieszczeniu panował zaduch od marihuanowego dymu, zauważyłem jednak, że jest porządnie umeblowane i że dominuje w nim ogromna rzeźba Kali, Czarnej Matki. Od razu wyobraziłem sobie budzące grozę obrządki Gunga Din i okrzyki: „Zabijaj z miłości dla Kali!” W pokoju znajdowało się, oprócz tego, który mnie wprowadził, jeszcze czterech innych osobników. Krążyły wśród nich dwa jointy — jeden zgodnie z ruchem wskazówek zegara, drugi w stronę przeciwną.

— Skąd jesteś? — spytał mnie jakiś głos z mroku.

— SOPB — odparłem ostrożnie. — Mam rozmawiać z Hassanem Ibn Sabbahem X.

— Rozmawiasz z nim — powiedział najwyższy i najczarniejszy facet z całej bandy, podając mi jointa. Zaciągnąłem się szybko i głęboko, Chryste, ale to dobre! Byłem częściowo uzależniony od Marca 1967, kiedy to w Pentagonie deptałem po piętach Normanowi Mailerowi, a później poznałem jakichś hippisów, którzy siedzieli na stopniach i palili to. Mówię, że od tego czasu jestem częściowo uzależniony, ponieważ dwóch z tkwiących we mnie wierzy w stare publikacje rządowe, twierdzące, iż marihuana powoduje uzależnienie (inaczej rząd by ich nie wydrukował). Na szczęście dwóch innych uznaje, że nie powoduje. Nie czuję więc wielkiego głodu, kiedy mi jej zabraknie.

Zacząłem wyjaśniać Hassanowi Ibn Sabbahowi X, jaka jest sytuacja, ale w krąg został puszczony kolejny joint, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, więc wziąłem kolejnego macha.

— Człowiek może nieźle zaćpać przy takiej robocie — powiedziałem żartobliwie.

— Tak — zgodził się głos z mroku, z wyraźnym zadowoleniem.

Cóż, zanim wyjaśniłem Hassanowi, w czym tkwi problem, byłem już tak nawalony, że natychmiast pozwoliłem się zwerbować do następnego etapu, godząc się z jego tłumaczeniem, że biały człowiek będzie to umiał lepiej załatwić niż czarny. Miałem zresztą ochotę znów spotkać się z tą grupą heroinowych piratów.

Hassan zapisał mi dokładny adres.

— A tu są hasła — dodał. — Powiesz: „Pragnienia wasze niech będą prawem jedynym”. Nie mów: „Wasze pragnienia niech będą jedynym prawem”, bo oni nie znoszą, jak ktoś olewa ich teksty, to ma coś wspólnego z magią. Ona ci odpowie: „Miłość jest tym prawem, miłość jest tym pragnieniem”. Potem ty dokończysz: „Każdy mężczyzna i każda kobieta jest gwiazdą”. Chwytasz?

299

Mogłem się założyć o własny tyłek, że tak. Oczy już prawie wychodziły mi z orbit. To były hasła A.-A.-.

— Jeszcze jedno — dodał Hassan — pamiętaj poprosić o pannę Mao, nie o Mama Sutkę. Mama w tym nie siedzi.

(Odrzutowiec odlatywał z Lotniska im. Kennedy'ego, a Simon na nowo zatopił się w lekturze *Telemach kichnął*. Nie zauważył rudowłosego, młodego mężczyzny o zaabsorbowanym spojrzeniu, który siedział po drugiej stronie. Gdyby zauważył, natychmiast by dokonał identyfikacji: gliniarz.

Czytał właśnie: „Dym fabryczny to symbol postępu, boskiego ognia przemysłu, płonącego bóstwa Heraklita.”)

HARRY KRISHNA HARRY KRISHNA HARRY HARRY

Harry Coin nie wiedział, co to za narkotyk, panna Portinari powiedziała tylko: „Kopie mocniej niż gandzia” i podała mu tabletkę. Mogło to być LSD, które biorą hippisi, mogło to być też coś, co Hagbard uwarzył razem z FUC-KUP-em w laboratorium na statku. Panna Portinari wciąż mantrowała:

HARRY RAMA HARRY RAMA HARRY HARRY

Posłusznie wpatrywał się w dzielące ich naczynie wypełnione akwamarynową cieczą, panna Portinari miała na sobie żdłtą szatę i siedziała nieruchomo w pozycji lotosu.

(— Musisz zrozumieć — powiedział jej — że nie dam rady z dwoma kompletami wspomnień, nie mając żadnej pewności, które są prawdziwe, a które Hagbard po prostu wsadził mi do głowy, tak jak mężczyzna wsadza dziecko kobiecie. Czy ja zabiłem tych wszystkich ludzi, czy nie?)

— Zanim zaakceptujesz odpowiedź, musisz się znaleźć w odpowiednim nastroju — odparła obcym głosem.)

300

HARRY COINSHA HARRY COINSHA HARRY HARRY

Czy to ona zmieniała mantrę, czy też zmieniał ją ten narkotyk? Próbował zachować spokój i zgodnie z jej zaleceniem wpatrywać się w naczynie, ale wzór na porcelanowych ściankach ulegał zmianom. Zamiast dwóch delfinów, gonących za swoimi ogonami, przypominających zodiakalne ryby (których wiek właśnie się kończył według Hagbarda), pojawiło się teraz jedno długie, podobne do węża stworzenie, usiłujące połknąć własny ogon.

To ja — pomyślał. — Wielu ludzi mi mówiło, że jestem chudy i długi jak wąż.

I wszyscy pozostali (zrozumiał nagle). Widzę to, co powiedział mi George: Ja ścigające Ja i starające się nim zawładnąć, Ja usiłujące połknąć Ja.

A tymczasem ciecz, tuż przed jego zafascynowanym wzrokiem, zrobiła się czerwona, czerwona jak krew, kolor winy i poczuł, że usiłuje ona go w siebie wessać, w czerwone zapomnienie, w zarumienioną próżnię.

— To żyje — wrzasnął. — Jezu, Pieprzony Chryste!

Panna Portinari, nieobecna duchem, niedbale potrząsnęła naczyniem i spokojna, wirująca spiralnie ciecz ponownie przybrała akwamarynową barwę. Harry poczuł, że sam się czerwieni, to była zwykła halucynacja, mruknął:

— Przepraszam za ten język, proszę pani.

— Nie przepraszaj — skarciła go. — Najważniejsze prawdy z początku zawsze brzmią jak bluźnierstwa albo sprośności. Dlatego prześladowuje się wszystkich wielkich nowatorów. Sakramenty również wydają się sprośne dla ludzi z zewnątrz. Eucharystia to tylko przesublimowany kanibalizm dla nieprzebudzonych. Kiedy papież całuje stopy starców, niektórzy myślą, że jest fetyszystą. Rytuały bożka Pana przypominają orgię z przedmieść. Zastanów się nad tym, co powiedziałaś. Pięć słów, co pasuje do Prawa Piątek, a więc to coś szczególnie znaczącego.

301

To dziwaczna banda, ale za to znają różne ważne rzeczy, przypomniał sobie Harry. Zapatrzył się na granatową spiralę i powtórzył w duchu:

— To żyje, Jezu, Pieprzony Chryste, to żyje...

Z naczynia uniósł się Jezus o dziwnie jastrzębio-hagbardowskiej twarzy.

— To jest moje bodhi — powiedział, wskazując ręką. Harry spojrział w tamtą stronę i zobaczył Buddę siedzącego pod drzewem bodhi.

— Tat TVam Asi — powiedział Budda i liście spadające z drzewa zmieniły się w miliony telewizorów, pokazujących ten sam film z Laurelem i Hardym.

— No i popatrz, w co mnie wpakowałeś — mówił Hardy...

Harry zobaczył siebie w poprzednim wcieleniu, jako centuriona, Semper Cuni Linctusa, wbijającego gwoździe w krzyż.

— Słuchaj — powiedział do Jezusa — tylko bez urazy. Ja jedynie wykonuję polecenia.

— Ja też — odparł Jezus. — Polecenia mojego Ojca. Czy wszyscy tego nie robimy?

— Zajrzyj do naczynia — powtórzyła panna Portinari. — Po prostu zajrzyj do zbiornika.

To wszystko przypominało chińską szkatułkę, we wnętrzu której znajduje się jeszcze jedna chińska szkatułka, jednak najlepszy numer pokazała panna Mao Tsu-hsi. Miała niewielką, ale elegancką chatę przy Osiemdziesiątej Siódmej Zachodniej, zakotwiczyliśmy tam, podając sobie jointa i porównywaliśmy wielokrotne tożsamości. Leżeliśmy nago na niedźwiedziej skórze, sen się

ureczywistniał, ponieważ ona była moim ideałem kobiety.

— Najpierw dostałam się do A.\A.\, Tobias — wyznała. — Zwerbowali mnie na spotkaniu Bahaj, wiesz, na wszelki wypadek ściągali dziwki z ulicy do każdej grupy mistycznej od Subud po Scientologów. Potem nawiązał ze mną kontakt wywiad morski i ja im donosiłam, co zamierzają A.:. A.:. Ale nie umiem się tak łatwo przestawiać jak ty i zazwyczaj jestem lojalna, więc przeważnie donosiłam A.\A.\ to, co wywlokłam z wywiadu morskiego. Zasadniczo wierzyłam w A.-.A.-.. Dopóki nie poznałam Jego.

— Przypomniałaś mi — powiedziałem, zazdrosny o ten pełen czci sposób, w jaki o nim mdwiła; zupełnie, jakby to był jakiś bóg. — Jeśli on ma tu zaraz przyjść, to czy nie powinniśmy wstać i coś na siebie włożyć?

— Skoro jesteś takim mieszcuchem — odparła. Podczas ubierania przypominałem sobie o czymś.

— *A propos* — powiedziałem zwykłym tonem — dla kogo szpiegujesz Mama Sutrę, dla A.-.A.-., wywiadu morskiego czy dla Niego?

— Dla wszystkich trojga.

Zaczynała właśnie wkładać majtki, a ja zniecka poprosiłem:

— Zaczekaj.

Ukląknęłam i po raz ostatni pocałowałam jej cipkę.

— Dla najmilszej chińskiej szkatułki, jaką otworzyłem w całej tej sprawie — oświadczyłem szarmancko.

Był to efekt nauk iluminackich; jako człowiek z FBI wstydziłem się tak perwersyjnego czynu.

Skończyliśmy się ubierać i ona właśnie nalewała wino do kieliszków (lekkie wino niemieckie z, jakby nie było, Bawarii), gdy ktoś zapukał do drzwi.

Panna Mao, ubrana w zwiewną chińską sukienkę, podeszła ostrożnie do drzwi i powiedziała cicho:

— Heil, Eris.

— Sieg Heil, Discordia — dobiegł nas głos z zewnątrz.

Otworzyła zamek i do środka wszedł mały, tłusty człowieczek. Z początku ogarnęło mnie zdumienie; nie wyglądał na tego superbohatera, superintelektualistę, którego mi opisała.

— Hagbard nie mógł przyjść — oznajmił zwięźle. — Ja się zajmę transakcją i wprowadzę cię — zerknął na mnie — do Legionu Dynamicznej Niezgody, skoro, jak twierdzi panna Mao, jesteś już gotów do walki ze wszystkimi rządami na tym świecie, a ponadto z Iluminatami.

— Jestem gotów — zapewniłem go żarliwie. — Męczy mnie już rola marionetki pociąganej za poczwórny komplet sznurków. (W rzeczywistości chciałem po prostu dostać piąty komplet.)

— Dobrze — powiedział. — Daj mi tę marionetkę — i wyciągnął dłoń. Gdy uścisnęliśmy się, dodał: — Episkopos Jim Cartwright, Cabal Mad Dog.

— Tobias Knight — odparłem. — FBI, CIA, A.:., A.:. i Iluminaci.

Cartwright zamrugał oczami.

— Znam podwójnych i potrójnych agentów, ale jesteś pierwszym poczwórnym agentem, jakiego spotykam. Sądzę, że to było nieuchronne, zgodnie z Prawem Piątek. Witaj na piątej arenie najstarszego czynnego Cyrku Pięciu Aren. Przygotuj się na Śmierć i Odrodzenie.

JEZU, PIEPRZONY CHRYSSTE, TO ŻYJE...